



BESTSELLER
USA Today

Najlepsze rzeczy w życiu nie przychodzą łatwo,
ale są warte **POŚWIĘCENIA**

poświęcenie

ADRIANA LOCKE

wydawnictwo
**szósty
zmyś**

poświęcenie

pożwięcenie

ADRIANA LOCKE

Przełożyła
Klaudia Wyrwińska

wydawnictwo
szósty
zmyśl

Tytuł oryginału

Sacrifice

Redaktor prowadząca

Karolina Żulewska

Korekta

Aleksandra Marczuk

Skład i łamanie Anna Szarko

e-mail: anna.szarko@gmail.com

Opracowanie okładki i stron tytułowych

Katakanasta Joanna Wasilewska

Copyright © 2015 by Adriana Locke

Copyright © for the Polish edition by Papierowy Księżyc 2018 Copyright
© for the Polish translation by Klaudia Wyrwińska 2018

ISBN 978-83-65830-60-9

wydawnictwo
szósty
zmysł

Wydawnictwo Szósty Zmysł

Grupa Wydawnicza Papierowy Księżyc

skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12

tel. 59 727-34-20, fax. 59 727-34-21

e- mail: wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl

www.szostyzmysl.com.pl

Podziękowania

Wła moich dzieci, czule nazywanych Drużyną A. Nieważne, co robię, zawsze będziecie moim największym osiągnięciem. Nadajecie mojemu życiu sens i wypełniacie je w niepowtarzalny sposób.

Jesteście moim światem, sercem i duszą. Dla was poświęciłabym wszystko.

Zawsze będę Was kochać,

Mama

CREW

Rozmokła breja chrzęści mi pod butami, a z ust wydobywają się kłęby pary.

Pochylam głowę, naciągając wyciągnięty spod kurtki kaptur bluzy, żeby zakryć twarz. Wciskam papierową torbę pod pachę z nadzieją, że nic z niej nie wypadnie na mokry asfalt. Pozostałości ostatniego śniegu zalegają pod drzewami i w cieniach wielkich kompleksów mieszkalnych wyłaniających się przede mną.

Ludzie przebywają na zewnątrz mimo przenikliwego zimna. Siedzą na werandach swoich mieszkań, paląc jakieś gówno, które z pewnością nie jest tytoniem. Z kominów kilku jednorodzinnych domów, w większości zniszczonych, niemal przegniłych, unosi się dym.

Zaciskam zęby.

Nienawidzę ich za to, że tu mieszkają.

W zasięgu mojego wzroku pojawia się mieszkanie. Z prawej strony drzwi stoi drewniane krzesło z poduszką w wyblakłe żółto-czerwone paski. Schody na ganek są w złym stanie i wchodząc po nich, muszę przeskoczyć drugi stopień. Po jego prawej stronie jest pęknięcie i nie mam wątpliwości, że zarwałby się, gdybym na nim stanął.

Krzywię się, zapamiętując, żeby zadzwonić do właściciela. Bydlak może nie interesować się tym miejscem, ale już niedługo.

Postaram się o to.

Pukam do drzwi. Jest kurewsko zimno, nawet jak na Boston pod koniec lutego. Temperatura sprawiła, że rozładunek towaru w stoczni bardzo

się dłużył. Po południu trochę się ociepliło, ale teraz, gdy słońce zachodzi, chłód przenika przez moją kurtkę Carhartta. Unoszę ręce do ust, pocierając jedną o drugą i ogrzewając je wydychanym powietrzem.

Pukam ponownie, zniecierpliwiony. Słyszę grającą po drugiej stronie drzwi muzykę, coś Johna Mayera, którego zawsze uwielbiała.

Z mieszkania obok dochodzi głośny łomot, jakby jakiś drewniany przedmiot uderzył o coś, a po nim następuje krzyk. Zmarznięty i zirytowany przekręcam klamkę z myślą, że towarzyszący temu dźwięk sprawi, iż podda się i mnie wpuści. Zaciskam szczękę, gdy bez problemu otwieram drzwi. Kawalek farby odpada od drewna i spada na płytki.

Co ona sobie, do cholery, myśli?

Wchodzę do środka, ściągając kaptur z głowy, i rozglądam się po kuchni. Muzyka gra z leżącego na blacie telefonu, a w stojącym na starej kuchence garnku coś bulgocze. Zauważam, że w zlewie piętżą się nieumyte gary, co jest do niej niepodobne. Normalnie pedantycznie dba o każdy detal i zajmuje się wszystkim, co tylko zdoła kontrolować. Może być to cholernie irytujące, ale odkryłem, że jest to reakcja na całe to gówno w jej życiu, nad którym nie może zapanować.

Stawiam torbę na stole, przesuwając koszyk z jabłkami, który na nim stoi. Gdy wychodzi zza rogu, otwiera szeroko swoje brązowe oczy i chwyta ręką futrynę, nie spodziewając się mnie.

- Cholera, Crew! - mówi Julia, przyciskając jedną dłoń do piersi. Jej ramiona rozluźniają się, a z ust słychać ciche westchnienie. Żywię nieco optymistyczną nadzieję, że może czuje ulgę na mój widok, ale szybko zmieniam zdanie.

Prostuje się i mruży oczy. Nie mam pojęcia, jakiej reakcji spodziewała się po mnie, ale nieszczególnie mnie to interesuje.

- Zamykaj te pieprzone drzwi - warczę, odwzajemniając spojrzenie. -

Masz szczęście, że to ja, a nie jakiś gnojek z jednego z mieszkań po drugiej stronie ulicy.

- Całe szczęście, że to ty. - Jej głos ocieka sarkazmem, gdy kręci głową, a jej długie czarne loki huśtają się na boki. Podchodzi do kuchenki i wyłącza muzykę.

Uderzam wierzchem dłoni w papierową torbę, na co się wzdryga.

- Przyniosłem ci trochę rzeczy.

- Przestań przynosić mi *rzeczy*.

Stoi odwrócona do mnie tyłem, podnosi pokrywkę i głośno przykrywa nią garnek. Wiem, że nie cieszy się na mój widok, bo tak jest zawsze.

Gówniana sprawa.

- Gdzie małpeczka? - pytam.

- W salonie.

Mówi beznamiętnym głosem, ale przywykłem do tego. Nie oczekuję od niej nic więcej.

Nie mogę.

- Everleigh! Przyjdź tutaj, dziecinko - woła.

To taka naturalna rzecz, gdy matka woła swoje dziecko na kolację. Wygląda to jak normalna część zwyczajnego życia. Ale wiem, jak jest naprawdę.

Pozory myślą, ale rozkoszuję się tą chwilą. Biorę, co mogę.

Kilka sekund później rozlega się tupot małych stóp.

- Wujek Crew!

Klękam na jedno kolano, gdy do mnie biegnie, a za jej plecami płyną czarne włosy.

- Wujek Crew! - krzyczy ponownie i wpada mi w ramiona, wtulając twarz w zimną kurtkę. Szybko odpinam suwak z obawy, że zimny metal zostawi ślad na jej małej buzi.

Dotykam ustami jej czoła, gdy mnie obejmuje. Przyciągam ją do siebie, przeczesując palcami czarne włosy, i wdycham zapach gumy balonowej, który kojarzy mi się z moją małą bratanicą.

- Jak się masz, małpeczko?

- Dobrze - chichocze, po czym odchyła głowę i patrzy na mnie wyczekująco. - Przyniosłeś mi coś?

- Everleigh Nicole! - strofuje ją Julia. - Gdzie twoje maniery?

- Ale to *wujek Crew*. - Trzepocze rękami, patrząc na mamę, która w odpowiedzi przewraca oczami. - Przyniosłeś mi coś, prawda? - Znowu patrzy na mnie, przy czym uśmiecha się od ucha do ucha.

Nigdy nie zdołałbym odmówić temu dziecku. Mogłaby poprosić o pieprzony księżyc, a ja znalazłbym sposób, żeby go zdobyć.

- Daj spokój. Wiesz, że ci coś przyniosłem.

Everleigh chichocze i podskakuje w miejscu, a ręce splata na przodzie koszuli z Dzwoneczkiem. Sięgam do torby, grzebię w zakupach i wyciągam pudełko kredek oraz kolorowankę. Naprawdę nie mam pojęcia, jakie są w niej obrazki, ale była to jedyna kolorowanka, jaką mieli w sklepie.

- Jej! - piszczy i unosi rzeczy do góry tak, żeby Julia je zobaczyła. - Dziękuję! Pokoloruję ci coś pięknego, żebyś mógł powiesić w swoim domu.

- Nie ma za co. - Podtrzymuję jej spojrzenie i kiwam nieznacznie głową, żeby wiedziała, że kontynuujemy naszą zabawę. Usiłuje puścić mi oczko, ale zamiast tego przez chwilę drżą jej obie powieki. Z całych sił staram się nie zaśmiać.

Gdy tylko Julia odwraca się do nas tyłem, podaję jej bananowe ciągutki Laffy Taffy, a ona całuje mnie w policzek. Stara się z całych sił, żeby wyjść ukradkiem do salonu i uniknąć przyłapania na jedzeniu słodyczy przed kolacją.

Patrzę, jak odchodzi. Jej długie włosy, takie same, jak u mamy, prawie sięgają talii. Jest tak podobna do Julii. Ma taką samą twarz w kształcie serca, wysokie kości policzkowe i ma w sobie ten sam wdzięk.

Mimo to w dużym stopniu przypomina też mojego brata. Jest wysoka, jak Gage, i góruje nad większością swoich pięcioletnich przyjaciół. Ma taki sam kolor oczu, niczym niebo nad portem w bezchmurny dzień. Ale to, co najbardziej przypomina mi w niej mojego brata, to dusza. Tak samo jak Gage, Ever jest o wiele rozsądniejsza niż rówieśnicy. Wykazuje mądrość i dojrzałość prawdopodobnie większą niż ja w wieku dwudziestu lat.

Mój brat tak bardzo ją kochał.

Wzdycham i opieram się o starą lodówkę. Czuję, jak ugina się pod moim ciężarem.

Julia ignoruje mnie i robi coś przy kuchence. Ma związane włosy i widzę napięcie w jej ramionach, ma wojowniczą postawę. Tak samo wyglądała w liceum, gdy wracała do domu po awanturze z jej beznadziejnymi rodzicami. Nienawidzę tego tak samo, jak nienawidziłem wtedy. Z tym że teraz o tę postawę mogłem winić jedynie siebie.

- Wszystko w porządku? - pytam, zastanawiając się, czy w ogóle mi odpowie. Czasami odpowiada. A czasami nie.

Te dwa lata, odkąd nasze światy się rozpadły, były bardzo długie. Udało

nam się jednak dojsć do pewnego niewypowiedzianego zrozumienia. Zaakceptowałem fakt, że będzie mnie nienawidziła do końca życia. Ona zaakceptowała fakt, że nie odejdę. Poczyniliśmy nawet pewne postępy. Ona nie grozi mi już sądowym zakazem zbliżania się. Ja nie wkurzam się na jej odmowę współpracy. Po prostu robię, co muszę, a ona obraża się, ale akceptuje to. Postęp.

- Jules? - pytam ponownie, obserwując ją uważnie. Normalnie nie naciskam, po prostu zostawiam to, co mam, i znikam. Dzisiaj jednak wydaje się bardziej przybita. Wiem, że prawdopodobnie w tym tygodniu tęskni za nim bardziej niż zwykle, bo przechodzę przez to samo. To sprawia, że mam ochotę iść się napić, ale nie mogę jej zostawić samej, dopóki nie upewnię się, że wszystko jest dobrze. Jestem jej to winien. - Wszystko w porządku?

Widzę, że odkłada łyżkę, po czym pochyla głowę, dlatego przygotowuję się na nieznane.

- Wyśmienicie.

Mówi to tak cicho, że ledwie ją słyszę. Zaciska ręce po bokach kuchenki i nie rusza się.

Przygryzam wargę i obserwuję ją, czekam, aż da mi jakąś wskazówkę, o czym myśli. Nie naprowadza mnie na żaden trop.

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie, Crew - mówi, obracając się na pięcie. - Nie potrzebuję. - Jej oczy ciskają gromy i emanują emocjami, których nie jestem w stanie określić. - Nie potrzebowałam też zmiany opon w samochodzie.

- O czym ty mówisz? - pytam, udając, że nic o tym nie wiem. Wiedziałem, że będzie mi za to truć nad uchem, ale nie miałem wyboru. Nie mogłem pozwolić, żeby wozila Everleigh na łysych oponach.

- A więc nie przysłałeś do mojego biura Willa, żeby wziął mój samochód? To miłe z jego strony, że poprosił o kluczyki na oczach połowy działu. Dobrze rozegrane. Jak niby miałam się z nim kłócić, nie robiąc przy tym scen?

Wzruszam ramionami.

- Przestań to robić. *Proszę*. Potrafię sama o siebie zadbać.

Odbywamy teraz milczącą rozmowę, wymieniając się spojrzeniami, chociaż żadne z nas jej nie chce. Mówi mi, że nie jest już tą małą dziewczynką, którą znałem. Ale to nie tak, że o tym nie wiem. Może i dorosła, ale to, jaką kobietą się stała, w dużej mierze powiązane jest z decyzjami, które *ja* podjąłem.

Jest tak kurewsko wiele rzeczy, które bym zmienił, gdybym wiedział jak. Ale nie mogę.

- Jak ona się czuje? - pytam, kiwając głową w stronę salonu i usiłując zmienić temat.

Julia wzdycha, a na jej twarzy pojawia się zmęczenie.

- Dobrze. Rano nie było najlepiej, więc została z panią Bennett.

- Olivią? Panią z sąsiedztwa?

- Tak. Choć teraz wygląda, jakby było lepiej. - Posyła mi nieznaczny uśmiech, po czym wbija wzrok w podłogę. - Ever uwielbia, gdy przychodzisz, więc jestem pewna, że teraz będzie wesola. *Ona* cię lubi.

Ta insynuacja trafia mnie boleśnie w pierś.

- Wcześniej strasznie za nim tęskniła.

Tematem naszych rozmów nigdy nie był Gage, chyba że się kłóciliśmy. Fakt, że właśnie o nim wspomina, szokuje mnie, i nie czuję się z tym dobrze. Nie wiem, jak to przyjąć. Czuję, jak szczeka pulsuje mi z

frustracji, dlatego ponownie staram się zmienić temat.

- Dlaczego tu jest tak chłodno?

Julia przestaje się uśmiechać i szarpie nerwowo materiał bluzy.

- Nie wiedziałam, że jest.

-Jak możesz nie wiedzieć? - Jestem w drodze do termostatu, gdy słyszę jej chrząknięcie.

- Grzejnik szwankuje. Prosiłam kilka dni temu właściciela, żeby przyszedł i to sprawdził.

- A on się nie zjawił? - Rzucam jej spojrzenie, a ona kręci głową. - Dzisiaj się pojawi. - Wyciągam telefon z kieszeni.

- Crew, nie. *Proszę*. Ostatnim razem, gdy do niego zadzwoniłam, kilka miesięcy zachowywał się wobec mnie jak kompletny dupek. Dopiero teraz zaczęłam się z nim na nowo dogadywać.

Przeładam listę kontaktów, szukając jego imienia.

- Crew... - Wiem, że błaga mnie tym swoim sarnim spojrzeniem. Wiem też, że jeśli na nią spojrzę, będę skłonny odpuścić.

Dlatego nie podnoszę wzroku.

2

JULIA

Kończę kolejną bajkę o biednej księżniczce, która spotyka dobrotliwego księcia. Są to ulubione bajki Everleigh na dobranoc. Gdy byłam dzieckiem, też je uwielbiałam. Miałam w zwyczaju leżeć w nocy z zaciśniętymi powiekami i wymyślać historie o rycerzu w lśniącej zbroi, który przybywa mi na ratunek. Wspinał się po treliazu przy ścianie pod moją sypialnią i pukał cztery razy w okno. Nie jestem pewna, dlaczego cztery razy, ale zawsze tak robił. Pędziłam do niego, a on sprowadzał mnie na dół i zabierał od rodziców.

Z tych historii stworzone są marzenia małych dziewczynek. Ale później muszą się jeszcze nauczyć, że gdy znajdują się one w zasięgu ręki i znikają gwałtownie, wracają w postaci koszmarów.

Kładę książkę obok siebie, na kołdrze Everleigh. Leży u mojego boku, świeżo po kąpieli, pachnąc gumą truskawkową. Wtula się we mnie, przyciskając do siebie sfatygowaną małąkę, którą ma od urodzenia. Odgarniam włosy z jej twarzy, a ona uśmiecha się do mnie.

- Mamusiu, myślisz, że któregoś dnia mogłabym spotkać księcia? I mogłabym być piękną księżniczką i żyć w zamku?

Uśmiechnęłam się na jej niewinność.

Już niedługo się nauczy.

- Nigdy nic nie wiadomo.

- Czy prawdziwi książęta istnieją? - Jej oczy lśniły z podekscytowania, a ja żałuję, że nie mogę sprawić, by na zawsze pozostała niewinnym dzieckiem.

- Oczywiście, kochanie. Na świecie wciąż są książęta.
- Jak tatuś?

Serce pęcznieje mi w piersi, gdy go wspomina, a zdarza się jej to dość często. Jest to pewna część rytuału, te ciche chwile tuż przed zaśnięciem, gdy wspomina Gage'a. Wcześniej mówiła o nim częściej, nie tylko przed snem. Nie jestem pewna dlaczego, ale choć minęły prawie dwa lata, w takich chwilach zawsze mam łzy w oczach. Na samą myśl o moim mężu czuję burzę emocji, nad którymi dopiero niedawno nauczyłam się w pewnym stopniu panować.

- Tak, skarbie. Jak twój tatuś.
- Myślisz, że Karmelek jest z nim w niebie?

Kiwam głową.

- Tak. Jestem pewna, że tatuś troszczy się o twojego kotka.
- Uśmiecham się do mojej małej dziewczynki i staram się przełknąć gulę w gardle. - Jestem też pewna, że ci się teraz przygląda i zapewne uważa, że powinnaś już spać.

Uśmiecha się do mnie, a gdy to robi, jest tak podobna do Gage'a, że czuję fizyczny ból.

- A wujek Crew? On też jest księciem?

Muszę bardzo się postarać, żeby nie przewrócić oczami.

Patrzy w dół, bawiąc się swoją małą, a ja mam nadzieję, że skończyła ten temat.

Poza mną, Crew jest jej jedyną rodziną. Dziadkowie od strony ojca nie żyją, a moi rodzice nigdy jej nie poznają. Za bardzo kochają wypełnione alkoholem butelki, żeby chociaż zainteresować się moją córką. Znam ten ból, widzieć ich zalanych w trupa; pamiętam udrękę, jaką czułam,

słuchając wyzwisk, pamiętam piekący ból ściskanego ramienia, przez co musiałam wymyślać historyjki na temat tego, jak nabawiłam się takich siniaków. Nie widzieli Ever od dnia, w którym się urodziła. Gdy dzwonią, co zdarza się rzadko, zawsze mają w tym jakiś cel. Nigdy dlatego, że chcą zobaczyć mnie albo moją córkę. Czasami zastanawiam się, czy oni w ogóle pamiętają o istnieniu Everleigh.

Przyglądałam się, jak powieki Everleigh opadają, i ziewam, po czym wtulam się w nią i kładę głowę tuż przy jej główce. Moje spojrzenie ląduje na ramce ze zdjęciem Gage'a i Crew, stojące na szafce nocnej.

Na tym zdjęciu wyglądają tak młodo i beztrosko, uśmiechają się szeroko do aparatu. Pamiętam, jak robiłam je po długim dniu na plaży. Pamiętam też, jak moje przyjaciółki stały za mną i szeptały, że nadają się na modeli.

Po tak wielu latach i wylanych zawartościach kubka niekapka zdjęcie jest wyblakłe. Everleigh wozila je po domu w swoim małym koszyku na zakupy.

Gdy z tego wyrosła, zażądała, by stało w jej pokoju.

Jej książęta.

Nie jestem w stanie powstrzymać szerokiego uśmiechu, gdy zamykam oczy i przypominam sobie, jak zobaczyłam ich po raz pierwszy.

- *Idź tu - powiedziała Laurel, dźgając mnie łokciem w żebra.*

Czuję, jak płoną mi policzki. Szybko odwracam się tyłem do zmierzających w naszą stronę chłopców. Zauważyłam ich wcześniej, gdy kręciliśmy się po Castle Island, wyspie w południowym Bostonie. Spędzałyśmy tam dzień, spacerując i urządzając piknik, żyjąc nastoletnim życiem. Przez cały dzień nie mogłam przestać na nich spoglądać. Nie byli jak chłopcy, z którymi widywałam się do tej pory. Ich ciała były twardsze, smuklejsze, bardziej wyrzeźbione niż u naszych rówieśników. Nie tylko ich wygląd przyciągnął moją uwagę, ale raczej to,

jak się zachowywali. Chodzili po parku z pewnością siebie, jakby niczego się nie bali.

Grupa moich przyjaciółek zaczęła chichotać, a ja odwróciłam powoli głowę i zobaczyłam, że dwójka z nich stoi tuż obok.

- Cześć, dziewczyny- powiedział jeden z nich.

Rzuciłam w ich stronę szybkie spojrzenie, wdychając zapach wody kolońskiej zmieszanej z zapachem potu.

Ten, który się odezwał, był wyższy od drugiego. Miał ciemnobrązowe włosy i jasnoniebieskie oczy. Jego uśmiech był miły, a spojrzenie pełne mądrości.

Ten drugi był krótko ostrzyżony, miał zamyślane spojrzenie i pewny siebie uśmiech, od którego miękły mi kolana. Jego oczy zabłyszczały i, mimo gorąca, przez moje ciało przebiegł dreszcz.

- Jestem Gage Gentry. - Ten wyższy uśmiechnął się, a ja musiałam odwrócić wzrok.

To było za dużo. Sama ich bliskość sprawiała, że czułam się słaba, choć jednocześnie bardzo silna. Nigdy wcześniej się tak nie czułam..., ale podobało mi się to.

- To mój brat, Crew.

Crew uśmiechnął się do moich przyjaciółek, a ich chichot wszedł na wyższą częstotliwość. Ja nie chichotałam. Ledwie łapałam oddech.

Rzuciłam mu krótkie spojrzenie. Zaciskał pełne usta w niezaprzeczalnym uśmiechu. Uniósł brwi, jakby rzucając mi wyzwanie.

Wyzwanie, którego nie powinnam była podjąć.

- A wujek Crew? - Moja córka pyta ponownie zasnianym głosem.

Powstrzymuję się od powiedzenia, że jej ukochany wujek Crew jest wszystkim, tylko nie księciem. Jest zupełnym przeciwieństwem Gage'a w niemal każdym aspekcie. Przekonałam się o tym osobiście.

Choć obaj mieli niebieskie oczy i wrodzoną charyzmę, Crew Gentry jest lekkomyślny i hedonistyczny. Podąża za tym, czego pragnie, już w chwili, gdy o tym pomyśli, nie bacząc na wpływ swoich decyzji na jego przyszłość czy teraźniejsze życie jego bliskich. I choć niegdyś nazywano go najlepiej zapowiadającym się zapaśnikiem w kraju, nigdy nie walczył o to, co właściwe.

Ever wzdycha, a ja czuję się z nią w tej chwili powiązana. Wiem, że go kocha.

Wiem też, że - na swój sposób - Crew kocha ją. Co nie zmienia faktu, że dla niego to i tak za mało.

- Twój wujek księciem? - szydzę. - Mniej więcej, dziecinko. Powinnaś już spać.

- Próbuję. Ale brzuch mnie ciągle boli.

Całuję ją w czoło i otulam nas kołdrą. Leżymy w ciszy przerywanej krzykami dobiegającymi z ulicy.

Zaczynam nucić piosenkę Maroon 5, której wcześniej słuchałyśmy, próbując zagłuszyć wrzaski. Nienawidzę tego, że musi mieszkać w tym gównianym mieszkaniu, ale tylko na to było mnie stać po śmierci Gage'a. Żałuję, że nie mogłyśmy zostać w małym dwupokojowym domu, który kupiliśmy w Cambridge, lecz bez jakiegokolwiek zabezpieczenia było to niemożliwe.

Nigdy nie sądziłam, że tak bardzo przywiążę się do czegoś materialnego, zwłaszcza że nigdy w życiu nic nie miałam. Jednak ten mały dom był jedynym miejscem pełnym naszych wspomnień, kapsułą czasu naszego wspólnego życia. Dom był pierwszą rzeczą, którą razem kupiliśmy, miejscem, do którego zabraliśmy Everleigh po wyjściu ze

szpitala. Całowaliśmy się pod jemiolą w przedpokoju, jedliśmy na kolację zupę ramen, siedząc w kuchni przy świetle świec.

Z każdym spakowanym pudłem wylewałam wiadro łez. Czy z czasem wspomnienia wyblakną? Czy zapomnę zapach jego wody kolońskiej unoszący się w łazience? Czy zapomnę zagłębienie w materacu po jego stronie łóżka? Opuszczając tamten dom, czułam się, jakbym opuszczała Gage'a. Jedyne, co mnie przez cały ten czas pocieszało, to fakt, że łączyły mnie z nim dwie rzeczy - Everleigh i moja obrączka. A gdy wyprowadziłam się z małego domku na Impala Avenue, zostawiłam tam część swojej duszy.

Oddech Ever wyrównuje się. Powinnam wstać i posprzątać kuchnię, ale nie robię tego. Wiem, że zlew jest pełen, a resztki kolacji nadal stoją na stole, ale nie wstaję. Moje ciało jest wyczerpane, i w momencie, gdy tylko myślę o wstaniu, protestuje. Praca całymi dniami w One Boston Place w roli sekretarki i kilka nocek tygodniowo w U Ficht wykańcza mnie. Jednak zużywanie energii na te dwie prace to jedyny sposób, żebyśmy mogły dalej żyć, nawet w tak okropnym mieszkaniu.

Miękkość łóżka wnika w moje ciało i sprawia, że opadają mi powieki. Oczami wyobraźni, jak zawsze, od razu widzę Gage'a. Śmieje się, a tembr jego głosu mnie pociesza.

Czuję ciepło, jakbym była otulona ciepłym kocem. Oddycham głęboko i cieszę się wspomnieniami z czasów, gdy moje życie wyglądało dokładnie tak, jak tego chciałam. Był to czas, gdy miałam więcej, niż kiedykolwiek wyobrażałam sobie mieć. Czułam się bezpieczna. Kochana. Najważniejsza. Wszystko to dzięki Gage'owi.

Napływają obrazy z najważniejszych chwil - Gage pływający w morzu, robiący swój ulubiony sernik z przepisu, którym nigdy się ze mną nie podzielił, wracający z pracy w garniturze i krawacie - wszystkie rozbłyskują niczym fajerwerki.

Zapadam w sen, w ramionach trzymając swoją najcenniejszą córkę, a w sercu najcenniejsze wspomnienia.

CREW

Gdy otwieram drzwi, rozbrzmiewa dźwięk oznajmiający czyjeś przybycie. Wnętrze Shenanigans, mojego ulubionego baru w Bostonie, jest słabo oświetlone, dlatego daję swoim oczom chwilę, by przyzwyczyły się do półmroku. Jordyn, rudzielec, który pracuje tu większość nocy, podnosi wzrok znad nalewanego drinka. Uśmiecha się i puszcza mi oczko, po czym znowu koncentruje się na pracy.

Rząd zielonych lamp ciągnie się wzdłuż szklanej ściany za barem, z głośników leci piosenka Kings of Leon. To miejsce położone jest na uboczu i bardziej przypomina spelunę niż bar. Coś w sam raz dla mnie.

Biorę głęboki oddech, a moje płuca wypełnia ciepłe i gęste powietrze. Tych kilka kilometrów, które przebiegłem, zanim tu przyszedłem, naprawdę mnie wykończyło. Pokonywanie dziennie ośmio- czy dziesięciokilometrowego dystansu stało się zwyczajem po wielu latach treningów. Bieganie uspokaja mnie, pozwala moim myślom oderwać się od całego tego kurestwa, które dzień w dzień przewija się przez mój umysł. Zabiera mnie do lepszych czasów, gdy miałem przed sobą przyszłość. Gdy wszystko było możliwe.

W małym ceglany budynku rozlega się dźwięk zderzających się kul bilardowych. Połączony ze słonawym zapachem, dziwnie mnie uspokaja. Przechodzę między kolejnymi stałymi klientami i dostrzegam Willa, który stoi przy naszym stole w rogu. Jest tam trochę ciszej, poza tym mamy dobry dostęp do telewizora. Dodatkowo z tego miejsca nadal widzę drzwi i każdego, kto wchodzi do środka.

Will podnosi do ust butelkę lokalnego piwa, obejmując dziewczynę, której nigdy wcześniej nie widziałem. Adam i Dane, dwójka dzieciaków, które ciągle tu przebywają, stoją przy stole i parszczą śmiechem na coś, co powiedział Will. Kiwam im głową. Toleruję ich, ponieważ mamy ze sobą wiele wspólnego. Wiem to, nie dlatego że mi powiedzieli. Wiem, bo widzę to w ich oczach. Mają szacunek i naturalną zdolność

zrozumienia, kiedy trzeba zamknąć mordę.

Nie dowiadujesz się tego od niani. Uczysz się tego na ulicy. I nie jest to coś, czego uczą inni. Tego musisz nauczyć się sam. Wiesz, jak iść przez świat, którego większość ludzi nie zna, siedząc cicho, obserwując, słuchając i wiedząc, kto jest panem sytuacji.

- Siema, Crew. - Will uśmiecha się, a pijana blondynka całuje go po szyi, przesuwając językiem po jego jednodniowym zarostcie.
- Co tam? - Przyciągam krzesło i siadam na nim. Blondyna zerka w moją stronę, pieprząc mnie spojrzeniem spod rzęs.
- Cześć, Crew - mówi Adam, próbując mnie wyczuć.
- Oglądasz walkę Pampa-Reyes w ten weekend?

Wzruszam ramionami. Walki są moją pasją..., a raczej były. Czasami oglądałem je z zadowoleniem, a czasami ma to kurewsko słodko-gorzki posmak.

- Stawiam na Pampę - mówi Will i otwiera szeroko oczy przez coś, co blondynka robi mu pod stołem. Jest wielkim fanem zapasów i zawsze wie, co dzieje się w świecie zapaśników. W dawnych czasach Will czasami walczył u mojego i Gage'a boku. Nie był zły, ale miał rodziców, którzy go pilnowali. To trzymało go z dala od wielu kłopotów.
- Tak, zgadzam się - mówi Dane. - Pampie dobrze idzie w parterze. Jeśli powali Reyesa na matę, nie sądzę, by ten miał jakiegokolwiek szansę.
- Pampa nigdy nie dostanie szans walki na parterze. Reyes go znokautuje. - Wyciągam papierosa z paczki Willa i bawię się nim.
- Nawet jeśli nie, to Reyes *potrzebuje* tej wygranej bardziej. Ostatnie dwie przegrał.
- Reyes, he? - U boku Adama pojawia się chłopak, którego imienia nie

znam. - Obaj są do dupy. Którykolwiek wygra, będzie walczył z Davidsonem, a ten sukinsyn to bestia.

Will i Adam patrzą na mnie jednocześnie, czekając na moją reakcję.

- Wyluzuj, Slick - ostrzega Dane. - Jesteś o krok od wpieprzenia się po uszy w gówno, a nawet o tym nie wiesz.

- Kurewsko prawdziwe - śmieje się Will.

Slick, z czarnymi włosami postawionymi na żel i diamentowym kolczykiem w uchu, uśmiecha się, jakby zobaczył dwa pieprzące się ze sobą wieloryby. Ten głupek jest powodem, dla którego staram się unikać tłumów -zbyt wielu tam gnojków z prowokującymi gębami, których *nie jestem* w stanie tolerować.

Prawdopodobnie powinienem zostać w domu, ale musiałem znaleźć coś, co zajęłoby moje myśli. Zeszłej nocy śnił mi się Gage. Siedzieliśmy na plaży i patrzyliśmy na rozbijające się fale, a on powiedział mi, żebym wziął się w garść. Zaśmiałem się, bo było to coś, co brat zawsze mi mówił. Nabrał garść piachu i pozwolił mu przesypać się między palcami. Obserwowałem, jak drobiny spadają na stos leżących poniżej muszli.

- *Weź się w garść, braciszku. Czas, żebyś wydoroślał. Liczę na ciebie.*

Obudziłem się, zlany potem. Rzadko kiedy śnił mi się Gage, właściwie to prawie wcale. Ale w sposobie, w jaki to powiedział, w tonie jego głosu i intensywności spojrzenia było coś, co sprawiło, że czułem dziwny ucisk w brzuchu. Nie byłem w stanie się go pozbyć. Nie mogłem też pozbyć się jego głosu z głowy.

Patrę na Slicka. Uśmiecha się szeroko i zarzuca rękę na ramię Dane'a. Ten odsuwa się od niego i patrzy na mnie, zdenerwowany.

- Davidson? Jest zapaśnikiem? - Obracam papierosa w palcach, po czym rzucam go na stół.

Slick prycha.

- *Czy jest zapaśnikiem? Mówisz poważnie? Jest najgorszym sukinsynem, jakiego kiedykolwiek widziałem. On nie tylko wygrywa walki, on morduje. Mówią, że jest niepokonany, a ja w to wierzę.*

Przechylałam głowę, patrząc na niego, i śmieję się.

- Prawdopodobnie zechcesz zamknąć swoją ssawkę. - Will uśmiecha się znacząco.

- Ssawkę?

- No wiesz, ssawkę. Gębę. *Swój obciągacz do kutasów* - śmieje się Will.

- Nie proś ustami o coś, czego dupa nie zniesie.

- Koles, czy ty w ogóle wiesz, kto to jest? - wtrąca Adam, kręcąc głową.

- To Crew Gentry, stary. Jedyny człowiek, który może pokonać tego twojego „najgorszego sukinsyna”.

- Nie pierdol. Ty jesteś Crew Gentry? - śmieje się. - Myślałem, że będziesz większy.

- Teraz przyszedł czas na to, żeby Slick przestał pieprzyć i kupił Crew Gentry'emu piwo. - Uśmiecham się, a nieme ostrzeżenie czai się tuż pod powierzchnią.

Blednie.

- Hej! Cokolwiek Gentry by chciał, idzie na mój rachunek! - woła do Jordyn. Odwraca się i lustruje mnie wzrokiem. - Taa. Teraz to widzę. Wciąż jesteś solidnie zbudowany. Stary, wciąż nie wierzę, że nie zacząłeś walczyć pro...

- Tak, wiem - mówię, przerywając mu. Przechodziłem przez to niejednokrotnie, bijąc się z myślami, nie licząc nawet rozmów z trenerami, lekarzami czy przypadkowymi typami, którzy myśleli, że

wiedzą coś o walce. Nie potrzebuję słuchać jego bełkotu o tym, co poszło kurwa źle. To oczywiste, że ten gnojek nie wie nic o walkach, poza tym, jak dostawać po dupie.

- Chodźmy na drinka - mówi Dean do Slicka, czytając ze mnie jak mądry dzieciak ulicy, którym wiem, że jest. Czuje, co się stanie, jeśli Slick nie zamknie mordy. -No dawaj.

- Chcę porozmawiać z Crew. - Slick zaczyna przysuwać sobie krzesło do stolika, a ja odwracam wzrok.

- Zaufaj mi, stary - mówi Dean - nie chcesz. Chodź.

Wiem, że Slick mi się przygląda, ale nie podnoszę wzroku. Nie mam ochoty na pogaduszki. Cholera, nie mam nawet ochoty na bycie uprzejmym dla tego gościa. Dzieciak idzie pewnie do college'u z ligi bluszczowej, mamusia i tatuś płacą mu rachunki. Jest rozpieszczonym dupkiem, który myśli, że cokolwiek wie, a ja nie jestem zainteresowany byciem dla niego miłym.

- Miło było cię poznać — mówi Slick. Idzie za Adamem do wyjścia. Słyszę jeszcze, jak szepcze coś o legendzie, na co przewracam oczami.

- Myślałem, że się nie pokażesz - mówi Will, ściągając na siebie moją uwagę. Odwraca głowę od blondyny, ale ta chwytą go za twarz i odwraca z powrotem do siebie.

- Chcesz stąd wyjść? - pyta takim tonem, jakby zwracała się do dziecka.

- Gdzie się podziewałeś? - pyta mnie, ignorując dziewczynę.

- Hej. Chodźmy stąd. Nie słyszałeś mnie? Dlaczego nie odpowiadasz, misiu?

Will patrzy na nią kątem oka.

- Dawałem ci w ten sposób znać, że nasza rozmowa dobiegła końca.

Dziewczyna patrzy jak zamurowana.

- Mówisz poważnie?
- Dlaczego sobie nie pójdziesz? - Odsuwa się razem z krzesłem, jakby wcale nie trzymała ręki w jego spodniach.

Śmieję się z jego błazeństwa, co jest normalne w zachowaniu mojego kuzyna. Jeśli ta panienka myślała, że zaliczy Willa, bardzo się myliła.

- Dupek - mruczy. Wstaje i odchodzi, zostawiając za sobą zapach tanich perfum.

Przyjmuję zimną butelkę Sama Adamsa od Jordyn. Pyta, czy potrzebuję czegoś jeszcze, a ja się śmieję, bo wiem, co dokładnie ma na myśli. Ta dziewczyna obciąga jak gwiazda porno.

- Dam ci znać - mówię jej. Ściska moje ramię, po czym wraca do baru.
- Kim jest ta blondyna? - pytam Willa.

- Nie mam pojęcia. Usiadłem. Ona usiadła obok i złapała mnie za kutasa. Do tego nie potrzebowałem znajomości jej imienia, prawda? - Przeciąga palcami po swoich krótkich, brązowych włosach, oczy błyszczą mu z rozbawienia. Uśmiecha się szeroko, błyskając idealnie prostymi i białymi zębami.

- Gdzie się podziewałeś? Myślałem, że będziesz tu godzinę temu.
- Musiałem podrzucić kilka rzeczy do Julii.
- Mówiłem ci, że mogę to zrobić, kiedy tylko będziesz potrzebował - mówi z zarożumiałym uśmiechem.

- Nie jest typem kobiety, z którą poradziłby sobie ktoś, kto przesiaduje w obskurnym barze, pijąc lokalne piwo. A tak poza tym, jeśli kiedykolwiek chociaż się do niej odezwiesz, *zmasakruję* ci twarz.

- Człowieku, gdy pojechałem wczoraj po jej samochód, mało mnie nie wykastrowała. Była wkurwiona. Widziałem to, mimo uroczego uśmiechu na jej ustach.

- To właśnie Julia.

- Jak coś tak małego może być tak waleczne?

Czuję ukłucie w piersi, bo wiem dokładnie, jak to możliwe. Gdy zostajesz sam, a twój świat rozpada się na kawałki, zaczynasz walczyć.

Walczyć o życie.

Walczyć o przetrwanie.

Walczyć, by bronić tego, co ci zostało.

Znam to aż za dobrze.

JULIA

Wiatr wieje mocno, wywołując gęsią skórkę pod cienką kurtką, którą mam na sobie. Słońce znika za horyzontem, gdy wracamy do domu. Everleigh wskakuje do kałuży, ochlapując moje buty.

- Przestań, Ever - mówię, ciągnąc ją za rękę. - Nie mam na sobie kaloszy jak ty.

- Przepraszam, mamusiu - odpowiada, marszcząc nos.

Jest zbyt słodka, by się na nią złościć.

Trzymam ją mocno za rękę i ignoruję gwizdy idiotów stojących po drugiej stronie ulicy. Stopień przed naszym budynkiem został naprawiony. Krzywię się z nadzieją, że Crew nie wkurzył właściciela.

Znowu.

Zdejmuję z drzwi powiadomienie o zaległości i mocuję się z zamkiem, usiłując przekręcić klucz, żebyśmy mogły wejść do środka. Ever ściska mnie za rękę i wiem, że wyczuwa mój niepokój. Rano, zanim opuściłyśmy dom, przyszła do łazienki, żebym zaplotła jej warkocz. Płakałam. Zwaliłam to na alergię, a ona nie zadawała pytań, ale wiem, że mi nie uwierzyła. Nienawidziłam jej oszukiwać, ale nie mogłam jej powiedzieć, że to rocznica śmierci jej taty i że tęsknię za nim tak bardzo, że ledwo oddycham.

Zamek w końcu się przekręca, więc popycham drzwi i wpuszczam Everleigh do środka.

- Zabierz płaszcz i plecak do swojego pokoju, dobrze? A ja zacznę przygotowywać coś na obiad.

- Dobrze, mamusiu. Mogę trochę pokolorować?
- Oczywiście, dziecinko. Nie ma problemu.

Znika na końcu korytarza. Zdejmuję mokre buty i kieruję się do kuchni. Żałuję, że nie mam kieliszka wina, które pomogłoby mi się zrelaksować, ale wino nie mieściło się w budżecie. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy w ostatnim czasie miałam kilka dodatkowych dolarów, żeby wydać je na coś, co nie było nam niezbędne.

Na stół rzucam kartkę od właściciela, w której ten przypomina mi, że zalegam dwa dni z czynszem. Muszę do niego jutro zadzwonić i powiedzieć, że zapłacę w tym tygodniu. Staram się za dużo o tym nie myśleć; powiadomienia i zaległe rachunki są częścią nowego życia samotnej matki. I jeśli będę o tym za dużo myślała, biorąc pod uwagę resztę rzeczy, prawdopodobnie załamie się, a w tym momencie nie mogę sobie na to pozwolić.

Biorę z lodówki mięso wołowe i zaczynam przygotowywać spaghetti. Everleigh je kocha, więc mam nadzieję, że zje. Apetyt jej ostatnio nie dopisywał, co mnie martwi. I bez tego jest drobna. Nasza sąsiadka, Olivia, mówi, że je, gdy jest głodna, ale poczuje się lepiej, gdy jeszcze coś zje.

Staram się skupić uwagę na robieniu jedzenia, ale to trudne. Cały dzień usiłowałam zająć czymś myśli, wpaść w trans przy robieniu czegokolwiek, pogrywałam ze sobą w mentalne gierki, żeby tylko nie myśleć o tym, jaki jest dzisiaj dzień.

Pokrętko od starej kuchenki odpada i ląduje na środku patelni. Stoję i patrzę na to, zastanawiając się, jak, do cholery, się *tu* znalazłam.

Prycham, pamiętając *dokładnie*, jak się *tutaj* znalazłam...

- *Muszę jechać po Crew- powiedział Gage, potrząsając mnie lekko za ramię.*

Otworzyłam oczy, starając się wybudzić swój mózg ze snu.

- Crew? Co? Która jest godzina?
- Po drugiej. Zadzwoił do mnie z południowego Bostonu. Wdał się w bójkę, muszę odebrać go z komendy.
- Żartujesz sobie ze mnie.
- Chciałbym, kochanie. Niedługo wrócę.

Usiadłam, wciąż ledwo przytomna.

- Gage, Crew musi z tym skończyć. Wiem, że przechodzi teraz trudne chwile, ale nie może wciąż się tak zachowywać.
- Zgadza się z tym. Powiedziałem mu wczoraj, że czas dorosnąć. Wściekł się. Wiem, że cały jego plan na życie uległ zmianie przez ostatnie miesiące, ale ma szczęście, że nie skończył na wózka inwalidzkim. - Gage westchnął, ciężar zmartwienia o brata przytłaczał go. - Opamięta się. W końcu zda sobie sprawę, że dostał od życia drugą szansę. Jest silny i inteligentny. Po prostu potrzebuje więcej czasu, żeby wszystko wyprostować.
- Miał czas, Gage. Robi to za każdym razem, gdy jest ciężko. Ze mną, waszą mamą, a teraz z zapasami. Nie może tak po prostu robić tego, co tylko zachce, i zapominać, że jego czyny mają wpływ na innych ludzi!

Przesunął ręką po głowie.

- Jest moim bratem, Jules.

Wiedziałam, że i tak pojedzie i że nie mogę mu tego zabronić. Mimo wszystko to był Crew. I choć bardzo chciałam wytłuc z niego całe to gówno, na swój sposób go kochałam. Co nie zmieniało faktu, że próbowałam.

- Nie chcę, żebyś jechał. Drogi są w złym stanie. -Spojrzałam mu w

oczy, a na jego rękach, jak zwykle, były pozostałości po zaprawie murarskiej.

- Skarbie. - Głos ma miękki, oczy przejrzyste. Jego usta wyginają się w lekkim uśmiechu.

Pocałowałam go z myślą, że to ostatni pocałunek tej nocy.

Okazało się jednak, że całuję go po raz ostatni w życiu.

Dzwonek telefonu wyrywa mnie z zamyślenia. Od-chrząkuję i czuję, jak serce łomocze mi w piersi. Biorę głęboki oddech, wyciągam kurek z patelni i kładę go na papierowym ręczniku. Sprawdzam, kto dzwoni.

Crew.

Przekierowuję go na pocztę głosową i stawiam garnek z wodą na kuchence.

Gdy telefon dzwoni ponownie, nawet na niego nie patrzę. Pozwalam mu dzwonić, bo wiem, że to on, a nie jestem w stanie sobie z nim radzić. Nie dzisiaj.

Po śmierci Gage'a starałam się wymazać Crew z mojego życia. Patrzenie na niego, rozmawianie z nim, patrzenie mu w oczy, wszystko to było jak sypanie soli na rany, które i bez tego przysparzały cierpienia. Ale Crew robił, co chciał. To było dla niego typowe.

Doszło do tego, że zagroziłam mu zakazem zbliżania się, żeby tylko dał mi spokój. Nieważne, jak bardzo krzyczałam, płakałam czy błagałam - nie ustępował.

Część mnie docenia jego pomoc. W tak niestabilnym życiu, nieważne jak bardzo jest to frustrujące, w pewien sposób przynosi mi to spokój. To, że Ever i ja nie jesteśmy same. Choć przewracam oczami i zgrywam urażoną, mała część mnie wzdycha z ulgą, gdy puka do drzwi.

Ale nigdy nie może się o tym dowiedzieć.

Ostatecznie to jego wina, że zostałam wdową. To on nie potrafił zapanować nad swoim życiem, przez co jego brat - a mój mąż - zginął. To on jest powodem, przez który nasze życia zostały wywrócone do góry nogami, i nie zasłużył na lekkie traktowanie.

Co więcej, oboje wiedzieliśmy, że nadejdzie taki moment, gdy odejdzie. Jeśli jest coś, co Crew Gentry robi dobrze, to właśnie to. Jego sposobem na wszystko jest odejście, gdy tylko robi się ciężko albo coś innego zainteresuje go bardziej.

Ta myśl ciąży mi w głowie. Chcę, żeby Ever miała z nim kontakt; kocha go całym sercem. Ale przeraża mnie to, że któregoś dnia ją zawiedzie, a ja będę patrzeć, jak pęka jej serce. Znam ten ból.

- Tak?- Jego głos owija się wokół mnie przez słuchawkę, głęboki tembr sprawia, że się relaksuję. Tak bardzo potrzebowałam usłyszeć jego głos, ale nie miałam możliwości się z nim wcześniej skontaktować.

- Crew! Nareszcie! Jak się masz?

- Cześć, Jules. - Słyszę jego uśmiech. Opadam na łóżko, ignorując wrzaski ojca dobiegające z drugiego pokoju.

- *Jak się masz? - pytam ponownie. - Jak zapasy? Jak Minnesota?*

Na linii pojawiają się zakłócenia, ale słyszę, jak odchrząkuje.

- *W porządku. Naprawdę świetnie. Życie tutaj jest zupełnie inne. Cały czas coś się dzieje.*

- *Nie wątpię. Tak bardzo za tobą tęsknię.*

- *Ja też tęsknię. Jak się mają sprawy u ciebie?*

- *Dobrze. W szkole wszystko w porządku. Każdego dnia pociesza mnie myśl, że to mój ostatni rok, po którym w końcu będę mogła być z tobą.*

Poza tym każdy dzień zbliża nas do przerwy świątecznej, kiedy wrócisz do domu. Zostały trzy tygodnie. Tak długo cię nie widziałam. - Po drugiej stronie zapada cisza, a mnie zalewa dziwne przecucie.

- *Naprawdę nie mogę się doczekać, aż cię zobaczę, Crew.*

Crew bierze głęboki oddech.

- *Posłuchaj, Jules. Wiem, że miałem wrócić do domu, ale nie sądzę, że się uda. Tutaj tak wiele się dzieje i nie byłbym w stanie zostać w domu dłużej niż kilka dni...*

Chwytam słoik z sosem do makaronu i skupiam się na obiedzie. Podskakuję na dźwięk dobijania się do drzwi. Podchodzę do zasłony i wyglądam na zewnątrz. Nie jestem ani trochę zaskoczona tym, co widzę. A raczej kogo.

Ręce wciska do przednich kieszeni spodni, kurtę Carhartta ma rozpiętą. Jego tors opina biała koszulka termiczna. Ramiona ma zgarbione, a spojrzenie skupione na uważnym obserwowaniu otoczenia.

Z ciężkim westchnieniem odblokowuję zamek i otwieram drzwi.

- Czego? - pytam z ręką opartą na biodrze.

Minę ma poważną, w oczach czai się wahanie. Wiem, że ten dzień jest dla niego ciężki tak samo, jak dla mnie, ale powinien być. To z jego powodu teraz jesteśmy nieszczęśliwi. I choć bardzo chcę zatrasnąć mu drzwi przed nosem, *nie* robię tego.

- Mogę wejść? - Ręce wciska głębiej do kieszeni.

- Po co?

Patrzy na mnie i nie przerywa kontaktu wzrokowego. Czuję, jak pali mnie w gardle. Przewracam oczami, żeby nie widział, że przez chwilę mu współczułam, i kieruję się do kuchni. Zostawiam otwarte drzwi. Gdy

słyszę, że się zamykają, nie oglądam się za siebie i nie wiem, czy wszedł za mną, czy odpuścił. Nie wiem, co bym wołała.

Podchodzę do kuchenki i odcedzam makaron.

- Wszystko w porządku?

Wzruszam ramionami, nadal stojąc do niego plecami.

- A powinno?

Słyszę, jak odsuwa krzesło i siada na nim. Towarzyszy temu dźwięczenie monet w jego kieszeni.

- Po prostu... chciałem sprawdzić, jak się dzisiaj trzymasz.

- Cóż, nic mi nie jest. Robię obiad, zresztą sam widzisz.

- Nie słyszałaś, że dzwoniłem?

- Słyszałam.

- Dlaczego nie odebrałaś?

Odkładam łyżkę i na chwilę zamykam oczy. Unikałam tej rozmowy jak zarazy, nie chciałam o niej myśleć, nie chciałam, żeby do niej doszło. Jestem w takim położeniu przez niego. A tu proszę, jest tutaj, nie domyślając się niczego, przychodzi, choć celowo nie odbierałam telefonów od niego. I jeszcze zmusza mnie do rozmowy. Pieprzyć go.

- Bo tak naprawdę nie mam ci nic do powiedzenia, Crew. Minął kolejny rok bez Gage'a. Dziękuję ci za to.

Wbijają wzrok w podłogę, a ja w jednej chwili czuję się okropnie. Zamyka oczy, krzywiąc się na moje słowa, wypełnione taką ilością jadu, że uderzają go z pełną mocą. Każdego innego dnia rzuciłby jakąś ripostą. Uśmiechnąłby się zarozumiale, powiedział coś i wyszedł. Ale to nie jest każdy inny dzień.

- Crew...
- Nie, Jules. Nie przeprasza.
- Nie powinnam była tego mówić.
- Powiedziałem, żebyś nie przepraszała. - Obserwuje mnie uważnie, w jego spojrzeniu czai się mrok. Przepraszał mnie tak wiele razy, a ja tych przeprosin nie przyjąłem. Teraz on nie przyjmuje moich. Nie wiem, co robić, więc odwracam się w stronę kuchenki. Szarpię się z kurkiem i usiłuję wcisnąć go na miejsce, ale czuję na sobie jego spojrzenie.
- Pamiętasz, jak namówiłem go na surfowanie czwartego lipca? - Mówi cicho, i gdybym nie wyczekiwała na jakiekolwiek jego słowa, nie usłyszałabym go. - A on zarzekał się, że wokół jego deski pływa rekin?

Kiwam głową. Pamiętam ten dzień. Gage stał na desce, krzycząc na Crew, żeby wyszedł z wody. Crew siedział i się śmiał, a potem podpłynął do Gage'a i wrócili na brzeg razem. Później rozpaliliśmy ognisko na plaży. Opowiadaliśmy sobie historie przy pieczonych piangkach, dopóki na nowo nie wzeszło słońce.

Czuję napływające do oczu łzy, dlatego mrugam szybko, żeby je powstrzymać.

- Cholera, Julia. Tak bardzo cię przepraszam. Gdybym mógł zamienić się z nim miejscami, zrobiłbym to.

Odwracam się i patrzę na niego. Obserwuje mnie, a ten sam ból, który zabija mnie od środka, jest wypisany na całej jego twarzy. To wystarczy, żeby gorące łzy spłynęły po moich policzkach.

Wpatrujemy się w siebie, a na jego twarzy coś się pojawia. Wydaje mi się, że to spojrzenie oznacza, że podjął jakąś decyzję. Jedyne, czego jestem pewna, to tego, że zbliża się do mnie po raz pierwszy od pogrzebu.

Wstaje i robi w moją stronę kilka kroków.

- Chodź tutaj - mówi i przyciąga mnie do siebie. Natychmiast sztywnieję, zaskoczona nie tyle kontaktem fizycznym, ile samym gestem. Gdy uderzam policzkiem w jego pierś, odzyskuję rozum.

- Nie - mówię, usiłując go odepchnąć. - Nie dotykaj mnie.

Głos mnie zdradza i załamuje się. Jego koszulka, którą mam przed twarzą, jest zamazaną plamą, łyzy wszystko rozmywają. Opieram obie dłonie na jego piersi i staram się go z całych sił odepchnąć.

- Odsuń się, Crew.

Nie odpowiada. Zamiast tego obejmuje mnie ramionami i przyciska do siebie tak mocno, że nie jestem w stanie się uwolnić.

- Crew! - mówię, gdy wszystko we mnie eksploduje. Usiłuję się odsunąć, uderzając pięściami w jego boki. - Przestań!

Brzmi to bardziej jak prośba niż rozkaz, słowa przerywane są szlochami. Muszę się odsunąć. Wiem to. Ale tak dobrze jest być przez kogoś pocieszanym, mieć kogoś, na kim można się oprzeć. Poza tym nie mogę się odsunąć. Tak dobrze jest choć raz nie myśleć o tym, czy powinnam pozwolić mu być dla mnie miłym, czy nie.

Crew od śmierci Gage'a ani razu nie przekroczył granicy między nami i nie wiem, co się zmieniło. Dziwnie jest czuć wokół siebie jego ramiona, ale jednocześnie jest to tak znajome. Nie mogę zmusić się, by go odepchnąć, chociaż głos w głowie mówi mi, że bym to zrobiła. Mam taki mętlik w głowie, że nie jestem w stanie trzeźwo myśleć.

Kładę głowę na szorstkim materiale jego kurtki i poddaję się łzom, z którymi cały dzień walczyłam. Staram się je powstrzymać, staram się nie rozpaść. Wiedziałam, że to się stanie, ale myślałam, że w wannie, po tym, jak położę Everleigh spać. Załamanie się przy Crew sprawia, że czuję się gorzej.

Stoimy tak, na środku kuchni, razem przeżywając stratę kogoś, kogo kochaliśmy. Przez chwilę nie obwiniam go i nie myślę o tym, co by było gdyby. Po prostu pozwalam sobie na rozpacz z jedyną żywą osobą, która czuje to samo, co ja.

Pozwalam mu trzymać się w ramionach i wyrzucam z siebie falę emocji. Przytula mnie mocno, nic nie mówiąc, i głaszcze po plecach dłonią pokrytą odciskami.

W końcu potok łez się kończy i pociągam nosem, po czym ocieram oczy i odsuwam się od niego.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, gdy do kuchni wpada Everleigh i rzuca się na niego. Robię krok w tył, a on pochyla się i przytula ją, wciąż na mnie patrząc, gdy mała zaczyna paplać o tym, co robiła. Wykorzystuję tę okazję, chwytam chusteczkę i osuszam twarz, zanim moja córka mnie taką zobaczy.

- Zostajesz na obiad, wujku Crew? - pyta Ever, bawiąc się suwakiem kurtki Crew. - Mama robi spaghetti. A ona robi dobre spaghetti!

Nie okazuję żadnych uczuć, bo nie wiem, czego chcę. Z jednej strony chciałabym, żeby wyszedł, bo chcę cierpieć w samotności. Chcę, żeby dał mi przestrzeń, której potrzebuję, by tęsknić za mężem.

Natomiast z drugiej chcę, żeby został, żeby przy stole zasiadła kolejna osoba. By rozproszyć niechciane myśli, dla Ever... i może dla mnie.

Crew całuje Everleigh w głowę i wstaje, odchrząkując. Bruzdy na jego twarzy pogłębiają się, gdy powoli przenosi wzrok na moją córkę.

- Nie, małpeczko. Teraz muszę iść do domu.
- Nie... hmm... wiesz... Jeśli chcesz zostać na obiad, to zostań.
- Juhu! - krzyczy Everleigh, tańcząc z radości.

Na jego twarzy maluje się zaskoczenie. Nigdy nie zaprosiłam go na obiad. Już od bardzo dawna nie byłam dla niego nawet miła. Nie wiem, dlaczego to robię. Może nie jestem w stanie się w tej chwili bronić.

Może czas zaczyna goić rany.

Nie jestem pewna, ale nie mam na tyle sił, żeby o tym myśleć.

- Usiądź koło mnie! - mówi Ever, ciągnąc go za rękę. - Proszę! Może mama zrobi specjalną lemoniadę pomarańczową! Dostaję ją tylko na specjalne okazje, ale jak tu jesteś, to to jest specjalna okazja. Prawda, mamusiu?

Patrzy na mnie i wręcz promienieje. Spoglądam szybko na Crew i wydaje mi się, że wciska coś w rękę Ever.

Zmusza się, by przełknąć ślinę, a jego jabłko Adama podskakuje. W jego oczach czai się ciemność i posyła mi pusty uśmiech.

- Przykro mi, małpeczko. Nie mogę dzisiaj zostać. Może innym razem.

Sięga po upomnienie leżące na stole i wkłada je do kieszeni.

- Crew... - zaczynam, ale ucisza mnie spojrzeniem, którego nie rozumiem. Kręci głową i wychodzi tak szybko, jak przyszedł.

4

CREW

Musiłem się stamtąd wydostać.

W mojej głowie panuje pieprzony bajzel i wiem z doświadczenia, że nie jest to problem, który rozwiążę alkoholem. Nie jestem pewien, czy bieganie pomoże, ale jest to zdrowsza alternatywa.

Zostawienie ich dzisiaj było trudniejsze niż normalnie. Zwykle po prostu wychodziłem i robiłem swoje. Dawałem radę odciąć się od nich i skupić na tym, co miałem przed sobą. Ale nie dzisiaj. Dzisiejszy dzień niesie ze sobą tyle wspomnień, wyrzeczeń i mnóstwa „co by było, gdyby”, że jest niemal nie do zniesienia. To, jak na mnie spojrzała, jakbym był złodziejem, który ukradł jej świat, załamało mnie.

Ruszam chodnikiem, zarzucając kaptur na głowę. Rozluźniam ramiona, kręcąc nimi, a stopy łapią rytm.

Zimne powietrze atakuje moje płuca. Wybieram obiekt w oddali i biegnę w jego stronę.

Prę do przodu, czekając na pustkę, którą zwykle czuję w takiej chwili. Ale ta nie nadchodzi. Przyspieszam, przez co trucizna szybciej płynie przez moje żyły. Rozkoszuję się tym. Ból fizyczny powinien zablokować każdy inny.

Skupiam się na oddechu - *wdech, wydech* - i skręcam w stronę parku.

- Minął kolejny rok bez Gage'a. Dziękuję ci za to.

Choć nienawidzę, gdy tak mówi, ma rację. Gage rozbił się samochodem dokładnie dwa lata temu na oblodzonym moście z mojej winy. Zachlałem się po tym prawie na śmierć, płakałem niezliczoną ilość razy,

staralem się uciec od poczucia winy na każdy możliwy sposób. Pieprzyłem dziwki, tłukłem worek treningowy, przebiegłem tyle kilometrów, że gdyby je zliczyć, starczyłoby na okrążenie całej planety. Ale to nic nie zmieniło.

Schrzaniłem to. Moje życie wygląda tak przeze mnie. Nikogo innego.

Utrata Gage'a, zwłaszcza w taki sposób, była gwałtowną pobudką. Trochę za późno, w to nie wątpiłem, ale wtedy zdałem sobie sprawę, że muszę się zmienić. Tak, mogłem być wściekły na to, że straciłem wszystko, co miało dla mnie znaczenie: dziewczynę, która związała się z moim bratem, mamę, która zachorowała na raka, karierę przez pieprzony uraz szyi, który zafundował mi pewien skurwiol, a także brata, bo nie potrafiłem zapanować nad emocjami. Musiałem przestać wykorzystywać te rzeczy jako wymówki; musiałem przestać wszystko pogarszać... i musiałem postarać się naprawić spawy z tą jedną osobą, która odczuła na sobie każdy z moich błędów.

Często się zastanawiam, jak wyglądałoby jej życie, gdyby mnie wtedy nie poznała albo gdyby to Gage pierwszy do niej podszedł. Zastanawiam się, czy byłaby szczęśliwa.

Robię wydech i skręcam. Nigdy nie poznam odpowiedzi na te pytania, ale wiem, że muszę się upewnić, że aż tak bardzo nie spieprzyłem jej życia. Jestem to winien jej. Gage'owi. Ever. Sobie.

Kolejne kroki przychodzą łatwiej. Oddech reguluje się i czuję, że ciało wpada w rytm. Gdyby tylko mój umysł się dopasował, byłoby idealnie.

Ale nie jest.

Chłód powietrza przypomina mi wczesne lato w Minnesocie. Wracam pamięcią do dni na tamtejszym uniwersytecie, gdy zapasy były moim życiem. Pobudka, trening, kilka lekcji, trening, potem może jakaś panienka na kilka godzin. Powtórka.

Był to najbardziej szalony czas w moim życiu, tak wiele wtedy się

zmieniło w tak krótkim czasie. W jednej chwili byłem biednym dzieciakiem z Dorchester, w następnej uczelnianym mistrzem. Dzieciak, którego przeznaczeniem była praca w dokach, miał stać się „kimś wielkim” w MMA.

Tamto życie było nierealne i ekscytujące. Przebudziłem się dopiero w marcu na pierwszym roku i zdałem sobie sprawę, że od lata prawie nie miałem kontaktu z nikim z Bostonu. Wskoczyłem do samolotu i wróciłem do domu, gdzie zastałem coś więcej, niż się spodziewałem.

- Crew, posłuchaj, ja nie chciałem, żeby to się stało.

Stałem w progu sypialni Gage'a, zastanawiając się, o co, kurwa, chodzi. Mój brat z moją dziewczyną.

Jej ciemne włosy leżały na jego kolanach, uśmiechała się do Gage'a. Nigdy nie czułem się tak rozdarty, wściekły i załamany jednocześnie.

- Nie wierzę w to, co tu, kurwa, widzę. - Zrobiłem krok w tył, żeby powstrzymać się przed rozszarpaniem brata na strzępy z myślą, że może jest na to jakieś logiczne wyjaśnienie. Modliłem się do Boga, żeby udało się to łatwo rozwiązać i żeby nie okazało się, że widzę coś, o czym myślę, że tym jest.

-Jej rodzice zachlali kilka miesięcy temu mordy i zadzwoniła do mnie, roztrzęsiona...

- Nie tknęli jej, prawda? - Natychmiast poczułem ucisk w żołądku. Zabiłbym tych posranych skurwieli, gdyby ją skrzywdzili. Spojrzałem na Jules, siedzącą na jego łóżku z szeroko otwartymi oczami. — Skrzywdzili cię?

- Nic jej się nie stało, ale musiała się stamtąd wydostać - powiedział Gage, obserwując, jak zaczynają puszczać mi nerwy.

- I co? Uznałeś, że zerzniesz ją na pocieszenie? -ryknąłem.

- Crew... - zaszlochala. Ukryła twarz w dłoniach, a mnie od razu rozbolał żołądek.

- No weź, Crew- westchnął Gage. - Nie zachowuj się w ten sposób.

Spojrzałem na niego, jakby był psycholem. Jakim cudem był w stanie zdobyć się na spokój, mówiąc mi „Nie zachowuj się w ten sposób”? Po tym, jak zobaczyłem go ze swoją dziewczyną? Pieprzyć to.

- Wydzwaniałam do ciebie miesiącami/ - krzyknęła. - Nigdy nie odbierałeś, a gdy już to zrobiłeś, miałeś może pięć minut na rozmowę ze mną. Przestałam sobie tym zawracać głowę bardzo dawno. Kilka miesięcy temu, Crew. Nie zdawałeś sobie z tego sprawy? Skąd mogłam wiedzieć, że w ogóle ci zależy?

Gage objął ją ramionami, a ja chciałem rzucić nim przez cały pieprzony pokój. Brat czy nie, widok mojej dziewczyny dotykającej kogoś innego był nie do zniesienia.

- Co mieliśmy zrobić? Siedzieć i czekać, aż zaszczycisz nas swoją obecnością? Miałem zapytać jej ojca, czy mógłby poczekać z biciem jej do czasu, aż odbierzesz telefon?- zapytał Gage.

- Nie!- krzyknęłam, patrząc na niego. - Po prostu...

Gage wstał i wyprostował się, eksponując te osiem centymetrów wzrostu przewagi, jakie miał nade mną.

- Co chciałeś, żebyśmy zrobili?

- Cóż, pieprzenia mojej dziewczyny nie było na liście, dupku.

- To nie tak, że postanowiliśmy być razem. To się po prostu stało.

- Co? Potknąłeś się, a twój kutas przypadkiem w niej wylądował?

- Crew!- Julia otwiera usta, zszokowana.

- *Nie planowaliśmy tego - westchnął Gage. - Zabrałem ją tutaj tamtej nocy, a ona bała się wrócić do domu. Do kurwy nędzy, Gage, wcześniej tyle razy tu zostawała...*
- *Ze mną!- Zrobiłem krok w jego stronę, w środku aż się gotowałem.*
- *Crew! Przestań! - powiedziała Julia, zrywając się z łóżka.*
- *Po prostu przestań! Jesteście braćmi. Nie stanę między wami. To moja wina...*
- *Nie, to nie twoja wina - powiedział Gage. - Nie planowaliśmy wiązać się ze sobą.*
- *Powtarzasz się.*
- *Więc pozwól mi, kurwa, mówić, to nie będę musiał się powtarzać. Ruszyłeś do przodu. Wyrwałeś się stąd i robiłeś swoje, a nawet nie raczyłeś zadzwonić, wysłać jebanego listu, nie dawałeś nikomu znać, co się z tobą dzieje. Ale oczekiwałeś, że ona będzie tu siedzieć i czekać na ciebie, aż się zjawisz? - Przeczesał palcami włosy. - Miałem ci powiedzieć, zanim wrócisz do domu, ale nie wiedziałem, że się zjawisz.*
- *To miała być niespodzianka - prychnął. - Niespodziewanie to mi zrobiono pieprzoną niespodziankę. Ironia losu.*
- *Julia rusza przed siebie, Crew. Nie jest fair prosić ją, żeby tego nie robiła. A jeśli nie podoba ci się fakt, że jest ze mną, jakoś to ogarnę. Jesteśmy braćmi. - Zgarbił ramiona. - Ale kocham ją. Potrzebuje kogoś, kto ją ochroni, kto da jej cały świat. Ta dziewczyna na to zasługuje i - na Boga - chcę spróbować jej to dać.*

Wbiegam do parku i padam na ziemię, robiąc serię pompek.

Im więcej o tym myślę, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że miał rację. Nie mógłbym dać jej tego wszystkiego. Nie chciałem jej tego wszystkiego dać. Może przez chwilę, ale wtedy już nie. W moim życiu

działo się tyle rzeczy, że nie miałem czasu myśleć o ustatkowaniu się i dbaniu o kogoś innego.

Ale kochałem Julię. I gdy minęła mi złość po tym, jak zobaczyłem ją z kimś innym, z moim pieprzonym bratem, zdałem sobie sprawę z czegoś jeszcze - był jedynym, z którym chciałem, żeby się związała. Znałem Gage'a. Wiedziałem, że był jedynym facetem, który jest wystarczająco dla niej dobry. Był lojalny i zrobiłby wszystko, co jej obiecał. Wiedziałem to, bo dla mnie był taki sam.

Dorastanie w Dorchester i przebywanie na tamtejszych ulicach było ciężkie. Z mamą pracującą na dwie zmiany, Gage i ja szybko nauczyliśmy się walczyć. Chodziło o przetrwanie najsprytniejszych, a my zawsze się kryliśmy. Nigdy mnie nie zawiódł, nieważne, w jakie bagno się wpakowałem.

A dużo tego było.

W pewnym momencie do gustu przypadły mi walki, dzięki nim czułem się żywy. Byłem w tym dobry i ta umiejętność dawała mi respekt na ulicy. Gdyby trener D'Amato nie przerwał jednej z moich bójek na parkingu Shaw's Supermarket, gdy miałem czternaście lat, i nie pokazał mi zapasów, Bóg wie, co by się stało.

Gage był z natury bardziej pokojowy. Unikał sytuacji, o których wiedział, że skończą się walką, i starał się wszystkich uszczęśliwić. Mój brat byłby w stanie powalić najsilniejszych - miał jeden z najlepszych prawych prostych, jakie widziałem - ale jego walki nie ekscytowały tak, jak mnie. Bił się, gdy zachodziła taka potrzeba, ale starał się trzymać z dala od kłopotów.

Kłopoty lubiły mnie.

A stres z tym związany prawdopodobnie dobił moją mamę.

I zdecydowanie zabił mojego brata.

Przebiegam ostatnie metry do domu, czując palenie w płucach i ciężkość w nogach. To niesamowity sposób na odwrócenie uwagi od bólu psychicznego.

JULIA

Owijam się szczelniej swetrem i podnoszę pióro. Słyszę głośne rozmowy ludzi na zewnątrz. Ich muzyka gra zdecydowanie za głośno, jak na tę porę.

Po raz ostatni robię obliczenia. Rano zapłacę czynsz za następny miesiąc i wpłacę chociaż trochę na kartę kredytową. W ten sposób zostanie mi minimalna ilość gotówki na zakupy, jeżeli będę bardzo ostrożna.

Wypisuję czek na czynsz, a potem wszystko rozmazuje się za ścianą łez.

Nienawidzę tego uczucia.

Gardzę tym, że muszę się martwić, jak wykarmię dziecko. Nienawidzę gry w „na co mogę sobie pozwolić w tym tygodniu?”. Nienawidzę nadziei, że Crew pojawi się z pomocą, bo nie chcę jej potrzebować. Nie chcę na nikim polegać, a już w szczególności na *nim*.

Łzy płyną po mojej twarzy, a ja walczę, żeby całkiem się nie załamać. Jestem zmęczona. Wykończona w każdy możliwy sposób, nawet taki, jakiego jeszcze kilka lat temu nie znałam.

Gdy poślubiłam Gage'a, nie mieliśmy zbyt wiele, ale zawsze dopilnowywał tego, żebyśmy mieli *wystarczająco*. Był inteligentny i potrafił ciężko pracować. Ja zarabiałam, dopóki nie pojawiła się Ever, a potem Gage nie chciał, żebym wracała do pracy, więc sam dorabiał nocami.

A potem umarł.

Jego utrata była w każdy możliwy sposób miazdząca.

Nie tylko straciłam najlepszego przyjaciela i najlepszego człowieka, jakiego kiedykolwiek poznałam, ale też zmieniło się moje życie. Nasze oszczędności pokryły koszty pogrzebu, który i tak nie był pochówkiem, ja-kiego dla niego chciałam. Zasługiwał na wiele więcej, niż byłam w stanie mu dać. On ofiarował mi świat, a ja w zamian małą kamienną płytę nagrobną z napisem „Kochający mąż i ojciec”. I chociaż to prawda, jest to jak policzek w jego twarz. To, że coś tak prostego podsumowuje osobę, która była kimś o wiele ważniejszym.

Wracam myślami do naszego domu w Cambridge i przytulnego życia, jakie tam wiedliśmy. Do obiadów, które przygotowywałam, i tego, jak wracał z pracy i każdego dnia całował mnie tak, jakby nigdy wcześniej mnie nie całował.

Muzyka na zewnątrz przebija się przez kuchenne drzwi, wulgarny tekst wyrywa z zamyślenia. Rozglądam się po pomieszczeniu. Farba nad umywalką zaczyna odpryskiwać, a tapeta w kącie odstaje. Rzeczywistość uderza we mnie niczym fala przyływu, zalewając mnie taką rozpaczą, jakiej dawno nie czułam.

Moje spojrzenie przykuwa koperta z niebieskim napisem, ukryta pod kolejnym kawałkiem papieru. Wyciągam ją i znajduję rachunek za telefon.

Pozwalam mojej głowie opaść, gdy sprawdzam termin płatności.

W przyszłym tygodniu opłacam gaz czy robię zakupy?

Opieram głowę o kant stołu, pozwalając łzom spadać na podłogę. Czuję się, jakbym zawiodła w każdy możliwy sposób. Pracuję najciężej, jak potrafię. I po co? Żeby ledwo wiązać koniec z końcem? Gdyby chodziło tylko o mnie, to co innego. Ale nie. Muszę zatroszczyć się o Ever, muszę być dla niej wzorem. Czego ja ją uczę o życiu? Że musisz się uśmiechać i sobie radzić? Bo na pewno nie pokazuję jej, jak cokolwiek osiągnąć. Nie pokazuję jej, czym jest rodzina. Nie daję jej tradycji, których pragnę. Tego pełnego, ciepłego rodzinnego życia, jakie wymarzyłam dla swojego dziecka. Życia, jakiego ja nie miałam.

Jestem zmęczona walką. To byłoby takie cudowne uczucie, odpuścić. Poddać się i płakać, wywiesić białą flagę. Bo jaki to ma wszystko sens bez Gage'a?

I wtedy widzę ją w zielonej piżamce z Dzwoneczkiem, tulącą w ramionach zniszczoną pluszową małą. Patrzy szeroko otwartymi oczami, jak się rozpadam, włosy ma w nieładzie.

- Mamusiu? Wszystko dobrze?

Wycieram oczy, starając się pozbyć jakichkolwiek oznak tego, że płakałam. Czuję się winna za samo myślenie o tym, co wkradło się do mojego umysłu.

Jest najlepszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała. Czy będzie ciężko, czy nie, nie przestanę walczyć.

- Tak, kochanie. Chodź tutaj - pociągam nosem.

Podchodzi i wtula twarz w mój bok.

- Dlaczego jesteś smutna?

- Nie jestem smutna, tylko zmęczona. Dlaczego nie śpisz?

Odgarniam włosy z jej czoła i wydaje mi się, że jest za ciepło.

- Brzuszek mnie boli.

Patrzę na rachunki leżące na stole i wzdycham.

- Chodźmy do łóżka, a rano zobaczymy, jak będziesz się czuć, dobrze?

- Chciałabym, żeby tatuś tu był - mówi cicho. - Albo wujek Crew.

Jedyne, co mogę zrobić, to pokiwać głową.

5

JULIA

Wczesne wieczorne słońce przebija się przez zasłony. Rozsuwam je, a salon zalewa światło. Słońce zawsze sprawia, że wszystko wygląda lepiej, ale dzisiejszy dzień i tak był dobry. Ever została uczniem tygodnia i wróciła do domu z mnóstwem historii ze szkoły. Znalazłam nowe stanowisko, które utworzono w pracy. Jestem na dobrej pozycji, by ubiegać się o nie, dlatego przyniosłam do domu dokumenty, żeby się z nimi zapoznać. Miałabym więcej pieniędzy i dodatków, które zdecydowanie by się przydały.

- Mamusiu? - pyta zza moich pleców Ever. - Możemy iść do parku? Proszę?

Chcę już odmówić, ale przypominam sobie, że przez większość tygodnia mam nocne zmiany w U Ficht.

- Wiesz co, kochanie? To świetny pomysł.

- Tak! - piszczy, podskakując.

- Idź po kalosze i kurtkę.

Zabieram ze stołu w kuchni czek za czynsz, który wypisałam wczoraj, i spotykam się ze swoją córką przy drzwiach wejściowych. Wychodzimy na zewnątrz i kierujemy się w stronę parku.

- Popatrz na czerwonego ptaka! - mówi Ever, wskazując na koronę drzewa. - Pani Bennett mówi, że to gość z nieba! Jestem pewna, że to tata albo Karmelek!

Śmieję się.

- Możliwe. Albo jest to oznaka wiosny. Każda z tych rzeczy jest dobra,

prawda?

Ignoruje mnie, a gdy skręcamy, odwraca głowę w stronę ptaka.

Mój dobry humor natychmiast znika na widok ciemnoniebieskiego forda F-150 zaparkowanego obok biura naszego kompleksu apartamentowego.

Warczę cicho i przyspieszam, starając się nie ciągnąć za sobą Ever. Im bliżej jesteśmy, tym bardziej się wściekam.

Jesteśmy prawie na miejscu, gdy z budynku wychodzi Crew, z opuszczoną głową i rękami wciśniętymi do kieszeni dżinsów. Ma na sobie szarą termiczną koszulę i bordową czapkę ze złotym „M”, wciśniętą nisko na czoło.

- Wujek Crew! - piszczy Ever, po czym puszcza moją rękę i biegnie do niego.

Crew podnosi głowę do góry. Krzywi się na mój widok, a potem przenosi wzrok na moją córkę. Klęka na jedno kolano, gdy mała wpada w jego ramiona, a gdy przytula się do niego, na jego ustach pojawia się uśmiech.

- Miło cię tu widzieć - mówię beznamiętnie, gdy do nich docieram.

- Ta - odpowiada równie chłodno. - Tak myślałem, że was tu spotkam.

- Poważnie, Crew. Co tu robisz?

Ever patrzy to na mnie, to na niego, i chwytą Crew za rękę.

- A jak sądzisz?

- Mam pieniądze za czynsz, więc lepiej, żeby to nie było to, o czym myślę.

- Nie ma potrzeby. Czynsz jest opłacony.

- Ugh. Nie musiałeś tego robić. Po prostu... Idź i zabierz te pieniądze. Ja mam czek.

Ever ciągnie Crew za rękę, ale patrzy na mnie.

- Coś nie tak, mamusiu?

Crew bierze ją na rękę i sadza sobie na barana. Ever patrzy na mnie z góry, jej niebieskie oczy błyszczą.

- Mamusia jest po prostu uparta, Ever. Nie martw się. -Nie odrywa ode mnie wzroku, minę ma beznamiętną.

- Cholera, Crew - szepczę tak, żeby tylko on mnie usłyszał.

- Nie, nie jest - mówi Ever. - Zabiera mnie do parku. Idziesz z nami?

- Wujek Crew nie chce iść z nami do parku. Ma inne rzeczy do roboty, dziecinko. - Wyciągam po nią rękę. -Chodźmy.

- Nie - wydyma wargi, odsuwając się. - Chcę, żeby wujek Crew też poszedł. Nie bądź taka uparta, mamusiu.

- Ever... - ostrzegam ją, ale Crew mi przerywa.

- Ach, małpeczko. Nie powinienem był tego mówić. - Obserwuje mnie, teraz jego oczy też błyszczą. To zawsze go bawiło. - Mamusia po prostu robi wszystko, żebym się nie nudził.

Wpatruję się w niego, a on parska śmiechem.

- Na przykład co? - pyta Everleigh, zdezorientowana.

- Na przykład nie daje mi kartek, które znajduje.

- Oczywiście, że chcę tu być. Nie rozumiem tylko, dlaczego ty chcesz.

Przeciąga zębami po dolnej wardze. Odwraca głowę w moją stronę.

Mruży oczy i wiem, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- Czas, żebym dorósł.

Powstrzymuję się od śmiechu.

- Naprawdę? Po prostu obudziłeś się rano i pomyślałeś: Hm, może zabiorę dzisiaj swoją bratanicę do parku?

- Coś w tym stylu.

- Dawaliśmy radę przychodzić tu bez ciebie. Nie krępuj się, możesz iść.

Staje przodem do mnie, a ja robię krok w tył. Widziałam to spojrzenie wiele razy. Jego oczy pociemniały, wnioskuje więc, że szykuje się do kłótni.

- Dlaczego tak się zachowujesz, Jules?

- Tak, czyli jak?

- Jak suka.

Zatyka mnie, bo nie jestem przyzwyczajona, żeby się tak do mnie odzywał.

- Crew!

- Cóż - mówi, rozkładając ramiona. - Powiedz mi, jak inaczej to nazwać.

- Zachowuję się jak matka chroniąca swoje dziecko!

- Chroniąca przed czym?

- Przed tobą.

- Przede mną? Chyba sobie, kurwa, żartujesz.

Wzruszam ramionami i odwracam wzrok w stronę placu zabaw. Ever bawi się w piaskownicy z dziewczynką w jej wieku. Piach jest mokry i zalega w jej włosach. Śmieje się i buduje zamek; przez tydzień będę wyciągać piasek z pralki.

- Zdajesz sobie sprawę, że robię to wszystko, żeby ją chronić?

Tonem głosu doprasza się mojej uwagi. Nie myśląc, patrzę na niego. Obserwuje mnie, jego mina nic nie mówi, ale oczy płoną.

- Moje życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdybym tylko pracował, pieprzył się i trochę pił.

Miażdżę go wzrokiem, żeby ukryć ból, jaki wywołały jego słowa. Wiem, że dodajemy mu zmartwień, przez co mi wstyd, choć nigdy nie prosiłam, żeby nam pomagał.

- No tak, do tej pory dobrze ci to wychodziło.

Otwiera usta, po czym je zaciska.

- Nie robię tego wszystkiego dla ciebie, Jules. Robię to dla Gage'a i Ever.

Równie dobrze mógł mi wstrzyknąć truciznę, bo zapiera mi dech. Wiem, że ma rację, ale usłyszeć z jego ust, że nie robi tego wszystkiego dla mnie, jest niczym zaognienie starych ran. Choć starałam się myśleć inaczej, nigdy nie robił niczego dla mnie. Teraz mam pewność.

- Zapamiętam - mówię z największą obojętnością, na jaką mnie stać.

Odwracam się od niego, gdy Ever łapie mnie za rękę. Cała jest w piasku, a wcześniejszy błysk w oczach zniknął.

- Chcę do domu, mamusiu. Jestem śpiąca.

Biorę ją za rękę i ruszam do wyjścia z parku. Staram się skupić na tych kilku rzeczach, które muszę zrobić, żeby nie myśleć o tym, co powiedział Crew. Poza Gage'em nie liczyłam się dla nikogo. Nie wiem, dlaczego uważałam, że Crew wspiera nas, żeby pomóc mnie. Tak nie było. Nie rozumiem, dlaczego sprawia mi to różnicę, ale sprawia.

- Poniesiesz mnie? - Ever idzie powoli, w butach ma pełno piachu.

Nagle chwytą ją para okrytych szarą koszulą ramion. Wtula się w pierś Crew, a on całuje ją w czubek głowy. Patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi.

- Nie miałem tego na myśli - mówi oschle.

Odwraca się i rusza w stronę mojego domu, nie oglądając się za siebie.

6

Julia

Szum kopiarki dobiegający z jednego z boksów jest dziwnie uspokajający. Hałasuje od rana, a jej dźwięk wydobywa się spomiędzy rozmów ludzi pracujących za ścianami mojego stanowiska. Lubię to. Moje palce suną po klawiaturze, myśli nie dają się rozproszyć temu, co zwykle doprowadza mnie do szaleństwa.

Pracuję nieprzerwanie od rana, a gdy podnoszę wzrok, okazuje się, że czas na lunch. Wyciągam torbę z jedzeniem, w której mam masło orzechowe, rozmięktłą kanapkę, jabłko i butelkę wody.

Nie robię tego wszystkiego dla ciebie, Jules.

Wczorajsze słowa Crew kołaczą w mojej głowie, wytrącając mnie z równowagi. Boli tak samo, jak w chwili, gdy to powiedział. Cios poniżej pasa.

Nagle odechciewa mi się jeść. Pakuję jedzenie do torby i ją chowam. Słyszę swoich współpracowników. Umawiają się na lunch w eleganckiej restauracji w śródmieściu i zastanawiają się, co zamówią. Różnice między ziołowym chowderem a cheeseburgerem z bekonem omawiają z powagą, która mnie powala. Gdy słyszę, jak jedna z kobiet zastanawia się, czy założyć swoją nową sukienkę od Diora, przypominam sobie, dlaczego nie poszłabym z nimi na lunch, nawet gdyby było mnie stać.

Zerkam na swoją brązową sukienkę, którą noszę każdego tygodnia, i brązowe buty. Odsuwam włosy z oczu, czując się zaniedbana, choć wiem, że wyglądam naprawdę reprezentacyjnie.

Biorę się z powrotem do pracy, ale przerywa mi telefon.

- Pani Gentry? Mam na linii Szkołę Podstawową imienia Calhouna.

Słyszę pisk w słuchawce.

- Tak?

- Pani Gentry?

- Tak.

- Z tej strony szkolna pielęgniarka. Przystano do mnie Everleigh, bo nie czuje się za dobrze. Ma lekką gorączkę i wydaje mi się, że powinna ją pani zabrać.

Pocieram palcami czoło. Rano wydawało mi się, że czuje się lepiej. Przespała całą drogę z parku i przysypiała w czasie kąpieli. Miałam nadzieję, że najgorsze za nami, gdy obudziła się z błyskiem w oczach.

- Będę najszybciej, jak tylko zdołam.

JULIA

Deszcz spływa po przedniej szybie, a wycieraczki ledwo dają radę. Rzucam szybkie spojrzenie na śpiącą z tyłu Everleigh. Jej mała główka spoczywa w dość niewygodnej, jak mi się wydaje, pozycji. Wargi ma ściśnięte tak jak zawsze podczas snu. Ten widok przypomina mi, jak była mała i uwielbiała smoczek. Zasysała go jeszcze długo po tym, jak wypadł jej z buzi.

Marzę, żeby zabrać ją już do domu i położyć do łóżka. Potrzebuję kawy i trochę czasu, żeby przemyśleć wszystko, co powiedział lekarz.

Ręce mi się trzęsą, gdy trzymam kierownicę. Podkręcam ogrzewanie, ale wiem, że to nie z powodu zimna się trzęsę.

Zerkam na nią raz jeszcze, po czym wjeżdżam na krawężnik obok domu Olivii. Biorę parasolkę z podłogi i wysiadam. Deszcz pada z taką siłą i robi taki hałas, że zastanawiam się, czy nie jest zmieszany z lodem. Wsuwam się do samochodu i rozpinam Ever, a następnie usiłuję zapiąć

jej płaszcz. Opieram ją sobie o ramię najwygodniej, jak się da, po czym wchodzę na werandę.

Na szczęście Olivia widzi nas przez odsunięte zasłony i wpuszcza do środka.

- Chodźcie. Strasznie leje - mówi, trzymając otwarte drzwi. Mijam ją i składam parasolkę, drżąc. Zabiera ją ode mnie i pomaga mi zdjąć płaszcz i buty Ever. - Połóż ją na sofie.

Kładę ją we wskazanym miejscu, a ona wtula się w poduszki. Olivia wyjmuje z szafy koc i owija nim Ever.

Całuję córkę w czoło i wstaję, patrząc w orzechowe oczy mojej sąsiadki. Przeczesuje palcami swoje brązowe włosy i uśmiecha się do mnie z wahaniem, wyraźnie zaniepokojona.

- Chcesz kawy, skarbie?

Mój żołądek protestuje, grożąc zwróceniem płatków śniadaniowych, jedynej rzeczy, jaką dzisiaj zjadłam.

- Nie bardzo.

Rzuca mi matczyne spojrzenie i wiem, że i tak zrobi mi tę kawę. Nie wypuści mnie stąd bez słowa. Wiem, że martwi się tym, co powiedział lekarz, bo Ever jest dla Olivii jak wnuczka. Poznały się pierwszego dnia po naszym sprowadzeniu tutaj. Olivia pojawiła się z pojemnikiem ze środkami czyszczącymi i zapytała, jak może nam pomóc. Powiedziałam jej, że damy sobie radę. W odpowiedzi uśmiechnęła się, porozmawiała trochę z Ever, po czym zaczęła mi pomagać w rozpakowywaniu. Jest z nami od tamtego czasu.

- Ja tylko... - Głos odmawia mi posłuszeństwa, gdy patrzę, jak moja córka śpi spokojnie. Nie wiem, co powiedzieć, poza tym nie chcę wyjawiać swoich największych lęków przy Everleigh.

Kiwa na mnie palcem, żebym za nią poszła. Wchodzimy do kuchni, a ona nalewa mi kawy.

- Chcę wiedzieć, co powiedział lekarz.

Staram się wziąć łyk, ale nie jestem w stanie nic przełknąć przez ściśnięte gardło. Ręce mi się trzęsą. Olivia obserwuje mnie z bliska, po czym zabiera mi kubek i stawia go na blacie.

- Powiedzieli, że nie są pewni, co się z nią dzieje. W jej brzuchu znajduje się niewielki guzek. W miejscu, które mówiła, że ją boli. Powiedzieli, że może się okazać, że to nic takiego i że mam się nie martwić na zapas, ale musimy jechać jutro na badania.

- Czego szukają?

- Nie jestem pewna, naprawdę. Powiedzieli tylko, żebym zawiozła ją jutro rano do szpitala dziecięcego. Mówili o wielu rzeczach, ale mówili też, że może się okazać, że to nic poważnego. - Pociągam nosem i walczę ze strachem, który zaczyna przejmować nade mną kontrolę. - Tak bardzo się boję, Olivio. A jeśli coś znajdą? Jeśli coś jest naprawdę nie tak? Co, jeśli...

Przytula mnie, trzymając mocno przez długi czas. Ciepło jej objęć, świadomość, że się o nas troszczy, dodaje mi otuchy.

Deszcz uderza w okna, a niebo zaczyna ciemnieć. Odsuwam się i patrzę na jej pokrytą zmarszczkami twarz.

- Wiem, że to trudne, ale nie zamartwiaj się - mówi.

- Staram się. Ale wiesz, jak to jest... - Sama myśl, że coś mogłoby się stać mojej małej dziewczynce, to za dużo do zniesienia. Wiem, że mówili, żeby się nie martwić, i mam świadomość, że to pewnie nic takiego, ale nie mogę się *nie* martwić.

- Wiem. Kiedy urodził się mój syn, myśleli, że coś jest z nim nie tak.

Najgorszy czas mojego życia. Ale spójrz na niego. Teraz jest zdrowym mężczyzną, ma piękną żonę i córkę. Nie zawsze jest tak źle, jak może się wydawać, Julio.

- Mam nadzieję. Jest wszystkim, co mam.

Olivia uśmiecha się do mnie smutno, a ja nie czuję się lepiej, lecz gorzej.

- Jak zareagowała Ever? - pyta.

- Nic nie wie. Tylko tyle, że nie czuje się dobrze i że będzie miała więcej badań. Myśli, że to grypa albo coś w tym stylu. Uważam, że to bez sensu, żeby ją martwić.

- Mądrze. Myślę, że utrzymamy ją w niewiedzy tak długo, jak się da. Wciąż myślę, że to nic takiego. Tobie już wystarczy nieszczęść. Na pewno nie będzie ci dane walczyć z kolejną rzeczą. To nie byłoby fair.

- Zdecydowanie - wzdycham. - Muszę iść się przygotować. Straciłam dzisiaj pół dnia pracy, jutro nie będzie mnie tam wcale. Potrzebuję zmian w U Ficht. Odbiorę ją, gdy wrócę. - Posyłam Olivii uśmiech, po czym kieruję się w stronę drzwi. Staję przy sofie i całuję Everleigh w czoło. Moje usta przylegają lekko do jej skóry, a ja modlę się cicho.

Dobry Boże, musisz to naprawić. To moja dziecinka. Tak bardzo się boję. Po prostu... napraw to, proszę.

7

Julia

Nie powinnam była prosić wujka Crew o kredki. - Everleigh mówi szeptem, a ja muszę się pochylić, żeby ją usłyszeć. Oczy ma zamknięte, a ręce zaciska na szpitalnej piżamie, która jest zdecydowanie za duża na jej drobne ciało.

Odgarniam włosy z jej oczu.

- Dlaczego, dziecinko?

Przez chwilę nie odpowiada i uznaję, że zasnęła.

- Bo powinnam poprosić o czerwone pantofelki.

- Przecież dostałaś kapcie z Dzwoneczkiem na święta.

Kiwa głową, która ledwie się porusza.

- Tak, ale potrzebuję takich jak ma Dorotka w „Czarnoksiężniku z krainy Oz”. Mogłabym nimi stuknąć o siebie i wrócić do domu.

- Niedługo stąd wyjdziemy. Spróbuj odpocząć.

- Nie możesz mnie po prostu stąd zabrać? - Unosi drżące powieki. Oczy ma teraz szaroniebieskie, nie te błyszczące, które zwykłam widzieć. Zaczynają zachodzić łzami. Przeraza mnie to. Sprawia ból. Nie zniosę jej płaczu. - Jesteś moją mamusią. Nie możesz powiedzieć „nie”. *Proszę, zabierz mnie do domu.*

- Musimy poczekać, aż lekarz przyjdzie i powie, że możemy iść. Przykro mi, dziecinko. Jeszcze nie możemy wyjść, ale już niedługo.

Zdaje się, że mi wierzy, bo zamyka oczy i zasypia. Obserwuję ją przez

chwilę, po czym opadam na sztywne winylowe krzesło. Jest strasznie niewygodne, przez co zaczynają boleć mnie plecy. Spędziłyśmy tu cały dzień. Przyjechałyśmy przed siódmą rano. Zabrali Ever od razu, a moje biedactwo przechodziło badanie za badaniem, w tym biopsję, na którą nie byłam przygotowana. *Biopsja* brzmi o wiele bardziej... przerażająco... niż *badanie*.

Zerkam na zegar na ścianie, który wskazuje prawie dziewiętnastą.

Dwanaście długich godzin.

To za długo dla mnie, a ja tylko czekałam. Nie wyobrażam sobie, jak ona się czuje.

Podryguję nogą, co chwilę splatam i rozplatom palce spoczywających na kolanach dłoni. Muszę wrócić do pracy, postarać się wziąć kilka dodatkowych zmian w ciągu tygodnia, bo już za dużo straciłam. Ukrywam twarz w dłoniach. Muszę się ruszyć albo z kimś porozmawiać. Nie odzywałam się do nikogo, poza szpitalnym personelem i panią Ficht, żeby powiedzieć jej, że nie pojawię się dzisiaj w pracy. Ale nie miałam do kogo zadzwonić, gdzie pójść. Olivia jest wolontariuszką w domu opieki, a poza nią pozostawał tylko Crew, który natychmiast zainteresowałby się tym, co się dzieje. Ale kto wie, gdzie jest i co robi.

Wzdycham i staram się usiąść wygodnie na krześle. W chwili, gdy udaje mi się znaleźć prawie idealną pozycję, drzwi się otwierają.

Do środka wchodzi pielęgniarka, której wcześniej nie widziałam, i doktor Perkins. Pielęgniarka uśmiecha się uspokajająco. Nie wiem, czy jest to niewymuszony uśmiech, czy jest jej mnie po prostu szkoda. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: *Będę się miło uśmiechać, żeby załagodzić reakcję na bombę, którą zaraz zrzucimy.*

- Witaj, Julio - mówi doktor Perkins. - To Macie. Właśnie przyszła na zmianę.

Wymieniamy się uprzejmościami. Znowu robi to z uśmiechem, przez co

stają się nerwowa.

- Chcę porozmawiać z tobą chwilę w gabinecie. Macie musi pobrać od Everleigh próbki, więc zostanie z nią, dopóki nie wrócimy. Czy tak będzie w porządku?

Czuję, jak coś mnie przytłacza, jakieś przeczucie z wnętrza ciała, które narasta nieoczekiwanie, przez co mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Nie wiem, czy spowodowały to jego słowa czy ton, jakim je wypowiedział, ale jestem niemal pewna, że nie usłyszę nic dobrego.



Crew

Przełykam ostatni kęs hamburgera, którego zrobiłem na obiad. Nienawidzę gotować, ale po latach pilnowania diety, żeby uzyskać wagę odpowiednią do zapasów, połączonych z czteroletnimi studiami na uniwersytecie w Minnesocie dotyczącymi żywienia sportowców wypracowałem sobie pewne nawyki. Nie można jednocześnie jeść syfu i zachować formy.

Pada, a szare niebo mąci mi w głowie. Czuję, że pogrążam się w depresji. Staram się pozostać skupiony na rzeczach, które mam przed sobą, i tych nielicznych, które mnie uszczęśliwiają.

Powracam myślami do Ever w parku. Od razu pobiegła na huśtawki, zostawiając mnie i Jules.

- *No dawaj, Gage. Zróbmy coś jeszcze. Wziąłem piłkę!*

Gage spojrzał na mnie, wymachując nogami z całych sił, by wzbić się jak najwyżej.

- *E tam.*

- *No weź-poprosiłem, rozglądając się za kimś, kto by chciał pograć. Gage mógłby cały dzień się huścić. Mnie to nudziło. - Idę porobić coś innego.*

- *Zostaniesz tutaj, Crew. Musimy trzymać się razem.*

Wchodzę do łazienki i patrzę na siebie w lustrze. Mam szczupłe ciało, które wygląda na silne. Czuję, że jest silne. Wygląda też tak, jakby było zdolne robić to, do czego uważam, że się urodziłem - walczyć.

Tęsknię za zapasami. Walka jest w mojej krwi, ściśle związana z moim DNA. Powiedzenie mi, że nigdy więcej nie będę mógł uprawiać zapasów, było jak zrzuć bombę.

- Crew, jeśli nadal będziesz trenował, jeśli zapomnisz o ostrzeżeniach, możesz skończyć sparaliżowany. To najbardziej prawdopodobny scenariusz. Twój kręgosłup nie wytrzyma kolejnego takiego uderzenia. Masz szczęście, że jesteś młody, bo inaczej nie wyszedłbyś stąd o własnych siłach.

Powrót do zdrowia nie był tak ciężki, jak mówili. Poza przeszywającym bólem w górnej części pleców nie czułem się tak źle. Przynajmniej fizycznie. Mentalnie i emocjonalnie przypominałem wrak.

Zapasy były moim życiem, a walka przyszłością. Kontrakt z NFL był na wyciągnięcie ręki, a potem został mi brutalnie odebrany przez uraz.

Zapasy dawały mi wszelkie nadzieje. Były moim złotym biletem, drogą ucieczki. Kontuzja odebrała mi dosłownie wszystko, co miało dla mnie znaczenie.

Gdy podjąłem się pracy w dokach, lekarz powiedział, że nie powinienem. Że noszenie ciężarów nadwerży moją szyję i plecy, ale miałem to naprawdę głęboko w dupie. Wiedziałem tylko tyle, że nie mogę robić tego, co kocham. Potrzebowałem tylko regularnego zastrzyku gotówki, dopóki nie wydobrzeję. Pieprzyć to.

Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu i nie czułem, żeby było gorzej. Ani razu. Było to jednocześnie dobre i złe. Przez to zastanawiałem się, naprawdę kurewsko zastanawiałem, czy może będę w stanie znowu walczyć. Może lekarze się pomylili. Może niepotrzebnie zrezygnowałem z marzeń.

Chwytam ręką drzwi od prysznic, gdy w kieszeni wibruje mój telefon. Wyjmuję go i patrzę na wyświetlacz.

- Cześć, Jordyn.

- Hej.
- Co jest?
- Gdzie jesteś?
- Dlaczego pytasz?

Słyszę, jak uderza językiem o podniebienie i uśmiecham się szeroko. Znam ten dźwięk.

- Cóż, dowiedziałam się, że wróciłeś z pracy, a ja akurat jestem w sąsiedztwie. Chciałam po prostu wpaść po drodze.
- Ludzie tak po prostu *nie wpadają po drodze*. Czy to ładny sposób na powiedzenie, że potrzebujesz rżnięcia?

Razem z Jordyn mamy bardzo *przyjacielską* relację. Żadne z nas nie szuka niczego poważnego, a oboje lubimy się pieprzyć. To działa. I jest bardzo nieskomplikowane.

- Cóż, skoro nazywasz to tak dobitnie... - mówi, a w tle słychać zamykające się drzwi. - Jestem na korytarzu.

Rozłączam się i idę w stronę drzwi. Gdy je otwieram, stoi tam, wpatrzona w telefon. Podnosi wzrok, uśmiecha się i wchodzi, a jej palce przesuwają się szybko po ekranie.

Zabieram jej telefon, nim zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje.

- Hej! - mówi, wyciągając po niego rękę. Unoszę go poza jej zasięg. Na ekranie widnieje imię Elijah. Śmieję się, rozpoznając imię typka z baru. Odpisuję szybko, gdy ona patrzy, jedną rękę opierając na biodrze.

Elijah - zaraz zostanie zerżnięta. Odezwę się później.

- Oddaj mi telefon, dupku. - Słyszę w jej głosie śmiech i wiem że nie

jest zła. Zresztą, jakby mnie to obchodziło.

Wkładam telefon do jej torebki i rzucaam wszystko na podłogę. Wygląda kurewsko seksownie w białym topie podkreślającym jej piersi i czarnych spodniach do jogi.

Popycham ją na ścianę i chwytam jej twarz w dłonie. Moje ciało budzi się do życia. Nie jest to wytchnienie, na jakie tej nocy liczyłem, ale nie wątpię, że poczuje się lepiej niż po pompkach. Nie wspominając o tym, jak kurewsko jestem napalony. Nie jest moja i nie chcę, żeby była, ale świadomość, że pisała z innym kolesiem, chociaż szła do mnie, sprawia, że muszę coś udowodnić. Muszę pokazać jej, o co w tym wszystkim chodzi.

Całuję ją mocno, wpijając się w jej usta. Chwyta mnie za tył głowy i przeczesuje palcami moje włosy. Przygryzam jej dolną wargę, na co reaguje ni to krzykiem, ni jękiem. Dźwięk ten wędruje prosto do mojego kutasa. Kładę jedną rękę pod jej pośladkami i podnoszę ją. Obejmuje mnie nogami w pasie, a ja niosę ją do jadalni. Jęczy w moje wargi, a ja wsuwam język do jej ust, zawłaszczając je.

Na stole wciąż leżą talerze po obiedzie. Odsuwam je na bok i sadzam ją na blacie. Robię krok w tył i łapię oddech.

- Zdejmij bluzkę - rozkazuję.

Chwyta rąbek materiału i mocuje się z nim chwilę, odstaniając pełne piersi w czarnym koronkowym staniku. Widok jej okrągłych sutków sprawia, że mój kutas robi się twardy jak skała.

Wyciągam prezerwatywę z portfela i rozpinam spodnie. Kładzie się na plecach, oczy ma szeroko otwarte, a zapach jej waniliowych perfum unosi się w powietrzu. Wsuwam kondom na siebie i chwytam pasek jej spodni, po czym zrywam je z niej. W międzyczasie na podłodze lądują buty.

Wbijam palce w jej biodra i przesuвам ją na brzeg stołu, nakierowując

się na jej wejście. Pierwszy kontakt sprawia, że sapie i odchyła głowę, czekając na następny ruch.

Wchodzę w nią jednym pchnięciem, cipkę ma tak moką, że mój kutas pulsuje. Jęczę, gdy zaciska wokół mnie mięśnie. Zatrzymuję się, gdy docieram do końca, wysuwam się, a potem wchodzę tak głęboko, jak tylko się da.

Jęczy ponownie, jej głos wypełnia pokój, a ja wypełniam ją. Poruszam się, z każdym pchnięciem wchodząc coraz mocniej. Chwytam jedną ręką koronkę zakrywającą jej piersi i patrzę, jak się uwalniają. Ściskam jedną z nich, wciąż poruszając się w jej słodkiej, ciasnej cipce.

Krzyczy moje imię, wyginając plecy, i rzuca głową na boki.

Stół kołysze się, talerze podskakują na blacie. Jeden spada i rozbija się o podłogę. To tylko wzmacnia zwierzęce instynkty.

Naciskam dłońią na jej brzuch, żeby nie podnosiła się ze stołu. Wbijam się w nią, pod tym kątem wsuwam się nawet głębiej.

Zaczyna jęczeć i wiem, że jest coraz bliżej. Pocieram kilka razy jej sutek, po czym znowu kładę rękę na biodrze. Wbijam się w nią nieustannie, patrząc, jak podskakują jej kremowobiałe piersi.

Jej telefon zaczyna dzwonić w torebce, która została na korytarzu. Mając świadomość, że to pewnie Elijah albo jakiś inny typ z baru, postanawiam wytatuować swoje cholerne imię na jej cipce.

- Crew! - krzyczy, gdy wbijam się w nią, przypierając jej ciało do blatu.
- Kurwa!

Jej mięśnie zaciskają się i pulsują wokół mnie, gdy wykrzykuje, co popadnie. Dochodzę w tym samym czasie i przytrzymuję ją, żeby się nie ruszała.

Leży bez życia na stole. Nasze urywane oddechy wypełniają powietrze,

zapach seksu jest silniejszy niż woń jej perfum.

Przyciągam ją do siebie jedną ręką i całuję mocno. Jęczy w moje usta i wiem, że ledwo może się ruszać.

Uwielbiam to.

Wysuwam się z niej i idę do łazienki, gdzie wyrzucam kondom do kosza. Wchodzi za mną z ubraniami w rękach. Zakłada je z powrotem i przeczesuje palcami włosy.

- Jak się czujesz? - pytam.

- Jakbym została porządnie zerżnięta. - Uśmiecha się, po czym wychodzi i zostawia mnie w łazience samego. Słyszę, jak idzie przez korytarz. - Cześć, Crew - woła, po czym zamyka za sobą drzwi.

I właśnie dlatego ją lubię.

Wskakuję pod prysznic i pozwalam gorącej wodzie spływać po swoim ciele. Namydlam się, a gdy kończę spłukiwać mydliny, dzwoni mój telefon. Odsuwam zasłonę i widzę imię Julii na ekranie.

Czuję, jak zaciska mi się żołądek. To, że dzwoni, sprawia, że czuję się niepewnie, bo ona nigdy do mnie nie dzwoni. Nigdy. Zakręcam wodę i szybko owijam się ręcznikiem.

- Tak? - pytam, wycierając parę z lustra.

Na linii panuje cisza.

- Jules? Jesteś tam?

Wydaje mi się, że płacze, ale nie mam pewności.

- Julia? Co się dzieje?

- Crew... - W słuchawce rozlega się jej cichszy niż szept głos.

Słyszę to. Coś jest kurewsko nie tak.

9

Julia

Rozłączam się i dosłownie rzucam telefon na stolik do kawy. Łąduje na nim z hukiem, ale słyszę go, jakby dobiegał z innego świata. Siedzę z rękami opartymi na kolanach i staram się przypomnieć sobie, co powiedział lekarz. Przychodzi mi to z trudem.

Czuję, że powinnam jakoś na to zareagować, ale nie potrafię. Czuję, że pod powierzchnią czają się łzy, ale nie płyną.

Oddech mam nierówny. Słyszę, jak powietrze uchodzi z moich ust i do nich wraca, i jest to jedyny dźwięk w pomieszczeniu. Odnoszę wrażenie, jakbym się trzęsła. Patrzę na moje drżące ręce.

Pani Gentry, pani córka ma raka.

Gdy pokój zaczyna wirować, zamykam oczy. *W kółko i w kółko, i w kółko.* Unoszę rękę i dotykam nią głowy. Mam wrażenie, jakby ktoś uderzył mnie w nią deską.

Chyba będę wymiotować.

Słyszę pukanie do drzwi, ale jest bardzo odległe. Nie jestem nawet pewna, czy to do moich drzwi ktoś puka.

Po chwili słyszę to głośniej i wiem, że muszę otworzyć, ale nie wstaję. Siedzę z zamkniętymi oczami i bujam się do przodu i do tyłu.

Słyszę, że Crew woła moje imię. Ledwo przypominam sobie, że do niego dzwoniłam.

Jak dawno to było?

Drzwi otwierają się z takim impetem, że wyrywa mnie to z amoku.

Otwieram oczy i widzę, jak Crew wpada do pokoju. Spojrzenie ma rozszalałe, czoło zmarszczone z frustracji. Zauważa mnie i rozgląda się po pokoju.

- Gdzie jest Ever?

Mam wrażenie, jakby coś zatykało mi gardło i zmuszam się do przełknięcia śliny, żeby móc coś powiedzieć. Ale nie jestem w stanie. Słowa nie wychodzą z moich ust; nic, co powinnam powiedzieć, nie należy do rzeczy, które chciałabym chociażby wyszeptać.

Crew rozgląda się po mieszkaniu, wołając Ever. Zaciskam mocno oczy i słucham, jak wypowiada jej imię.

A jeśli nadejdzie dzień, gdy nie będzie już musiał wypowiadać jej imienia?

Czuję, jak żołądek wykręca mi się na drugą stronę, a żółć podchodzi na tę myśl do gardła.

Nie! Nie będę tak myśleć! To złe!

Biorę głęboki oddech, tak jak mnie uczono, gdy byłam w ciąży. Płuca wypełniają się powietrzem, które głośno wydycham. To powinno uspokoić, powstrzymać panikę.

Nie działa.

- O co, kurwa, chodzi, Jules? Co się dzieje?

Staje koło sofy, żyła na jego skroni pulsuje. Patrzy na mnie, jakbym miała zaraz skoczyć z klifu.

Może tak jest.

Nie mogę odpowiedzieć na jego pytanie, bo nie wiem. Nie wiem, co się działo w ostatnich dniach. Wiem, że moja dziewczynka miała gorączkę i bolał ją brzusek, a ja zabrałam ją do lekarza. Wiem, że powiedzieli mi, żebym się nie martwiła. Wiem, że bomba, którą dziś na mnie zrzuciono,

jest czymś więcej, niż sobie wyobrażałam.

To więcej, niż jestem w stanie znieść.

Nie rozumiem tego. Nie wierzę w to. Muszą się mylić. Mylą się. Moja piękna dziewczynka nie jest chora.

Nie jest. Nie może być.

Crew okrąża szybko mebel i staje przede mną, zanim to do mnie dociera.

- Jules? Gdzie jest Ever?

- Ona... - zaczynam, ale nie jestem w stanie dokończyć. W chwili, gdy coś powiem, zacznie się rozmowa i będę musiała mu wszystko opowiedzieć. A jeśli będę milczeć, może to nie będzie prawda.

- Do cholery, Julio. - Chwyta mnie wielkimi dłońmi za ramiona i potrząsa. - Kurwa, mów do mnie!

Słyszę w jego głosie narastającą panikę. Chcę uratować go przed paniką, która go ogarnie, gdy zacznę mówić. Ale teraz nie jestem w stanie ocalić nikogo.

Nigdy nie będę w stanie nikogo ocalić.

- Jest z Olivią. - Czuję, że drży mi dolna warga, ale nie potrafię nad nią zapanować. Gdy Crew mnie puszcza, zaczynam szcząkać zębami.

Przez moje ciało przebiega dreszcz i po raz pierwszy czuję się tak, jakbym miała zacząć płakać. Ale łzy nadal nie nadchodzą. Chcę je wymusić i mrugam szybko, żeby wypędzić je spod powiek. Gdyby udało mi się rozplakać, poczułabym coś. Bo jedyne, co teraz czuję to... *pustka*.

A z pustką władającą moim umysłem nie będę w stanie rejestrować tego, co się dzieje dookoła, i nie będę zdolna dokonywać Szybkich decyzji, przed którymi na pewno stanę.

Które *będę* musiała podjąć.

Decyzje stanowiące o czyimś życiu lub śmierci.

Wiem, że muszę wyrwać się z tego letargu. Wiem też, że gdy to zrobię, nigdy *tu* nie wrócę. Do miejsca, gdzie czuję się choć trochę bezpieczna, częściowo chroniona przez otaczającą mnie mgłę.

Czuję się jak w klatce z lwami, w której moja bańka ochronna ma zostać przebita. W chwili, gdy to się stanie, zostanę pożarta żywcem.

- Nic jej nie jest, prawda? - Klęka przede mną i kładzie mi ręce na kolanach. - Jules? Musisz coś powiedzieć. Przerażasz mnie. Co się, do cholery, dzieje?

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Dobrze ci radzę, znajdź te słowa jak najszybciej. Nigdy do mnie nie dzwonicz, a teraz jestem tutaj, nie mogę znaleźć Ever, a ty nic nie mówisz. - Mruży oczy i wiem, że jest na skraju wytrzymałości. - Do kurwy nędzy, *teraz*, Jules. - Mówi łagodnym tonem, ale słyszę w nim naleganie i rozkaz.

- Poszłyśmy dzisiaj do lekarza. Ona...

Nie mogę tego powiedzieć. Nie mogę wypowiedzieć tych słów.

Widzę, jak zmienia się jego mina, ruch każdego mięśnia dostrzegam w zwolnionym tempie.

Czuję się, jakbym widziała to wszystko z innej perspektywy, jakbym opuściła swoje ciało. Widzę, jak materiał jego koszuli drży pod wpływem bicia jego serca. Widzę, jak porusza się jego zarost, gdy zaciska szczękę.

Stara się zachować spokój. Ścisła moje kolana i wydaje mi się, że to zaczyna mnie boleć, ale nie jestem pewna.

- Julio, powiesz mi, co się dzieje.

Szloch, który chciałam wcześniej uwolnić, ale teraz muszę go powstrzymać, wkrada się niczym złodziej. Otwieram usta, a ten skrada słowa, które miałam wypowiedzieć. Biorę drżący oddech i czuję, jak łzy spływają mi po policzkach. Znaczą moją skórę, zostawiając na niej gorące strugi.

- Ona... - przenoszę wzrok z jego rąk na twarz. - Ma raka.

Crew wzdryga się. Rozchyła usta, blednie. Otwiera szeroko oczy i potrząsa głową. Na jego twarzy widnieje jedynie niedowierzanie.

- Ona co?

Kiwam tylko głową, niezdolna tego powtórzyć. Nie umiem. Patrzę, jak to do niego dociera, jak walczy z tym, czym właśnie w niego rzuciłam. Tak samo, jak wcześniej rzucono we mnie.

Można porównać to do węża wpuszczonego do pokoju, w którym ty się znajdujesz.

Proszę bardzo. Radź sobie. Powodzenia. Jeśli będziesz nas potrzebować, jesteśmy na zewnątrz.

- Mój Boże, Jules. - Chwieje się na piętach i ściąga czapkę. Przesuwa ręką po twarzy, usta pozostają otwarte. - Ja...

- Niedawno wróciliśmy ze szpitala.

- Czy wydobreje?

- Musi - mówię drżącym głosem.

- Boże. - Pochyliła głowę, po czym wstaje. - Co my teraz zrobimy?

- Nie wiem. Nie ma jeszcze wyników ostatnich badań, więc nie ułożyli

ostatecznego planu. Nie zrobią tego, dopóki nie dowiedzą się, z czym dokładnie przyjdzie im walczyć.

- Co zrobią? Chemia? Kurwa, Jules. Mogą to zrobić dziecku? To jeszcze *maleństwo*.

Tłumię szloch. Ma rację. Ona jest jeszcze malutka. Jest dziecinką, która na to nie zasługuje. Chcę krzyknąć, chcę powiedzieć wszechświatowi, żeby choć raz mieszał w życiu kogoś innego. Chcę wziąć moją córkę w ramiona i uciekać. Chcę ukryć ją przed okropieństwami, które na nią czyhają. Chcę chronić ją tak, jak powinna to robić matka.

- Wspomnieli o tym - powiedziałam cicho. - Powiedzieli, że jeśli się nie rozprzestrzeni, mogą spróbować wyciąć go w jednym kawałku. Musimy poczekać i się przekonać.

- Kiedy się dowiedzą?

- W poniedziałek.

Otwiera szeroko oczy.

- Mamy czekać cały weekend? Nie powinni teraz czegoś robić?

Mój telefon dzwoni i oboje podskakujemy. Podnosi go ze stołu, gdzie go wcześniej rzuciłam, i podaje mi. Odbieram, nie patrząc na wyświetlacz.

- Tak?

- Everleigh obudziła się i chce wrócić do domu. Powiedziałam jej, że zadzwonię...

- Przyjdę i ją zabiorę.

- Nie, skarbie. Przyniosę ją. Ty masz wystarczająco na głowie.

Gula rośnie mi w gardle, gdy kończy połączenie.

- To Olivia - mówię do Crew, który obserwuje mnie jak jastrząb. -
Przyniesie Ever do domu.

Wstaje i zaczyna krążyć po pokoju. Zakłada czapkę, a potem znowu zdejmuje. Również wstaję i obserwuję go, czuję się kompletnie pokonana.

Crew dociera do drzwi, zanim ja słyszę pukanie. Słyszę głosy jego i Olivii, a potem dźwięk zamykanych drzwi. Wchodzi do pokoju, moja córka leży w jego ramionach. Przyciska ją do swojej piersi, a jej czarne włosy spływają mu po lewym ramieniu.

Crew zaciska usta i patrzy na mnie. Podchodzę do nich i dotykam policzka Ever. Ma zamknięte oczy, ale uśmiecha się.

- Jestem taka śpiąca, mamusiu.

- Chodź do mnie, położę cię do łóżka. - Chcę ją zabrać z rąk Crew, ale on nie reaguje.

Uśmiecha się do mnie smutno. Owija Everleigh szczelnie kocem.

Odchrząkuje i mówi cicho:

- Ja ją położę. Obmyj twarz i zjedz coś.

Zabiera Ever do jej pokoju, a ja pozwalam sobie na płacz. Chcę do nich pobiec i przytulić moją córkę; teraz każda minuta jest jeszcze cenniejsza. Choć bardzo tego chcę, nie mogę pokazać się jej w takim stanie. W końcu odpoczywa, a potrzebuje teraz dużo sił.

Biorę głęboki oddech i przypominam sobie, że jeszcze nic nie jest pewne. Lekarze mogą się mylić, tak jak -zdaniem Crew - mylili się co do jego kontuzji. Nie mogę pozwolić, żeby Everleigh zobaczyła mnie w takim stanie. To ją przestraszy, a ja boję się wystarczająco za nas obie. Jestem jej matką, jej opoką. Muszę być dla niej silna, przeprowadzić nas przez to.

Jakoś.

W łazience jest strasznie jasno, gdy zapalam światło. Patrę w lustro. Oczy mam zapuchnięte i czerwone. Pod nimi dostrzegam sińce i wiem, że będzie tylko gorzej. Nie ma szans, żebym w najbliższym czasie odpoczęła.

Obmywam twarz zimną wodą i wycieram ręcznikiem.

- *Pani Gentry, badania moczu pani córki wykazują wysoki poziom chemikaliów zwanych HVA i VMA. Wcześniejszy rezonans wykazał też guza w okolicy brzusznej.*

- *Co to oznacza?*

- *Biorąc pod uwagę badania, rezonans i wyniki biopsji... przykro mi to mówić, ale to nie wygląda dobrze. Pani Gentry, pani córka ma raka.*

Nogi mi miękną, kolana uginają się pode mną. Chwytam się szafki i zmuszam płuca do nabrania powietrza. Słyszę jego świst i drzę, gdy opuszcza moją pierś. Cofam się, dopóki tyłem nóg nie poczuję taboretu, a potem opadam na niego bezwładnie.

Nie mogę tego zrobić. Nie załamie się.

Wstrzymuję oddech i wypuszczam powoli powietrze.

Panika nic tu nie pomoże. Muszę opanować swoje myśli. Muszę myśleć.

Biorę głęboki oddech i wstaję. Biorę gumkę do włosów.

Weź się w garść. Rusz się. Siedząc, za dużo myślisz. W tej chwili nic nie wiesz na pewno.

Zbieram włosy na czubku głowy i wiążę je. Ponownie opłukuję twarz, woda ochładza skórę. Muszę znaleźć sposób, żeby sobie z tym poradzić.

Proszę, Gage. Pomóż mi. Wiedziałbyś, co robić. Powiedz mi. Co mam

robić?

Kilka minut później idę korytarzem w stronę pokoju Ever. Jestem pewna, że Crew czeka, gotowy do wyjścia. Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, dzwoniąc do niego i tak to na niego zrzucając. Wiem, że chciałby wiedzieć, ale dzwoniąc do niego, myślałam o sobie, nie o nim. Potrzebowałam go i przez to czuję się winna.

Skręcam za róg i wstrzymuję oddech.

Crew rozciągnął się na malutkim łóżku Ever. Nogi zwisają mu na podłogę, głowę ma wykrzywioną pod dziwnym kątem i opartą o wezglowie. Ever i jej małpka leżą wtulone w jego bok, główka mojej córki spoczywa w zgięciu jego ręki. Policzek Crew leży na czubku jej głowy. Ever ściska w swojej małej rączce coś żółtego.

Zakrywam usta ręką i zamykam cicho drzwi. Docieram jakoś do swojego pokoju i zamykam się w nim.

Rzucam się na łóżko i wybucham płaczem.

CREW

Silnik mojej ciężarówki ryczy, gdy parkuję na tyłach parkingu. Jest ciemno, niebo wydaje się bardziej czarne niż zwykle. Znak Shenanigans jest tylko częściowo podświetlony i czuję się podobnie: tak, jakbym był tylko częściowo przytomny.

Chyba zaczyna o sobie dawać znać szok.

Obudziłem się około drugiej w nocy w łóżku Everleigh. Plecy bolały mnie niemiłosiernie, ale nie chciałem wstawać. Leżałem długo, patrząc, jak jej malutka klatka piersiowa unosi się i opada, zastanawiając się, gdzie w tak malutkim ciele kryje się podstępne choróbsko. Wyglądała tak idealnie, tak pięknie, zdrowo. Trudno było mi uwierzyć.

Może wcale nie jest chora...

Cały dzień starałem się zrozumieć to, co powiedziała Jules. Ciało bolało mnie tak, jakby było na wojnie. Chociaż może i było. Wojnie emocji. Niedowierzenie, smutek, odrętwienie, a teraz też czający się gniew. Jestem podminowany, i to tylko podburza złość, która czai się na powierzchni.

Wysiadam i zatrząskuję za sobą drzwi, po zablokowaniu zamków słyszę ich szcęk. Koło drzwi do kuchni, którymi zawsze wychodzę, gdy zostaję z Jordyn do zamknięcia, kręci się kilku facetów. Są ubrani jak typowe opryszki - mają na sobie workowate spodnie i długie koszule. Obserwują mnie kątem oka i wiem, że wcześniej ich tu nie widziałem.

Wchodzę do baru, a Jordyn posyła mi uśmiech. Nie odwzajemniam go. Nie jestem w stanie.

- Co z tobą? - krzyczy zza baru.

- Przynieś mi piwo.

Nie patrzę w jej stronę, gdy ruszam do stołu w rogu. Nie ma tu za wiele ludzi, co mnie nie zadowala. Chciałem wtopić się w tłum, żeby nie musieć z nikim rozmawiać.

Will siedzi sam, ręce opiera o sąsiednie krzesła i ogląda telewizję. Gdy mnie zauważa, podnosi wzrok i zaczyna mówić, ale milknie.

Odsuwam krzesło i siadam.

- Co z tobą, kurwa? - pyta, prostując się. Chwyta stojącą przed nim butelkę.

Śmieję się ze złością. Zanim odpowiadam, przede mną pojawia się butelka.

- Wszystko w porządku? - pyta Jordyn.

- Właśnie o to samo zapytałem. - Will pociąga łyk, obserwując mnie uważnie.

- Nic mi nie jest.

- Jesteś najbardziej humorzastym skurwielem, jakiego znam - mówi.

- Nie przeszkadza ci to, gdy dostajesz kutasa.

- Nieważne. - Odchodzi, zostawiając mnie i Willa samych. Oglądam się przez ramię i widzę siedzących przy barze Adama i Dane'a. Kiwiają głowami, ale chyba wyczuwają mój nastrój i nie podchodzą.

Biorę duży łyk piwa.

- Coś się stało czy zachowujesz się jak kretyn dla zabawy? - pyta Will.

- Chciałbym.

- A więc?

Odchylam się na krzesło i kładę ręce na stole. Zastanawiam się, czy mu powiedzieć, czy nie. Myślę o wszystkich rzeczach, przez które razem przeszliśmy. Razem ze mną i Gage'em był częścią wielu historii.

W końcu mówię:

- Everleigh ma raka.

Wypowiedzenie tego na głos powala. Zmniejsza uczucie odrętwienia, które czułem od chwili, gdy się dowiedziałem. Daje też odrobinę nadziei, że może to nie jest prawda.

Will otwiera szeroko oczy.

-Co?

-No.

- O, kurwa. Stary, tak mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć.

- A co tu jest do powiedzenia?

Odchrząkuję i widzę, że stara się pogodzić z newsem.

- Jak się trzyma Julia?

- A jak, kurwa, myślisz?

- Człowieku, tylko pytam.

Pocieram dłonią czoło. Chcę coś rozwalić, chcę, żeby coś kurewsko poczuło to, co ja czuję.

Prawie zapomniałem, jakie to uczucie. Jest takie samo jak w momencie, gdy stałem na macie i patrzyłem na drugiego zawodnika, który podskakiwał w miejscu, prawdopodobnie chcąc wytrącić mnie z

równowagi, lub - co bardziej prawdopodobne - przekonując samego siebie, żeby wkroczyć na środek maty. To ta sama przytłaczająca chęć zrobienia czegoś, jak wtedy, gdy jakiś dupek handlował czymś w sąsiedztwie, a Gage'a nie było w pobliżu, żeby przemówić komukolwiek do rozumu.

Zamawiam kolejne piwo. Usiłuję uzmysłwić sobie, że wpadanie w furie niczego nie naprawi.

- Czy naprawdę nie ma nic, co mógłbym zrobić, żeby pomóc? Kurwa, przeszliście w życiu więcej niż powinniście.

- Myślisz, że gdyby coś takiego było, to już bym tego nie zrobił? - Zaciskam zęby i czuję, jak pulsuje mi szczęka. - Tylko ona z rodziny mi została, Will - mówię, nagle zdając sobie sprawę, że przecież Will jest ze mną spokrewniony. Jakimś dziwnym trafem nasi ojcowie byli kuzynami, ale rodzinę Willa znałem bardzo słabo.

- Zrobię wszystko, co konieczne, żeby wyzdrowiała.

Ona musi wyzdrowieć.

- Może będą potrafili nad tym zapanować? Nie wiem, nie mogą tego... zabić? Wyciągnąć z niej jakoś?

- Nie wiem. Jules zabiera ją do szpitala w poniedziałek, chyba.

- *Chyba?*

~ No. - Przechylałem butelkę i patrzę, jak płyn w środku przelewa się na boki. - Wyszedłem wczoraj w nocy, zanim omówiliśmy resztę.

- Nie dzwoniłeś do niej dzisiaj?

- Byłem u nich długo. Zostałem z Ever, żeby Jules miała trochę czasu dla siebie. Zanim wyszedłem, zdążyła zasnąć, a nie chciałem jej budzić. Dzisiaj, ja... - wzruszam ramionami. - Zadzwoiłem, ale Ever musiała

być w pobliżu, bo nie chciała na ten temat rozmawiać.

- Cóż, to zrozumiałe.

- Też tak sędzę. Ale, cholera, Will! Wiem, że nieszczęścia się zdarzają, ale to jest niesprawiedliwe. Byłem tak załamany, gdy doznałem kontuzji. Pamiętam, jak sobie wtedy myślałem - cholera, *wczoraj* o tym myślałem -jak niesprawiedliwe jest życie. Że powinienem dalej walczyć - zdusiłem śmiech. - Ale to jest nic. To, to co się dzieje z Ever, to jest niesprawiedliwe.

- Przykro mi, Crew. Naprawdę.

Wzruszam ramionami i przenoszę wzrok na telewizor. Nie chcę o tym myśleć. Przerobiłem to w głowie tyle razy, a wciąż czuję się bezsilny.

- *Teraz czas na wiadomości, które opanowały dziś świat MMA- mówi prezenter. - Raul Reyes pokonał Antonia Pampasa w 106. walce NAFL zeszłej nocy. Zwycięzca miał za trzy miesiące stanąć do walki z Hunterem Davidsonem w Bostonie. Dzisiaj dostałem informację, że Reyes wycofał się z niej.*

- *Tak, Mike, ta szokująca wiadomość wstrząsnęła światem MMA. Załoga Davidsona jest spragniona, chce, żeby ich chłopak walczył, póki jest rozgrzany. Wiedzą, że najlepszymi przeciwnikami w jego kategorii wagowej są Reyes i Pampas. Po tym, jak Reyes zrezygnował, Davidson został bez przeciwnika.*

- *To prawda, Bruce. Nie wiadomo jeszcze, co zrobi załoga Davidsona. Wydali oświadczenie, w którym Davidson mówi, że po przegranej Pampasa, nie ma czego udowadniać. W jego kategorii wagowej nie został żaden przeciwnik.*

- *Zdecydowanie. Zmiotł ich wszystkich bezproblemowo.*

- *Jedyny raz, kiedy napotkał na swojej drodze trudności, to czas amatorskich walk na ostatnim roku. To z pewnością jest dla kadry*

Davidsona problematyczne.

- *Cóż, musimy czekać cierpliwie i zobaczyć, jak postąpią. Wracamy po przerwie.*

Słychać muzykę, a wraz z nią na ekranie pojawia się spot z Davidsonem.

Rozciąga się, robi salta ze szczytu klatki, zachowuje się jak totalny kretyn.

Odwracam się, by spojrzeć na drugą stronę stołu, a Will obserwuje mnie ukradkiem. Krew się we mnie gotuje, paląc żyły, płynąc przez moje napięte ciało.

- *Czy świat usiłuje mnie wkurwić?*

Will odchyła się, dając mi przestrzeń.

- *Dlaczego ten skurwysyn nie może zdechnąć? Dlaczego to on nie może być chory? Jest pieprzonym problemem dla każdego, kto go, kurwa, spotkał! - kipię ze złości.*

Will próbuje coś odpowiedzieć, ale przerywa mu Adam. Posyła mi krótki uśmiech, wyczuwając mój ku-rewski nastrój, i mówi do Willa. Ignoruję obu, nie mając ochoty dyskutować o jakimś gównie. Słyszę, jak Adam wspomina o jakiejś panience, którą posuwa, i przez to tracę kontrolę. Martwi się o jakąś cipę, a moja pięcioletnia bratanica walczy o życie.

Pieprzyć to.

Wstaję od stołu i przewracam menu. Idę korytarzem w stronę toalety. Kopię w zamknięte stalowe drzwi. Otwierają się gwałtownie, dzięki czemu wiem, że jestem sam.

Warczę głośno, odrętwienie znika. Czuję ból, każdą pieprzoną cząstkę, pochłania mnie jak ogień lód.

Rozwalam pojemnik z papierem, dopóki nie zwisa, zdewastowany. Uderzam raz jeszcze, aż spada na podłogę. Wyrzucam w powietrze stek przekleństw, chcąc pozbyć się pochłaniającej mnie wściekłości. Kopię pojemnik przez całe pomieszczenie i patrzę, jak rozwała się na ścianie. Patrzę, jak się obraca.

Moja pierś unosi się gwałtownie, powietrze napływa do moich płuc i mam nadzieję, że gdy je rozerwie, poczuję się lepiej.

Nie udaje się.

Wciąż wściekły, wypadam z toalety, tak samo rozsierdzony jak wcześniej.

Patrzę w stronę drugiego końca baru. Drzwi otwierają się, a do środka wchodzi dwóch typów, których widziałem na zewnątrz. Kiwiają głowami, krok ich spodni ciągnie się prawie po ziemi.

Podchodzą do baru, ten po prawej stawia na nim papierową torbę. Rozglądają się dookoła, mówiąc do siebie szeptem. Jordyn rozmawia z nimi przez chwilę, ale nie podchodzi do baru, tak jak to zawsze robi.

Powietrze jest inne. Atmosfera całkowicie się zmienia. Słyszę tykanie nieistniejącej bomby.

Coś jest nie tak.

Dane i Adam siedzą przy stole koło wyjścia. Gdy kieruję się w stronę baru, napotykać moje spojrzenie, wyczuwając to samo. Zaczynają wstawać, ale wzrokiem dają im znać, żeby zostali.

- Co tam? - podchodzę do jednego z nowych. Próbuje mnie zbyć, patrząc na Jordyn. - Widziałem cię w telewizji - mówię. - Jesteś raperem, no nie? Jak się nazywasz? Quarter czy jakoś tak?

Ignoruje mnie i szepcze coś do swojego kupła. Udaję, że straciłem równowagę i wpadam na bar, popychając go wystarczająco, by potrącił

papierową torbę. Odwraca się w moją stronę, krzywiąc się, a torba rozchyła się na tyle, by znajdujący się w niej kawał niklu błysnął w świetle.

Broń. Tak jak myślałem.

Widzę, że Jordyn nas obserwuje. Rzucam porozumiewawcze spojrzenie, a na jej twarzy pojawia się zrozumienie. Kiwam nieznacznie głową, na co cofa się z przerażeniem.

- Zjeżdżaj stąd, pijaku. - Facet obok trąca mnie ramieniem, jakby chciał mnie wystraszyć. Tak bardzo chcę się zaśmiać, ale nie robię tego.

Jeszcze nie.

- Uwielbiam jedną z twoich piosenek - mamroczę, patrząc na nich obu. Szybko rozglądam się dookoła. Dostrzegam ciężki kufel stojący po mojej prawej i przyciągam go do siebie.

Z głośników leci „GDFR” Flo Ridy, a ja śmieję się z ironii tych słów.

Żarty się skończyły, niech będzie.

Papierowa torba szeleści, gdy zaczyna wyciągać pistolet. Wciąż patrzy na Jordyn.

- Wyciągaj pieniądze z kasy - warczy jego kumpel z akcentem, którego nie jestem w stanie rozpoznać.

Koleś siedzący obok wyciąga pistolet. Celuje nim *we mnie*.

Unoszę kufel i uderzam nim w jego nadgarstek. W powietrzu unosi się chrzęst łamanych kości. Pistolet uderza o bar, przesuwa się po nim i spada na podłogę po drugiej stronie.

Facet wrzeszczy jak mała dziewczynka i usiłuje się odsunąć. Rękę ma obwisłą, kości, które normalnie ją utrzymują, są uszkodzone.

Moja lewa ręka ląduje pod jego brodą. Chwytam go za bluzę i przyciągam do siebie. Przed oczami migają mi jego zielone trampki, gdy leci dobre półtora metra w powietrze i ląduje na stole pod drugą ścianą. Ciężar jego ciała sprawia, że stół rozpada się, ten upada wśród jego części, a na nim lądują stojak na serwetki i gazety.

Moją uwagę przykuwa ruch jego kumpla. Oczy ma szeroko otwarte, niezłomny gangster w ciągu ułamka sekundy zmienia się w małego obsrańca. Cofa się powoli, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu wyjścia.

Wciąż trzymam w ręku kufel, więc odstawiam go na bar. Patrzę, jak mój drugi przeciwnik wpada na stołek. Gdy czuję go za nogami, oczy prawie wypadają mu z orbit, bo zdaje sobie sprawę, że nie ma dokąd uciec.

Nie dzisiaj. Nie bez konkretnego wpierdolu. Wykonuję ruch, jakbym chciał uderzyć go w twarz, a on robi to, co każdy koleś, który naoglądał się za dużo walk w filmach. Rzuca się na prawo.

Zamiast go uderzyć, przyciągam go do siebie. Jego twarz spotyka się z moim łokciem. Od uderzenia jego nos wbija się w czaszkę. Czuję, jak pękają kości.

Głowa opada mu na bok, z ust wypadają zęby - całe bądź pokruszone - i lądują na barze jak rzucone kości do gry.

Puszczam jego koszulę; oczy wytrzeszcza tak, jakby miały zaraz wypaść. Zatacza się i wpada na bar. Ręce mu drżą, gdy chwyta się za zakrwawioną i już puchnącą twarz.

Moje zmysły budzą się z pełną siłą, cisza w pomieszczeniu jest ogłuszająca. Czuję płynący od stojącego przede mną faceta strach i panikę klientów, którzy przyglądają się całemu zajściu ze wstrzymanym oddechem. Znajdowałem się w takiej sytuacji wiele razy i nie ma nic, co da się z tym porównać.

Szybko rozglądam się po barze. Jordyn stoi w progu kuchni, rękami

zakrywając usta. Dookoła widzę ludzi z szeroko otwartymi oczami. Will wciąż siedzi na krześle, spokojnie sącząc piwo. Patrzymy na siebie, a on śmieje się z rozbawieniem.

- Yahtzee - mówi, przerywając milczenie. Kręcę głową, na co parska śmiechem i wstaje. Podchodzi do pierwszego kołesia, który unosi głowę, usiłując zrozumieć, co się dzieje. Jednym płynnym ruchem but Willa spotyka się z jego twarzą. Głowa poszkodowanego z powrotem ląduje na podłodze. Will patrzy na mnie i wzrusza ramionami. — Musiałem się upewnić.

Odwracam się do Pana Ząbka. Ręce wciąż ma rozłożone na boki, nie zmienił pozycji od chwili, gdy go uderzyłem. Zaczyna upadać. Chwytam go pod pachy i łapię, zanim ląduje na mnie.

- Było warto? - pytam, podtrzymując go. Bulgocze coś w odpowiedzi, krew spływa po boku jego twarzy. -Przyszliście do mojego cholernego baru i przestraszyliście mi ulubioną barmankę. To było głupie. - Otwiera szerzej oczy, bulgotanie nabiera tempa. Szczerzę się do niego. - Wydaje mi się, że potrzebna ci lekcja.

Zaczyna wrzeszczeć, ale dźwięk ten nie ma okazji opuścić jego ust. Moje czoło spotyka się w jego czaszką *raz, drugi, trzeci*, po czym go puszczam. Osuwa się na podłogę.

W barze wybucha zamieszanie. Ludzie zaczynają krzyczeć i klaskać. Jordyn opada na podłogę. Ja stoję po prostu wśród tego chaosu i pozwalam, aby opadła adrenalina, która nakreca moje ciało.

Will chwyta mnie za ramię i się śmieje.

- Nie sądziłem, że będę się dzisiaj tak dobrze bawił.

Śmieję się.

- Pewnie dałbyś sobie radę, gdybym nie ingerował. Ale nie mogłem ryzykować. Nie chciałem, żebyś wyszedł na cipę przed twoim

fanklubem - parska śmiechem, kiwając na Adama i Dane'a.

- Jesteś posrany, Will.

Śmieje się jeszcze głośniej i podchodzi do chłopaków. Ich telefony są wycelowane w leżącego na ziemi faceta.

- Koleś! Właśnie zostałeś załatwiony przez pieprzonego Crew Gentry! Będziesz sławny - wyjaśnia Adam.

Dane śmieje się.

- Nie mogę uwierzyć. W końcu mieliśmy okazję zobaczyć, jak walczy. Jest lepszy, niż myślałem!

- To było epickie. Nigdy nie widziałem czegoś takiego - mówi Adam, po czym odwraca się w moją stronę z zachwytem na twarzy. - Rządzisz, stary!

JULIA

Ustawiam pojemniki z farbami na papierowym ręczniku, który leży na środku kuchennego stołu. Błat jest trochę klejący po porannych naleśnikach, ale jakoś mnie to nie obchodzi. Moje myśli są zbyt zajęte, by przejmować się rozlanym syropem.

Jutro wyniki. To albo przyniesie mi ulgę, albo mnie zniszczy.

Dobry Boże, spraw, żeby nic jej nie było.

Za kilkanaście godzin, których nie pozwalałam sobie liczyć, bo popadłabym w jeszcze większą panikę, zabiorę Everleigh do szpitala i tam zostanie mi przedstawiona ostateczna diagnoza.

Wiem, że po wzejściu słońca nasze życia zmienią się na zawsze.

Wydaje mi się, że najgorsze, to nie nie wiedzieć, z czym walczymy. Możliwości jest nieskończenie wiele. Wczoraj wyszukiwałam nawet w Google różne hasła, ale przez to poczułam się jeszcze gorzej. Nie rozumiałam większości z tego, co czytałam, i tego, co żałowałam, że przeczytałam wcześniej.

Przez moje ciało przebiega zimny dreszcz. Wzdrygam się, przypominając sobie zdjęcia i język, jakiego tam używano. Nic z tego nie powinno mieć powiązania z dzieckiem.

Moim dzieckiem.

Odkręcam farby i słucham, jak śpiewa w swojej sypialni „Sugar” Maroon 5. To jednocześnie łamie i koi moje serce. Wciąż trzymam się tych skrawków nadziei, że tak naprawdę nie jest chora. Że to pomyłka. Babcia powtarzała mi, że Bóg nigdy nie obarczy cię większym ciężarem,

niż jesteś w stanie znieść. Jeśli to prawda, diagnoza lekarzy musi być błędna. Bo nie poradzę sobie z tym. Nie moja dziecinka.

Słucham jej śpiewu i wiem, że tak jak ja, tańczy głupekowato po sypialni. Wiem, jak się uśmiecha, a w jej prawym policzku pojawia się dołeczek. Znam ją lepiej niż własną kieszeń. Jestem pewna, że w jej oczach są te iskielki, i nie chcę, żeby zniknęły. Ani dzisiaj, ani nigdy.

To właśnie dlatego jeszcze jej nie powiedziałam.

Choć ma dopiero pięć lat, słowo „rak” przeraziłoby ją. Nie chcę, żeby martwiła się albo bała tego, co ma nadejść. Wiem, jak to jest czuć się tak małą i zamartwiać o coś, co cię przerasta. Chcę, żeby miała to, czego ja nigdy nie miałam: poczucie bezpieczeństwa, miłości i świadomość, że obok jest ktoś, kto sprawi, że będzie lepiej.

Poza tym to wszystko może okazać się pomyłką.

Kładę kawałek papieru i pędzelki przy naszych miejscach, po czym wołam ją. Wchodzi do kuchni z szerokim uśmiechem i czarnymi worami pod oczami. Serce zamiera mi w piersi. Staram się skupić na tej dobrej rzeczy, na uśmiechu, ale nie jestem w stanie nie widzieć tego, co złe.

- Będziemy malować? - Wskakuje na swoje miejsce, a ja odgarniam jej włosy z ramion.

- Pomyślałam, że trochę się pobawimy. Dawno nie malowałyśmy.

- Uwielbiam malować - mówi, zanurzając pędzelek w żółtej farbie. Przeciąga nim po kartce. - W szkole pani Yeryar namalowała drzewo. A my wszyscy włożyliśmy kciuki do farby i zrobiliśmy z nich liście. Wiesz, o co mi chodzi?

Kiwam głową i patrzę, jak moczy pędzelek w kubku z wodą, który postawiłam między nami.

- To naprawdę super. Trochę jak tęczone drzewo! Pani Yeryar mówi, że to nasze drzewo genealogiczne. Jest bardzo ładne.

- Nie wątpię.

Odkłada kartkę na bok i bierze czystą. Maluje na niej ostrożnie brązową linię, a potem ją pogrubia. Język wystaje jej z buzi, gdy się koncentruje, przeciągając pędzelkiem po kartce.

Odkłada pędzelek i zanurza palec w żółtej farbie. Przyciska go leciutko do kartki. Podaję jej chusteczkę, a ona wyciera palec, oceniając swoją pracę.

- Teraz ty, mamusiu.

Moczę palec w czerwonej farbie i przyciskam do kartki po drugiej stronie. Ever przygląda się malunkowi. Chwyta pędzelek i tym razem wybiera niebieski kolor. Mruży oczy, co oznacza całkowitą koncentrację, i na górze kartki maluje kłębek.

- To tatuś - mówi. - Zrobiłam z niego chmurę, więc jest wysoko na niebie i może nas oglądać.

Moje serce nie jest w stanie tego znieść.

Wstaję i całuję ją w czubek głowy. Zabieram kartkę i kładę ją przy kuchence, żeby farba wyschła. W mojej piersi jest jedna wielka dziura, jakby wykrwawiała się moja dusza. Wszyscy, których kochałam, odeszli albo zostali mi odebrani. Moja córka powinna być wyjątkiem.

- Namaluję małą - mówi Ever ze śmiechem w głosie. - Tak mnie nazywa wujek Crew. Może dam mu ją!

- To byłoby miłe.

Crew.

Nie widziałam go, odkąd spał w piątek w łóżku Ever. Dzwonił wczoraj,

ale Ever stała obok mnie i nie chciałam odpowiadać na jego pytania. Poza tym byłam zawstydzona tym, że załamalam się przy nim, i teraz musiałam odbudować dystans między nami.

Nie zadzwonił drugi raz. I nie przyszedł.

Właśnie dlatego muszę sobie radzić sama. Crew to Crew. Znam to. Dzisiaj może być, a jutro odejść...

Wiem, że nie mogę na nim polegać, ale niech to szlag, dobrze było mieć od niego choć trochę wsparcia. Przez ostatnie dwa lata ciągle czułam się, jakbym sama walczyła z całym światem. Toczyła wojnę, która urosła do poziomu nuklearnego. Gdybym pozwoliła mu się zbliżyć, Ever byłoby lepiej - mnie też - ale potem byłoby tylko gorzej.

- Gdzie jest wujek Crew?

Właśnie o to mi chodziło.

- Pewnie pracuje, dziecińko.

Maluje dalej, nogi ma podkulone pod siebie.

- Na pewno za mną tęskni.

Pukanie do drzwi wybawia mnie od odpowiedzi. Podchodzę do nich i wyglądam przez okno. Stojąc w rozpiętej kurtce i z rękami w kieszeniach, Crew trzyma w ustach wykałaczkę.

Otwieram drzwi i odsuwam się na bok. Wchodzi do środka bez słowa, nie patrząc na mnie.

- Wujek Crew! - piszczy Ever i biegnie do niego. Crew bierze ją na rękę i przytula mocno, patrząc na mnie z zaciekawieniem w oczach.

- Jak się masz, małpeczko? - brzmi, jakby nie spał za wiele. Głos ma ochryply, nawet jak na niego. Kłyckie ma obtarte i opuchnięte. Widzi, że na nie patrzę, i wbija spojrzenie w moje oczy. Odpowiadam tym

samym. Lepiej, żeby nie przychodził tu dlatego, że ma problemy albo opuszcza miasto. Przysięgam na Boga, że nigdy mu nie wybaczę. Pieprzyć rodzinę, pieprzyć więzy krwi. Jeśli zrobił albo robi coś głupiego, to koniec. Koniec nawet zabawiania się się myślą, że może być częścią naszej rodziny.

- Dobrze! Chodź, zobacz co namalowałam! Zrobiłam nawet coś dla ciebie. - Wierzga nogami, więc stawia ją na ziemi. Ever bierze go za rękę i prowadzi do stołu. Crew wyciąga wykałaczkę z ust i chowa ją do kieszeni.

- To wygląda jak małpka - mówi, siadając na krześle.

- Tak, wiem! A to moje słońce. - Macha mu przed twarzą żółtym malunkiem. Bierze go i uśmiecha się. - I moje drzewo! - Everleigh rozgląda się po kuchni. -Mamo! Gdzie moje drzewo?

Biorę je z lady i podaję jej, po czym krzyżuje ręce na piersi. Nienawidzę ulgi, którą poczułam, gdy otworzyłam drzwi i go zobaczyłam. Tak samo nienawidzę niepokoju na widok jego ręki. To bardzo niebezpieczne uczucia. Muszę znaleźć złość, którą zwykle odczuwam w stosunku do jego osoby. Złość jest łatwiejsza.

Złość jest sensowna.

- To nasze drzewo genealogiczne. To ja i mamusia. A to - mówi, wskazując na niebieską plamkę - tatuś.

Crew uśmiecha się czule, gdy patrzy na podeksycytowaną Ever.

- Masz! - Przysuwa mu zieloną farbę. - Będziesz zielonym listkiem.

- Ach, no, ja... - Wierci się na krześle, jest mu niezręcznie. - Myślę, że tak jest idealnie.

- Nie, nie jest. Ciebie też chcę! *Proszę!*

Zdejmuje kurtkę i patrzy na mnie błagalnie. Wzruszam ramionami, bo nie zamierzam pomagać mu się wymigać. Czy chcę go na naszym drzewie genealogicznym? Nie. Ale on sam musi podjąć decyzję.

W końcu moczy palec w farbie i odciska go na kartce.

- Tak! - piszczy Ever, oddając mi kartkę. - Wyszuszysz to?

Kiwam głową i zabieram malunek. Ever biegnie z powrotem do Crew i wskakuje mu na kolana. Zabiera coś dyskretnie z jego ręki i chowa w kieszeni.

- Jak się dzisiaj czujesz? - pyta.

- Chyba dobrze - marszczy nosecek. - Miałam koszmar.

Chłonę jej słowa. Nie wiedziałam o tym.

- Tak? Co to był za koszmar?

Wzrusza ramionami i przesuwa palcem po szarym obszyciu jego koszuli.

- Obudziłam się przerażona. Miałam sen, że obudziłam się i nikogo nie było. Nawet pani Bennett. Byłam tylko ja i dziecko mieszkające po drugiej stronie ulicy.

- Przecież to szaleństwo, wiesz, że to nieprawda. Nie ma mowy, żeby mamusia cię zostawiła.

Patrzy na mnie i uśmiecha się, a ja nie jestem w stanie się powstrzymać i odpowiadam tym samym.

- Ale tatuś zostawił - podkreśla.

Uśmiech Crew natychmiast znika.

- Nie dlatego, że chciał, małpeczko. Twój tatuś kochał cię najbardziej

na świecie.

- Wiem - szepcze.

- Coś ci powiem - mówi Crew. - Jutro przyniosę coś, co pomoże ci odgonić złe sny, dobrze?

- Naprawdę?

- Tak. - Łaskocze ją, a ona wierci się w jego ramionach, chichocząc. Ten dźwięk jest tak piękny, że zamykam oczy i po prostu jej słucham. Przeszkadza mi pukanie do drzwi. Podchodzę do nich i otwieram.

- Cześć, Julio. - Olivia stoi w progu, trzymając za rękę wnuczkę, Rory. Zagląda do środka i widzi naszego gościa. - Witaj, Crew.

- Cześć.

- Przyszłam sprawdzić, jak się macie - mówi Olivia. - Idę właśnie do sklepu i zastanawiałam się, czy czegoś potrzebujecie.

- Ever! Idziemy na lody! Chcesz iść z nami? - Rory podskakuje w miejscu.

Ever kręci się wokół nie.

- Tak! Mamusiu, mogę? Proszę?

- Ever, a może...

- Jeśli chce, niech idzie - mówi Olivia. - Dobrze jej zrobi spacer na słońcu.

- No nie wiem. - Nie cieszy mnie myśl, że miałabym nie spędzić z nią dzisiejszego dnia. Chcę ją przytulić i nie marnować ani jednej chwili.

- Mamusiu, proszę - błaga Everleigh. - Nigdy nie widuję się z Rory. Proszę.

- Puść ją. - Crew mówi bardzo cicho, w oczach ma pustkę. - Obu wam będzie lepiej.

Wymienia spojrzenia z Olivią, a ja opieram się o blat i wzdycham. Wiem, że to nie w porządku odmawiać jej zabawy, bo chcę być samolubna i zatrzymać ją przy sobie. Ever uwielbia Rory, a pójście na lody jest dla niej czymś wielkim. Bardzo rzadko to robimy. Mimo to irytuje mnie fakt, że Crew wtrąca się w naszą rozmowę. Jednocześnie jest mi z tego powodu dobrze.

- Dobrze, załóż kurtkę - mówię z nieznacznym uśmiechem.

Ever pędzi do pokoju po płaszcz i znika tak szybko, że ledwo to rejestruję. Zostaję w kuchni z Crew.

Wyciąga przed siebie długie nogi i opiera jeden but na czubku drugiego. Patrzy na mnie tak, jakby nie wiedział, co powiedzieć, więc czynię honory.

- Nie musisz już tu siedzieć. Ever poszła. - Patrzą na niego niepewnie, czekając, aż się ruszy.

Spodziewam się, że pójdzie.

Chcę, żeby to zrobił.

Ale on siedzi nieruchomo.

- Jak się trzymasz, Jules?

Czuję wielką ulgę, że nie wychodzi. To nieświadoma reakcja, ale nie przeoczam jej.

- W porządku.

- Mogę cokolwiek zrobić?

- Spraw, żeby była zdrowa... - Głos mi się załamuje na ostatnim słowie

i jest to dla niego jak cios w pierś. Garbi ramiona, kąciki ust mu opadają.

Milczy przez chwilę, wpatrując się w jeden punkt na ścianie. Wyglądam przez okno, zastanawiając się, czy gdybym zabrała Ever i uciekła, to zdołałabym prześcignąć moje problemy.

- Jutro idzie do szpitala, tak? - pyta po chwili beznamiętnym głosem.
- Tak. Muszę ją obudzić z samego rana.
- Chcesz, żebym was zawiózł?
- Nie. Miło, że proponujesz, ale damy sobie radę.
- Nie byłby to dla mnie problem. Mam wolne dni do odebrania.

Prycham.

- Przynajmniej ty.
- Nie masz już wolnych dni?
- Nie. Rozmawiałam z działem kadr i wyjaśniłam, że nie wiem, kiedy będę mogła przyjść do pracy. Powiedzieli, że jeśli w przyszłym miesiącu opuszczę trzy dni pracy, będą mogli mnie zwolnić.

Żyła na skroni mu pulsuje. Pochyla głowę i wiem, że jest wściekły, ale nie może nic zdziałać, nieważne, jak nieprzyjemny się zrobi.

- Powiedzieli też - kontynuuję - że mnie nie zwolnią. Pozostawią mnie na liście płac, żebym miała ubezpieczenie, ale nie zapłacą mi, jeśli nie będę w pracy. Po prostu wezmę dodatkowe zmiany w U Ficht. Nie wiem. *Po prostu nie wiem.*

Jest mi niedobrze. Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzę. Do tej pory ledwo wiązałam koniec z końcem, ale teraz... Spada na mnie taki ciężar, że kręci mi się w głowie. Muszę po prostu ustalić priorytety i przetrwać ten tydzień z Everleigh, żeby wiedzieć, z czym walczymy. To

jest najważniejsze. Resztą zajmę się później.

- Wiesz, że jedyne, co musisz zrobić, to poprosić mnie o pomoc. Powiedz, czego potrzebujesz.

Przewracam oczami.

- Nie poproszę cię o pomoc.

- Dlaczego?

- Poważnie pytasz. Crew?

- Tak, kurewsko poważnie. Dlaczego tak bardzo nie chcesz poprosić mnie o pomoc? Wolisz zamartwiać się każdym szczegółem, niż zrzucić niewielką tego część na mnie? Jestem aż tak zły?

Jego twarz emanuje mieszanką złości i bólu. Cofa się, jakby potrzebował przestrzeni. Znowu widzę rany na jego kłykciach.

- Co ci się stało w rękę?

- Nic, czym powinnaś się martwić.

- Słusznie.

Obserwujemy siebie nawzajem, prowadząc niemą rozmowę. Wiem, że nie powie tego w szyskiego głośno, tak samo jak ja. Nie potrzebujemy w powietrzu wokół nas jeszcze więcej jadu. Przynajmniej w tej kwestii mogę na niego liczyć.

- Nie potrzebujesz jutro podwózki?

Kręcę głową.

- Nie. I tak musimy być tam bardzo wcześnie.

- Czy zadzwonisz chociaż i powiesz, czego się dowiedziałaś? Będziecie

w szpitalu dziecięcym?

Kiwam głową.

Idzie w stronę drzwi, a we mnie budzi się panika. Gdy wymawiam jego imię, trzyma rękę na klamce.

Odwraca się do mnie twarzą, między zębami trzyma wykałaczkę. Wyjmuje ją i pyta:

- Tak?

Zasycha mi w ustach. Nie wiem, co chcę powiedzieć. Nie wiem nawet, dlaczego go zawołałam. Moje myśli płaczą się, a ja nie jestem w stanie wyłapać ich sensu.

- Dziękuję, że przyszedłeś - mówię w końcu i po raz pierwszy od lat szczerze się do niego uśmiecham.

Kiwa głową i odpowiada krzywym uśmiechem, w ustach znowu ma wykałaczkę.

- Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

I już go nie ma.

CREW

Nienawidzę pieprzonego ruchu drogowego. Naprawdę wierzę, że miałem się urodzić na jakiejś farmie w centrum Illinois czy coś. Nienawidzę pośpiechu, gwałtownych skrętów w lewo, żeby w bok nie wjechał ci jakiś fiut w hybrydzie.

Wjeżdżam na parking, płacę parkingowemu i zaczynam szukać wolnego miejsca. Gdy je znajduję, dzwoni mój telefon.

- Tak? - pytam, gasząc silnik.
- Gdzie, do kurwy, jesteś?

Słyszę w tle męskie krzyki i pisk dźwigni.

- W szpitalu.
- Więc nie przychodzisz dzisiaj? - pyta Will.

Zabieram torbę z miejsca pasażera, wysiadam i zamykam samochód.

- Nie, rozmawiałem z szefem. Po prostu uznałem... no wiesz. Że powinienem...
- Tak, rozumiem. Dobry pomysł. Ale chciałem ci coś powiedzieć.

Słyszę w jego głosie lekkie podniecenie i to mnie martwi. Will ekscytuje się głupimi rzeczami, a ja nie mam ochoty słuchać o tym, jak krągłe cycki miała laska, którą zaliczył zeszłej nocy.

- Siedziałem rano w necie i ktoś wrzucił twoją walkę z baru na Forum MMA - mówi Will. — Stary! Powinieneś siebie zobaczyć. Pieprzona bestia!

- O czym, do cholery, mówisz?
- Piątkowa walka. Pamiętasz? Shenanigans? Yahtzee?
- Ktoś to nagrał i wrzucił do internetu?
- Tak. Adam albo Dane. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że wyglądasz świetnie. Wszędzie to udostępniają. Nagranie rozprzestrzenia się z prędkością światła.
- Dlaczego? To bójka w barze - mówię opryskliwie. -Każdego dnia do takich dochodzi.

Śmieje się głośno.

- To nie była bójka w barze, koleś. To była konkretna walka! Poza tym - mówi, milknąc dla wzmocnienia efektu - nazywa się „Crew Gentry - Jedyny Zdolny Pokonać Huntera Davidsona”.

Choć jestem tym nieco rozbawiony, nie jest to coś, czego w tej chwili potrzebuję.

- Zadzwoń do Adama i każ mu to usunąć.
- Niby dlaczego miałby to robić? To ty w całej swojej okazałości!
- *Ponieważ* - mówię - ledwie ugrałem na policji, że działałem w obronie własnej. Nie chcę, żeby wyszło na to, że się popisuję.
- Ale...
- Muszę kończyć, Will. Usuńcie to. Odezwę się później.

Drzwi do pokoju, którego numer podała mi pielęgniarka, są uchylone. Pukam raz, po czym otwieram je powoli. Pokój zalany jest światłem wpadającym zza szklanej ściany. W telewizji leci jakaś kreskówka, i gdyby nie szpitalne łóżko na środku, pomyślałbyś, że to pokój gier.

Julia siedzi na krześle przy łóżku, przeglądając gazetę. Everleigh leży wsparta na poduszkach większych niż ona sama, do boku przyciska małąpkę.

Julia zauważa mnie i odkłada czasopismo.

- Cześć - mówię cicho, nie chcąc budzić Ever.
- Hej. - Ma wory pod oczami. Włosy ma ściągnięte do tyłu, a jej twarz jest blada w świetle. W każdy możliwy sposób wygląda jak nieszczęście, mimo to nadal uważam, że jest piękna. Zawsze jest. I zawsze była. Ma w sobie coś cudownego i uspokajającego, chociaż ona tak nie uważa.

Kładę torbę na podłodze i opieram się o ścianę.

- Jak długo tu jesteś?

Zerka na zegarek.

- Cztery godziny.
- Jakieś wieści?
- Miała robione jeszcze dwa badania. Czekamy teraz na lekarza.

Powieki Ever zaczynają trzepotać. Mam nadzieję, że jej nie obudziłem, mimo to cieszę się, że się budzi. Chcę ją zobaczyć. Chcę ją usłyszeć. Mieć pewność, że nadal tu jest.

- Wujek Crew - słyszę zmęczenie w jej cichutkim głosie.
- Jak się masz?
- Nie chcę tutaj być.
- Wiem. Ale musimy zrobić wszystko, żeby było ci lepiej.
- Przez to, co mi robią, nie jest lepiej. Boli. Bardzo.

Zamykam na chwilę oczy, chcąc zachować spokój, pierwszą moją reakcją jest to, że mam ochotę zabić każdego, kto ją krzywdzi, ale wiem, że w tym przypadku ból może być przydatny. Dzięki niemu jest szansa, że dowiemy się co chce ją zabić. Muszę wybrać mniejsze zło.

- Robią wszystko, co się da, żeby znowu było idealnie. Wiesz to, prawda?

Wzrusza ramionami.

- Przyniosłem ci coś. - Grzebię w torbie i wyjmuję małe pudełko. Podaję je Ever. Otwiera je i unosi leżący w nim przedmiot.

- Co to? - pyta, patrząc, jak ten powoli się obraca.

- Łapacz snów. Wieszasz go w pokoju, a gdy idziesz spać, ten filtruje twoje sny. Wpuszcza tylko te dobre.

- Skąd to masz?

- Należał do mnie, gdy byłem mały. Moja babcia kupiła jeden dla mnie, a drugi dla twojego taty. Też mieliśmy złe sny. Ale to działa i teraz już go nie potrzebuję. Więc uznałem, że ty powinnaś go mieć.

- Wciąż to masz? - pyta Julia. Patrzy, jak łapacz snów porusza się, gdy Ever nim kręci. - Myślałam, że go zgubiłeś.

- Oczywiście, że mam. Jest magiczny - mówię, puszczając jej oczko. - Żałuję, że nie mam tego należącego do Gage'a.

Uśmiecha się do mnie smutno. Chce coś powiedzieć, ale otwierają się drzwi pokoju.

- Pani Gentry?

Julia podnosi się i staje przy łóżku.

- Dzień dobry, doktorze Perkins.

Wiedzę, że na jej czole pojawia się pot, a usta zaciska w wąską linię.

- Jest parę rzeczy, które chce z panią omówić w moim gabinecie. -
Zerka na mnie. - Jest pan ojcem Everleigh?

- Ja... - zaczynam, ale Julia mi przerywa.

- Nie, nie jest. To mój szwagier.

Krzywię się. To, że z taką stanowczością oznajmia, że nie jestem częścią jej najbliższej rodziny, sprawia, że czuję się jak gówno. Mimo to wyciągam rękę do lekarza.

- Crew Gentry. Jestem wujkiem Everleigh.

Odpowiada stanowczym uściskiem dłoni.

- Doktor Perkins. Jestem pediatrą onkologiem. Gdyby nie miał pan nic przeciwko, żeby zostać z Everleigh, zabrałbym na kilka minut panią Gentry.

Julia patrzy na mnie, czekając na moją odpowiedź. Przygryza dolną wargę. Mam ochotę uwolnić ją spomiędzy jej zębów. Nie mam pojęcia, co zostanie powiedziane, ale wiem, że wszystko będzie dobrze. Musi być.

- Tak, oczywiście. Ja i małpeczka pooglądamy...

- Klinikę dla pluszaków! - mówi Ever.

- Dokładnie tak.

- Niedługo wrócimy. Jeżeli będzie chciał pan być na bieżąco informowany o stanie zdrowia bratanicy, będę potrzebował, żebyście podpisali państwo kilka dokumentów. - Doktor patrzy na Julię, a ona waha się, ale w końcu kiwa głową. - Niedługo przyślę pielęgniarkę, która je dostarczy.

Odwraca się do drzwi i wskazuje Julii, by szła za nim. Ona ogląda się na mnie przez ramię, spojrzenie ma pełne obaw, z ciemnobrązowych oczu wyziera strach. Zabija mnie to.

- Będę tu, kiedy wrócisz - mówię cicho.

Oczy zachodzą jej łzami, a mnie szlag trafia. Chcę wziąć ją w ramiona, żeby wiedziała, że będzie dobrze. Chcę wyrwać wszystkie te kable z ciała Ever, przerzucić je obie przez ramię i uciec od tego syfu.

Ale nie mogę. I niemożność zrobienia tego wszystkiego zżera mnie od środka.

Biorę głęboki oddech i odwracam się do Everleigh. Obserwuje mnie uważnie. Siadam na miejscu wcześniej zajmowanym przez Julię i oglądam się na nią przez ramię.

- Co będziemy robić, małpeczko?

- Chcę do domu.

- Wiem. Ja też chcę. - Rozglądam się dookoła z namysłem. - Myślisz, że mógłbym cię stąd wykraść?

- Tak - chichocze. - Proszę! Zabierz mnie do domu.

Stukam się palcem po brodzie.

- Ale jeśli to zrobię, mamusia będzie się zastanawiać, gdzie jesteś. I będzie się denerwowała, że nie może cię znaleźć. Potem zacznie mnie ścigać, a - powiem ci w tajemnicy - ona mnie przeraża.

- Wcale nie! - odpowiada, chichocząc. Usadawia się wygodnie na poduszkach i odwraca twarzą do mnie. -Ale martwiłaby się. Ciągłe się martwi.

- To sprawia, że jest wyjątkowa.

- Uważasz, że mamusia jest wyjątkowa?

Śmieję się.

- Myślisz, że skąd ty masz taką wyjątkowość?

Uśmiecha się, ale jej powieki robią się ciężkie.

- Przeczytaj mi coś, wujku Crew.

Na to nie jestem przygotowany.

- Nie mam książki.
- Wymyśl jakąś bajkę - mówi sennie. - Albo wygoogluj.

Śmieję się, bo nie jestem w stanie uwierzyć, że wie, czym są Google.

- Lubię historie o książętach - mówi cicho, oczy ma zamknięte.

Przywołuję swoje zdolności do opowiadania historii w formie dozwolonej dla dzieci.

- Żyła sobie piękna księżniczka. Była miła i dobra i miała najpiękniejszą twarz na świecie. Poznała księcia, który błąkał się w poszukiwaniu swojego królestwa.

Przerywam, uznając, że zasnęła.

- Zgubił się? - szepcze.
- Tak. Był zagubiony, małpeczko - wzdycham. - Odnalazł piękną księżniczkę i pokochał ją, a ona pokochała jego. Ale myślał, że jego królestwo jest o wiele dalej. I pojechał do niego.
- Znalazł je? - pyta.
- Na jakiś czas. Ale potem zrozumiał, że to nie jest jego królestwo.

Wyglądało tak, ale oszukano go. Wrócił do księżniczki, ale jej już tam nie było.

- Odeszła?

- Nie. Ale została zaproszona do królestwa innego księcia.

- Walczyli?

Uśmiecham się.

- Nie. Pierwszy książę zdał sobie sprawę, że gdyby był prawdziwym księciem, nie opuściłby jej dla pięknego królestwa. Zabrałby ją ze sobą. Dlatego zostawia ją z prawdziwym księciem, który naprawdę ją kocha. Nie tak bardzo jak on, ale w inny sposób. - Przerywam na chwilę i wyglądam przez okno. Czuję wpadające do środka słońce. - Drugi książę kocha ją w najlepszy dla księżniczek sposób.

- Uważam, że to oznacza, że obaj bardzo ją kochają -mówi Ever, oddychając coraz głębiej. - Czy żyli długo i szczęśliwie?

Kłamię.

- Tak, małpeczko.

Julia

Ever śpi na moich rękach. Opieram ją sobie na ramieniu i grzebię kluczem w zamku. Widzę szarpane przez wiatr upomnienie, które przyczepiono do drzwi. Wiem, że to informacja o odłączeniu wody, bo nie zapłaciłam w zeszłym tygodniu rachunku. Kiedy tylko spóźnisz się kilka razy, w momencie opóźnień przysyłają informację o odłączeniu.

Wzdycham głęboko i popycham drzwi.

Nie wszystko na raz.

Zamykam drzwi nogą i niosę śpiącą Everleigh do pokoju. Kładę ją na łóżku, zdejmuję płaszcz i buty. Całuję ją w policzek i okrywam kołdrą. Nie reaguje, jest wyczerpana po dzisiejszych badaniach. W miejscu, gdzie miała wkłuty wenflon, pojawił się siniak, przez co robi mi się niedobrze.

Instynktownie wyciąga rękę po małą. Przyciąga ją do piersi, a ja patrzę, jak ta unosi się i opada w głębokich oddechach. Marzę, żeby móc zatrzymać czas i zostać tutaj, gdy moja słodka dziecinka śpi spokojnie, a ja ją obserwuję. Mogę na nią patrzeć i udawać, że wszystko jest w porządku. Mogę zamknąć oczy i udawać, że nie odbyłam tej okropnej rozmowy. Zawsze powtarzałam, że chciałabym zatrzymać czas, żeby nigdy nie dorosła, ale teraz chodzi o coś więcej.

Co, jeśli nigdy nie dostanie szansy na to, żeby dorosnąć...

Tłumię jęk, kładąc rękę na ustach.

To się nie może stać.

Słyszę zamieszanie przy drzwiach wejściowych, a nie chcę, żeby ją to

obudziło. Musi odpoczywać.

Patrząc na nią po raz ostatni, wychodzę z pokoju i idę do drzwi. Otwieram i widzę, że Crew stoi w progu i chowa coś do kieszeni. Z drzwi zniknęło upomnienie, ale nie wspominam o tym. Może zerwał je wiatr.

Powtarzaj to sobie.

Ma ze sobą torbę z jedzeniem i dociera do mnie, że od rana nic nie jadłam. Sam zapach sprawia, że robi mi się niedobrze.

Staję z boku i wpuszczam go do środka. Idzie prosto do kuchni, ale nie siada.

- Gdzie jest Ever? - Kładzie torbę na stole.
- Śpi. Odleciała w chwili, gdy wsadziłam ją do samochodu.

Zauważam, jak jego jabłko Adama podskakuje, gdy napotyka moje spojrzenie. Oczy ma ciemne i pełne emocji. Widzę, że się waha i zbiera na odwagę, aby zadać pytanie, które wiem, że w końcu padnie.

- Co powiedzieli?

Będę musiała wytłumaczyć to dwa razy, bo Everleigh musi się dowiedzieć. Wiem, że mnie to nie ominie, ale nie mam pojęcia, jak jej o tym powiedzieć. Jak mam ją poinformować, że wstrzykną jej truciznę z nadzieją, że zniszczy drugą truciznę, która już znajduje się w jej ciele? Że będzie tak chora, że czeka ją tyle okropnych, bolesnych rzeczy, a wszystko po to, żeby ostatecznie uratować jej życie? Lekarz zasugerował mi kilka opcji, dał trochę rzeczy do czytania, a nawet zaoferował się z pomocą, ale odpowiedziałam, że sama się tym zajmę. Nie chcę tego robić, ale skoro i tak musi do tego dojść, to pragnę, żeby odbyło się to w otoczeniu pełnym miłości i jak najmniej sterylnym.

Patrzę na Crew i zbieram w sobie ostatki sił, jakie we mnie pozostały.

- Nie jest dobrze.

Mina mu rzednie. Chwyta oparcie krzesła, a jego kłykcie aż bieleją.

- Nie pamiętam wszystkich tych specjalistycznych zwrotów, których używali, więc powiem ci tyle, ile zrozumiałam. - Przeszukuję torebkę i wyciągam broszury i dokumenty, które dostałam, po czym rzucam je na stół. - Nie miałam czasu, żeby to wszystko przeczytać, ale powiedziano mi, że powinnam.

Crew wyciąga z kieszeni kurtki telefon. Nie patrzy nawet na ekran. Wyłącza go i chowa z powrotem.

Mam wrażenie, jakbym przyglądała się tej rozmowie z innego wymiaru. Słyszę wychodzące z moich ust słowa, ale nie czuję się tak, jakbym to ja je wypowiadała.

Moje ciało przypomina skorupę. Jestem odrętwiała. Pamiętam to uczucie z czasu po śmierci Gage'a. Ludzie mówili do mnie, a ja tego nie słyszałam; siedzieli koło mnie, a ja tego nie odczuwałam. Płakali na moim ramieniu, a ja tylko klepałam ich po plecach. Potem odchodzili, ocierając łzy.

- Z tego, co wiem, guz już zaczął się rozprzestrzeniać, co oznacza, że rak nie jest ulokowany w jednym miejscu. To zły znak, między innymi dlatego, że nie mogą go wyciąć.

Pochyla głowę. Słyszę, jak bierze głęboki oddech, po czym go wypuszcza. Wiem, że przetwarza to, co dopiero powiedziałam, ale kontynuuję, gotowa wypowiedzieć kolejne słowa. Będzie mógł z nimi zrobić, co tylko zechce. Bo ja nie mam pojęcia, jak je wykorzystać.

Moja córka ma raka.

Ręka mi drży, gdy podnoszę broszurę.

- Doktor Perkins powiedział, że to nowotwór złośliwy, więc leczenie

trzeba zacząć jak najszybciej. W tym folderze jest plan, jeśli chcesz go przeczytać. Po prostu... - Przystaję widzieć wyraźnie, twarz Crew rozmywa się za ścianą łez.

-Jules...

Ocieram twarz wierzchem dłoni.

- Ale jest coś... powstała nowa terapia. Okazuje się bardzo efektywna wśród dzieci poniżej szóstego roku życia. Chcą umieścić Ever w grupie testowej.

- Gdzie ona się odbędzie?

- W Bostonie.

- Więc to dodatkowa metoda poza chemioterapią?

- Nie mam pojęcia, Crew. Jest tak wiele informacji. Czuję się, jakbym tonęła w terminach i definicjach. Powinnam była robić jakieś notatki.

- Czy to białaczka?

- Nie. Nazywają to neuroblastomą. Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej... - Głos mi się załamuje, zaczynają do mnie docierać wydarzenia z dzisiejszego dnia. - Czuję się taka głupia, Crew. Nie wiem nawet, co powiedzieli po słowie „rak”. Musiałam tam siedzieć z jakąś głupią miną!

- Zaczynam płakać, ale Crew nie podchodzi do mnie. Ściąga brwi i patrzy na mnie, jakbym czymś w niego rzuciła. - Zawodzę ją na każdym kroku. Powinnam była iść z nią do lekarza wcześniej. Powinnam była...

- Powinnaś to się zamknąć - mówi, wstając. - Bełkoczesz, a to nie pomaga. To nie twoja wina, słyszysz? -Robi kilka kroków w moją stronę i pochyla głowę. - To nie twoja wina.

- Boję się. Jestem *przerazona*. Nie wiem, jak sobie z tym radzić.

- Wiem, Jules. Ale postarajmy się skupić na tym, co *możemy* zrobić -

mówi, a w jego głosie jest o wiele więcej przekonania niż w oczach. -
Więc to leczenie pomoże?

- To nasz ratunek, tak sędzę. Powtarzam to, co powiedział doktor Perkins: terapia będzie bardziej jak bomba jądrowa niż wojna. Tak to wyjaśnił. - Podchodzę do stołu i siadam, czuję słabość w nogach. - Jestem przerażona, Crew. Ich miny, gdy omawiali diagnozę... - Drżę, a Crew kładzie mi rękę na ramieniu. Patrzę na ścianę, z której odchodzi tapeta. - Ta terapia jest jedyną rzeczą, która trzyma mnie w kupie. Tylko ona daje mi nadzieję. Lekarze naprawdę twierdzą, że zadziała, i to szybko. A przynajmniej ja to tak odebrałam. Może chciałam tak to zrozumieć, nie wiem.

- Więc kiedy zaczynają?

- Czekają, aż ubezpieczalnia zatwierdzi leczenie, a wtedy opiekę nad Ever przejmą specjaliści. Doktor Perkins zapewnił mnie, że są najlepsi. W międzyczasie powtórzmy badania krwi i tomografię. Po tym zaczniemy leczenie.

- Więc są nastawieni pozytywnie?

- Tak. - Ocieram łzy rąbkiem bluzki. - Dzisiaj zespół lekarzy ma omówić jej wyniki, poza tym są przekonani, że mamy dobry „plan gry”. Skupiali się na terapii.

- Będziesz potrzebować pomocy z dojazdem do szpitala? Nie mogę opuścić za wiele dni w pracy, ale Will ma inną zmianę. Wiem, że pomógłby, gdybym go potrzebował.

- Jakoś sobie poradzę. - Patrzę na jego kieszeń i wiem, że upomnienie tam jest. Czuję się dla niego ciężarem. Tak bardzo chciałabym, żeby Gage tu był... dla nas wszystkich. - Rachunkiem za wodę też się zajmę.

- Przestań. - Ton jego głosu nie pozostawia miejsca na dyskusję. - Załatwię to.

- Nie, Crew. W tym tygodniu zapłacę. - Nie chcę się o to kłócić. Szczerze, ten rachunek za wodę w ogóle mnie nie obchodzi. Nie mam pieniędzy, żeby go zapłacić, ale wcześniej dawałam sobie radę. Może pani Ficht da mi małą zaliczkę.

- Cholera, Jules. Masz wystarczająco zmartwień. Przestań walczyć z czymś, z czym nie musisz.

- To moja walka. Nie twoja.

- Jakim prawem tak do mnie mówisz? - Nawet on ledwo panuje nad swoim głosem. Kręci głową i mówi ciszej. - Jak możesz mówić, że to nie moja walka? Co? Wytłumacz mi to, kurwa.

Przełykam z trudem ślinę i staram się przypomnieć, dlaczego. Wszystko mi się miesza.

- Nie jesteś za nas odpowiedzialny, Crew. Nie chcę twojej litości. Nie chcę obciążać cię swoimi problemami.

- *Litości?* Myślisz, że to litość? Myślisz, że *nie jestem* za was odpowiedzialny?

- Nie jesteś, Crew. - Mój głos jest niewiele głośniejszy niż szept. - Jestem wdową po twoim bracie, matką twojej bratanicy. Nie jesteśmy twoim zobowiązaniem. - Patrzę mu w oczy i przełykam kulę w gardle. - Poza tym nie mogę ci pozwolić być częścią naszego życia tylko po to, żebyś potem odszedł. Zwłaszcza teraz.

- O czym ty mówisz?

- Odchodzisz w momencie, gdy robi się ciężko. Zostawiłeś mnie. Opuściłeś mamę, gdy była chora. Uciekałeś od odpowiedzialności i nie słuchałeś dobrych rad. No i popatrz, jak przez to skończył Gage. Po prostu... nie mogę na ciebie liczyć, Crew. Nie mogę. To nie jest moje serce ani rachunek za wodę. Chodzi o *Ever*. Masz zwyczaj wchodzić do życia innych, przejmować nad nim kontrolę, a potem znikasz, nie

bacząc na konsekwencje. A teraz całą swoją uwagę muszę skupić na Ever i nie mogę martwić się o to, kiedy odejdiesz. Zniszczysz ją, gdy ją zostawisz, tym bardziej teraz.

- Więc twierdzisz, że mi na was nie zależy? - Patrzy na mnie z obrzydzeniem, a mi zamiera serce.

- Wiem, że zależy ci na Ever. Nie twierdę, że tak nie jest, po prostu muszę chronić ją przed tobą w razie, gdybyś chciał odejść. Jej życie i tak jest już bardzo niestabilne.

- Chronić ją przede mną? Cholera, Jules. Daj mi szansę, co?

- Crew, przepraszam. Ja po prostu... To wszystko mnie przerasta. *Całkowicie.*

- Nie wiesz, że zależy mi na was obu?

- Nawiązuję do rozmowy w parku, kiedy bardzo jasno dałeś mi do zrozumienia, że nie robisz tego wszystkiego dla mnie. I ja to rozumiem. Ale mam teraz zbyt wiele na głowie. Zrobiło się bardzo poważnie, a ja...

- Tłumię szloch.

Pochyliła głowę i klnie pod nosem.

- Jules, nie miałem tego na myśli. Byłem po prostu wściekły.

- To nie zmienia tego, jaka jest prawda.

- Nie ma żadnej prawdy - mówi wyzywająco, robiąc krok w moją stronę. - Zawsze coś dla mnie znaczyłaś. Nie widzisz tego?

- Tak, jasne. Widziałam, jak „coś” dla ciebie znaczyłam, gdy wróciłeś po kilku miesiącach z Minnesoty i po prostu odszedłeś. Znowu.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

- Wiesz co? To nie ma znaczenia. Nie rozmawialiśmy o tym przez lata;

teraz też nie ma to sensu. - Słyszę, jak Ever kaszle, a mnie oddech więźnie w gardle. - Zwłaszcza teraz - szepczę.

Crew wpatruje się we mnie intensywnie, próbując dotrzeć do mnie spojrzeniem.

- Zadzwoń, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała. *Kiedy* będziesz czegoś potrzebowała. - Podchodzi do drzwi, ale zatrzymuje się na chwilę. - I rozważ przez jedną pierdoloną sekundę, że odchodząc od ciebie i wracając do Minnesoty, dawałem ci do zrozumienia, jak bardzo mi na tobie zależy. *A to*, Julio, nigdy się nie zmieniło.

Patrzę, jak drzwi zamykają się za nim.

Crew

Łańcuchy kołyszą się z każdym uderzeniem.

Wbijam pięści w ciężki worek zawieszony pod sufitem mojego garażu. Atakuję go, kłykcie ocierają się o skórę, przez co worek buja się po każdym ciosie.

- Ach! - warczę, celując w sztywną skórę łokciem. Jestem tak spocony, że pot z mojego ramienia zostawia na worku błyszczący ślad.

Przerywam, ledwo łapiąc oddech, i patrzę na zegarek. Tłukłem w ten worek całą godzinę.

Wciągam powietrze do płuc, w ramionach i udach czuję ból. Muszę zmusić mózg, by skupił się na tym, a nie na słowach Julii.

Nie jest dobrze.

- Kurwa! - wrzeszczę, rozpoczynając kolejną kombinację. Gniew ponownie się nasila, a ja wyładowuję go na worku. Kolejne prosty, sierpowy, hak. W górnej części pleców czuję palący ból.

Zatrzymuję się, patrząc, jak worek się huśta. Czuję ucisk w piersi, gdy próbuję zlokalizować źródło bólu.

Nigdy wcześniej tego nie czułem. Naciągnąłem i naderwałem każdy mięsień w ciele, wiele razy. Ale to nie jest to. Przypomina ból po mojej ostatniej walce w Minnesocie, z tym że ból jest o wiele, wiele, *wiele* mniejszy.

- Skurwysyn - mruczę, po czym chwytam ręcznik ze stojącego w kącie krzesła. Wycieram twarz i przerzucam go przez szyję. - *Pierdolony skurwysyn.*

Usiłuję wmówić sobie, że to prawdopodobnie kontuzja od pracy. Że nigdy nie czułem takiego bólu, więc podejrzenie, że to nic poważnego, jest w porządku. Może coś mi przeskoczyło, gdy uderzyłem w worek. *Tak, to na pewno to.*

Wchodzę do mieszkania po butelkę wody. Gdy tylko wróciłem, przebiegłem pięć kilometrów. Po biegu byłem tak samo wściekły jak na początku, więc postanowiłem potłuc w worek treningowy. Nieważne, ile ciosów wymierzyłem, gniew pozostawał taki sam.

- Puk, puk, sukinsynu. - Drzwi otwierają się, a do środka wchodzi Will.

- Muszę zamykać te pieprzone drzwi.

Śmieje się, ale słyszę w jego głosie wahanie.

- Co się dzieje?

Dopijam wodę i wyrzucam butelkę do kosza.

- A więc? - pyta, opierając się o ścianę.

- A więc co?

- Stary, no weź. - Kręci głową i wchodzi do salonu. Idę za nim i siadam na kanapie, a on standardowo zajmuje krzesło. - Co z Ever?

- Nie chcę o tym rozmawiać.

I nie robię tego. Nie chcę mówić o tym gównie. Dyskusowanie na ten temat wydaje mi się głupie. Dziecko, które ma raka. Jak to się, kurwa, stało?

- W porządku.

- Tu nic nie jest w porządku.

Kiwa powoli głową, rozważając moje słowa.

- To prawda. Kontynuując, planowałem zapytać cię, co masz dziś w planach, ale daruję sobie tę część.

- Bardzo mądrze.

Śmieje się i wiem, że robi to dla mojego dobra. Chce, żebym się zrelaksował, uspokoił. Gage używał do uspokajania słów; Will ma od tego śmiech.

- Po co przyszedłeś? - pytam.

Uśmiech znika z jego twarzy i nagle poważnieje.

- Sprawdzam po prostu, jak się trzymasz.

Wypuszczam głośno powietrze i wbijam wzrok w sufit.

- Czuję się, jakbym powinien coś zrobić - mówi poważnie. - To znaczy, nie znam tak naprawdę Julii, ale Gage był moim przyjacielem. A ty... Poszedłbym za tobą w ogień, stary. Jesteśmy spokrewnieni. W niewielkim stopniu, ale to nic nie zmienia. Po prostu nie wiem, co powiedzieć albo zrobić.

- Co tam ciekawego w świecie Willa? - pytam, zmieniając temat. Wątpię, że odwróci to moją uwagę od Ever, ale jeśli cokolwiek ma przynieść skutek, to eskapady Willa.

Otwiera szerzej oczy, bo ma okazję powiedzieć coś głupiego.

- Zaliczyłem wczoraj tę panienkę. Najciaśniejsza cipka, jaką miałem. Kiedykolwiek. Nie ściemnam.

- To o czymś świadczy - śmieję się.

- Bez jaj.

- Spotkasz się z nią jeszcze?

Wzrusza ramionami, jakby w ogóle o tym nie myślał.

Przewracam oczami i włączam telewizor.

- Tym razem nie z mojego świata, ale z twojego. Nagranie z walki rozeszło się przez weekend jak ciepłe bułeczki i krąży po internecie. Chciałem zadzwonić po południu, ale wiedziałem, że jesteś zajęty.

- Włącz mi to.

Uśmiecha się szeroko i sięga ręką do kieszeni. Chwilę później trzymam jego telefon z włączonym YouTube'em. Uruchamiam nagranie z Shenanigans. Rzucam pierwszego kolesia w powietrze. Kamera jest wycelowana we mnie, a potem przesuwa się na faceta, który ląduje na stole. Widziałem siebie na wielu nagraniach, ale zawsze były to planowe pojedynki, które oglądałem, żeby wiedzieć, w którym miejscu nawaliłem. Nigdy nie widziałem siebie podczas ulicznej walki. Teraz, gdy to obejrzałem, wiem, dlaczego ludzie ze mną nie zadzierają.

Kamera przybliżyła się, gdy celuję łokciem w twarz drugiego przeciwnika. Gdy jego zęby lądują na barze, rozlegają się szepty.

- Widziałeś to? - pyta, wskazując na ekran. - Na żywo wyglądało jeszcze lepiej. Filmik jest wszędzie. Dosłownie na każdym forum MMA, na każdym portalu. Wszędzie. Wiem, że masz teraz o wiele ważniejsze rzeczy na głowie, ale w pewien sposób znowu jesteś kurewsko sławny. Wygoogluj się.

- To tylko przywoła syf z Minnesoty - mówię, oddając mu telefon. Nie potrzebuję przypomnienia, jak kiedyś było i jak mogła wyglądać moja przyszłość. Już jestem tego świadom.

- Nie, nie przywoła. - Bierze telefon, wpisuje coś w wyszukiwarce, po czym oddaje mi go. Widać tonę wyników, ale na samej górze, zamiast uniwersytetu w Minnesocie, pojawia się nagłówek „Crew Gentry: On

pokona Huntera Davidsona”.

- Jesteś legendą - mówi Will. - Ale ten rzut przez biodro był trochę niechlujny.
- Co ty, kurwa, o tym wiesz? - śmieję się.
- Stary. Oglądam filmy Rondy Rousey.
- Och, w to nie wątpię.
- Poważnie. To moja forma wielozadaniowości. Porno i walki w jednym.
- Zamknij się już - śmieję się. - Skopałaby ci dupę.
- Byłbym naprawdę twardym zawodnikiem, padając na matę i mówiąc: Ujeżdżaj mnie, mała.

Parskam śmiechem i oddaję mu telefon.

Will wzrusza ramionami.

- Co masz dzisiaj w planach? Chcesz iść do Shenanigans?
- Wezmę prysznic i pewnie pójdę spać. To był długi dzień.

Will staje i wyciąga ręce nad głowę.

- W porządku. W takim razie spadam. - Podchodzi do drzwi i otwiera je. - Jeśli będziesz mnie potrzebował, dzwoń. W przeciwnym razie spiknę się z małym rudzielcem, którego niedawno poznałem.
- Znam ją?
- Nie. Ale jest w moim typie - uśmiecha się szeroko.
- Czy sama cipka nie sprawia, że każda jest w twoim typie?

- Wiesz, co lubię: trochę słodczy, trochę ostrości, odrobina zdzirowatości.

- Udanej zabawy - mówię, kręcąc głową.

Śmieje się i zamyka za sobą drzwi.

JULIA

Nienawidzę poczekalni.

Są nieludzkimi puszkami, gdzie przypadkowi ludzie czekają na złe wieści. Patrzą na siebie nawzajem, ale jednocześnie nie chcą złapać kontaktu wzrokowego. Słyszą swoje rozmowy telefoniczne, płacz, ale zachowują się, jakby tego nie słyszeli. Są tutaj z ważnych powodów, może nawet ceną jest życie albo śmierć, mimo to muszą zachować spokój, bo jeżeli się załamią, grupa nieznajomych „nie będzie” tego oglądać ani słuchać.

Wyciągam z torebki notatnik i staram się nie pozwolić sobie na błędzenie wśród natłoku myśli.

Muszę kontrolować to, nad czym jestem w stanie zapanować.

Temat przewodni mojego życia wyrywa się spod kontroli, świat idzie do przodu, a ja ciągle usiłuję nadążyć. Od dawna walczyłam o to, żeby zatroszczyć się o rzeczy, które *mogę* kontrolować. Czasami chodziło o pranie albo wyszorowanie kuchni przed pójściem spać, ale były to sprawy, dzięki którym miałam złudne uczucie, że mam w życiu coś do powiedzenia. Tak jak powiedziała mi wczoraj Olivia, *muszę* panować nad tym, nad czym *mogę*, a resztę *powin*nam odpuścić.

- *Zastanów się nad tym, Julio.*
- *Olivio, nic *mogę* tego zrobić. Tak bardzo nam pomogłaś. Nie *mogę* z tobą zamieszkać!*
- *Owszem, możesz. Musisz zrozumieć, że *będzie* o wiele trudniej i *będziesz* potrzebowała pomocy.*
- *Wiem, ale...*

- *Nie ma nic złego w przyjmowaniu pomocy. Zwłaszcza teraz. Nie będziesz w stanie pracować tyle, co teraz, a mieszkając razem, możemy dzielić się rachunkami. W ten sposób mogłabym zdjąć z ciebie część odpowiedzialności.*
- *Nie wiem...*
- *Ale ja wiem. Nie dasz sobie sama rady.*

Miałam wrażenie, jakbym się poddawała, jakbym przyznawała, że poniosłam porażkę. Zdałam sobie sprawę, jak wiele zmian w pracy będę musiała opuścić i ile opieki będzie wymagała Ever. Zrozumiałam, że muszę to przyjąć do wiadomości. Crew miał rację. Musiałam wybierać walki do stoczenia, ale w tym przypadku rak zdążył wybrać za mnie. Byliśmy w stanie wojny i musiałam zebrać wszystkie siły, nawet jeśli miała na tym ucierpieć moja duma.

Zaczynam robić listę godzin, w których będę w stanie pracować w biurze, oraz tych, które będę mogła spędzić w U Fitch, bazując na „cyklach”, które przedstawili mi lekarze. Przez tydzień Ever będzie poddawana zabiegom, a potem będą robić dwutygodniową przerwę, i tak w kółko, dopóki nie rozpoczniemy nowej terapii. Jeżeli chcemy zaatakować z całych sił, musimy dopilnować, by jej ciało było w stanie walczyć.

Biorę łyk wody z butelki, którą położyłam obok, i zaczynam robić kolejną listę. Jest to lista rzeczy, których muszę się pozbyć, zanim się przeprowadzimy. Staram się patrzeć na to obiektywnie i nie dopuszczać do siebie emocji tak jak po śmierci Gage’a, gdy wprowadzałyśmy się do obecnego mieszkania.

To tylko rzeczy. Można je zastąpić.

To niczego nie ułatwia. Niektóre z tych rzeczy są ostatnią pamiątką po poprzednim życiu, zanim wszystko się popsło w sposób, jakiego nigdy nie przewidywałam.

Moja torebka drży od wibracji telefonu. Wyjmuję go i patrzę na wyświetlacz. Numer wydaje mi się znajomy i myślę, że to pan Ficht.

- Tak?

- Julia?

Kładę rękę na czole i zaciskam powieki. Rozważam rozłączenie się, zanim padną kolejne słowa. Nie wiem, po co dzwoni, ale wiem, że czegoś chce. Kiedyś miałam jej niewiele do zaoferowania - teraz mam jeszcze mniej.

- Julia? Tu twoja mama.

- Tak?

Prycha.

- Nie musisz udawać tak zachwyconej moim telefonem.

Przez ułamek sekundy żałuję, że nie mam normalnej relacji z matką. Żałuję, że nie mogę poprosić, żeby ze mną posiedziała, porozmawiała ze mną, odwróciła moją uwagę... może przyniosła kawę, która nie stała cały dzień w dzbanku.

- Jesteś tam? - Wygląda na zirytowaną, a to, zamiast mnie wkurzyć, sprawia, że jestem jeszcze bardziej smutna.

Jeszcze bardziej samotna.

- Tak, jestem.

- Potrzebuję pomocy.

Podnoszę wzrok, gdy w poczekalni pojawia się lekarz w białym kitlu. Rozgląda się dookoła z beznamiętną miną i przez chwilę łapie ze mną kontakt wzrokowy. Przez to moje serce przestaje bić.

Wyczytuje nazwisko „Parker”, a płacząca rodzina wstaje i podąża za nim. Nie jestem w stanie powstrzymać ulgi, która mnie zalewa, i czuję się winna szczęściu, że to oni, a nie ja.

- Julio! Potrzebuję pomocy - powtarza z teatralnym westchnieniem.
- Jestem zajęta.
- A kto nie jest.

Boże, jeśli sprawisz, że wszystko będzie w porządku, obiecuję już nigdy więcej nie marudzić na nadmiar obowiązków. Nie będę narzekać na pranie, zmywanie czy dwie prace. Teraz to rozumiem. Przysięgam. Jedyne, co ma znaczenie, to zdrowie Everleigh. Proszę, jeżeli to lekcja dla mnie, to zrozumiałam ją.

- Tylko do następnego tygodnia - bełkocze. - Twój tatuś jedzie do Atlantic City ze znajomymi i potrzebujemy tylko kilka dolarów, żeby się tam dostać.

- Ja...

- Obiecuję, że wszystko oddamy... - kontynuuje, jej zmieniony papierosami głos załamuje się na końcówkach słów.

Drzwi otwierają się ponownie, a moim oczom ukazuje się Crew. Obserwuje mnie nerwowo, gdy się zbliża.

Zalewa mnie fala ulgi i nie jestem w stanie skupić się na słowach matki. Jedyne, co mogę, to patrzeć, jak Crew idzie w moją stronę. Nie wiedziałam, że się zjawi, nie oczekiwałam, że to zrobi, ale nie mogę zaprzeczyć, że jestem mu za to wdzięczna.

- Julio! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?
- Tak, mam. Ale nie mam pieniędzy. Przykro mi.
- Oddamy ci. Tata odegra się trochę podczas pobytu tam, a wiesz, jak

dobry jest w pokera.

- Nie mam pieniędzy, mam. Mam teraz bardzo dużo na głowie...

Telefon zostaje mi wyrwany z ręki. Sapię i podrywam głowę, by na niego spojrzeć.

- Nie waż się nigdy więcej dzwonić i prosić o cokolwiek, rozumiesz? - Crew wpatruje się we mnie płonąącym wzrokiem, przyciskając telefon do ucha. Ludzie odwracają głowy, by na nas spojrzeć, a mnie palą policzki. Słyszę, że coś wygaduje, po czym Crew odzywa się ponownie: - Gównu mnie to obchodzi. Zadzwońcie do niej raz jeszcze, a to ja będę pukał do *waszych* pieprzonych drzwi. - Słucha przez chwilę, po czym śmieje się, a z głębi jego gardła wydobywa się warknięcie. -Przyślij go tu. 1112 Culver Street. Z wielką chęcią go ugoszczę.

Odsuwa telefon od twarzy i patrzy na ekran. Rozłączyła się. Oddaje mi komórkę, żyła na jego skroni pulsuje.

- Jeśli zadzwoni jeszcze raz, powiesz mi o tym - rozkazuje. Jego niebieskie spojrzenie przypomina sztorm.

- To moja matka, Crew.

- To nie jest twoja matka, Jules. Nigdy nic dla ciebie nie zrobiła.

- Co cię tu sprowadza? - pytam z nadzieją, że odpuści.

- Mam nocną zmianę, więc chciałem podjechać i sprawdzić, jak maja się sprawy.

- Robią ostatni komplet badań, po którym przygotowują wszystko do pierwszej chemii. Chyba zaczynają w poniedziałek. - Wzdycham, czując na ramionach ciężar całego świata. - Dzisiaj powinni puścić nas do domu.

Kiwa głową i wiem, że nad czymś myśli. Rzuca spojrzenie na gapiów,

dopóki ci nie odwrócą wzroku. W końcu mówi:

- Dostałem dziś telefon.
- Od kogo?
- Menadżera biura, w którym wynajmowałeś mieszkanie. Powiedziano mi, że mogę przyjść w przyszłym tygodniu odebrać kaucję, którą wpłacałem przy twojej przeprowadzce, albo prześlą mi ją na konto. - Patrzy na mnie kątem oka. - Skoro już się wyprowadzasz i w ogóle.

Garbię się.

- Gdzie się przeprowadzasz? - Jest zbyt spokojny. Wiem, że za jego słowami czai się wybuch gniewu.

Chciałam mu o tym powiedzieć, ale nie miałam okazji. Decyzję podjęłam w ostatniej chwili, poza tym Crew nie znajduje się na szczycie mojej listy priorytetów.

- Miałaś rację - mówię smutno. - Muszę przestać walczyć ze *wszystkim*. Nie mam pojęcia, z czym mierzę się teraz, ale myślałam o tym, jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło. - Nienawidzę mówić o tym głośno, w dodatku *jemu*. - Z niczym nie nadążam, a będzie jeszcze gorzej. Muszę to wszystko scalić i starać się nie utonąć. Dlatego wprowadzamy się do Olivii.

Nic nie mówi, ale wiem, że usiłuje zachować spokój. Trzaska kłykciami, łokcie opiera na kolanach. Słucha mnie, a jego spojrzenie skupione jest na jakimś punkcie po drugiej stronie pomieszczenia.

- Zaoferowała mi pomoc wczoraj, a ja... nie chcę tego. Czuję się, jakbym przegrywała każdą walkę, Crew. Ale co mogę zrobić? Na tę chwilę ledwo wiązę koniec z końcem, a najlepsze, co będę mogła zrobić później, to w wolnych chwilach pracować w biurze i na nocnych zmianach u Fichtów, żeby mnie nie zwolnili i...

- Przestań.
- Co?
- Przestań paplać.
- Paplać? Jeśli nie chcesz słuchać tego, co mam do powiedzenia, to nie zadawaj pytań!

Szczeńka mu pulsuje, gdy mi się przygląda. Lustruje wzrokiem moją twarz i zaczyna unosić dłoń, ale opuszcza ją z powrotem na kolano.

- Zamieszkacie ze mną.
- Co?
- Ty i Ever wprowadzacie się do mnie - powtarza. -Jules, skończyłem z tobą pogrywać. Nie zamieszkacie z jakąś sąsiadką, gdy ja tu jestem. Mowy nie ma.
- Ona nie jest *jakąś sąsiadką*. Olivia była dla mnie zbawieniem.
- Jest dla ciebie dobra. Wiem. Ale my jesteśmy rodziną.

Prycham.

- Nie, ty i Everleigh jesteście rodziną. *My* - wskazuję na siebie, potem na Crew - nie jesteśmy.
- Semantyka. - Mruży oczy. - Ale jeśli przez to poczujesz się lepiej, dobrze. Pozwól mi to zrobić dla *mojej* rodziny. Dla Everleigh i Gage'a. Pozwól mi to dla nich zrobić, Julio. Na dłuższą metę wiele zyskasz.
- Crew... - zaczynam protestować, ale to, jak na mnie patrzy, sprawia, że chcę go wysłuchać.
- W swoim życiu każdemu wyrządziłem jakąś krzywdę. Wiem to. Wiem też, że mi nie ufasz, i masz do tego pełne prawo. - Cienie na jego

twarzy pogłębiają się, mówi ciszej. - Ale daj mi szansę, żeby zrobić coś dobrego. Daj mi szansę, żeby zrobić coś, z czego będę dumny, chociaż raz. - Uśmiecha się do siebie. - Daj mi szansę, by wydorosnąć.

Serce ściska mi się w piersi. Od bardzo dawna nie słyszałam tego Crew. Przypomina mi dawne lata, czasy sprzed zapasów. Każdy przychodził do niego, by słuchać o jego walkach i wyczynach. Ale w nocy, gdy leżeliśmy w łóżku, opowiadał mi inne historie. Nie było tam tej otoczki, fanfar, a czasami nawet kwestionował to, czy postąpił dobrze. Widziałam, że nie jest *tylko* złym chłopcem, za jakiego każdy go miał. Wiele czasu spędziłam na zastanawianiu się, dlaczego tak się zachowuje, skoro tam głęboko ma do zaoferowania o *wiele* więcej.

Myślałam, że ten Crew już dawno odszedł.

- Nie mamy nikogo więcej - mówi. Jego spojrzenie łagodnieje i uśmiecha się smutno. - Nie proszę cię, żebyś była dla mnie miła. Nie proszę o to, żebyś mi ufała. Nie proszę cię o to, żebyś mnie lubiła albo nie robiła mi awantur. - Uśmiecha się szerzej, a ja nie mogę nie odpowiedzieć tym samym.

- To dobrze. Bo to się nigdy nie stanie - mówię ze śmiechem.

- Nie proszę cię też o to, żebyś ze mną zamieszkała. Ja ci tylko mówię, co się stanie.

Może to dlatego, że wydaje się taki prawdziwy. Może to z przemęczenia. A może to przez zapach szpitala, który zniszczył za dużo moich komórek mózgowych.

Bez względu na powód, nie kłóć się z nim. Ale też nie godzę.

Pewnie popełniam kolejny błąd, ale przynajmniej innym będzie różniej.

JULIA

Popołudniowe światło wlewa się przez okna. Bank tętni życiem, klienci wchodzą i wychodzą, a ludzie siedzący za wielkimi biurkami śmieją się, ich głosy dochodzą z gabinetów za ścianami.

Wyciągam telefon z torebki i wysyłam wiadomość do Olivii. Nienawidzę być z dala od Ever, ale musiałam to zrobić i muszę mieć pewność, że nic jej nie jest. Odpisuje natychmiastowo:

Olivia: Koloruje i ogląda kreskówki. Wszystko jest w porządku.

Gdyby tylko naprawdę tak było.

Ręce mi drżą, gdy jakiś mężczyzna wypowiada moje nazwisko. Chowam telefon do torebki i wstaję, wygładzając koszulę. Staram się do niego uśmiechnąć, ale jestem pewna, że wyszedł z tego grymas.

Idę za nim długim korytarzem. Każdy krok daje mi czas na przemyślenie podjętej decyzji. Zwalczam chęć ucieczki z budynku. Chcę wyjść, *desperacko* tego chcę.

Ale wiem, że to tutaj znajduje się rozwiązanie kilku moich problemów i muszę sobie z tym poradzić.

Podpisuję listę, a w tym czasie mężczyzna otwiera wielkie, stalowe drzwi. Gdy jesteśmy w środku, składam kolejny podpis i pokazuję swój dowód tożsamości.

- Gdy pani skończy, proszę nacisnąć ten przycisk - mówi, wskazując na ścianę - a ja przyjdę i panią wyprowadzę.

Kiwam głową i dziękuję mu. Wychodzi i pozwala, by drzwi zamknęły

się za nim. Pomieszczenie jest wielkie, a na trzech z czterech ścian znajdują się rzędy stalowych skrzynek. Byłam tutaj tylko raz, a dzisiaj przyszedłam odkręcić to, co zrobiłam za pierwszym razem.

W środku jest zimno. Drzę, pewnie bardziej z nerwów niż od temperatury. Pozwalam stęchłemu powietrzu wypełnić moje płuca, po czym obchodzę stojący na środku pomieszczenia stół i patrzę na skrynkę o numerze 7285.

Wyciągam klucz z kieszeni i otwieram ją.

Ręce mi drżą, skrynka też, gdy wysuwam ją ze ściany. Kładę ją na stole i robię krok w tył.

Nigdy nie zagłębiałam do środka.

Gage wykupił skrytkę depozytową zaraz po naszym ślubie. Wiem, że znajduje się w niej nasze pozwolenie na zawarcie małżeństwa, a także kilka rzeczy jego mamy, które chcieliśmy ocalić. Nic poza tym. Kiedy byłam tu pierwszy raz, wrzuciłam po prostu obrączkę do środka i wyszłam.

Odsuwam krzesło i siadam. Rozglądam się dookoła i zastanawiam się, czy ktoś mnie obserwuje. Jestem pewna, że to nagrywają, i czuję, jakby mnie szpiegowano, przeszkadzano w przeżywaniu intymnej chwili. Mam ochotę pokazać im środkowy palec i choć przez chwilę popłakać. Dziwne, ale odbieram to jako częściowe katharsis.

Nie chcę tego robić, ale nie mam innego wyjścia. Crew miał rację, mówiąc, że muszę przestać ze wszystkim walczyć. Everleigh jest teraz najważniejsza. I choć zrobienie tego rozerwie mnie na pół, wiem, że Gage by zrozumiał. Zawsze powtarzał, że zrobimy wszystko, żeby Ever miała lepsze życie niż my.

Zrozumiałby.

Gula w gardle, która zdaje się stamtąd nie zniknąć, zaczyna palić, gdy

wkładam rękę do skrzynki. Na samej górze leży foliowy woreczek, więc wyjmuję go i otwieram. Zawartość wysypuję na stół. Medalion, który należał do mamy Gage'a, odbija światło. Po blacie toczy się kilka starych monet.

Znajduję tam dwa stare zdjęcia z dzieciństwa Gage'a i Crew. Na jednym są na plaży, mają prawdopodobnie siedem albo osiem lat, a Crew przyprawia Gage'owi królicze uszy. Drugie zostało zrobione pewnie w czasie świąt, ponieważ przedstawia Gage'a i Crew śpiących wśród stosów papieru prezentowego. Wyglądają przeuroczo ze zmierzwionymi włosami i malutkimi, ślicznymi buziami. Przypominają mi Everleigh, dlatego przyciskam zdjęcie do ust, po czym odkładam je na bok.

Chwytam do ręki bilety koncertowe. Pod nimi leży zdjęcie z naszej pierwszej randki. Do oczu napływają mi łzy. Patrzę na nim kątem oka na Gage'a, który uśmiecha się do obiektywu i obejmuje mnie opiekuńczo w pasie ramieniem.

Dostrzegam obrączkę i wyciągam po nią rękę, ale mój wzrok przykuwa koperta. Oddech więźnie mi w gardle, gdy widzę na niej swoje imię zapisane pismem Gage'a.

Przez moje ciało przebiega dreszcz. Usta mam otwarte, czuję mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Wyciągam kopertę ze skrzynki i przesuwam palcem po swoim imieniu. Po moim policzku spływa samotna łza.

Koperta jest lekko poślizgnięta od leżenia w skrytce. Obracam ją ostrożnie i otwieram. W środku znajduje się kartka papieru. Wyjmuję ją i, z bijącym mocno sercem, powoli rozkładam.

Kochana Jules,

PRzyszedłem tu dzisiaj w pośpiechu, żeby zostawić kilka rzeczy i postanowiłem napisać do Ciebie list. BaRdzo dużo

myślałem o mojej mamie. Prawdopodobnie dlatego, że zaczyna się sezon baseballowy i stRasznie kibicowałyby Red Soxom. Myślę, że dobrze im pójdzie. W każdym Razie, myślałem też o tym, co Raz mi powiedziała. Powiedziała, że gdy tata odszedł, a oNa była w ciąży z CRew, najgoRsze w tym wszystkim było Nie wiedzieć, co robić. To oN zawsze się o wszystko tRoszczył, a potem po pRostu odszedł i Nie miała pojęcia, jak sobie z czymkolwiek poRadzić. PRzez to Nasza mNie Refleksja - gdyby mNie zabrakło, wiedziatabyś, co Robić? StaRam się chRonić Cię przed wszystkim i spRawić, by Twoje życie było jak Najłatwiejsze. Mam choleRNą Nadzieję, że Nigdy nie będziesz musiała żyć beze mNie, ale Różnie bywa, wiesz? Tylko jedno się Nigdy Nie stanie - Nie odejdę od Ciebie dobRowolnie.

Jesteś moim światem.

JedNak, jeżeli cokolwiek się stanie, chcę, żebyś zapamiętała kilka rzeczy. Po pieRwsze, zawsze pamiętaj, że Cię kocham. Zawsze. A jeśli będziemy mieli dzieci, pRzypominaj im, że je także kocham. Jeszcze ich nie poznałem, ale jestem w StaNie wyobRazić sobie, że są małymi kopiami Nas. I upewnij się, że będą fanami Soxów.

Nie bój się. Wiem, że łatwiej powiedzieć, Niż zRobić, ale Nie bój się. Jesteś o wiele silNiejsza, niż myślisz. To Twoja siła iNspiRuje mNie każdego dNia. PoRadzisz sobie.

W skRzynce schowałem zdjęcie moje i CRew. Jesteśmy na plaży, a ten gnojek przyprawia, mi te głupie kRólicze uszy. To zdjęcie zostało zRobioNe pewnego ranka, gdy postanowiliśmy iść popływać z Willem i jeszcze jedNym dzieciakiem, któRego nie pamiętam. Później Razem z Crew kupiliśmy luNch. Chciał dRugiego loda, ale nie dałem mu, pieniędzy, bo musieliśmy zaNieść je do domu, Był stRasznie zły, obRaził się i nie odzywał do mNie cały dzień.

Typowe, wiem.

No, poszedłem wtedy popływać z Willem i tym drugim. Zacząłem się topić. Pamiętam, że widziałem światło przebijające przez taflę wody, pamiętam, że rozrywało mi klatkę piersiową, brakowało mi tlenu. Wydostałem się na powierzchnię, ale nie starczyło mi czasu, by zawołać, o pomoc. Rzucano mną jak piłką. W końcu, udało mi się pozostać ponad powierzchnią wody wystarczająco długo, by dostarczyć Willa i tego drugiego chłopaka. Stali na brzegu. Wskazywali na mnie, ale nie ruszali w moją stronę. Wtedy zrozumiałem, że już po mnie. Czuję zmęczenie, głowa robiła się ciężka, w piersi czułem ból. Dławiłem się słoną wodą. I wtedy poczułem, jak coś chwyta mnie za nogę. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, iż pożarcie przez rekina będzie szybszą śmiercią niż utonięcie.

Wtedy ktoś objął mnie ramieniem w pasie i wyciągnął spod wody. Mój maty braciśzek potrząsał mną, i kazał koniecznie „wydorosnąć”. Wyciągnął mnie na brzeg, a ja wyrzygałem litry słonej wody, ale nic mi nie było.

Tamtego dnia CREW ocalił mi życie.

Mówię Ci o tym nie bez powodu skarbie. Wiem, że Ty i CREW rzadko się widujecie, wiem że niewiele o nim myślisz. Wiem, że Cię skrzywdził i że potrafi być nieobliczalnym kutafonem. Ale wiem coś jeszcze - gdy go potrzebowałem, nigdy mnie nie zawiódł. Ciebie też nigdy nie zawiedzie. Wiem, że czeka go długa droga do dośrodości, ale wiem też, że zrobi, co tylko będzie konieczne. Jeżeli jest na tym świecie ktoś, komu ufam na tyle, żeby się Tobą zaopiekował, to jest to mój brat.

Żyj szczęśliwie. Chcę, żebyś czerpała, ze wszystkiego radość, uśmiechała się i śmiała. Nie chcę, żebyś usiłowała robić

wszystko sama, a wiem, że tak będzie. Nie ohoę, żebyś była smutna, odmawiała sobie czegokolwiek i czuła się wiNNa temu, że żyjesz. Chcę, żebyś mi obiecała że Nie będziesz Niczego żałować. Że zRobisz wszystko co koNieczNe, żeby Twoje życie Cię satysfakcjOnowało. Nie żałuj żadNyoh decyzji aNi wyborów, pRzed któRymi staniesz. ZNam Twoje seRce i Twoją duszę. Będę Cię wspieRał w stu pRocentaoh, chyba że pRzez Ciebie Nasze dzieci zostaną fanami JaNkesów.

Muszę wRacać do pRacy. Mam Nadzieję, że po pRostu, zmaRNowałem dwadzieścia miNut na pisanie tego i pokażę Ci ten list, gdy będziemy mieli po osiemdziesiąt lat, żeby mieć się z czego pośmiać. Robię dzisiaj seRnik. mam Nadzieję, że będzie Ci smakował.

Kocham Cię,

Gage

Przyciskam papier do piersi i wpatruję się w ścianę naprzeciwko. Czuję się tak, jakby był tu ze mną, i nie chcę, żeby to się skończyło. Chcę zatrzymać się w tej chwili, gdy czuję się kochana i bezpieczna, gdy żyję w krainie wspomnień, tak długo, jak tylko się da.

Słyszę szelest papieru i odsuwam ręce od piersi, bo zdaję sobie sprawę, że zaczęłam go zgniatać. Czytam list raz jeszcze, w głowie słyszę jego głos i już wiem, co muszę zrobić.

JULIA

„Nie żałuj żadnych decyzji ani wyborów, przed którymi staniesz”.

Ręce mi się pocą, więc wycieram je o spodnie. Gdy mijam sterty rzeczy ustawione na podłodze sklepu, z głośników leci stara piosenka country. Wzdłuż ściany ciągnie się długa szklana lada, na niej zawieszono są rzędy różnego rodzaju strzelb.

Na samym końcu, pijąc kawę, siedzi starszy pan. Nie zwraca na mnie uwagi i dalej rozwiązuje krzyżówkę.

Zakładam kosmyk włosów za ucho i szukam kogoś innego, kto mógłby mi pomóc.

Sklep jest pusty.

- Przepraszam? - wołam go drżącym głosem.

Podnosi wzrok, ale nic nie mówi.

- Czy mógłby mi pan pomóc?

Wstaje i odkłada długopis.

- Co mogę dla ciebie zrobić, panienko?

- Mam to - mówię, idąc w stronę lady. Kładę na niej swoją obrączkę, dźwięk temu towarzyszący wydaje się głośniejszy, niż jest w rzeczywistości.

- Czy należy do ciebie?

Kiwam głową, przetykając gulę w gardle.

- Skąd ją masz?

- To moja obrączka.

Prawie nie jestem w stanie tego zrobić. Czuję atak paniki tak silny, że natychmiast prostuję plecy i staram się wyglądać na jak najbardziej zdecydowaną.

- Chce ją pani zastawić czy sprzedać? - Odkłada obrączkę i opiera się o ladę. Wydaje się być ciekawy, ale ja nie chcę z nim rozmawiać. Chcę mieć to jak najszybciej za sobą.

- Cóż, nie będzie mnie stać na wykup, więc chcę ją sprzedać. - Głos lekko mi się załamuje, ale zaciskam zęby. Muszę to zrobić. Potrzebuję pieniędzy.

- Gdy ją pani sprzeda, będzie moja. Zdaje sobie pani z tego sprawę?

Kiwam głową, bo nie ufam swojemu głosowi. Walczę z potokiem łez, który we mnie wzbiera.

Wzdycha.

- Mogę pani dać pięćset dolarów.

Cała nadzieja ucieka ze mnie, jakby ktoś ją przesiał przez sito. Sprzedaż obrączki, najcenniejszej dla mnie rzeczy, jest naszą ostatnią deską ratunku. Pięćset dolarów nie starczy na zbyt długo.

Ale na tę chwilę wystarczy.

~ Czy mogę panią o coś zapytać? - Zdejmuje okulary i kładzie je na ladzie. - Dlaczego ją pani sprzedaje? Rozwiodła się pani?

- Mój, hmm... - Patrzą na zegar między dwiema strzelbami nad jego głową. Słyszę tykanie wskazówki sekundowej i jest to niemal hipnotyzujący dźwięk. - Eee, mój mąż zmarł, a ja potrzebuję pieniędzy.

- Na wyjazd? - Czoło ma zmarszczone, mruży oczy.

Prycham na tę insynuację.

Chciałabym.

Staram się uśmiechnąć uprzejmie, sfrustrowana, że to tak długo trwa, i zirytowana, że pomyślał sobie, że mogłabym sprzedać swoją obrączkę, żeby mieć na wyjazd. Mam ochotę wrzasnąć na niego, wytknąć mu głupotę tego pytania, ale nie chcę tego przedłużać. Każde pytania pogłębia tylko ból.

- Nie, proszę pana. Moja córka ma raka, a ja zostałam bez środków do życia - mówię szorstko, ale czuję, że drży mi dolna warga.

Obserwuje mnie przez chwilę, po czym podnosi okulary. Zakłada je, pochyla się i wyciąga spod lady formularz.

- Wypełnij to, skarbie. Za chwilę wrócę.

Odpowiadam na pytania zawarte w formularzu i wyciągam prawo jazdy, starając się nie skupiać na tym, co robię. Nie chcę o tym myśleć. Mam świadomość, że obrączka leży po mojej prawej stronie i aż mnie korci, żeby ją zabrać i stąd uciec.

Mężczyzna wraca i zabiera formularz. Dopisuje kilka rzeczy i oddaje mi prawo jazdy. Chowam je do portfela i patrzę na niego wyczekująco. Ściany zbliżają się do siebie, a mi zaczyna brakować tchu.

Wręcza mi osiem studolarowych banknotów.

- Powiedział pan pięćset - mówię, patrząc na niego.

- Weź je.

- Proszę pana... - nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej. Czuję ciepło w piersi i palenie w gardle. Wiem, że nic z siebie nie wykrztuszę.

- Moja żona i ja będziemy się modlić za twoją córkę. Mamy nadzieję, że wydobrzeje, skarbie.

Mogę jedynie kiwnąć głową i uśmiechnąć się. Po mojej twarzy spływają łzy. Pozwalam sobie spojrzeć raz jeszcze na symbol miłości, który Gage nasunął mi na palec pewnego pięknego sierpniowego dnia, po czym wychodzę.

Crew

Napieram stopą na stopień, a ten ugina się lekko. Jak zwykle - właściciel naprawił go, ale zrobił to na pół gwizdka. Całe szczęście, że się wyprowadzają, bo mam przeczucie, że jeszcze trochę, a doszłoby między nami do konfrontacji.

Przesuwam wykałaczkę w ustach i patrzę na ulicę. Nie jestem pewien, gdzie pojechała Jules, a Olivia, nawet jeśli wie, to mi nie mówi. Pozwoliła mi zobaczyć Ever. Spała w swoim łóżku. Wydawała się trochę blada, ale dobrze było na nią popatrzeć. Łapacz snów, który jej dałem, wisiał w oknie, i mam cholerną nadzieję, że działa. Jej życie stanie się jednym wielkim koszmarem, nieważne, czy jest tego świadoma, czy nie. Sny powinny być dla niej wytchnieniem.

Mała toyota Julii toczy się ulicą i zatrzymuje przy krawężniku. Jules podnosi wzrok, po czym odwraca się na chwilę plecami i dopiero wtedy wysiada.

Idzie w stronę domu chodnikiem.

Im bliżej się znajduje, tym dokładniej dostrzegam jej zapuchnięte oczy. Przyspiesza.

- Cześć - mówi, pociągając nosem.
- Hej.
- Wszystko w porządku? Olivia nie dzwoniła.
- Wszystko jest w porządku. Ever śpi.

Widzę ulgę na jej twarzy. Poprawia torbę na ramieniu.

- Gdzie byłaś? - pytam.
- Musiałam załatwić kilka spraw.
- Na przykład?
- A kim ty jesteś? Moją nianią? - warczy. Uderzyłem w czuły punkt, ale nie wiem, o co chodzi. Przez to jestem tylko bardziej zdeterminowany, żeby się dowiedzieć.

Wbijam w nią spojrzenie, tym samym ostrzegając, żeby nie przeginała.

- Może.
- Idź stąd, Crew. - Przewraca oczami i zaczyna wchodzić po schodach.

Prostuję się, patrząc na nią z góry. Coś się stało, a ona nie chce mi powiedzieć. Znowu. To się musi skończyć.

- Gdzie byłaś, Jules? - mówię oschlej, niż planowałem, ale pieprzyć to. Skończyłem bawić się z nią w gierki.
- Próbowałam zapłacić rachunek za wodę - mówi, kładąc rękę na biodrze. - Gdybym nie zapłaciła go przed wyprowadzką, zatrzymaliby kaucję, a ja potrzebuję pieniędzy. Okazało się jednak, że został zapłacony. - Wpatruje się we mnie.
- Skąd wzięłaś pieniądze na spłatę? - Przez moją głowę przewijają się setki scenariuszy i żaden z nich mi się nie podoba. Nie ma pieniędzy na nic. Skąd je bierze?

Zaciskam szczękę i czekam na odpowiedź.

- To nie twoja sprawa. - Chce mnie ominąć, ale staje jej na drodze.

Wyciągam rękę i chwytam ją za ramię. Obracam ją, żeby spojrzała mi w twarz.

- To *jest* moja sprawa. Skąd wzięłaś te pieprzone pieniądze?

Jej oczy zachodzą łzami, a mnie ścina z nóg. Nie wiem, co się dzieje. Jeżeli ktoś ją skrzywdził albo zmanipulował, rozerwę go na milion pierdolonych, mikroskopijnych kawałeczków.

- Sprzedałam obrączkę - szepcze.

- Po jaką cholere to zrobiłaś?

- Ja po prostu... - Cała się trzęsie. - Potrzebuję pieniędzy...

Nagle po jej twarzy zaczynają płynąć łzy. Przyciągam ją do siebie i obejmuję mocno. Wtula twarz w moją pierś i bije mnie zaciśniętymi pięściami, szlochając w koszulę. Przytulam ją jeszcze mocniej i pozwalam jej wyżyć się na mnie.

Ściska materiał mojej koszuli w rękach i płacze tak, jak nigdy nie widziałem, żeby płakała. Zabija mnie to. Czuję się tak kurewsko bezradny, tak niezdolny, by to naprawić.

Nie jestem w stanie naprawić źródła nieszczęść - nie umiem uzdrowić Ever. A sam Bóg wie, że gdyby to tylko pomogło, oddałbym jej własne serce.

Gdy trzymam Jules w ramionach i czuję jej rozpacz oraz to, jak jest załamana, upewniam się, w czym *mogę* pomóc. I zrobię to, czy jej się to spodoba, czy nie.

Wydoroślej.

Odsuwa się i odgarnia skołtunione włosy ze swojej pięknej twarzy.

- Przepraszam - szepcze, odchrząkując.

Daję jej chwilę na opanowanie się, zanim cokolwiek mówię.

- Powiem to tylko raz, Jules. I nie ma tu miejsca na dyskusję.

Nie spiera się ze mną, ale usiłuje zmienić temat.

- Myślałam, że dzisiaj pracujesz.
- Wziąłem wolne, żeby pomóc wam się do mnie wprowadzić. Tak jak to uzgodniliśmy w szpitalu.
- Co do tego...
- Tak, co do tego. - Unoszę jej brodę, żeby móc popatrzeć jej w oczy. - Doceniam to, że chcesz zadbać o wasze życie. Wiem, że czujesz się słaba, potrzebując kogoś. Wiem, jak to było z twoimi rodzicami, pamiętasz?

Uśmiecha się smutno.

- Wiem też, co ci zrobiłem, więc naprawdę rozumiem. Rozumiem twój każdy głupi powód, dla którego nie chcesz, żebym się w to angażował. I, patrząc na to logicznie, pewnie masz rację. Ale ja nie patrzę na to logicznie i nie pozwolę, żeby to tak dalej wyglądało. Sprzedanie obrączki było głupotą, Jules.
- Jestem tak bardzo zadłużona, Crew. I nie wiem, kiedy wyjdę na prostą. Potrzebuję pieniędzy, żeby przetrwać: jedzenie, paliwo, szpital...

Puszczam jej brodę.

- Od teraz działamy w ten sposób. Słuchaj uważnie, rób notatki, jeśli musisz, ale - na Boga - słuchaj mnie. Wprowadzacie się do mnie. Ja opiekuję się tobą i Everleigh, przynajmniej do czasu, aż jej się polepszy. Gdy to się stanie, bo *stanie*, Jules, wtedy - jeżeli będziesz chciała się wyprowadzić - omówimy to. Ale w tej chwili, w tym miejscu wybaczam granicę i dobrze będzie, jeśli jej nie przekroczysz.
- Nie stać cię na to, żeby się nami zająć.
- Julio. Skończ.

Wzdycha i opusza wzrok. Jest tak samo blada jak Everleigh. Policzki ma zapadnięte, usta szorstkie. To jest tak kurewsko smutne.

- W tej chwili twoim zadaniem jest martwić się o tę małą dziewczynkę, którą kochamy. Moim jest zająć się resztą. Skończyłem udawać, że jesteś superwoman.

- Ale to, że ty będziesz udawał supermena, jest w porządku?

- Dokładnie. Jeśli chcesz mnie tak nazywać, nie krępuj się.

Zaczyna się uśmiechać, ale szybko nad sobą panuje. Wiem, że coś ją martwi i wiem też, że będziemy tu stać cały dzień, jeżeli nie zmuszę jej do wykrztuszenia tego. Dlatego naciskam.

- Co się dzieje? Dlaczego tak patrzysz?

- Nie zostawisz nas? - pyta cicho.

- Nie. - Jest to najprostsza i najszczerza odpowiedź, jaką mogę jej dać. Nie mam pojęcia, jak to wszystko ogarnę, ale zrobię to. Muszę.

Znowu na mnie patrzy. Po raz pierwszy od dawna widzę w jej oczach odrobinę nadziei.

- Po prostu nie wiem, czy dobrze postępujemy. To znaczy, co sobie pomyśli Ever? Czy przez to poczuje się zagubiona? I Gage...

- Coś ci powiem - mówię i ruszam w stronę domu. Nie będę się z nią bawił w dwadzieścia pytań. Nie znam odpowiedzi na wszystko. Wiem jedynie, że działamy po mojemu. - Możesz zadzwonić po policję, żeby mnie stąd zabrali, ewentualnie możesz ruszyć tyłek, żeby pomóc mi pakować wasze graty.

Julia

Moje myśli pędzą jak szalone i nie jestem w stanie nad nimi zapanować. Może to być skutkiem dzbanka kawy, który wypięłam, braku snu albo faktu, że nadszedł dzień, którego nigdy się nie spodziewałam. Dzień, w którym przeprowadzam się do Crew Gentry'ego.

Robię to dla Everleigh i jestem pewna, że niewiele to między nami zmieni, co nie znaczy, że nie mam zszarganych nerwów. Nie chciałam, żeby to się stało... bynajmniej. Wolałabym zostać w tym mieszkaniu, niż wprowadzić się do niego, ale nie mam wyboru. A gdy rozważyłam wszystkie możliwości, zrozumiałam, że będę potrzebowała pomocy, a Ever będzie szczęśliwsza z nim niż z Olivią. Dlatego robię to, co jest konieczne.

Boże, pomóż nam.

Rozglądam się szybko po mieszkaniu. Wszystko, co do mnie należy, znajduje się w kartonach ustawionych wzdłuż ściany salonu. Crew ma meble, a mnie nie stać na wynajęcie magazynu, w którym przechowywałabym swoje. Bratanek Olivii ma tu przyjść i wziąć to, czego nie wezmę ja. Zeszłego wieczoru pomogła mi się spakować, a dzisiaj rano przysłała z kawą. Tylko za nią będę tęsknić. To miejsce nigdy nie było dla mnie domem.

Rozlega się szybkie pukanie i drzwi się otwierają. Crew zagląda do środka. Uśmiecha się szeroko, wchodzi i zamyka drzwi za sobą.

Widzę wahanie w jego oczach, przygląda mi się z dużą ostrożnością. Potem rozgląda się dookoła, a jego wzrok spoczywa na kartonach. Gdy znowu patrzy na mnie, wydaje się bardziej pewny siebie.

- Gotowa? - pyta.

Biorę głęboki oddech.

- Tak sędę. Część rzeczy zapakowałam do samochodu. Tylko to zostało.

- Co z meblami? Chcesz któreś zabrać?

Kręcę głową.

- Nie. Potrzebujemy tylko łóżka i szafy na ubrania. Jeśli znajdziemy je w twoim wolnym pokoju, poradzimy sobie.

Staram się skupić na pozytywach. Na tym, że będziemy miały gdzie mieszkać. Że dzięki Crew, ulubieńcowi Ever, wszystko będzie dla niej lepsze. Że nie będę musiała martwić się o rachunki. Jeżeli nie będę o tym myśleć, nie zacznę panikować i skupiać na tym, że to wszystko skończy się kolejną tragedią. Że przecież wiem lepiej.

Gdybym miała inne wyjście, skorzystałabym z niego. Ale nie mam.

Crew uśmiecha się, a jego pełne usta rozchylają się. W świetle wpadających przez okno promieni słońca wygląda młodziej. Jego uśmiech uspokaja mnie trochę i doceniam to, że moje nerwy nieco ustąpiły.

Choć jestem z tego powodu przerażona, jego także doceniam.

-Tak, znajdziecie. Will przyjedzie za kilka minut. Jeśli chcecie jechać z Ever pierwsze...

-Wujek Crew! - piszczy Ever, gdy wpada przez drzwi, a za nią do środka wchodzi Olivia. Mała biegnie do swojego wujka, choć nie tak szybko, jak zwykle. Jest zmęczona, jej małe ciało przeszło przez ostatnie dni bardzo dużo. Crew podnosi ją i trzyma jedną ręką.

- Hej, małpeczko. Gotowa jechać ze mną do domu?

- Tak! Tak się cieszę, że razem zamieszkamy! Upewniłam się, że

mamusia spakowała nasz rodzinny rysunek. Możemy go powiesić w twoim domu?

Crew uśmiecha się szeroko.

- Teraz jest to także twój dom. Rysunek możesz powiesić, gdziekolwiek zechcesz. - Ever rozpromienia się, a Crew przenosi wzrok na mnie. - Możecie jechać pierwsze. Ja rozpakuję wasze rzeczy, gdy dotrę na miejsce. Po prostu wejdźcie do środka i rozgoście się.

Wyciągam rękę po Ever, a ta wtula się we mnie. Jest lżejsza niż tydzień temu.

- Do zobaczenia niedługo.

Szybko mogłabym poczuć się przytłoczona emocjonalnie tą sytuacją. Zaczynamy nowy rozdział w naszym życiu. Nie wiem, co przyniesie przyszłość. Mam jedynie świadomość, że jestem teraz zależna od mojego szwagra. Staram się wszystko układać sobie w głowie w odpowiednich przegródkach. Rak Ever w jednej. Rzeczy, które muszę zrobić, żeby sobie z tym rakiem poradzić, w drugiej. Pozostałe rzeczy w kolejnej. Tylko w ten sposób przetrwam. Nie jestem w stanie zrozumieć, co czuję na myśl o wszystkim innym, bo wtedy moje emocje przekroczyłyby wszelkie granice. Od złości i załamania diagnozą Ever, przez zawstydzenie tym, że potrzebuję pomocy Crew, po wyczerpanie radzeniem sobie ze wszystkim. Ledwo dawałam radę.

- Chyba niedługo się zobaczymy - mówię do Olivii.

Wyciera łzę z kącika oka.

- Jesteście dla mnie jak rodzina - mówi, przytulając mnie i Ever. - Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, Julio, dzwoń. Nieważne, o jakiej porze i z jakiego powodu. Dzwoń.

- Tak zrobię.

- Zadzwoń - mówi radośnie Ever - bo będziemy musiały często widywać ciebie i Rory. Kocham cię.

Olivia śmieje się przez łzy i głaszcze ją po głowie.

- A ja kocham ciebie, dziecinko. - Przenosi spojrzenie na mnie. - Zadzwońiłaś do szkoły?

- Tak, prześlą jej materiały do domu i tam będziemy nad nimi pracować. Bardzo dobrze do wszystkiego podeszli. Jeśli na początku następnego roku szkolnego będzie gotowa do powrotu, wszystko będzie w porządku. - Wypuszczam oddech, po czym oglądam się przez ramię.
- W takim razie widzimy się w domu?

Crew kiwa głową, na jego twarzy widać, że bije się z myślami. Mam nadzieję, że nie zaczyna wątpić w swoją decyzję, bo jestem stuprocentowo pewna, że to byłby koniec.

CREW

Patrzę, jak Julia wychodzi. Everleigh macha mi przez jej ramię. Odmachuję, a jej oczy rozjaśniają się. Czuję ściskanie w żołądku.

Mam nadzieję, że to dobra decyzja, że nie zniszczę ich życia jeszcze bardziej, wtrącając się do niego, bo niszczenie to moja specjalność. Potrafię pracować. Potrafię grać w karty. Radzę sobie z samochodami. Ale *nie* potrafię dogadywać się z ludźmi.

Od zawsze kiepsko mi szło z innymi, przede wszystkim dlatego, że większość osób trzymam na dystans. Jest to dla wszystkich bezpieczniejsze. W przeciwnym razie zrobię coś nieodpowiedzialnego i skrzywdzę je, tak jak mamę i Gage'a. Celowo czy nie, to zawsze się tak kończy.

- Crew, chcę ci coś powiedzieć.

Podskakuję na dźwięk jej głosu. Zapomniałem, że Olivia wciąż tu jest.

- Tak, o co chodzi?

- Nie znałam twojego brata, i ciebie także za dobrze nie znam. Jednak chciałam ci podziękować za to, że bierzesz dziewczyny pod opiekę. Wiem, że troszczysz się o Julię już od jakiegoś czasu, a ona wciąż się z tobą kłóci...

- No tak, cóż... - brzmie oschle. Odwracam się do niej plecami i udaję, że patrzę na kartony. - Jules była żoną mojego brata. Nie mam wyboru.

Moje słowa spotykają się z ciszą. Czekam, aż coś powie, ale tego nie robi. Odwracam się i widzę, że opiera się o ścianę.

- Masz wybór. Poza tym widzę, jak patrzysz na nią i Everleigh. Zależy ci na nich. Nie tylko dlatego, że były żoną i córką twojego brata.

- To daleko wyciągnięte wnioski - mówię obcesowo. Nie wiem, do czego zmierza, ale powinna się zamknąć.

- Przepraszam. - Otwiera drzwi, ale nie wychodzi. - Słyszałam o tobie i twoim bracie różne historie. Chcę tylko powiedzieć, że twoja mama świetnie was wychowała. Jesteś dobrym człowiekiem.

Miejmy nadzieję.

19

CREW

Puk, puk, sukinsynu.

Podnoszę wzrok i widzę, że do środka wchodzi Will. Zamyka za sobą drzwi, a jego spojrzenie ląduje na stosach kartonów walających się po pokoju.

- Twoja nerwica natręctw jeszcze cię nie zabiła? - Śmieje się, pukając w jedno z pudeł.

Robię kolejne dwadzieścia pompek i wstaję. Zniknął, ale słyszę, że grzebie w lodówce.

- Zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiał je karmić? - krzyczy zza ściany. Pojawia się z piwem w ręku. - Tak jakby, no, nie masz nic do jedzenia.

- Bez jaj, Sherlocku.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że będą tu mieszkać.

- Właśnie, skoro już o tym mowa. W razie odwiedzin będziesz musiał zacząć pukać.

Will wzdycha dramatycznie.

- To będzie chujowe.

Kieruję się do kuchni, a gdy go mijam, trącam go ramieniem. Chwytam butelkę wody i wypijam połowę.

Mam nadzieję, że się myli.

Miniona noc była nieco dziwna.

Pościel z łóżka dla gości leży na środku podłogi. Zmienia ją, a w pokoju czuć lizol.

- *Co ty robisz?- pytam, opierając się o futrynę.*
- *Ścielę łóżko.*
- *Ta pościel była czysta.*

Uśmiecha się, zawstydzona.

- *Wiem. Nie mam co do tego wątpliwości. Po prostu... Pomyślałam, że może Ever będzie lepiej pod naszą pościelą?*
- *Wiesz, że nie jestem syfiarzem, Jules. Traktowanie materaca lizolem nie było konieczne.*
- *Wiem. Naprawdę. To znaczy, wiem, że nie jesteś brudasem. - Śmieje się z przymusem i podnosi pościel. - Włożę ją do pralki.*

Mija mnie, a kilka minut później znajduję ją w kuchni, gdzie szoruje blaty.

Wciąż powtarzam sobie, że to przez to, że spędzały tu pierwszą noc. Nie zmienia to faktu, że nadal mam mieszane uczucia. Poczuję się, jakbym był jakimś pieprzonym nieznajomym, z którym zostały zmuszone zamieszkać. Wydawała się nie ufać wszystkiemu, co jest związane z naszą obecną sytuacją, w tym mojej czystości czy charakterowi.

Nasze dotychczasowe relacje były nie więcej niż komfortowe. Wydaje mi się, że oczekiwała, że parsknę śmiechem i powiem, że żartowałem z całą tą przeprowadzką. Nieważne, co bym zrobił, nie jestem w stanie sprawić, żeby się zrelaksowała. Nawet entuzjazm Ever zdaje się nie pomagać. Wiem, że martwi się, co pomyśli o tym wszystkim Everleigh,

ale wydaje mi się, że przesadza.

Poszły spać bardzo wcześnie i nie widziałem ich rano, gdy wychodziłem do pracy. Pod leżącą na stole koloro-wanką zostawiłem dla Ever ciążutkę.

- Gdzie teraz są? - pyta Will, rozglądając się dookoła.
- Wysłałem je do sklepu. Mówiłem, że pójdę, ale wtedy Julia zaczęła mówić mi, co lubi Everleigh. Uznałem, że będzie łatwiej, jak dam jej pieniądze i sama to załatwi.
- Jesteś dojrzały ode mnie - mówi, wzruszając ramionami.
- Co to miało, kurwa, znaczyć?
- Bierzesz na siebie całą rodzinę, stary. To duża odpowiedzialność. - Zaciska usta. - Właśnie dałeś lasce pieniądze i pozwoliłeś jej z nimi wyjść. To...
- Jeżeli tego nie rozumiesz, to wypierdalaj stąd.

Unosi obronnie rękę.

- Wyluzuj. Mówię tylko, że to, co robisz... jest dobre. Niewielu koleś po dwudziestce tak potrafi.

Jestem gotów rozerwać go na strzępy, ale dzwoni mój telefon. Rzucam mu miazdzące spojrzenie, po czym idę do salonu. Telefon leży na stoliku do kawy.

- Tak? - pytam, wiedząc, że to Jordyn.
- Cześć, Crew. Jakiś facet cię tu szuka.
- Gdzie? W barze?
- Tak. Mówi, że jest z nowej stacji „Boston 15” i chce porozmawiać z

tobą o twojej walce z zeszłego tygodnia.

- Powiedz mu, żeby spierdalał.

Na linii zapada cisza, a gdy Jordyn wraca, mówi ciszej.

- Crew, wydaje mi się, że to ważne. Stoi w pieprzonym garniturze, na środku pieprzonego baru. To nie jest miejsce, do którego chodzi się w gamiak.

- To pewnie jakiś stary kutafon, który chce rozmawiać o walkach. Wszyscy gadają tylko o Davidsonie, a odkąd po tej głupiej bójce wspomniano moje imię, ludzie wariują. Nie mam mu nic do powiedzenia, J.

- W porządku - wzdycha i rozłącza się.

Pochyliam głowę i mówię sobie, że nie mogę *tam* iść.

Do miejsca, gdzie króluje „co by było gdyby”. Do czasów, gdy dostawałem telefony od trenerów i agentów, którzy chcieli kawałek tego prawie sławnego Crew Gentry’ego.

Myślałem, że w końcu pogodziłem się z tym, jak potoczyło się moje życie. Próbowałem patrzeć na to jak na przeznaczenie. Może nie było mi pisane trafić do NFL. Może nie było mi pisane dostać wielki kontrakt. Zwykle jestem w stanie o tym nie myśleć, ale teraz, kiedy tak dużo się dzieje - Davidson, bójka w barze - jest mi trudno. Samo myślenie o czasach, kiedy żyłem zapasami, kiedy było to dla mnie codziennością, sprawia, że robię się zgorzkniały i ledwo funkcjonuję.

A teraz nie mam na to czasu.

Wiem, że trudno będzie to ignorować przez najbliższe miesiące, biorąc pod uwagę zbliżającą się walkę Huntera w Bostonie. Nasze powiązania, lokalizacja, przeszłość, przez to wszystko ludzie spekulują. Nie wiem, co ludzie pokroju tego pieprzonego reportera chcą, żebym powiedział.

- *Tak, bydlaki, wiem, co się stało. Wiem, kim jest, i mam pełną świadomość tego, kim ja mogłem być. Dokładnie, nadal pracuję w dokach. Wdaję w bójki w barach. A teraz się pierdolcie.*

Moje spojrzenie ląduje na kartonie, na którego wierzchu leży małpka Ever. Will ma rację. Normalnie moja nerwica natręctw nie pozwoliłaby mi żyć w takim bałaganie, jaki obecnie panuje w moim domu. Ale z jakiegoś powodu nie daje o sobie znać. Tak naprawdę *lubię to*. Co martwi mnie najbardziej. Zrozumiałem, że tak jest, gdy zeszłej nocy poszły spać. Coś w widoku ich rzeczy walających się dookoła uspokajało mnie, mimo że były tu z powodu tragedii. Gdy zasypiałem, coś - jakies dziwne uczucie - nie dawało mi spokoju.

Warczę pod nosem i odwracam się.

Will obserwuje mnie, ręce ma skrzyżowane na piersi.

- Czasami zastanawiam się, czy ja cię w ogóle znam.
- Co to niby miało znaczyć?
- Żartowałem. Co się z tobą dzieje, stary?

Patrzę na niego beznamytnie. Nie wiem, dokąd on zmierza, ale lepiej niech tam dotrze jak najszybciej. Podchodzę do kanapy i siadam na niej.

- To - mówi, zataczając ręką łuk. - Nie przeszkadza ci to? - Uśmiecha się pod nosem i idzie przez pokój. Robi przesadny krok nad dwoma kartonami i siada na swoim krześle.

- Nie bardzo.

- Hm. To dziwne. Crew, którego znam, wkurzył się na mnie kiedyś, gdy zostawiłem na środku pokoju but.

Zamykam na chwilę oczy i rozważam swoje następne słowa. Może nie

powiniennem tego robić, może nie powiniennem wypowiadać ich na głos. Ale robię to.

- Mówiąc szczerze, nawet mi się to podoba. - Otwieram oczy i patrzę na niego. Dopada mnie poczucie winy i wiem, że powiniennem był siedzieć cicho.

Skurwiel uśmiecha się szerzej.

- Z tak wielu pierdolonych powodów nie powinno. Wiem to i mam świadomość, że pójdę za to do piekła.

- Człowieku, byłeś na drodze tam już od dawna!

Kręcę głową, bo wiem, że ma rację. Mimo to...

- To, co robisz, jest właściwe. Nie sądzisz, że gdyby Gage tu był, *zmusiłby* cię do tego?

- Gdyby Gage tu, kurwa, był, *nie musiałbym* tego robić.

- Nie o to chodzi - mówi, pochylając się w moją stronę. - Przecież *nie musisz* tego robić.

Rzucam mu ostrzegawcze spojrzenie, ale z jakiegoś powodu czuje się jeszcze bardziej pewny siebie.

- Gage oczekiwałby, że się nimi zaopiekujesz. Cholera, wydaje mi się, że gdybym nie podzielał jego zdania, piorun by mnie strzelił. Na pewno by tego oczekiwał.

- Nie o to chodzi - mówię, rzucając w niego jego słowami. - Nie powiniennem tego *lubić*. Nie są *moją* rodziną. Julia nie jest *moją* żoną, a Ever *moją* córką. Są *rodziną mojego brata*. - Opieram głowę na rękach. - Julia miała rację. To był zły pomysł. Zbyt wiele się między nami wydarzyło. Przez to mój mózg zaczyna podsuwać mi myśli, że... ja po prostu... cholera!

Otacza nasz cisza. Im więcej mówię, tym bardziej winny się czuję. Co nie zmienia faktu, że wyrzucenie tego z siebie zdaje się w dziwny sposób zmniejszać przygniatający mnie ciężar. Nadal jednak jest to złe. Nawet Will w tej swojej gównianej chwale prawdopodobnie dostrzega, jak jest to złe.

- Gage je kochał - mówi, przerywając ciszę. - Były dla niego całym światem.

Unoszę wzrok i już otwieram usta, ale przerywa mi.

- Powiedzmy, że masz zwierzątko - zaczyna Will, uśmiechając się w charakterystyczny dla siebie sposób. - I kochasz to zwierzątko bardziej niż cokolwiek innego. Jest najlepszym zwierzątkiem na świecie. I należy do ciebie od czasu twojego dzieciństwa.

- Wtedy byłby to pies. Nie widzę sensu w tej analogii.

- Zamknij się i słuchaj. Powiedzmy, że jedziesz na wakacje, umierasz czy coś. Zostawiłbyś psa mnie?

- Nie.

- Dokładnie. Bo ja zapomniałbym skurwiela karmić i by zdechł. Racja?

Parskam śmiechem, ale zaczynam się irytować.

- Racja? - pyta ponownie.

- No.

- Dobra. W związku z tym pomyślmy o Julii i Ever jak o zwierzątkach Gage'a. Chciałby, żeby ktoś się nimi zajął, karmił je, dawał pić.

Kiwam nieznacznie głową.

- Ale chciałby też, żeby ktoś je kochał...

- Grząski grunt, Will - przerywam mu, serce zaczyna bić mi szybciej. Nie potrzebuję, żeby ktoś to komplikował jeszcze bardziej.

On *musi* się zamknąć.

Will przewraca oczami.

- Możesz przerywać mi do woli, ale to nie zmieni faktu, że mam rację. Gage nie chciałby, żeby żyły w smutku i rozpacz. Chciałby, żeby były szczęśliwe, uśmiechały się, czuły się szczęśliwe i kochane, stary.

- Ale nie przeze *mnie*. Samo to, że w ogóle o tym wspominasz, jest popieprzone.

- Mówię tylko to, co widać na *twojej* twarzy. Mówię, co wiem, odkąd ty stchórzyłeś i wróciłeś do college'u, pozwalając jej zakochać się w twoim bracie.

- Will... - ostrzegam, ale widzę na jego twarzy, że będzie naciskał. Jego bez troskość wciąż jest obecna, ale widzę, że dzisiaj nie wie prymu. Mam przed sobą Willa, który myśli, że wie coś, czego tak naprawdę nie wie. Rozmawiam z Willem „Wymyśliłem Internet” Gentrym.

- Po prostu mnie wysłuchaj. Nie wiem, dlaczego ją zostawiłeś. I nie wiem, dlaczego przespała się z Gage'em ani dlaczego ci to nie przeszkadzało. I, szczerze, chuj mnie to obchodzi. Nie ma to dla mnie znaczenia. Ale teraz wszystko się zmieniło, a ja znam cię nie od dzisiaj.

Ukrywam twarz w dłoniach, bo przez tę rozmowę robi mi się niedobrze.

- Gage *ci ufał*- mówi Will, jego głos jest inny. - Od dnia, w którym się urodziliście, broniliście siebie wzajemnie. Nie sądzisz, że chciałby, żebyś to wszystko miał?

- Tak! - mówię, unosząc z frustracji głos. - Robię wszystko, co mogę, żeby zatroszczyć się o *jego* rodzinę! Przeprowadziłem do siebie jego żonę i dziecko! Co więcej mogę zrobić?

Will patrzy na mnie, mrużąc oczy.

- Uważasz, że gdy Gage poślubił Jules, zapomniał o tym, że to ty pierwszy się z nią spotykałeś? Bo zapewniam cię, że tak nie było. Ja ci to, kurwa, gwarantuję. Wiedział, że ją kochasz.

- Nadal nie wiem, o co ci, kurwa, chodzi, więc lepiej pospiesz się z wyjaśnieniami.

- Ufał ci, Crew. Tylko, kurwa, tobie. I uważam, że gdyby mógł wybrać kogoś, kto miałby zająć się nią, *uszcześliwić ją*, byłbyś to ty. Więc twoje wahanie i wyrzuty sumienia po raz pierwszy w życiu są bezpodstawne. Jeśli zamierzasz zostać dupkiem myślicielem, znajdź sobie do tego inny temat.

Jestem na granicy wytrzymałości, dlatego biorę głęboki oddech.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Nie to miałem na myśli. - Nie patrzę na niego. To, o czym on mówi, jest istnym bluźnierstwem. Nie chcę nawet myśleć o czymś tak głupim. Nie chcę tego rozważać. To się nie skończy w ten sposób.

Dzwoni mój telefon, rozładowując panujące w pomieszczeniu napięcie. Widzę na wyświetlaczu imię Julii, więc podnoszę go, wdzięczny za to, że nam przeszkodziła.

- Cześć.

- Crew — mówi, dławiąc się łzami.

- Jules? Co się dzieje? - Włosy na karku stają mi dęba. - Gdzie jesteś?

- Wracamy do domu. Właśnie zadzwonili do mnie z gabinetu doktora Perkinsa. - Milknie i słyszę, że zachłysnęła się powietrzem. - Nie dostaliśmy zgody na terapię.

- Co? - krzyczę.

- Tak - mówi drżącym głosem. - Nie powinnam do ciebie dzwonić, ale po prostu...

- Dlaczego?

- Ubezpieczalnia nie wyraziła zgody. Powiedzieli, że mogą pokryć koszty leków, ale nic poza tym. - Głos jej się załamuje, a ja wiem, że z całych sił stara się nad nim zapanować. - Powiedzieli, że nie zatwierdzą leczenia, chyba że będziemy mieli pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Adrenalina wypełnia moje żyły, na czubku głowy czuję mrowienie, jakby przez moje ciało przepłynęła jakaś energia.

Skurwysyny!

- Będę za kilka minut. Ja po prostu...

- Poradzimy sobie - mówię przez zaciśnięte zęby. -Coś wymyślimy.

- Nie jesteśmy w stanie uzbierać takich pieniędzy, Crew. Nie dostaniemy pożyczki i nie jesteśmy w stanie niczego zastawić, żeby zdobyć taką kwotę. - Głos jej się załamuje, a mnie ściska w piersi. Słyszę w tle śpiew Ever i nie jestem w stanie tego znieść.

- Coś wymyślę. Przysięgam na Boga, że coś wymyślę. - Patrzę na Willa, który włączył telewizor i właśnie ogląda SportsCenter. - Hej, Jules?

- Tak?

- Może mnie nie być w domu, gdy wrócicie. To ważne. Ale wrócę, dobrze?

- Dobrze.

- Obiecuję, że dzisiaj wrócę.

Rozłączam się, przewijam listę kontaktów i wybieram jeden z nich.

- Podnoś dupę i chodź - warczę. Will zrywa się na nogi, rzucając mi zaciekawione spojrzenie.
- Shenanigans.
- Cześć, Jordyn. Czy ten koleś w garniaku ciągle tam jest? Śmieje się.
- Tak. Siedzi na końcu sali i wpatruje się w drzwi. Zamówił *mojito*. Jacy faceci to piją?
- Nalej mu kolejnego. Będę za dwadzieścia minut.

Crew

Żwir chrzęści za mną, gdy Will podbiega, żeby mnie do-gonić. Latarnie palą się, rzucając światło na parking. Samochód zaparkowałem na tyłach, koło Jordyn, bo miejsc zajętych jest więcej niż zwykle.

- Powiesz mi, dlaczego tu jesteśmy? Mam przeczucie, że nie po to, żeby napić się piwa.

Bawię się wykałaczką w ustach. W czasie jazdy przemyślałem to spotkanie setki razy. Nie mam nawet pewności, czego chcę. Wiem tylko, że muszę rozegrać to po swojemu, zasiać ziarno, które - z odrobiną szczęścia -powinno wykiełkować w odpowiednim czasie.

- Mam spotkanie z reporterem - mówię.

- Po co?

- Patrz i się ucz.

- Patrz i się ucz - mamrocze, po czym odchodzi na bok, gdy otwieram drzwi do Shenanigans. Wchodzimy do środka. Jordyn podnosi wzrok i uśmiecha się.

W barze jest pełno ludzi, ale panuje w nim spokój. Jak na mój gust za duży. Muzyka nie gra i nawet telewizor jest wyciszony. W powietrzu unosi się jedynie dźwięk zderzających się bil.

Jordyn wskazuje głową na koniec baru, gdzie siedzi dwóch mężczyzn, którzy w ogóle nie pasują do tego miejsca. Jeden ma na sobie bluzę z kapturem, a koło jego nóg leży torba. Drugi sący drinka, przez oparcie krzesła ma przerzuconą marynarkę.

Will kładzie mi rękę na ramieniu.

- Potrzebujesz mnie?
- Nie. Pokręć się w pobliżu, dopóki nie skończę. Zamów sobie coś do picia i powiedz, żeby Jordyn dopisała to do mojego rachunku.

Nieznajomi wyglądają na znudzonych. Lustruję ich wzrokiem, gdy kieruję się w tamtą stronę. Facet w bluzie grzebie w telefonie, drugi pisze coś w notatniku.

Wiem, że wszyscy mi się przyglądają, gdy idę przez bar. Czuję ich ciężkie spojrzenia na skórze. Nie wyczuwam zagrożenia, jedynie zaniepokojenie, czy dzisiejszego wieczora zobaczą mnie w akcji. Mam nadzieję, że zobaczą, choć nie w takiej, o jakiej myślą.

- Cześć.

Obaj podrywają głowy. Facet w garniaku otwiera szerzej oczy i niezdarnie wstaje od stolika.

- Crew Gentry?
- Słyszałem, że chcecie ze mną rozmawiać.

Kiwa szybko głową i wyciąga rękę.

- Zgadza się. Dziękuję, że przyszedłeś. Jestem Brett Wiskin. A to Chuck Stells.

Ściskam rękę Bretta.

- Co mogę dla was zrobić?

Rozgląda się dookoła.

- Przenieśmy się w bardziej odosobnione miejsce.

Brett i Chuck zbierają swoje graty, po czym kierujemy się do stolika w rogu, gdzie zwykle siadamy ja i Will. Usiłuję odciąć się od wszystkiego

poza tym, co mam przed sobą. Mój mózg, jak zwykle, próbuje rejestrować wszystko, co się dookoła dzieje, a także to, kto gdzie siedzi. Nie muszę wspominać, że celowo wypieram myśli o Julii i Ever. Nie mogę dać się rozproszyć... dla dobra nas wszystkich.

Rozkładają swoje rzeczy na stoliku, a ja zaczynam się niecierpliwić. Chwytam solniczkę i stukam nią o stół z nadzieją, że to ich pospieszy.

- A więc, Crew, często tu bywasz? - pyta w końcu Brett, przeczesując palcami wystylizowane włosy. Wielu takich w swoim życiu widziałem i każdy z nich jest taki sam. Kolesie, którzy gadają, bo nie potrafią działać.

Odstawiam solniczkę.

- To nie randka. Daruj sobie tę gównianą gadkę i powiedz, czego chcesz.

Wydaje się lekko zbity z tropu, ale szybko się opanowuje.

- Po pierwsze, jest to rozmowa nieoficjalna.

Kiwam głową.

- Widziałem filmik z zeszłego tygodnia. Jeżeli się nie mylę, był nagrywany w tym barze.

Czekam, aż powie więcej. Nadal nie mam pewności, jaki jest cel jego wizyty, dlatego nie mogę jeszcze wyłożyć kart na stół.

- Wywołał niezłe zamieszanie w sieci.

- Doprawdy? - pytam, brzmiąc na kompletnie niezainteresowanego.

- Jestem pewien, że go widziałeś.

Wzruszam ramionami.

- Nie jestem „internetowym” typem.

Brett rozważa moje słowa i zerka na Chucka. Ten grzebie przy kamerze, nieświadom tego, o czym się rozmawia. To mnie zaskakuje... kamerzyści są najczęściej bardzo bystrzy, po prostu brakuje im wyglądu, żeby pracować *przed* kamerą.

- Cóż, było to naprawdę imponujące. Chciałbyś powiedzieć nam, co się stało?

- Powstrzymałem dwóch kretynów przed obrabowaniem baru. Nie ma tu nic do opowiadania.

- Jesteś zbyt skromny, Crew. Rzucałeś nimi jak szmacianymi lalkami. To nie była zwykła barowa bójka. Wyglądało to raczej jak coś, co ogląda się w telewizji. - Na jego ustach pojawia się leniwy uśmiech. - Kiedy tu siedzieliśmy, w barze pojawiło się kilka osób, które wypytywały barmankę o to, czy cię tu zastaną.

Unoszę brwi i czekam. *Dlatego tu jestem.*

- Nadal walczysz? - pyta Chuck, kładąc kamerę na stole.

Yahtzee.

- Tylko dla zabawy - uśmiecham się półgębkiem.

- Żadnych oficjalnych zawodów? - pyta Brett. - Bo powiem ci, że wygląda to tak, jakbyś nie wypadł z formy od czasów Minnesoty. Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że nie trenowałeś, jestem zaskoczony.

Pochylam się i opieram łokcie o stół.

- Sportowcy trenują na zawody, Brett - mówię, wbijając w niego spojrzenie. - Tacy jak ja... my trenujemy, żeby *przeżyć*. Więc czy trenowałem? Tak. *Trenuję, żeby przeżyć.*

Patrzą na mnie, jakbym zwariował. Strach w ich oczach sprawia, że mi

staje. Uwielbiam to uczucie, gdy kogoś onieśmielam, gdy kontroluję sytuację.

Dociera do mnie, że jeśli nie przejmę kontroli nad tą, wtedy inne, ważniejsze, będą poza moim zasięgiem.

- Twoimi podstawami są zapasy - wtrąca Chuck. -Ale widać, że wiesz, jak wyprowadzić cios. Nie przeszło ci przez myśl, żeby dołączyć do NAFL?

- Nie, niekoniecznie.

- Ludzie spekulują, że wracasz. W college'u walczyłeś w kategorii wagi średniej - przypomina Chuck. - Na tę chwilę wiele się tam dzieje. Ludzie dużo mówią o tym, co może się wydarzyć.

- Obiło mi się o uszy - mówię. Staram się wyglądać na znudzonego, jakby nic mnie to nie obchodziło, ale tylko tyle jestem w stanie zrobić, żeby nie wybełkotać, czego potrzebuję.

Opanuj się, Crew.

- Skoro nie jesteś na bieżąco z sytuacją - mówi Brett -nadrobimy trochę. Za kilka miesięcy, w Bostonie, miała odbyć się walka. Zawodnik wagi średniej, Reyes, miał zmierzyć się z obecną gwiazdą, niepokonanym Hunterem Davidsonem.

Śmieję się.

- Niepokonanym? Nie, dam sobie rękę uciąć, że ze mną by przegrał.

W oczach Bretta pojawia się błysk, a on sam poprawia się na krześle.

- To było dawno temu...

Wiem, że gra w te swoje gierki i chce mnie wyprowadzić z równowagi. Zamiast tego wyłożył karty na stół i widzę dokładnie, jaki jest jego cel.

- Nie mam wątpliwości, że bym sobie z nim poradził - śmieję się przez lekko zaciśnięte zęby.
- Jest grupa ludzi - mówi Chuch, obserwując mnie uważnie - która nie przepada za jego popisami.
- Masz na myśli, że ludzie nie lubią tego, że jest skurwysynem? Nazywajmy rzeczy po imieniu.

Chuck śmieje się.

- Tak właśnie. Ci sami ludzie rzucili pomysł, żebyś zajął miejsce Reyesa. Żebyś stanął do walki z Hunterem Davidsonem, tutaj, w Bostonie. - Bawi się kamerą, z jego ust nie znika szeroki uśmiech. - Powiedziałbym, że to szaleństwo, wrzucać do klatki kolesia, który nie walczył od lat. Kolesia, którego ostatnia walka skończyła się na noszach.

Jego oczy błyszczą. Jest w tej grze o wiele lepszy niż Brett.

- Ale widziałem, jak walczysz - kontynuuje. - Więc też należę do tej grupy. Z chęcią bym to zobaczył.

Zaciskam ręce na oparciach krzesła, żeby rozładować część napięcia. Wiem, że muszę pozostać opanowany, sprawić, żeby myśleli, że to ich pomysł. Muszę przejść przez to obojętny, pewny siebie. Nie mogę tego spieprzyć.

- Trochę orientuję się w tym, co dzieje się w MMA, i kariera Davidsona zdaje się iść dobrą drogą. Jestem kurewsko pewny, że jego ludzie nie będą chcieli puścić go na matę z człowiekiem, który już udowodnił, że może mu dokopać. Znam technikę tego śmiecia, a pokonanie go na oczach całego świata zniszczyłoby jego karierę. Nie są głupi.

- A więc, mówiąc czysto hipotetycznie, nie miałbyś nic przeciwko, żeby ponownie stanąć z nim do walki?

- Jeśli Davidson chce sobie spieprzyć karierę, zrobię to za niego bardziej

niż chętnie. - Odpycham się od stołu, ręce drżą mi od nadmiaru adrenaliny. - Tylko to chcieliście ze mną omówić?

- Dokładnie - mówi z ekscytacją Brett. - Możemy zrobić ci zdjęcie?

Wstaję, a Brett okrąża stół. Chuck robi kilka zdjęć, a potem ściska moją rękę.

- Jak możemy się z tobą skontaktować? - pyta Brett. Zapisuję swój numer na serwetce i podaję mu ją.

- Dobra, chłopaki. Zbieram się. - Kiwam głową i odwracam się, żeby odejść. Will siedzi przy barze i rozmawia z Jordyn. Uśmiecha się szeroko, a ja oglądam się za siebie.

- Ej, Brett?

- Tak?

- Niech ta rozmowa będzie oficjalna.

CREW

Odtwarzałem tę rozmowę w głowie miliony razy, zanim dotarłem do mieszkania. Głowa mi pulsuje, w karku czuję ból, który towarzyszy mi, gdy schodzi ze mnie adrenalina. Przypomina trochę kaca. Mam nadzieję, że pojawi się jakaś jasność; moment, w którym poczuję, że coś, co robię, jest właściwe.

Jak w ogóle rozpoznam to uczucie, jeżeli się pojawi?

Otwieram drzwi i już wchodzę do środka, ale nagle zamieram.

Moje mieszkanie zwykle nie pachnie niczym szczególnym. Może perfumami po porannym prysznicu albo wybielaczem, jeżeli sprzątam, ale niczym poza tym. Tak to zawsze odbierałem. Ale dzisiaj mieszkanie pachnie inaczej. Mieszanka przypraw i ciepła uderza we mnie i wytrąca lekko z równowagi.

Zamykam cicho drzwi, wciąż towarzyszy mi dziwne uczucie. To moje mieszkanie, ale nie wiem, czy ktoś nie śpi albo czy czegoś nie robi. Mam wrażenie, jakbym wchodził nie do swojego mieszkania, ale do domu.

Kładę klucze na blacie w kuchni i kieruję się w stronę światła w salonie. Wychodzę zza rogu i widzę, że Julia siedzi na kanapie i pochyła się nad kartonem. Podnosi wzrok i patrzy mi w oczy.

Jej piękna twarz naznaczona jest cierpieniem. Ma wory pod oczami, na czole widać bruzdy. Jest to dodatkowy ciężar rzucony na moje ramiona.

- Hej - mówię cicho. - Nie sądziłem, że jeszcze cię zastanę. Jest późno.

Uśmiecha się nieznacznie.

- Staram się zrobić trochę porządków.

- Nie martw się tym - mówię, siadając na krześle, które zawsze zajmuje Will. Staram się odjąć jej zmartwień uśmiechem, ale to nie działa.

- Wiem, że nienawidzisz bałaganu, Crew. Czuję się źle z tym, że po mieszkaniu wciąż walają się kartony.

- To tylko kilka dni, Jules. Wyluzuj.

- Wyluzuj? O czym ty mówisz?

Czuję się jak dupek. Oczywiście, że nie może się zrelaksować.

Ja też nie.

- Czy wszystko jest w porządku? Nie było cię jakiś czas.

Zastanawiam się, jak dużo jej powiedzieć, ale nie chcę rozbudzać w niej nadziei. Nie wiem, czy to zadziała, zwłaszcza że sprawa rozciągnie się w czasie. Nie chcę stawiać wszystkiego na jedną kartę i nie chcę też, żeby ona to robiła.

- Tak. Wszystko w porządku. Musiałem spotkać się z kilkoma znajomymi w sprawie dodatkowej pracy. -W momencie, gdy wypowiadam te słowa, zdaję sobie sprawę, że źle zrobiłem.

Ramiona jej opadają.

- Sprawdzę, czy uda mi się wziąć kilka dodatkowych zmian w weekendy u pani Ficht. Ja..

- Nie, nie zrobisz tego - przerywam jej. - Nie do końca to miałem na myśli. Po prostu... nie martw się o to, okej? Twoje zadanie to opiekowanie się Ever. Ja będę pracował nad resztą.

Widzę, że z trudem przetyka ślinę, a jej ręce zaczynają drżeć.

- Jestem przerażona, Crew.

Chwytam oparcie krzesła, żeby nie wstać i nie chwycić jej.

- Wiem. Ale znajdziemy rozwiązanie. Jakoś sobie poradzimy. *Obiecuję ci to.*

- Nie wiem, jakie są rokowania bez terapii. Powiedzieli mi tylko, że omówimy to w poniedziałek, kiedy pojawimy się na pierwszej chemii, ale terapia miała być kluczowym...

- Obiecuję ci, że *znajdziemy* rozwiązanie. *Ja* znajdę rozwiązanie. Nie chcę, żebyś się tym teraz martwiła. Istnieje szansa, że ta terapia wcale nie będzie jej potrzebna, rozumiesz?

Stara się uśmiechnąć, ale wiem, że mi nie wierzy. Cholera, ja sam sobie nie wierzę. Nie wiem nic poza tym, że muszę zrobić wszystko, żeby mała mogła wyzdrowieć.

- Myślmy pozytywnie i nie załamujmy się, dopóki nie wysłuchamy lekarza, dobrze?

- Tylko... - Nagle wydaje się być przerażona. - Proszę, nie zostawiaj nas, Crew.

Angielski staje się dla mnie tak nieznanym językiem jak arabski. Nie jestem w stanie wykrztusić słowa. Głęboko w sobie czuję, że ona mówi poważnie. Porzucano ją i odwracano się od niej wiele razy, ale niech mnie szlag trafi, jeśli powtórzę błędy z przeszłości.

Odchrząkuje i wyjmuje z kartonu niebieską miskę, którą rozpoznaję. Trzyma ją w górze i uśmiecha się.

- Należała do twojej mamy. Pamiętasz?

- Tak. Pamiętam, że używała jej do robienia naleśników.

- Była to jedna z rzeczy, których Gage nie chciał się pozbyć. Mówił to samo, że używała jej do robienia naleśników.

- Rzadko robiła domowe posiłki. Naleśniki były jej specjalnością - śmieję się.

- Próbowała zrobić Gage'owi naleśniki dzień przed śmiercią, ale była za słaba - mówi Julia, ale nagle przerywa. - Przepraszam.

Nigdy nie rozmawiałem z nikim ani o niej, ani o tym, co się między nami wydarzyło.

Gdy nie wróciłem po tym, jak Gage zadzwonił do mnie i powiedział, że mama umiera, nikt mi tego nigdy nie wypominał. Przyleciałem do domu po jej śmierci, poszedłem na pogrzeb, a potem wróciłem do Minnesoty. Gage nie miał mi tego za złe; wydaje mi się, że wiedział, dlaczego się w ten sposób zachowałem. Rozumiał mnie tak jak nikt inny.

Już nikt nigdy mnie tak nie zrozumie.

- Nie, jest dobrze - mówię.

- Dlaczego nie wróciłeś?

Właśnie rzuciła mi pod nogi pytanie warte milion pieprzonych dolarów.

Patrzę na nią beznamiętnie z nadzieją, że przeprosi i zmieni temat.

Zamiast tego w jej dużych brązowych oczach widać oczekiwanie. Naprawdę czeka na cholerną odpowiedź.

Instynkt mówi mi, żebym stąd spieprzał. Wstał, wyszedł przez drzwi i ruszył przed siebie. Serce nakazuje coś zupełnie innego. Jego bicie mówi mi, że postąpiłem w ten sposób zbyt wiele razy i teraz nie mogę powtórzyć tego błędu.

- Nie wiem - mamroczę, dając jej kolejną szansę na zmianę tematu.

- Tak, wiesz.

Wypuszczam drżący oddech i próbuję na nią spojrzeć, ale zamiast tego mój wzrok ląduje na ścianie. Nie umiem popatrzeć jej w oczy. Wiem, że ma nadzieję na jakąś pięknie popieprzoną odpowiedź, na coś, co będzie miało choć odrobinę sensu i sprawi, że przestanie uważać mnie za takiego bydlaka.

Prawda nie jest taka fajna.

- Jestem po prostu dupkiem, za jakiego mnie uważasz.

- Crew - mówi. Nie kontynuuj, dopóki nie popatrzę jej w oczy. - Dlaczego nie wróciłeś do domu?

- Dlaczego to ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Po prostu *ma*.

Myszę o setkach powodów, o tym, jak łączą się ze sobą niczym pajęcza sieć, i każdy kolejny prowadzi do następnego. Nie wiem nawet, od czego zacząć.

- Byłem dla niej rozczarowaniem. - Brzmie, jak pizda. Wiem, że tak.

- Nie byłeś.

- Byłem. Pamiętasz, jak wróciłem do domu? - Kaszlę, starając się zdecydować, czy dodać, że była wtedy z Gage'em. Uznaję, że lepiej będzie to przemilczeć, po czym kontynuuję: - Zostałem tylko na noc. Zanim wyjechałem, rozmawiałem z nią.

- I?

- Siedziała w kuchni, piła herbatę, a ja pocałowałem ją w policzek. Z wiadomego powodu byłem strasznie wkurwiony. Miałem po prostu wyjść, ale poprosiła, żebym usiadł. Więc to zrobiłem. Patrzyła na mnie bez słowa, tak, jak to robiła, gdy byłem dzieckiem.

Ręce mi drżą na wspomnienie chwili, w której zdałem sobie sprawę, że

straciłem wszystko.

College był jak zabawa: imprezy, dziewczyny, zapasy. Ale zacząłem mieć przeczucie, że to wszystko to tylko pozory. Dziewczyny, zaproszenia, przyjaciele... wszystko pojawiło się po wygranej. Co by się stało, gdybym przegrał? Nic już nie wydawało się realne. Nikt nie wiedziałby, kim jestem, łącznie ze mną.

Obudziłem się któregoś ranka i zdałem sobie sprawę, że od miesiący nie rozmawiałem z mamą. Że nie mam zielonego pojęcia, co dzieje się z Gage'em. Że od tak dawna nie odbyłem dłuższej rozmowy z Jules. Laska, obok której obudziłem się tamtego ranka, tak bardzo się od niej różniła, że pamiętam, jak wszystko przewróciło mi się w żołądku, a jej blond włosy leżały na mojej piersi. Z jakiegoś powodu wszystko to dopadło mnie jednocześnie. Musiałem odnaleźć choć odrobinę tego, co czyniło mnie *mną*. Potrzebowałem drugiej szansy, by postąpić słusznie. Dlatego kupiłem bilet za pieniądze pożyczone od trenera i wróciłem do domu, żeby zrobić wszystkim niespodziankę.

Niespo-kurwa-dzianka.

- Mama zapytała mnie, czy jestem szczęśliwy. Od-pysknąłem coś, a ona uciszyła mnie i zadała pytanie raz jeszcze. Wrzasnąłem, że jak mogę być szczęśliwy, wracając do bajzlu, którego sam narobiłem? Że wszyscy w moim życiu się zmienili, a ja nie miałem o tym pojęcia. Że nie liczyłem się dla żadnego z was. Pamiętam jej twarz, naznaczoną latami trudnej pracy i nie tylko. To, że jej oczy były takie same jak moje i Gage'a, a zarazem wyblakłe po wielu dniach bez uśmiechu. Czułem się jak śmieć za to, że ją zostawiłem i zignorowałem, ale na samą myśl o pokazaniu jej tych uczuć byłem wściekły. Powiedziała mi, że uznała, że zboczyłem z drogi. Że poczułem się zbyt ważny przez szkołę i zapomniałem, kim jestem. Że pozwoliłem, żeby sława - czy jakiego tam słowa chciałabyś tu użyć - uderzyła mi do głowy. Że ona i Gage za mną tęsknią. I że chce, żebyśmy o tym pamiętała.

Wstaję, bo wstyd mi mówić o tym głośno, wstyd mi za to, co zrobiłem.

Jednocześnie czuję ulgę.

- Powiedziała mi, że nie chce, żebym pozwolił wplątać się w gierki bogatych ludzi. Żebym był prostym człowiekiem. Żebym znalazł kobietę, którą pokocham, pracę, której nie znienawidzę, żebym cieszył się dobrymi rzeczami. I nie miała tu na myśli zegarków czy samochodów - śmieję się i patrzę na Julię. - To było dla mnie za wiele. Ty byłaś w pokoju z Gage'em. Kiedy powiedziała to wszystko, wkurwiłem się. Nie pamiętam dokładnie, co jej powiedziałem, ale na pewno chodziło o to, że ona nie rozumie, kim jestem. Że woli Gage'a ode mnie i że rzuca mi w twarz tym, że cię straciłem. - Wzruszam ramionami, jakby to wszystko wyjaśniało. - Pocałowałem ją w policzek raz jeszcze i wyszedłem. A potem, kilka miesięcy Później, kiedy Gage do mnie zadzwonił i powiedział, że muszę wracać... - przerywam. Nie wiem, co powiedzieć.

- Planowałeś wrócić?

- Byłem młody - mówię ze smutkiem. - Nie sądziłem, że naprawdę jest z nią aż tak źle. Nie wiem, może po prostu czułem się urażony. Ale powinienem był wrócić. Powinienem tu być. Ale tak się nie stało.

- Planowałeś wrócić? - szepcze raz jeszcze, tym razem z nadzieją.

- Nie.

Wygląda na zszokowaną, usta ma otwarte. Takiej reakcji się spodziewałem.

- Nie jestem Gage'em, Jules. Nie wiem, jak sobie ze wszystkim radzić...
- Znowu siadam i biorę głęboki oddech. - Zadzwoniłem do niej noc przed tym, jak zmarła. Gage mówił ci o tym?

Marszczy brwi i kręci głową.

- Zadzwoniłem. Nadal uważam, że nie sądziłem wtedy, że umrze, ale porozmawialiśmy. Nie było to nic w stylu pożegnalnej rozmowy. Ja...

wiem, że sobie z tym nie poradziłem. Wiele rzeczy spieprzyłem...

Atmosfera w pokoju zmienia się i wiem, że ona to czuje. Patrzy na mnie bez słowa.

- Przepraszam, Jules.
- Za co? - szepcze.
- Za to, że spieprzyłem to, co między nami było.
- Crew...
- Nie, wysłuchaj mnie. Powiedziałem ci, że nie lecę do Minnesoty, a potem po prostu cię zostawiłem. Nie powinienem być zaskoczony tym, że ruszyłaś naprzód.
- To nie było tak.
- To nie ma znaczenia.
- Ma - mówi, odkładając miskę. - Nie przespałam się z Gage'em w chwili, gdy tylko wyjechałeś, Crew.

Kręcę głową, czuję pulsowanie w karku. Bez względu na to, co powie, to nie ma znaczenia. To przeszłość, poza tym nie sądzę, żebym miał ochotę tego słuchać.

- Kiedy wyjechałeś, tak, byłam załamana. Ale nawet wtedy wiedziałam, że nie mogę oczekiwać od ciebie, żebyś zaprzepścił taką szansę. Nie byłam głupia. Po prostu chodziłam do szkoły i każdy dzień mijał mi z nadzieją, że wrócisz. Wtedy, jednej nocy...

Zaciska usta. Potrząsa nieznacznie głową, jej hebanowe włosy przesuwają się po ramionach.

- Jednej nocy w domu działo się bardzo źle. Rodzice pili, jak zwykle, ale zaczęli się awanturować. Bardzo. Zamknęłam się w sypialni, bo

zrobiło się gorąco. Po domu latały różne rzeczy, i zanim zdałam sobie z tego sprawę, do drzwi zaczął dobijać się ojciec. W końcu otworzyłam, bo bałam się, że je wyważy - mówi słabo. -Potem on wpadł do środka. Wrzeszczał, pytał o coś, ale nie rozumiałam jego bełkotu. Matka stała za nim, dokładając swoje, a ja starałam się poskładać to jakoś do kupy. Po prostu nie mogłam, Crew. Nie miałam pojęcia, o czym mówią. Starałam się ich zbyć, mówiąc „tak” albo „nie”, liczyłam... - Przetyka ciężko ślinę. Odwraca ode mnie wzrok. - Chwycił mnie za gardło i pchnął na ścianę...

- Co, kurwa, zrobił? - wrzeszczę, zrywając się z krzesła. - Jakim, kurwa, cudem o tym nie wiedziałem? Nie tak to wtedy opisaliście!

-Nie odbierałeś - wyszeptała ze spuszczoną głową. -A później Gage sprzedał ci łagodniejszą wersję, żeby ci nie odbiło.

Jęczę, bo wiem, że nie powinienem był jej z nimi zostawiać. Chciałbym móc się pobić, rozerwać na strzępy za to, co zrobiłem. Żałowałem tego wiele razy, rozważałem swoje decyzje, ale okazało się, że było gorzej, niż przypuszczałem.

- Wyszłaś z tego cało?

- Tak. Wrzeszczał na mnie, a potem matka odwróciła jego uwagę własnymi krzykami. Wtedy wybiegłam z domu. Pobiegłam na stację paliw. Nie miałam nawet na nogach butów - śmieje się smutno. - Pani z obsługi pozwoliła mi zadzwonić... nie wiedziałam, do kogo mogę zwrócić się o pomoc.

- Tak bardzo przepraszam - wykrztuszam z siebie. Dławię się furią i poczuciem winy, które ciągną mnie w otchłań.

- Ostatecznie zadzwoniłam do Gage'a. Nie znałam nikogo innego, kto by przyszedł.

- Jules...

- Nie martw się tym, Crew. To było dawno temu.

- Cholera, Jules. Cholera! Ja... - Przeciągam rękami po twarzy, żeby wydobyć z siebie jakiegokolwiek emocje. Czuję na raz tyle, że mam wrażenie, jakbym był pusty. - Ach!

- Wszystko się udało. Gage przyszedł i zabrał mnie do domu. - Uśmiecha się do siebie. - Musiałam go błagać, dosłownie błagać, żeby nie zabijał ojca.

- Powinien był - warczę. - Powinien był poderżnąć mu gardło.

Jules opiera się o oparcie kanapy, ręce kładzie na brzuchu.

- Tak zaczęły się sprawy z Gage'em. Bałam się wrócić do domu, więc na jakiś czas zostałam z nim i waszą mamą.

Gównu mnie to teraz obchodzi. Cieszę się, że Gage ją zabrał. Bóg wie, co by się stało, gdyby tego nie zrobił. Wkurwia mnie tylko, że nie zabił tego skurwysyna, jej ojca.

- Nigdy nie powinienem był cię zostawić. Powinienem o ciebie walczyć — mówię tak cicho, że nie wiem, czy mnie słyszy.

- Nie mogłeś. Byłeś w złym miejscu, Crew. Wszystko dzieje się nie bez powodu.

- Pieprzyć to. Mogłem i powinienem. Nigdy nie walczyłem o nic dobrego ani godnego. Dla ciebie powinienem był walczyć.

Patrzę, jak mi się przygląda, i myślę o tym, jak dziwnie potoczyło się życie. Jesteśmy teraz razem, ale jednak nie razem, a wszystko to przez dziecko, które ma z moim bratem.

Pieprzone życie.

- Chcę, żebyś coś wiedziała - mówię z nadzieją, że to właściwe. - Wróciłem wtedy do domu, bo za tobą tęskniłem.

Z jej ust wyrывa się ciche sapnięcie, siada prosto.

- Wszedłem do środka i zobaczyłem was dwoje. Leżałaś z głową na jego kolanach, oglądaliście telewizję. - Kręcę głową i czuję sączącą się we mnie truciznę na samo wspomnienie o tym. - Stałem tak przez kilka minut i przyglądałem się wam. Byłem gotów zatłuc Gage'a na śmierć. Ale wtedy usłyszałem twój śmiech.

Skupiam spojrzenie na ścianie i przypominam sobie, co niósł ze sobą ten śmiech. Bez troskę, radość, poczucie bezpieczeństwa. Trzy rzeczy, których ja nigdy nie byłbym w stanie jej dać. Byłem nieodpowiedzialny, nieprzewidywalny. .. nawet dla samego siebie.

Nie zasługiwałem na nią. Co mógłbym jej dać, poza kolejnymi rozczarowaniami?

- Ty i Gage zasługiwaliście na siebie. Jesteście najlepszymi ludźmi, jakich znam.

Widzę, że do jej oczu napływają łzy, i uśmiecham się.

- Nie płacz.

- Crew... - Ociera twarz koniuszkami palców. - Nie miałam pojęcia, że wróciłeś do domu ze względu na mnie. Gage i ja... nigdy nie sądziliśmy, że do czegoś dojdzie. To się po prostu... stało.

- I powinno. Wy dwoje, razem, wtedy po raz pierwszy coś było w porządku. Niszczyłem wasze życia raz za razem. Gage wyświadczył nam obojgu przysługę, ratując cię przede mną.

- Niedawno coś znalazłam. List od Gage'a.

- Gdzie?

- W banku. - Zamyka oczy i nie jestem pewien, czy będzie mówić dalej. - Pojechałam po obrączkę, ale znalazłam też zaadresowany do mnie list.

- Co w nim było? - Serce zaczyna bić mi szybciej, bo zastanawia mnie, co napisał mój brat.

Zaśmiała się smutno.

- Napisał, że jeżeli cokolwiek się stanie, chce, żebym ' ci zaufała.

- Mnie?

- Tak. Kiedyś ci go pokażę. Ale teraz chciałabym go zachować dla siebie, dobrze?

Kiwam głową, usiłując zrozumieć, dlaczego, do diabła, Gage coś takiego napisał.

- Napisał, że cię kochał, Crew. I że zawsze stałeś za nim murem, i że dla mnie zrobisz to samo.

Czuję ucisk w karku, więc kładę na nim rękę, żeby go rozmasować. Julia robi dziwną minę.

- Co się stało?

- Nic. - Poruszam ramionami, starając się pozbyć ucisku.

- Boli cię?

Śmieję się. Nie ma mowy, żebym jej to powiedział.

- Nie - kłamię.

Przechyla głowę na bok.

- Może powinieneś przestać robić bez przerwy pompki i dźwigać. Założę się, że by pomogło.

- Nie sądzę - mówię, wierząc się. Dochodzę do wniosku, że równie dobrze mogę wybadać teren. - Możliwe, że wrócę do walk.

- Co? - krzyczy. - O, Boże. Nie zrobisz tego. Nie możesz, Crew.

Wzruszam ramionami.

- Może. Byłoby fajnie.

- Jeżeli znowu zaczniesz walczyć, wyślę cię na spotkanie z bratem - mówi pół żartem, pół serio. Wstaje z kanapy i ziewa. - Chyba pójdę spać. Czeka nas długi tydzień. - Już ma wychodzić z salonu, ale zatrzymuje się. - Crew? Mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Muszę powiedzieć Ever, co ją czeka. Ja... hm... nie wiem, jak to zrobić. Pomożesz mi?

- Pewnie.

- Dziękuję. - Kieruje się w stronę korytarza, tył jej wyciągniętej koszuli wisi za nią.

- Ej, Jules?

- Tak?

- Możesz spać w moim łóżku, jeśli chcesz. Ja prześpię się na kanapie.

- Nie musisz tego robić, Crew.

- Wiem. Ale, póki możesz, powinnaś porządnie się wysypiać.

Uśmiecha się lekko.

— Nie mogę. Już i tak za dużo od ciebie wzięłam.

— W zamian dałaś mi o wiele więcej, Jules - szepczę. — Poza tym, nie odpowiedziałem ci wcześniej.

— Na co?

— Nigdy więcej cię nie opuszczę.

Rumieni się. Pochyla głowę, jej usta wyginają się w uśmiechu, po czym znika za drzwiami pokoju gościnnego.

JULIA

Gdy wchodzę do sypialni, otacza mnie ciemność. Jest chłodno i przyjemnie. Słodki, rytmiczny oddech Ever to jedyny słyszalny dźwięk, pomijając szaleńcze bicie mojego serca.

Zamykam drzwi i opieram się o nie plecami. Biorę kilka głębokich oddechów i staram się zrozumieć, co się właśnie stało. Myśli wirują w mojej głowie, gdy odtwarzam rozmowę, jaką odbyłam przed chwilą.

Nie mam pojęcia, co o tym sądzić.

Wszystko, co myślałam, że wiem, zostało mi zabrane. Nie mam pojęcia, gdzie stoję, poza tym, że to grząski grunt. Nigdy, przenigdy nie pomyślałabym, że Crew wrócił dla mnie.

Zamykam oczy i przypominam sobie dźwięk jego głosu, gdy zawołał wtedy Gage'a. Pamiętam, że w chwili, gdy pojawił się w pokoju, czułam się tak, jakbym miała wyjść z siebie. Nie widziałam go od miesiący. Nie rozmawiałam z nim od tygodni. Nawet wtedy rozmowy były krótkie. Bezosobowe. Nie sądziłam, że wciąż mu zależy. A gdy na niego spojrzałam, oczy miał puste.

To tylko umocniło mnie w przekonaniu, że dojrzał beze mnie, znalazł lepsze życie w Minnesocie.

Czy się myliłam?

Spuszczam głowę i mam nadzieję, że dopływ krwi do mózgu pozwoli mi myśleć.

Czy coś zrobiłam źle? Czy powinnam była na niego czekać?

Czy mój związek z Gage'em był błędem?

Oddech Everleigh zmienia się, gdy przekręca się na bok. Różowe usteczka ma wydęte. *I teraz już wiem.*

Bez względu na to, dlaczego Crew odszedł, a potem wrócił, bez względu na to, kiedy i jak związałam się z Gage'em, to nie był błąd. Ta kruszyna jest tego dowodem. Związała nas ze sobą, mimo tak okropnych okoliczności. Połączyła mnie z Gage'em, umocniła nasze małżeństwo. Małżeństwo, które - czego jestem stuprocentowo pewna - przetrwałoby próbę czasu, gdyby Gage tu był.

Ale go nie ma.

Była też powodem, dla którego po jego stracie nie poddałam się. A teraz jest powodem, dla którego ja i Crew potrafimy rozmawiać bez zabijania się nawzajem.

Przesuwam Ever i kładę się do łóżka. Wtula się we mnie, małąkę kładzie na mojej piersi. Obejmuję ją mocno.

Prawdopodobnie jest to jedna z ostatnich normalnych nocy, jakie nas czekają.

Światło księżyca wpada przez żaluzje, rzucając na pokój cienie.

Łapacz snów Ever wisi w oknie, dokładnie tam, gdzie powiesiła go razem z Crew.

Patrzę, jak cienie tańczą na ścianach, i czuję, jak ogarnia mnie spokój. To pocieszające i czuję się spokojna jak dawno się nie czułam. Cisza tego pomieszczenia, tak odmienna od poprzedniego mieszkania, jest przyjemnością, za którą tęskniłam, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Zmuszam się, żeby zamknąć oczy, ale po raz pierwszy pod moimi powiekami nie pojawiają się oczy Gage'a. Tym razem widzę twarz Crew.

Czy przez cały ten czas źle go oceniałam?

Nie. Wiem, że nie. Jest nieodpowiedzialny. Jest hedonistą.

Łapacz snów zaczyna wirować, gdy uruchamia się wentylator. Patrę, jak się obraca.

Crew i Ever umieścili go w odpowiednim miejscu, żeby łapał jak najwięcej światła z latami za oknem.

Postępuje z nią tak ostrożnie, jest dla niej taki czuły. Tak wiele poświęcił, żeby pomóc jej.

I mnie.

Słyszę jęk Ever. Jej ręka porusza się pod kołdrą i ścisza brzuch.

Jęczy raz jeszcze, a mnie przeraża to do głębi.

Upewniam się, że leży wygodnie, a potem pozwalam sobie na martwienie się.

- Pani Getry, przykro mi- mówi opanowanym głosem doktor Perkins. - Ubezpieczalnia odmówiła zapisania Everleigh na terapię. Napisaliśmy apelację, ale jeszcze nie trzymaliśmy odpowiedzi.

- Co to oznacza?

Przez moją głowę przelatuje milion myśli, przez co robi mi się niedobrze. To nie może być prawda!

Przekładam telefon do drugiej ręki. Nie powinnam była odbierać go na parkingu przed sklepem. Popęłniłam błąd. Powinnam była dać mu się nagrać na pocztę i potem oddzwonić.

Odwracam się i uśmiecham do Ever, zapiętej w foteliku. Mówię jej, żeby siedziała grzecznie, po czym wysiadam z samochodu i opieram się o niego.

- Co to znaczy, że jej odmówiono?

- Niestety, to leczenie nie jest metodą standardową. Firmy ubezpieczeniowe wahają się w finansowaniu takich rzeczy, bo są bardzo drogie, a pozytywne skutki nie są aż tak dobrze udokumentowane.

Nie mogę oddychać. Czuję się, jakby ktoś zacementował mi pierś. Wszystko wokół mnie zaczyna się kręcić, a ja ściskam palcami wolnej ręki skronie, starając się być bardziej skoncentrowaną, niż gdy słuchałam diagnozy.

- Co to oznacza?- pytam. — Co teraz zrobimy?

- Poczekamy i zobaczymy, co odpowiedzą. Dokładniej omówimy to w poniedziałek. Wiem, że nie to chciała pani usłyszeć. Ja także oczekiwałem innej odpowiedzi i, mówiąc szczerze, nie spodziewałem się odmowy. Mimo to my nadal będziemy działać.

- A co, jeśli apelacja nic nie da?

- Jeżeli tak się stanie, zmienimy plan działania i przejdziemy do planu B. Nie chcę, żeby pani panikowała. Chcę tylko, żeby miała pani świadomość, jak wygląda sytuacja, więc jeśli posiada pani jakieś oszczędności, teraz byłby najlepszy moment na wykorzystanie ich.

Prycham. Kto ma pięćdziesiąt tysięcy dolarów oszczędności?

A jeśli nie uda się rozpocząć terapii? Co mogę zrobić, żeby zdobyć takie pieniądze?

Wiem, że nie ma nic, co mogłabym zrobić. Nie mam takich oszczędności. Nie jestem w stanie wymyślić nic, nawet okraść banku, żeby zdobyć chociaż połowę tej kwoty.

Crew idzie korytarzem po drugiej stronie drzwi. Słyszę skrzypienie podłogi, gdy wchodzi do łazienki. Słucham dźwięku płynącej wody, a potem kliknięcia, gdy gasi światło. Podłoga znowu skrzypi, uginając się pod jego ciężarem. Drzwi do jego sypialni zamykają się cicho.

Świadomość, że jest blisko, sprawia, że czuję się trochę lepiej. Wiem, że z Ever jest tak samo. Wspomniała nawet kilka razy, że lubi, gdy nie słyhać krzyków sąsiadów, a jej buzia promienieje, gdy tylko Crew się pojawia. Pomijając to, że dzięki niemu czujemy się bezpieczniej, modłę się, żeby w końcu dotrzymał obietnicy i naprawdę pomógł mi poradzić sobie z tym wszystkim.

Crew

Gentry!

Rzucam torbę i odwracam się. Szef wskazuje na mnie i krzyczy:

- Zrób sobie przerwę!

Idę przez stocznię. Jest ciepło, ostatnie chłody ustąpiły. Jest prawie idealnie i żałuję, że nie mogę się tym cieszyć. Stan Everleigh przysparza mi zbyt wiele bólu, żeby cieszyć się czymkolwiek.

Zeszłej nocy nie mogłem spać. Zbyt wiele cholernych myśli przetoczyło się przez moją głowę. Jedna przechodziła w drugą, a ja patrzyłem, jak mijają kolejne godziny. Budzik wyłączyłem, zanim jeszcze miał szansę zadzwonić.

Mój mózg mógł chociaż coś wymyślić, skoro już zarwałem noc.

Ale tak się nie stało. Ever nadal ma raka. Ja nadal muszę wykombinować kupę forsy. Julia zapewne nadal myśli, że jestem popieprzony.

Gdy wyczołgałem się z łóżka, jedyną różnicą było to, że Julia zrobiła mi kawę. Nie było jej tam, nie zostawiła też żadnej wiadomości, ale kiedy wszedłem do kuchni, dzbanek był pełen.

Gdy wchodzę do małego pomieszczenia, gdzie spędzamy przerwy, otwieram swoją szafkę i wydaję butelkę wody. Piję, wdzięczny za to, że mogę chociaż chwilę побыć w samotności. Zimna woda przyjemnie nawilża moje gardło. Grzebię w swoich rzeczach, znajduję telefon i włączam go. Mam jedno nieodebrane połączenie. Przyciskam przycisk przełączający na pocztę.

- *Cześć, Crew. Tu Brett z Boston 15. Chciałem dać ci znać, że*

sporządziłem raport z naszej rozmowy i nasza stacja puści to w eter o dwudziestej drugiej. Zaklepałem też kolumnę na stronie i wrzuciłem tekst z samego rana. Daję ci znać na wypadek, gdyby zaczęto do Ciebie wydzwaniał albo chciałbyś sam sprawdzić, jak wyszło.

Jeszcze raz dziękuję za spotkanie. Życzę ci szczęścia.

Wbijam wzrok w sufit, czuję ucisk w gardle.

Kurwa mać.

Mam nadzieję, że Brett wziął to, co mu dałem, i dobrze to wykorzystał.

Zadał cios, ale czy wystarczająco mocny?

Nie jestem w stanie zignorować tego dziwnego uczucia w brzuchu. Muszę sprawić, żeby to się stało, ale wiem też, że aby do tego doszło, potrzebna jest mi przychylność gwiazd. Muszą to zobaczyć odpowiednie osoby, które przekażą to dalej, a informacja ta musi trafić w czuły punkt właściwych ludzi.

Jest to tak długa droga, że pewnie nic nie drgnie. Z tego, co wiem, Hunter Davidson ma już przeciwnika.

Przychylność gwiazd i Boże błogosławieństwo razem wzięte pewnie nic tu nie wskórają.

Oczywiście działały się bardziej niesamowite rzeczy.

Nawet jeśli do tego dojdzie, skąd mam wiedzieć, czy walczę na takim poziomie?

Rzucam butelką o swoją szafkę. Ląduje na ziemi a woda rozlewa się dookoła.

Dziwnie jest mieć czyste ręczniki w łazience. Zawsze robiłem pranie, ale

nigdy nie przejmowałem się tym, żeby w łazience leżało kilka czystych ręczników. Używałem jednego i wieszałem go na drzwiach. To kolejna zmiana, związana z mieszkaniem z Julią. Kolejna zmiana, która w ogóle mi nie przeszkadza.

Owijam się czystym ręcznikiem w pasie i wycieram ręką parę z lustra. Patrzy na mnie moje odbicie, rzucając mi w twarz wszystkie kłamstwa, które sobie wmawiałem.

Że wszystko się ułoży. Że znajdę rozwiązanie.

Bruzdy wokół moich ust, przygarbione ramiona... Nie mam pojęcia co, do cholery, robię. Usiłuję być bohaterem, a nie mam zielonego pojęcia, od czego zacząć. Moją jedyną nadzieją jest marzenie, i to takie, które nie wiem, czy wypali, nawet jeżeli wypali.

Ekran telefonu zaczyna się świecić. Wyciszyłem go, zanim wróciłem do domu; telefony i wiadomości napływają z zawrotną prędkością. Po pracy czekała na mnie wiadomość od Bretta, który przesłał mi link do artykułu. Na szczęście - dla niego i dla mnie - był tak sugestywny i dramatyczny, jak oczekiwałem.

Biorąc pod uwagę wszystkie fakty, Crew Gentry powinien zostać zapomniany. Idealny uczeń lokalnej gwiazdy, Sala D'Amato, i zapaśniczy zawodnik z uniwersytetu w Minnesocie, Gentry, nie dawał o sobie znać, odkąd opuścił matę na noszach. Aż do zeszłego tygodnia.

W społeczności MMA zawrzało, gdy do sieci wyciekło nagranie, na którym uwieczniono walkę Gentry'ego. Obraz był niewyraźny, jednak bardzo imponujący.

Gentry był niesamowity i tak bardzo przypominał chłopaka, którego wielbiliśmy wiele lat temu. To sprawiło, że zacząłem się zastanawiać..., jak ma się Gentry po tylu latach?

Gdy zgodził się na spotkanie ze mną, spodziewałem się wraku człowieka. Wiem, jak czas i kontuzja wpływają na organizm.

Wciąż pamiętam, jak odciągano Gentry'ego od Davidsona w Iowa, podczas finałów NCAA. Cały sportowy świat czekał, by przekonać się, czy przeżył uraz rdzenia kręgowego. Wszyscy odetchnęli z ulgą na myśl, że może skończyć się najwyżej na paraliżu.

Crew Gentry przyszedł do mnie wczoraj i był całkowitym przeciwieństwem człowieka, jakiego oczekiwałem zobaczyć.

Przez ostatnie kilka lat pracował w dokach. Jest silny, sprawny i, co najważniejsze, wciąż ma ten błysk w oku.

Zapytałem go o powrót do walk. Dał mi odpowiedź godną wojownika i powiedział, że nie odmówiłby. Naciskałem dalej i zapytałem, czy sądzi, że dałby radę raz jeszcze pokonać Huntera Davidsona. Bardziej ciekawiło go to, czy Hunter Davidson byłby gotów na ponowne starcie z nim.

Przed spotkaniem Gentry'ego myślałbym pewnie, że głupotą jest samo myślenie o tym. Ale po tym spotkaniu, gdy poczułem jego energię, stawiam na Crew.

Zalewa mnie kolejna fala telefonów i wiadomości. Dobre jest to, że ludzie dzielą się tą informacją i rozmawiają o tym. Zła informacja jest taka, że kontaktują się ze mną niewłaściwie osoby, a to tylko przysparza mi nerwów.

Widzę numer Jordyn, więc odbieram.

- Co jest?
- Cześć, Crew. Jesteś w domu?
- Tak. Właśnie wyszedłem spod prysznic.
- Jestem dwie ulice od ciebie. Mogę wpaść.
- Nie, lepiej nie.
- Okej - boczy się. - Przychodzisz dzisiaj do baru?

- Nie. Słuchaj, jestem teraz trochę zajęty, więc nie będziemy się widywać.

Przez chwilę na linii panuje cisza.

- Dobra. Spotykasz się z inną?

- To nie tak.

- Nigdy tak nie jest - wzdycha. - Wiesz co? Nie przejmuj się. Tylko nie lataj potem za mną, jak już skończysz z tą... kimkolwiek ona jest.

- Nie latam nawet za pieprzoną butelką piwa, J.

- Nieważne. Cześć.

Rozłączam się i znowu patrzę na swoje odbicie. Jest piątkowy wieczór, a ja właśnie splawiłem chętną cipkę i nie idę do baru.

Kim, do cholery, jestem?

- Crew? - Zza drzwi rozlega się głos Julii. Mówi cicho, słysząc, że jest zmęczona, mimo to w jej głosie nadal rozbrzmiewa nuta determinacji, która nigdy jej nie opuszcza.

Moje imię wypowiedziane tym głosem przypomina mi człowieka, którym byłem, którym jestem teraz oraz tego, którym chcę się stać. Daje mi powód, żeby być lepszym.

- Tak?

- Jeżeli jesteś głodny, przygotowałam kolację.

Potrząsam głową i patrzę w lustro.

To wojowniczką. Bierz z niej przykład.

JULIA

Czas mija, każdy oddech przybliża nas do poniedziałku.

Opłukuję ostatni talerz po śniadaniu, a następnie wkładam go do zmywarki. Gdy oglądam się przez ramię, widzę, że Crew i Ever siedzą na kanapie i oglądają kreskówki. W samym środku piekła, w którym żyję, w świecie diagnoz, witamin, antybiotyków, nieznanego, wyparcia i niepewności, scena, która się przede mną rozgrywa, daje mi jakiś punkt podparcia.

Cały dzień zastanawiałam się, kiedy powiedzieć Ever. Najpierw chciałam poczekać do niedzieli, bo wtedy miałyby mniej czasu na martwienie się. Potem doszłam do wniosku, że łatwiej jej będzie, gdy damy jej cały dzisiejszy i jutrzejszy dzień na zadawanie pytań i przyzwyczajanie się do nowej sytuacji.

Brzuch boli mnie ze strachu. Jestem pewna, że zostaną mi po tym wrzody. Nie mogę jeść. Nie mogę spać. Bez przerwy się ruszam i patrzę na zegarek. Nawet to jest źródłem nerwów. Nie chcę, żeby nadszedł poniedziałek; nie chcę skazywać swojej córki na takie przerażające rzeczy. Z drugiej strony, każdy kolejny dzień wydłuża okres, gdy nie jest poddawana leczeniu. Modlę się tylko, żeby lekarze naprawdę wiedzieli, co robią.

- *Musimy wszystko odpowiednio przygotować, pani Gentry. Potrzebujemy wszystkich wyników, które skonsultuje cała grupa specjalistów. Zrobimy to, ale gdy przyjdzie czas na leczenie, pani córka musi być tak silna, jak tyko potrafi. Proszę nam zaufać.*

Nie ufam nikomu.

Wycieram ręce i zbieram się na odwagę.

- Crew? Mogę cię prosić na chwilę?

Podnosi wzrok i marszczy brwi. Głaszcze Ever po głowie i idzie w moją stronę. Zatrzymuje się kilkadziesiąt centymetrów ode mnie.

- Zastanawiałam się... - wiem, że gdy to zrobimy, nie będzie powrotu. To musi się stać, ale jestem przerażona. Nie chcę widzieć jej strachu. Nie chcę widzieć jej łez. -Może powinniśmy powiedzieć jej dziś wieczorem? Dać jej kilka dni na zastanowienie? Zadawanie pytań? Zanim to wszystko się zacznie.

- Tak - mówi szorstkim głosem. Kiwa głową, jakby przyzwyczajał się do tej myśli, po czym prostuje plecy. Przyciąga mnie do siebie, a ja mu na to pozwalam. Potrzebuję tej odrobiny pewności, że nie będę przechodzić przez to sama. Może potrzebowanie go czyni mnie słabą, ale niech to diabli, jeśli jest inaczej.

Ciepło jego ramion, solidne ciało, zapach jego skóry, który pamiętam, wszystko to wypełnia tę część mnie, która wydawała się pusta. Tę część, w której pokładałam swoje siły.

Odsuwa się i odgarnia mi kosmyk włosów z twarzy.

- Gotowa?

- Teraz? - pytam. Nie byłam gotowa zrobić tego później, a co dopiero *teraz*.

- Zróbmy to. Miejmy to za sobą.

Kiwam głową, bo wypowiedzenie tego na głos to dla mnie zbyt wiele. Odwraca się i idzie do salonu. Podążam za nim. Gardło mam wyschnięte, a w piersi czuję taki ucisk, że nie wiem, czy zdołam cokolwiek powiedzieć.

- Hej, małpeczko. Twoja mamusia i ja chcielibyśmy z tobą chwilę porozmawiać, dobrze?

Crew zerka na mnie i czeka, aż usiądę. Zajmuję miejsce obok Ever, a on siada na krześle pod oknem.

Ever prostuje się i patrzy najpierw na Crew, potem na mnie.

- Dobrze. O czym chcecie rozmawiać? Zabieracie mnie do parku?

- Nie, ale może pójdziemy jutro, co?

Wydaje się być zadowolona z odpowiedzi. Przenosi wzrok na mnie.

- Pamiętasz, jak wcześniej byliśmy u lekarza? A tam robili ci różne badania? - pytam.

Otwiera szerzej oczy i wtula się w kąt kanapy.

- Tak. To bolało.

Jej słowa sprawiają, że prawie się duszę. Patrzę błagalnie na Crew.

- Tak, te rzeczy są do bani - mówi, przykuwając uwagę Ever. - Zanim się urodziłaś, zrobiłem sobie krzywdę. I też miałem robione takie badania. To nie było fajne.

- Naprawdę? - pyta. - Nie wiedziałam.

- Tak. Więc wiem, jakie to uczucie.

Crew milknie i czeka, aż coś powiem. Wiem, że pozwala mi prowadzić tę rozmowę i doceniam to. Ale nie wiem, co powiedzieć.

- Dzwonili twoi lekarze, Ever. Bardzo często boli cię brzusek, prawda? - Kiwa głową i kładzie na nim rączkę - W twoim brzuchu zrobił się guzek. Nie widzimy go, ale jest tam.

Ever robi skrzywioną minę, nos marszczy jak królik.

- Guzek? - Masuje się po brzuchu, jakby chciała go wyczuć.
- Mniej więcej. Jeżeli się go nie pozbędziemy, będziesz czuła się coraz gorzej.
- Dobrze. Jak to zrobić? Nie lubię, jak boli mnie brzuch.

Wstrzymuję oddech, niczym baseballista, któremu brakuje zaliczenia jednej bazy, by wygrać.

- Sprawa wygląda tak, dzieciaku. Dostaniesz leki, które sprawią, że zniknie - mówi Crew, przejmując dowodzenie.
- Coś jak różowa guma balonowa?
- Nie, Ever. - Crew splata palce i opiera na nich brodę. Przygląda się jej. - Jesteś inteligentną dziewczynką, prawda?
- Tak! Pani Yeryar daje mi gwiazdki na każdej pracy. A czasami jestem nawet Uczniem Dnia, bo nie dostaję niebieskiej kropki. - Patrzy poważnie na Crew. - Niebieski jest zły. Oznacza, że nie słuchałeś.

Uśmiecha się, ale widzę, że jego serce pęka tak samo jak moje.

- Będę z tobą rozmawiał jak z dużą dziewczynką, bo jesteś świetnym słuchaczem. Wysłuchasz mnie przez chwilę?

Minę ma poważną. Kiwa głową i siada prosto. Lubi czuć się odpowiedzialna i wiem, że będzie słuchała wszystkiego, co Crew powie. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Ale na tę chwilę nie wiem kompletnie nic.

- W naszych ciałach znajdują się tak zwane komórki. Są niczym małe pęcherzyki z informacjami. Czasami, nikt nie wie dlaczego, część z tych pęcherzyków przekazuje złą informację. Nie słuchają.

- Jestem pewna, że dostają czarne kropki! - śmieje się.

- Prawdopodobnie tak - uśmiecha się smutno. - Te małe, nieposłuszne komórki, zbierają się w grupy i robią się coraz większe, przez co chorujesz. A jeśli lekarze nie sprawią, że zaczną słuchać, możesz bardzo ciężko zachorować.

- Czy właśnie to dzieje się ze mną?

Jej niewinność mnie niszczy. Muszę odwrócić wzrok, bo nie potrafię utrzymać kontaktu wzrokowego. Ta rozmowa jest tak samo bolesna, jak utrata Gage'a, bo -w pewien sposób - tracę też Ever. Tracę niewinność mojej dziecinki.

Już nigdy nie zdołam spojrzeć w jej oczy i zobaczyć dziecięcej radości. Już zawsze będzie miała nad głową tę aurę; zawsze będzie się bała, że coś jest nie tak. Rak nie tylko sący się do naszego organizmu, on wtapia się w naszą świadomość. I choć staramy się żyć normalnie, nasza wersja „normalności” zmienia się na zawsze.

- Tak - odpowiada zachrypniętym głosem Crew. -Dlatego będziemy musieli dać ci w szpitalu leki. Będziesz musiała spędzić tam kilka dni i będzie to okropne. Ale obiecuję ci, że to o wiele lepsze niż pozwolenie, by kolejne komórki dostały czarne kropki.

Ever wyciąga rękę i chwyta mnie za udo. Wtula się we mnie, chwyta moje ręce i kładzie je na swoich ramionach. Przyciągam ją do siebie i całuję w czubek głowy. Zaczynam mówić, ale mi przerywa:

- Wujku Crew, nie chcę więcej ohydnych leków.

- Wiem, małpeczko. Ale ja i twoja mamusia upewnimy się, że wszystko będzie w porządku.

Patrzy na mnie, a ja wbijam wzrok w sufit. Do moich oczu napływają łzy, grożąc wybuchem płaczu, ale nie mogę sobie na to pozwolić. Nie mogę dopuścić do tego, żeby zobaczyła, że jestem cholernie

przerażona... że nie do końca wierzę, iż wszystko będzie dobrze. Nie chcę, żeby chociaż podejrzewała, że czuję się bezradna, niezdolna zapewnić jej cholernej terapii, która może uratować jej życie. Nie chcę, żeby martwiła się tym, że bank odmówił mi każdej pożyczki, o jaką się ubiegałam. Nie chcę, żeby myślała o każdym przeplakany telefonie, który wykonałam, by błagać ubezpieczalnię i szpital o pomoc, gdy Crew zabrał ją do sklepu po mleko.

Jestem jej matką! Jestem tą, która powinna chronić ją przed całym światem.

A tylko ją zawodzę.

Z moich ust prawie wyrywa się szloch, ale w porę go w sobie duszę. Skoro mam ją zawieść we wszystkim, przynajmniej będę silna.

- Jak długo to będzie trwało? - pyta.

- Nie wiemy, skarbie. Będziemy musieli się przekonać. Ever wpatruje się w przestrzeń, a ja wiem, że myśli o tym, co powiedział jej Crew. On łapie moje spojrzenie i razem czekamy, co powie, dajemy jej czas na przetrawienie informacji.

- Czy to jest jak grypa? - pyta w końcu. - Będę chora brzuch? I będzie mnie bolało gardło?

- Mniej więcej. To, na co chorujesz, nazywane jest rakiem - mówi niepewnie Crew.

Ever sztywnieje.

- Rak? Mama Megan miała raka! Była bardzo chora. Megan płakała na przerwach. Myślała, że już nigdy jej nie zobaczy!

Odwraca się twarzą do mnie, na jej twarzy widać przerażenie. - Powiedziała, że wypadły jej wszystkie włosy. Czy ja też stracę włosy, mamusiu?

Przeczesuje palcami swoje długie, czarne włosy. Gdy nie odpowiadam, przenosi wzrok na Crew. Wygląda na zbitego z tropu, ale już po chwili uśmiecha się lekko.

- Szczerze, Ever? Może. Ale nigdy nic nie wiadomo. -Milknie na moment. - Wiesz, że każdy cukierek na patyku nazywamy lizakiem, prawda? Ale jest wiele różnych lizaków. Niektóre mają w środku gumę, inne czekoladę, a jeszcze inne są czerwone. Tak samo jest z rakiem, kochanie. Mówimy „rak”, ale jest ich naprawdę dużo i każdy jest inny.

- Czy wypadną w łazience? Megan powiedziała, że tak się działo z jej mamą. Mówiła, że w prysznicu były włosy. To by było przerażające. - Gdy patrzy to na mnie, to na Crew, drży jej dolna warga.

Nie rozumie. W jej główce wygląda to tak, jakby była w stanie kontrolować jedynie kwestię włosów. Coś tak prostego i dla niej pewnego, że tylko na tym się skupia.

- Wiesz, że kiedyś walczyłem? - pyta ją Crew.

Kręci głową, po czym przechyla ją na bok. Jest równie skonsternowana, co ja, zmianą tematu.

- Byłem wojownikiem. Dużo walczyłem. I wiesz, co się robi przed walką?

Ponownie kręci głową.

- Goli głowę.

Blednie.

- Dlaczego? Dlaczego się to robi?

- Ponieważ — mówi z przesadą — kiedy idziesz walczyć i nie masz włosów, twój przeciwnik wie, że bierzesz to na poważnie. Że jesteś gotowa na zwycięstwo. To daje ci siłę, bo sama zdecydowałaś o tym,

żeby ogolić głowę. Twój przeciwnik nie może tego zrobić. W jej oczach pojawia się błysk, a ja wstrzymuję oddech.

- Właśnie to powinniśmy zrobić. Rak chce z nami walczyć? Pokażmy mu, że jesteśmy gotowi. - Crew przechyla głowę, patrząc na nią tak, jakby omawiali strategię. Może właśnie tak jest.

- Musimy ogolić sobie głowy? - wydaje się rozważać jego słowa. - Czy ja umrę, wujku Crew?

Tracę oddech, żołądek skręca mi się w supeł. Crew wygląda na zszokowanego jej pytaniem, ale szybciej odzyskuje kontrolę.

- Nie. Nie umrzesz. Obiecuję ci to. Będziemy walczyć razem. - Przenosi wzrok na mnie, nie ma w nim ani trochę niepewności. - Razem, we trójkę, pokonamy raka. Czeka nas dużo pracy i nie będzie zabawnie. Ale jeśli pokażemy mu, że nie żartujemy, wygramy.

- Jesteś pewien? - pyta, przyglądając mu się uważnie. Crew śmieje się, ale wiem, że robi to tylko dla niej.

- Oczywiście, że jestem. Widziałaś ty mnie? - Podwija rękaw koszulki i napina mięśnie, na co Ever wybucha śmiechem. — Jestem potworem. - Wyciąga ręce i łaskoce ją. Wije się na moich kolanach, a jej śmiech sprawia, że zalewa mnie fala ciepła.

- Dobrze - mówi wprost, łapiąc oddech. - Wygramy!

- Moja dziewczynka. - W jego oczach pojawiają się łzy.

- Musimy być przerażający - mówi Ever i porusza palcami przy twarzy, udając potwora.

- Zróbmy to. - Pochyla się tak, że ich oczy znajdują się na tym samym poziomie. Mówi przyciszonym głosem. - Ogolimy głowy? Pokażemy, kto jest zwycięzcą?

Nieruchomieje. Nie jestem pewna, co odpowie. I nie wiem, czy jestem na to gotowa.

- Ty też to zrobisz? - pyta, dotykając czubka jego głowy.

- Oczywiście. Będziemy walczyć ramię w ramię. Nie stanę do boju, pozwalając myśleć rakowi, że pokona mnie już na starcie.

Ever wstaje i odwraca się w moją stronę, plecami wtula się w Crew.

- Ty też ogolisz głowę, mamusiu?

- Ach - Crew śmieje się, biorąc ją na ręce. - Twoja mama nie jest typem wojowniczką. Ale za to jest obrzydliwie śliczna.

Śmieję się i ocieram łzy.

- Jest śliczna! - mówi Ever, chichocząc.

Crew przekręca ją i sadza sobie na biodrze. Patrzą na siebie, oboje uśmiechają się. Dotyka palcem jej nosa.

- Niech mama będzie cheerleaderką. To będzie jej zadanie. Nie możemy pozwolić jej przeszkadzać nam w wykonywaniu naszej nikczemnej pracy.

- Dobra.

- Ale musimy też dać jej zajęcie, żeby nie poczuła się pominięta - mówi, patrząc na mnie kątem oka. - Ona ogoli nam głowy, dobrze?

- A potem zrobi lemoniadę? - pyta z nadzieją Ever.

- A potem zrobi lemoniadę - Crew śmieje się i przyciąga mnie do swojego boku. - Wszystko będzie dobrze, dziewczyny - mówi i przytula mnie mocno. Patrzą w jego oczy, a on mówi bezgłośnie: - Obiecuję.

Crew

Moja świeżo ogolona głowa jest gładka, gdy dotykam jej pokrytą odciskami ręką. Słyszę, że Ever bawi się podczas kąpieli, a Julia kończy sprzątać.

Wyciągam z szafki butelkę whisky i otwieram ją. Biorę łyk, alkohol pali mnie w gardło i rozpętuje pożar w żołądku. Kolejny łyk dolewa tylko oliwy do ognia.

Była to najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem.

Ever miała szeroko otwarte oczy, gdy Julia zaplatała jej długie włosy, by móc je obciąć.

Ręce Juli drżały i prawie cały czas patrzyła na mnie, jakby potrzebowała wsparcia i zapewnienia, że postępuje właściwie.

Gdybym tylko, kurwa, wiedział. Z drugiej strony, chyba lepiej było zrobić to teraz, niż pozwolić im wypaść.

Ever, Jules... cholera, nawet ja potrzebowałem poczuć się w tej sytuacji silny. Wszystko jest poza naszą kontrolą. Jak bezsilna musiałaby się czuć, patrząc na wypadające kosmyk po kosmyku włosy?

Zdałem sobie sprawę, że to jedyna rzecz, nad jaką jesteśmy w stanie zapanować. Jedyna rzecz, której rak nie robi za nas.

Ever zachłysnęła się powietrzem, gdy zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Jules i ja wstrzymaliśmy oddechy, czekając na to, co powie.

Przesunęła ręką po włosach.

- Wyglądam jak Kajtuś, mamusiu- wyszeptała, wspominając postać z

kreskówki, którą lubi. - Wyglądam jak on, ale jestem dziewczynką.

-Jesteś o wiele ładniejsza niż Kajtuś.

- Odrosną?- głos jej się załamuje, gdy dotyka swojej głowy.

- Odrosną.

- To uczyni mnie silniejszą, prawda, wujku Crew?

- Tak, Zobacz, jak potężnie wyglądasz. Ja bym z tobą nie zadzierał.

Ever chichocze i odwraca się.

- Okej! Wierzę ci. Ale lepiej niech odrosną!

Drzwi do łazienki otwierają się, a do kuchni wchodzi Julia. Wyrzuca włosy do kosza. Gdy na mnie patrzy, jest tak blada, jakiej nigdy jej nie widziałem.

- Kurwa - mruczę i przyciągam ją do siebie. Obejmuje mnie w pasie, a ja opieram brodę o czubek jej głowy. - To musiało się stać. Wiesz to, prawda?

- Nie wiem, czy podołam, Crew.

- Musisz dać radę. - Głaszczę ją po plecach, a ona obejmuje mnie mocniej. - Wiesz, że w tym tygodniu pracuję, prawda? Postaram się przychodzić do szpitala prosto z doków, bo nie dostanę wolnego.

- Wiem - szepcze.

- Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, mów mi o wszystkim, a ja postaram się coś wymyślić - wzdycham. - Nienawidzę tego, że będziesz tam sama. Czy jest ktoś, kto mógłby siedzieć tam z tobą?

Kręci wtuloną w moją pierś głową.

- Olivia będzie czasami wpadać, ale ma swoje sprawy. Poza tym opiekuje się Rory. - Milknie, a potem bierze głęboki oddech. - Nie powiedziałam rodzicom.

- I niech tak zostanie.

- Nie chcę się z nimi użerać, Crew. Ale to ich wnuczka.

- Zanim im powiesz, poważnie się zastanów. Wiesz, że na dłuższą metę tylko ci to utrudnią.

Stoimy na środku kuchni, przytulając się wzajemnie. Co jakiś czas słyszymy, jak Ever chichocze albo śpiewa jakąś piosenkę o cukrze.

- W tym tygodniu popracuję nad paroma rzeczami, żeby załatwić pieniądze.

- To za dużo - mówi, odsuwając się. - Jakim cudem zdobędziemy taką sumę? Ja... Jestem jej matką, Crew. A ona nie dostanie tego, czego potrzebuje, bo ją zawiodłam!

Łzy spływają po jej twarzy, a ja znów mocno ją przytulam.

- Do kurwy nędzy, zamknij się, Jules. - Wiem, że jestem nieprzyjemny, ale sam ledwo się trzymam. - Nigdy w niczym jej nie zawiodłaś. Opiekuj się nią. Ja zadbam o pieniądze.

- Jak? - szlocha.

- Jeszcze tego nie wymyśliłem. Ale zrobię to.

Julia pociąga nosem i ponownie się odsuwa. Wyciera oczy rąbkiem koszuli.

- Dziękuję.

Staję do niej tyłem i znowu chwytam butelkę. Biorę kolejny duży łyk.

- Naprawdę, Crew — głos jej drży. - Wpakowałeś się w sam środek piekła, a przecież mogłeś po prostu nas zostawić.

- Przestań.

- Nie. Chcę, żebyś mnie wysłuchał - mówi, po czym obejmuje mnie w pasie i odwraca twarzą do siebie. -Przez wiele lat byłam dla ciebie niemiła...

- Julio, przestań. Zasłużyłem na to.

Przygląda mi się.

- Też tak myślałam. Ale nie sądzę, żebym wtedy wszystko rozumiała. Nie zdawałam sobie...

- Nie rozumiesz — mówię, opuszczając głowę tak, że patrzymy sobie prosto w oczy. - Byłaś wściekła, bo odszedłem od ciebie. Ale ja zrobiłem to celowo. Wiesz, ja rozumiałem. Wiedziałem, że związek ze mną, zwłaszcza wtedy, zniszczy cię. Kurwa, ja wtedy nie miałem pojęcia, co robię. Zasługiwałaś na kogoś, kto kochałby cię i nie zrzucił na ciebie całego tego chaosu, który zawsze mnie otaczał. Zasługiwałaś na kogoś, kto trwałby przy tobie, dał ci dzieci, pracował od dziewiętej do siedemnastej. Kogoś, kto traktowałby cię jak księżniczkę.

- Nie chciałeś mnie?

Śmieję się, bo ona tego nie rozumie.

- Gdy wróciłem i zobaczyłem ciebie z Gage'em, coś do mnie dotarło. Zdałem sobie sprawę, że tak musi być. Nie zasługiwałem na ciebie. Nie byłem w stanie dać ci tego, czego potrzebowałaś. Ale Gage mógł. Był jedynym facetem, którego nie zatłukłbym za to, że cię dotyka, bo wiedziałem, że jest dla ciebie odpowiedni. - Wzruszam ramionami i odwracam się do niej plecami.

— Crew?

- Tak?

- Kochałeś mnie?

Uśmiecham się i oglądam przez ramię. Zaczynam układać sobie w głowie to, co męczyło mnie od dawna. Otwieram usta, ale nie jestem w stanie znaleźć odpowiednich słów.

Nie tutaj. Nie teraz. Nie w ten sposób.

Zamiast tego odwracam się, dotykam jej twarzy i patrzę głęboko w oczy. Mam nadzieję, że widzi w nich to, co czuję. Mam nadzieję, że widzi, że kochałem ją od dnia, w którym ją zobaczyłem. Mam nadzieję, że widzi, że będę ją kochał aż do śmierci.

Crew

Chcesz coś do jedzenia? - zerkam na Ever, która leży na kanapie. Owinęła się szczelnie kocykiem z Dzwoneczkiem i patrzy obojętnie na telewizor.

- Nie - mówi, głos ma pusty.

- Jesteś pewna? Mogę coś zrobić. Może deser lodowy? - Staram się wymyślić coś, co mogłaby lubić mała dziewczynka. Nie je, przez co jest jej coraz mniej. - Z bananami i wiórkami czekoladowymi?

Nie odpowiada mi, tylko wpatruje się w ekran telewizora, ale nie wydaje mi się, żeby naprawdę coś oglądała.

- Bardzo boli mnie brzuch - mówi w końcu, zaciskając powieki. - Bardzo, bardzo mocno, wujku Crew.

Zaciskam ręce na oparciu fotela, na którym siedzę. Nie wiem, co robić. Jules pojechała spotkać się z panią Ficht, żeby omówić swój grafik. Potem ma zajechać do sklepu po koc termiczny dla Ever. Ciągle jest jej zimno i drży jak liść na wietrze. Nie wiem, czy koc pomoże, ale warto spróbować.

- Spraw, żeby było lepiej, wujku Crew.

- Ach, Ever - mówię, walcząc z drzeniem w głosie. Powinienem być mężczyzną, uosobieniem równowagi, *nieugiętym*. Ale niech mnie diabli, jeśli słowa padające z tych drobnych ust nie wstrząsają mną do głębi.

- Staram się. Przysięgam, że się staram.

- Chyba potrzebuję nowego ciała - mówi, po czym otwiera oczy. Ból w jej oczach jest wręcz namacalny. - Chcę, żeby było tak, jak wcześniej.

Kiedy bawiłam się z Rory, chodziłam do szkoły i spałam u pani Bennett. Ale nie chcę wyprowadzać się od ciebie. Chcę tu mieszkać.

- Nie mogę dać ci nowego ciała i nie jestem w stanie cofnąć czasu. Ale mogę ci obiecać, że nie będziesz musiała się stąd wyprowadzać, dopóki ty i twoja mamusia tego nie zechcecie.

- Nigdy nie będę chciała. Lubię być tu z tobą.

- A ja lubię być z tobą.

Jęczy i chwyta się za brzuch.

- To tak bardzo boli. Jakbym miała tam wulkan. -Przyciąga kolana do piersi i zaciska powieki.

Nigdy nie czułem się bardziej bezużyteczny i beznadziejny niż teraz.

Jest to najgorsza rzecz, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem. Zrobiłbym dosłownie *wszystko*, żeby wydobrzała, a nie mogę zrobić *nic*.

Nawet jednej pierdolonej rzeczy.

- Przytulisz mnie? - mówi tak cicho, że prawie zagłusza ją postać z bajki. - Proszę, przytul mnie.

Wstaję i idę do niej, po czym siadam obok. Biorę ją delikatnie na ręce i sadzam sobie na kolanach, a potem chwytam koc z Dzwoneczkiem. Gdy kładzie głowę na mojej piersi, przykrywam ją.

- Teraz jest lepiej - szepcze.

- Cieszę się.

Leży w ciszy przez dłuższą chwilę i myślę, że zasnęła, ale nagle się odzywa.

-Jutro muszę iść do lekarza.

- Wiem. Zaczną sprawiać, że poczujesz się lepiej.
- Będzie bolało.

Przytulam ją jeszcze mocniej. Nie mogę zaprzeczyć, nie chcę jej okłamywać.

- Przyjdiesz mnie zobaczyć? - pyta.
- Oczywiście. Przyniosę ci ciągutkę.
- Weź mi dwie.
- Wezmę nawet cztery.

Ever ziewa i przyciąga kolana do piersi.

- Jak już poczuję się lepiej, zabierzesz mnie na plażę?
- Tak. I będziemy codziennie chodzić do parku.
- Codziennie?
- Dokładnie tak.
- A na mecze baseballu?

Śmieję się.

- Baseballu? Od kiedy lubisz baseball?
- Wydaje mi się, że tatuś go lubił.
- Lubił. Kibicował Red Soxom. Ale ty powinnaś lubić Jankesów.
- Lubisz Jankesów? Jeśli tak, mogę lubić i jednych, i drugich.

Śmieję się, bo wiem, że gdyby Gage to słyszał, wpadłby w szal.

- Jestem śpiąca.
- Więc śpij.
- Będziesz mnie przytulał?

Uśmiecham się.

- Jeżeli chcesz.
- Chcę.
- W takim razie będę.

Wtula się we mnie, a ja trzymam ją mocno, gdy zasypia. Przez kolejne godziny modlę się do Boga, w którego nieszczególnie wierzę.

Julia

Jestem wdzięczna, że sala szpitalna mojej córki dobrze wygląda. Jasnożółte ściany zdobione modnymi wzorami dodają mu pogody. Co nie zmienia faktu, że nadal jest to sala szpitalna.

Sala szpitalna mojej córki.

Starali się, żeby nam obu było tu jak najwygodniej. Jedyne, czego nie mogli, to pozbyć się ucisku w moim żołądku. Tego się nie pozbędą... dopóki nie wyleczą Ever. Nie jestem pewna, czy nawet wtedy to uczucie zniknie na stałe.

Czy człowiek kiedykolwiek zaznaje spokoju po usłyszeniu takiej diagnozy? Czy kiedykolwiek jest zdolny wrócić do beztroskiego życia bez raka?

Patrzę na zegarek. Jest dokładnie dwunasta. Burczy mi w brzuchu, chociaż bardziej z niepokoju niż dlatego, że nie jem od kilku dni. Nie mogę pozbyć się z głowy tego, jak zabierali Ever, żeby przygotować ją do podania chemii. Mają zainstalować jej półtrwały wenflon, przez lekarze będą wprowadzać do jej organizmu leki.

W ten sposób będzie jej podobno łatwiej i wygodniej. Powiedzieli, że to nie powinno potrwać długo, ale dla mnie już minęło za dużo czasu.

Będę musiała się przyzwyczać. Tak przez jakiś czas po prostu będzie.

Siedzę na krześle stojącym tuż obok miejsca, gdzie normalnie znajduje się łóżko Ever. W pomieszczeniu jest kanapa, którą można rozłożyć. Spędzę na niej najbliższe sześć nocy, bo nie ma mowy, żebym ją tu zostawiła. Chociażby na chwilę.

Przeszukuję swoją wielką torbę i wyjmuję telefon. Obiecałam pani

Ficht, że zadzwonię i dam znać, czy wszystko ze mną w porządku. Gdy mam zacząć wybierać numer, dostaję wiadomość.

Crew: Wszystko gra?

Ja: Przygotowuję ją.

Crew: Będę wieczorem.

Ja: Nie musisz.

Crew: Chciałbym być tam teraz, jest mi kurewsko niedobrze.

Ja: Odezwę się, jak już się czegoś dowiem. Teraz pozostaje tylko czekać. Chyba muszę się do tego przyzwyczaić.

Crew: Mam przerwę, ale muszę kończyć. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń do doków. Włożyłem ci do torebki numer.

Zaciekawiona, grzebię w niej i znajduję foliowy woreczek. W środku dostrzegam złożoną kartkę, kilka batoników musli i parę dwudziestodolarowych banknotów.

Ja: Właśnie go znalazłam. Nie musiałeś tego robić.

Crew: Widzimy się wieczorem.

Przyciskam torebkę do piersi. Dziwnie jest mieć kogoś, kto o mnie myśli, ale to miłe. Walczę z nieprzyjemnym uczuciem, które pojawia się na myśl o ponownie opuszczającym mnie Crew. Naprawdę nie sędzę, żeby do tego doszło, a przynajmniej nie do czasu, aż Ever wydobrzeje. Zmienił się.

Wybieram numer do pani Ficht i uśmiecham się, gdy słyszę jej głos.

- Tak?

- Witaj, Valerie.

- Och, Julio. Tak się cieszę, że słyszę twój głos, skarbie. Jak się masz? Co z Everleigh?

- Czekam, aż przygotują ją do podania chemii. Zabrali ją, kiedy dzwoniłaś. Przepraszam, że nie odpowiedziałam wcześniej.

- Nie przepraszaj. Rozumiem to i nie będę marnować twojego czasu. Chciałam tylko powiedzieć, że w niedzielę odbędzie się u nas zbiórka charytatywna dla was. Jeżeli będziesz mogła przyjść, to świetnie. Jeśli nie, nic się nie stanie. Pojawiło się kilku klientów, którzy chcą jakoś pomóc.

Gdy to słyszę, drży mi dolna warga. Daję tym ludziom kawę i ciasto, a oni troszczą się o moją córkę?

- Dziękuję - szepczę. - Czy mogę zrobić cokolwiek, żeby pomóc?

Śmieje się.

- Nie. Chcemy założyć konto, żeby chętni mogli wpłacać pieniądze. Czy tak będzie dobrze?

- Tak - prawie nie jestem w stanie mówić.

- Możemy zrobić chociaż tyle, Julio. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, proszę, dzwoń. Obiecasz mi to?

- Tak. - Ocieram łzy, ale na ich miejsce natychmiast pojawiają się nowe.

- Muszę iść wyjąć ciasta z pieca. W razie potrzeby dzwoń o każdej porze.

- Dobrze, dziękuję.

- Dbaj o siebie i tę małą dziewczynkę. Wszyscy się za nią modlimy.

* * *

Muszę się odprężyć. Wiem to. Ale siedzenie w szpitalu, ogólnie sytuacja, w jakiej jestem, nie pozwala mi na to. Personel szpitalny przychodzi co chwilę. Za każdym razem, gdy otwierają się drzwi, moje serce bije jak szalone. Za każdym razem, gdy przychodzi pielęgniarka albo lekarz, myślę o najgorszym. Czuję się jak na roller coasterze; docieram na dół i zaczynam oddychać spokojnie, aż nagle znowu podrywa mnie gwałtownie do góry.

Wyłączam telewizor i wyciągam nogi na kanapie. Jest późne popołudnie, a słońce przyjemnie ogrzewa moją skórę.

Ever zasnęła szybko, otumaniona po zabiegu przygotowawczym. Budzi się co jakiś czas, a potem znowu odpywa, ale pielęgniarka mówi, że jest to normalne i dobre dla małej. Chcemy, żeby odpoczywała jak najwięcej, bo od jutra zaczyna chemię.

Doktor Perkins pojawia się w białym fartuchu i z kartą pacjenta w ręce. Rozgląda się szybko po pokoju, po czym jego wzrok spoczywa na mnie.

- Jak się trzymacie? - pyta ciepłym głosem.

- Tak, jak tylko możemy. Chyba.

Siada na krześle obok łóżka i szybko bada Ever. Potem odwraca się do mnie.

- Wszystko poszło dzisiaj świetnie - mówi pocieszająco. - Jest wojowniczką.

Staram się uśmiechnąć. Czuję ucisk w piersi, gdy narasta niecierpliwość wywołana jego słowami. Muszę nauczyć się, że za każdym razem, gdy go zobaczę, może być dobrze albo źle. To trochę tak, jak kontrola w pracy - idziesz i przekonujesz się, czy będzie premia, czy nie.

- Powiedziała nam, że jest wojowniczką. Że rak będzie się jej bał, bo obcięła włosy.

Moje usta wyginają się w delikatnym uśmiechu.

- Tak jej powiedzieliśmy.
- Mądre posunięcie. Musimy ją w całym tym procesie podbudowywać.
- Odkłada kartę pacjenta i opiera łokcie na kolanach. - Jutro zaczniemy chemię. Użyjemy wlewu, który dziś zainstalowaliśmy, żeby podać jej leki. Żałuję, że nie mogę pani powiedzieć, czego się spodziewać, ale wszystko zależy od organizmu.
- Będzie z nią źle?
- Prawdopodobnie. Musimy czekać, a wtedy sami się pokonamy. Proszę pamiętać, że to maraton, nie bieg krótkodystansowy. Musi pani myśleć o tym jak o wojnie, podczas której w danej chwili walczymy na jednym froncie.

Ma rację, ale marzę o magicznej tabletki, która sprawi, że wszystko się polepszy w ułamku sekundy.

- Jeżeli chodzi o terapię, którą omawialiśmy wcześniej... - urywa. - Osobiście napisałem apelację do przewodniczącego terapii i przeanalizowałem apelację do towarzystwa ubezpieczeniowego. Robię wszystko, żeby się tam dostała. Chcę, żeby pani to wiedziała.

Boję się zapytać, ale muszę to wiedzieć.

- Co się stanie, jeżeli się nie uda? Co wtedy?
- Mamy grupę ekspertów, którzy zapoznali się z jej sprawą i mamy plan zastępczy. Nie będę kłamał, terapia jest najlepszą opcją. Czeka nas naprawdę ciężka walka, Julio. Wiele dzieci nie ma szans na tę terapię, ale istnieją inne sposoby leczenia.
- Ale nie są tak skuteczne - szepczę.

Kiwa powoli głową.

- W Nowym Meksyku pracują nad kolejnymi metodami. Sprawdzam je, dodatkowo poprosiłem moich współpracowników o zdobywanie informacji w innych częściach kraju.

- Nie rozumiem. Czy przypadkiem na neuroblastomę nie choruje wiele dzieci?

- Choruje. Ale w przypadku Everleigh nowotwór wydaje się być bardzo agresywny, dlatego chcemy walczyć z całym światem. Poza tym jest to świat medyczny. Codziennie dowiadujemy się nowych rzeczy. Nie pozwolę, żeby wszystko stanęło w miejscu. Obiecuję to pani.

Wzdycham i zamykam oczy, czuję, jak słońce pada na moją twarz. Żałuję, że nie mogę ich otworzyć i znaleźć się z Gage'em i Ever w naszym małym domku w Cambridge.

Głos doktora Perkinsa przedziera się do mojej świadomości.

- Nie chcę, żeby pani się załamywała. To praca zespołowa i potrzebujemy pani siły.

Praca zespołowa.

Uśmiecham się i przypominam sobie, jak Crew tłumaczył to wszystko Everleigh.

- Musi pani zadbać o siebie. Jeść i odpoczywać. Konieczne jest, żeby była pani silna dla swojej małej dziewczynki. -Wstaje i prostuje fartuch.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę zgłaszać to pielęgniarkom. Widzimy się rano.

- Dziękuję.

Zanim wychodzi, drzwi się otwierają. Do środka wchodzi rudowłosa pielęgniarka, którą pamiętam z poprzedniej wizyty tutaj.

Jest drobna, ma może metr pięćdziesiąt wzrostu, kremowobiałą cerę i

jasnozielone oczy. Uśmiech ma szeroki i przyjazny.

- Cześć - uśmiecha się. - Jestem Macie. Nie wiem, czy mnie pamiętasz.
- Pamiętam - odpowiadam z uśmiechem. - Jestem Julia. A to Ever.
- Jest przeurocza - mówi, patrząc na moją dziecinę. -Czy mogę ci coś przynieść? Wodę? Colę? Coś do jedzenia? -Przegląda trzymane w ręku papiery i coś w nich notuje.
- Nie, niczego nie potrzebuję. Dziękuję.

Poświęca mi swoją uwagę i opiera się o barierkę w nogach łóżka.

- Opowiedz mi o sobie.

Wzruszam ramionami, bo nie do końca rozumiem, dlaczego pyta.

- O sobie?

Śmieje się lekko, jej rudy kucyk huśta się na boki.

- Przez jakiś czas będziemy często się widywać. Jeżeli będziemy miały o czym rozmawiać, trochę nam to ułatwi życie, prawda?
- Tak myślę... - Nie podoba mi się to, że miałabym znać personel. Nie chcę być tu na tyle długo. Chcę udawać, że nie istnieją.
- Cóż - mówi - może ja zacznę. Lubię fioletowy, jestem fanką bostońskich Red Soxów, uwielbiam seks na plaży -zarówno w realu, jak i w postaci drinka - śmieje się.

Śmiech ma lekki i sympatyczny, a ja zastanawiam się, jakby to było obejrzeć z nią film i napić się wina. Wydaje się być kimś, z kim mogłabym się zaprzyjaźnić.

- Okej, szczerza informacja. Ja lubię gotować, oglądać filmy, i też lubię kolor fioletowy.

- W takim razie mamy coś wspólnego. Zawsze jakiś start! - Okrąża łóżko Ever i przyciska guzik, po którym jedna z maszyn przestaje piszczeć. - Jesteś mężatką?

Kręcę głową.

- Mój mąż nie żyje.

- Przykro mi.

- W porządku. A ty?

Wzrusza beztrosko ramionami, a ja przez chwilę marzę o tym, żeby choć przez sekundę poczuć to samo.

- Po prostu dobrze się bawię. Czasami spotykani się z facetami, ale nie jest to nic poważnego. - Zerka na zegarek. - Dobrze. Za kilka minut muszę podać pacjentom leki. Miło było cię poznać, Julio.

- Wzajemnie, Macie.

Uśmiecha się i wychodzi, zostawiając mnie w odrobinę lepszym humorze.

Crew

Wsiadam do swojej ciężarówki i rzucam torbę na siedzenie obok. Zanim odpalę silnik, włączam telefon, żeby sprawdzić, czy Julia pisała. Za każdym razem, gdy to sprawdzam, mam masę nieodebranych połączeń i wiadomości na sekretarce od ludzi, którzy widzieli wywiad w telewizji albo internecie. Byłoby to naprawdę zabawne, gdyby działo się w innych okolicznościach. Bawiłbym się tym, ale w tej chwili wiąże z tym zbyt wiele nadziei.

Przewijam sześć wiadomości, zanim znajduję tę od Julii.

Julia: Zainstalowali wenflon. jest śpiąca, ale ma się dobrze. Pyta o ciebie, a ja powiedziałam jej, że postarasz się przyjechać.

Zaczynam odpisywać, gdy telefon wibruje w mojej ręce. Nie znam tego numeru.

-Tak?

- Czy rozmawiam z Crew Gentrym?

- Tak. Kto mówi?

- Dobry wieczór, Crew. Tu Don Wetzel z NAFL.

Zasycha mi w ustach. Pamiętam tego gościa. To z nim rozmawiałem na ostatnim roku w Minnesocie. To on zaproponował mi dołączenie do ich organizacji.

Udało się. Udało. Się.

- Pewnie mnie nie pamiętasz? - pyta.

- Pamiętam - mówię i odchrząkuję. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Śmieje się.

- Jestem pewien, że wiesz, dlaczego dzwonię.
- Oświeć mnie.
- Proszę bardzo. Ustawiliśmy dla twojego starego znajomego, Huntera Davidsona, walkę, która ma się odbyć za niecałe trzy miesiące. Możesz o tym co nieco wiedzieć.

Teraz to ja powinienem się zaśmiać, ale nie chcę za szybko się odsłonić.

- Może.
- Cóż, bójka w barze i wywiad znowu zwróciły na ciebie uwagę.
- Coś słyszałem.

Milczy przez chwilę.

- Jak twoje zdrowie?
- Pracuję w dokach. Co ci to mówi?
- Posłuchaj, Crew. Miałem nie dzwonić... - wzdycha, a moje serce zaczyna bić szybciej. - Przeciwnik Davidsona zrezygnował i wiem, że o tym wiesz. Twoja mała... demonstracja... z zeszłego tygodnia dotarła do ekipy Davidsona. Będę z tobą szczery. Davidson jest znany jako świetny zawodnik. Kończy swoje walki bardzo brutalnie. Po rezygnacji Reyesa pozostaje mu walka z Pattersonem albo Hickmanem, ale wtedy musiałby dobić do wagi półciężkiej.
- Zniszczyliby go - wtrącam.
- Prawdopodobnie. Ale tu chodzi o interesy, a wszyscy mówią o tobie, panie Gentry. Ekipa Davidsona widzi w tym dobre posunięcie pod

kątem PR. Mogliby poprawić jego wyniki, poza tym uważają, że skończyły z tobą w bardzo efektywny sposób. Nie będę kłamał.

- Do sedna, Wetzel. - Uderzam palcami o kierownicę, noga nieustannie mi podryguje.

- Dzwonię, żeby zaproponować ci walkę.

Odsuwam telefon od twarzy i wypuszczam oddech.

Daję sobie pięć sekund na opanowanie, po czym przykładam telefon z powrotem do ucha.

- ...walczyłyś trzynastego lipca. Miałbyś niewiele czasu, zwłaszcza jeśli nie trenowałeś. Nie chcę, żebyś się w to pakował jako żer dla wilków...

- O jakich pieniądzach mówimy?

Śmieje się.

- Więc jesteś zainteresowany?

- Za właściwą cenę, owszem.

- Jutro będę w Bostonie. Spotkaj się ze mną w naszym biurze na Peiffer Street o trzynastej. Odpowiada ci ten termin?

- Będę.

Rozglądam się dookoła i nie mam pojęcia, jak się tutaj znalazłem. Rozłączyłem się z Wetzlem i po prostu ruszyłem.

Wysiadam z ciężarówki i zamykam za sobą drzwi. Moje buty zapadają się w ziemi, gdy idę po trawie. Słońce grzeje, kierując się ku zachodowi, ptaki ćwierkają dookoła mnie, kryjąc się wśród gałęzi drzew zasadzonych

w regularnych odstępach. Działam na autopilocie, kierując się do celu, jakby przyciągał mnie tam magnes.

W brzuchu mi jeździ, a w piersi czuję pieczenie, gdy w mojej głowie przewijają się różne scenariusze. Wiem, że ostatecznie *nie mam* wyboru. Muszę to zrobić, żeby zdobyć pieniądze. Czuję się po prostu tak przytłoczony, jakby całe życie przebiegało mi przed oczami.

Wszystko się toczy, miesza, a ja nie mam nikogo, z kim mógłbym o tym porozmawiać. Mógłbym pogadać z Willem, ale na tę chwilę wie tyle samo, co ja. Potrzebuję kogoś mądrzejszego, bardziej myślącego.

Potrzebuję mojego brata.

Dostrzegam przed sobą szary nagrobek. Od czasu pogrzebu byłem tu tylko raz. Nie zostałem długo. Widok jego imienia, wygrawerowanego na kamieniu, dwóch dat, które zdefiniowały jego życie, to było za wiele. To było zbyt brutalne.

Widzę fioletowe kwiaty, które Julia postawiła po obu stronach nagrobka.

Są wyblakłe i postrzępione. Stoją tu i wykonują swoją pracę, przyjmując na siebie wszystkie niegodziwości świata. Tak jak ja. Kurwa, życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdybym po prostu od tego uciekł.

Dlaczego tym razem nie mogę tego zrobić?

- Cześć - burczę.

Rozglądam się dookoła, ale nikogo nie ma. Kopię kamień i kręcę głową, bo czuję się jak totalny kretyn. Ale nic nie mogę na to poradzić. Potrzebuję *tu* być.

- Nie mam zielonego pojęcia, co ja, kurwa, robię, Gage - śmieję się. Na gałęzi siada czerwony ptak i przygląda mi się.

Wypuszczam oddech i czuję, jak cała energia ulatuje ze mnie razem z nim.

- Pogubiłem się, bracie. Bardzo. Nie mam pojęcia, co robię. - Głos mi się załamuje. Pęka tama, a słowa wylewają się jedno za drugim. - Czy postępuję właściwie? Staram się zatroszczyć o twoje dziewczyny. Wprowadziły się do mnie. Powiedziałem Julii, żeby nie martwiła się niczym poza Ever. Robię wszystko, co mogę, Gage, ale czuję, że to za mało. Nic z tego nie jest tym, co ty byś zrobił. Podejmuję kolejne pieprzone decyzje, ale to nic nie daje. Powstają z tego tylko kolejne problemy.

Zgodzę się na tę walkę. Tak pomiędzy nami, i tym nagrobkiem, martwię się. To znaczy wiem, że muszę to zrobić. Ale co, jeśli się nie uda? Co jeśli dotrwam do walki i przegram? Wtedy co? Nie możemy obaj ich opuścić! -krzyczę w przestrzeń i zalewa mnie fala frustracji. - Cholera! Musi być inne rozwiązanie, ale ja go, kurwa, nie widzę!

Kładę obie ręce na nagrobku i pochylam głowę.

- Ja też je kocham, wiesz o tym. Nie mam pojęcia, czy to właściwe, ale kocham je. Wiem, że gdybyś tu był, trzymałbym się z daleka. Ale ciebie nie ma, a ja staram się postępować dobrze i nie mogę ich nie kochać - śmieję się. — Założę się, że teraz przewracasz się w grobie, co?

Czerwony ptak ćwierka, a ja podnoszę wzrok i patrzę, jak przeskakuje z gałęzi na gałąź.

- Nie wiem nawet, dlaczego tu jestem. Chyba chciałem tylko, żebyś wiedział, że się staram. Póki żyję, będę je chronił i zrobię wszystko, żeby żyło im się lepiej niż nam. Ale jeśli masz jakiś genialny pomysł, żeby to naprawić, nie krępuj się i podziel się swoją wiedzą.

Kiwam głową i robię kilka kroków w tył.

— Nie zawiodę cię, Gage. Zaczynam dorastać.

Mały ptak wydaje z siebie kolejny dźwięk, a ja patrzę na niego. Odlatuje z gałęzi, przelatuje nad nagrobkiem i znika.

Po raz ostatni zerkając na grób, wracam do ciężarówki. Wiem, co muszę zrobić.

Muszę tylko dopracować szczegóły.

Crew

Pan Gentry?

Podrywam głowę i patrzę na brunetkę siedzącą za wielkim mahoniowym biurkiem. Przesuwam ręką po dżinsach.

- Pan Wetzel na pana czeka.

Wskazuje na drzwi po lewej. Wstaję, podchodzę do nich i pukam.

- Proszę wejść — mówi męski głos.

Nieruchomieję na ułamek sekundy i dopiero wtedy otwieram drzwi.

Po mojej wczorajszej rozmowie z Gage'em pojechałem do szpitala. Z Ever było źle, kurewsko się pochorowała. Julia była kłębkiem nerwów, a ja zostałem do późna, starając się być opoką w centrum tego sztormu. gdy siedziałem tam i patrzyłem, jak moja bratanica wygotuje, a Julia oddaje całe serce i duszę, żeby ją wesprzeć, coś do mnie dotarło.

Życie to wybory, a ja dokonałem swojego.

Nadszedł czas, żeby przestać się tym martwić.

Przestań gadać. Zaczynij działać.

Don Wetzel siedzi za biurkiem. Włosy ma bardziej siwe niż zapamiętałem, ale poza tym się nie zmienił. Trochę starszy, ale nadal wyglądał dobrze.

Uśmiecha się złowieszczo i wyciąga do mnie rękę.

- Dobrze znów cię widzieć, Crew.

Ściskam jego rękę i siadam naprzeciwko.

- Jak się masz?

- Dobrze.

Przygląda mi się przez chwilę.

- Wyglądasz dobrze. Silnie.

- Tak. Trzymam formę - mówię nonszalancko. Wydaje się być usatysfakcjonowany. Odwraca się na krześle i bierze jakąś teczkę, po czym znowu siada przodem do mnie. Kładzie ją na biurku i opiera na niej rękę. Patrzy na mnie, mrużąc oczy.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? Masz mało czasu na przygotowanie, a Davidson jest rozgrzany.

- Zdecydowanie. - Minę mam pewną. Nie chcę mówić za wiele, dlatego pozwalam całą gadkę odwalić jemu. Mówienie zbyt wielu rzeczy może wpędzić cię w kłopoty; tego, czego się nie powiedziało, nie można żałować.

- Co z kontuzją?

- Podpiszę klauzulę - odpowiadam. - Nie twój interes.

- Niech będzie. - Wzrusza ramionami i otwiera teczkę. - Przygotowaliśmy dla ciebie kontrakt na trzydzieści tysięcy. Dobra suma jak na jeden dzień.

- Trzydzieści tysięcy? Chyba sobie żartujesz. Oczekujesz, że wezmę tę walkę za trzydzieści tysięcy?

- Crew, nienawidzę się, że to mówię, ale jesteś nikim.

Co on, do kurwy, właśnie powiedział?

- Jestem nikim, a zarazem jedynym, który potrafi załatwić twojego chłopca. W moim słowniku, i nie tylko moim, jest to definicja „kogoś”.

Śmieję się zarozumiale.

- Po pierwsze, nie jest moim chłopcem...

- Pierdolenie - mówię, pochylając się. - Fani pragną tej walki. Sam Davidson jej chce. Nie myśl, że wyjdę tam, wyświadczę wam przysługę - bo tak będzie, Wetzel - za trzydzieści tysięcy dolarów.

- Nie obchodzi nas, czego chce Davidson. Obchodzi nas tylko to, żeby zarobić. A ta walka przyciągnie inwestorów, ale NAFL nie zapłaci jakiemuś chłopakowi z ulicy, mimo takiej determinacji, sześciocyfrowej kwoty, Crew. To się nie stanie.

Moje myśli pędzą jak szalone, usiłuję znaleźć rozwiązanie. Potrzebuję więcej pieniędzy. To musi się udać.

Czuję na sobie spojrzenie Dona.

Myśl!

- Będę z tobą szczerzy, dobrze? - mówię. - Prawda jest taka, że myślisz, że Davidson mnie zabije. Więc chcesz rzucić mi na zachętę kość, żebym wszedł tam, dał mu wygrać, co pozwoli mu iść dalej.

Wzrusza ramionami.

- Takie są prognozy. NAFL nie zapłaci więcej za przegraną.

Śmieję się ze złością.

- Jesteś pewien, że przegram, co? A co powiesz na to? Niech to będzie wszystko albo nic.

- Co masz na myśli?

Pochyłam się jeszcze bardziej, serce łomocze mi w piersi.

- Jeśli przegram, nie zapłacicie mi *nic*. Jeśli wygram, dostanę sto tysięcy.

Śmieje się.

- Mówisz poważnie?

- A czy wyglądam, jakbym żartował?

Don odchyła się na krześle i wygląda, jakby myślał, że postradałem zmysły.

- Myślę, że to może wypalić. Ale czy jesteś absolutnie pewien, że chcesz to zrobić? Przemyślałeś to?

- Spraw, żeby to się stało.

Pochyla się i popycha dokumenty w moją stronę.

- Tutaj jest kontrakt. Chcesz, żeby przed podpisaniem sprawdził go prawnik? To byłoby mądre posunięcie.

- Daj mi długopis.

Don zabiera dokumenty i zmienia kontrakt, dodając nową klauzulę. Oddaje mi je wraz z długopisem. Podpisuję szybko i zamykam teczkę. Podpis jest bardziej rozlazły niż zwykle, ale krąży we mnie taka ilość adrenaliny, że to cud, iż w ogóle utrzymałem długopis.

- Gotowe.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - mówi.

- Powtórzę się - nie twoja sprawa - mruczę.

Wypuszcza głośno oddech, przeczesując swoje usiane siwizną włosy.

- Dobrze. Zadzwońmy do ekipy Davidsona, żeby to wszystko ruszyło.

Wciska kilka przycisków na telefonie, a w powietrzu rozlega się sygnał połączenia.

- Killian.
- Killian, tu Don Wetzel.
- Jak poszło z Gentrym?
- Jest tutaj. Właśnie podpisaliśmy kontrakt.
- Hunter! Chodź tutaj! - krzyczy Killian.

Don obserwuje mnie uważnie, czekając na oznaki zwątpienia. Nie doczeka się.

- Mam tu Huntera - mówi Killian.
- Panie Davidson, jest ze mną pan Gentry. Właśnie podpisaliśmy kontrakt. Macie walkę trzynastego lipca.

Davidson śmieje się, a na dźwięk jego głosu wzdłuż mojego kręgosłupa przebiega dreszcz. Nienawidzę tego skurwysyna najbardziej na świecie. Nawet jego śmiech jest zarozumiały. Przypominam sobie wszystko to, co o mnie powiedział przez te wszystkie lata; wymówki, którymi rzucał, tłumacząc, dlaczego przegrał walkę ze mną, insynuacje, że nigdy bym sobie nie poradził w NAFL.

Chcę go wykończyć.

Znowu.

- Cześć, Crew. Gotowy na to, żebym znowu cię skopał?
- Powodzenia - parskam.

Rechocze jak opętany.

- Wykończę cię, skurwielu.
- Nie, *skurwysynu*. Pokonam cię. *Znowu*.
- Długo czekałem na ten dzień. Będziesz szczęściarzem, jeśli cię nie zabiję. Kurwa, ostatnim razem prawie zdechłeś, a przecież byłeś w szczytowej formie - śmieje się. - Przygotuj się, kretynie.
- Może i jesteś mocny w gębie, ale nic poza tym. Ośmieszę cię na oczach całego świata, tak jak ostatnim razem.
- W porządku, panowie - mówi Don, puszczając mi oczko. - Na dzisiaj wystarczy. Ważne, że się dogadaliśmy. Powodzenia dla was obu.
- Niedługo się skontaktujemy - mówi Killian, a Don rozłącza się.

Zrobiło się naprawdę poważnie.

CREW

Kładę klucze na blacie. Mam tak dużo do zrobienia, że nie wiem nawet, od czego zacząć.

Patrzę na zegarek, przeszukując kuchenną szufladę. Jest prawie dwiętnasta. Wyciągam notatnik i długopis, po czym siadam na kanapie. Muszę wszystko zaplanować i muszę zrobić to teraz.

Po spotkaniu z Wetzlem praca była niemal niemożliwa. Musiałem zostać kilka dodatkowych godzin, żeby odpracować czas, kiedy mnie nie było. Rozładowywanie statków pozwoliło mi, żeby przerobić wszystko w głowie. Do czasu, aż skończyłem pracę, czułem się dziwnie skupiony. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułem. Nie powiedziałbym, że wszystko było klarowne, bo wciąż pozostawało sporo syfu, którego nie ogarniałem. Ale po raz pierwszy w życiu nie miałem wątpliwości, że postępuję dobrze. I choć miałem świadomość, że nie wiem, jak skończy się to dla *mnie*, wiedziałem, jak skończy się to dla *Everleigh*, a to dawało jej szansę na przyszłość.

Opieram się o poduszki i daję sobie chwilę na złapanie oddechu.

Rozglądam się po pokoju i zdaję sobie sprawę, jak pusto jest tu bez nich. Widzę ich porzucane dookoła rzeczy, ale to sprawia, że tęsknię jeszcze bardziej.

Wzdycham, wyciągam telefon i dzwonię do Jules.

- Hej - mówi po odebraniu, głos ma słodki, ale zmęczony.
- Hej. Jak się czujesz?
- Dobrze. Ever śpi, więc staram się odpocząć. To był długi dzień.

- Obudziłem cię?
- Nie, tak jest dobrze. Miło jest usłyszeć twój głos.

Uśmiecham się i żałuję, że nie mogę być z nią.

- Miałem dzisiaj przyjść, ale, hm, musiałem załatwić kilka spraw. Pracowałem do późna, a teraz planuję tę dodatkową pracę, którą wzięłem.
- Och, Crew - mówi. - Czuję się z tym tak źle.
- Przestań. Zgłosiłem się dobrowolnie. Nie zapominaj o tym.

Nic nie mówi, więc wypełniam ciszę.

- Macie wrócić w weekend, tak?

Ziewa.

- Taki jest plan. Jeżeli wszystko będzie dobrze i przyjdę chemię bez komplikacji, wrócimy około piątku.
- Jak się trzyma? Wiem, że mówiłaś, że było ciężko.
- Bo było. Dużo wymiotowała, ale z tego, co powiedział lekarz, skutki uboczne w jej przypadku są niewielkie. Nie mogę sobie wyobrazić czegoś gorszego. To była najkropniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Wstaję i zaczynam chodzić po pokoju.

- Może mógłbym przyjść na kilka godzin... - Natychmiast zaczynam się zastanawiać, jak to wszystko pogodzić. Czuję się taki rozdarty. Muszę być *tam*, ale muszę też być *tutaj*... wszystko to ma jeden cel.
- Obie będziemy spać, więc to bez sensu, naprawdę. Lekarze powiedzieli, że mam o siebie dbać, bo Ever będzie potrzebowała mojej

siły. - Milknie na długą chwilę. - Ty musisz zadbać o siebie, Crew. Potrzebuję, żebyś był silny dla mnie.

I to wystarczy, żebym na nowo się skupił.

Chodzę dookoła stołu z telefonem przy uchu. Przy piątym okrążeniu słyszę radosny głos.

- Siłownia Blackrock.
- Cześć, czy jest Sal? - pytam.
- Tak, powinien być. Kto dzwoni?
- Crew Gentry.
- Poczekaj chwilę.

Zamiast zawiesić połączenie, po prostu kładzie telefon na biurku. Słyszę dźwięki dobiegające z siłowni. Skóra uderzająca w skórę, muzyka, krzyki... do tej pory nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak za tym tęskniłem.

Zalewa mnie pragnienie, by przeskoczyć na drugą stronę słuchawki i dołączyć do tego chaosu. Wiem, jak pachnie siłownia, jak wygląda światło padające przez szklane drzwi.

Na linii rozlega się pisk, a po nim odzywa się stary głos:

- D'Amato.
- Cześć, Sal. Tu Crew Gentry.
- Cóż, kto by pomyślał — mówi przeciągle. — Co u ciebie dzieciaku? Jak się trzymasz?

- Dobrze. Naprawdę dobrze. Dzwonię tylko, żeby zapytać, czy masz jakieś wolne miejsca?

- Po co? - pyta beznamiętnym głosem. Wyczuwam jego sceptycyzm.

Od czasu, gdy dorwał mnie przy Shaw's, Sal nadzorował moją karierę w liceum. Trenował mnie każdego wieczora po zajęciach w szkole. Był jedną z niewielu osób, które wierzyły, że będę walczył na dobrym poziomie. Bez niego nigdy nie miałbym szans.

Sal uczył na starych zasadach. Gdy trenujesz z Salem, popycha cię do przodu. Ma wymagania i nie pozwala nikomu zostawać w tyle. Gdy jesteś w drużynie D'Amato, troszczy się o ciebie. Wiem, że w tej chwili albo mi to pomoże, albo bardzo zaboli.

- Cóż, mam ustawioną walkę i potrzebuję trenera.

- Ty co? - krzyczy. - Co ty wyprawiasz, Gentry? Masz pozwolenie od lekarza?

Pocieram czoło ręką. Wiedziałem, że będzie z nim ciężko i nie jestem pewien, czy coś w tej kwestii zdziałam. *Kurwa!*

- To nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że ma!

Zapada długa, pełna napięcia cisza.

- W co się wpakowałeś, Crew?

Wypuszczam głośno oddech.

- Mam rewanż z Davidsonem, trzynastego lipca. Potrzebuję trenera.

- To zrozumiałem za pierwszym razem. Masz ustaloną walkę. Ja pytam: dlaczego? - Wiem, że właśnie

zdejmuje okulary i potrząsa głową. Widziałem to setki razy. - Po co miałbyś pakować się w coś takiego? Nie jesteś idiotą, Gentry. Nie musisz nic udowadniać temu ścierwu. Jestem stuprocentowo pewny, że słyszałem, jak lekarze powiedzieli ci, że kolejna walka prawdopodobnie cię zabije. Nie rób nic głupiego, dzieciaku.

- Potrzebuję pieniędzy.
- Ach, kurwa - mówi Sal, myśląc pewnie, że w coś się wpackowałem.
- To nie tak - dodaję.
- Nigdy tak nie jest. Nigdy.
- Moja bratanica ma raka, trenerze. Potrzebuję pięćdziesięciu tysięcy, żeby zapewniono jej odpowiednie leczenie.

Słyszę, jak wzdycha i siada na skrzypiącym fotelu.

- Zrobię to z tobą albo bez ciebie — mówię stanowczym głosem. — Miałbym większe szanse, gdybyś stanął w moim narożniku. Ale jeśli nie chcesz, nie martw się. Zrobię to sam.

Mlaszcze językiem, tak jak zawsze, gdy myśli. Czekam. To może skończyć się na dwa sposoby.

- Chciałbym móc przekonać cię, żebyś tego nie robił. Ale jeżeli jesteś tak zdeterminowany, żeby to zrobić...
- Jestem.
- Cóż - wzdycha. - Bądź tu jutro o osiemnastej. Przygotuję wiadra, żebyś miał gdzie rzygać. Lepiej przygotuj się do roboty.

Julia

Patrzę, jak do żył mojej córki pompowana jest trucizna. To głupie. Faszujemy ją chemikaliami zabójczymi dla jej organizmu. Wiem, że to dla jej dobra, ale na tę chwilę wydaje mi się, że to czyste szaleństwo. Cała ta sytuacja jest po prostu otępiająca.

Everleigh ogląda kreskówki. Dzisiaj znosi wszystko o wiele lepiej. Jest zmęczona. Widać to po jej twarzy, ale nie jest z nią tak źle. Zeszłej nocy spałyśmy dłużej, niż oczekiwałam. Zaczynam przyzwyczajać się do tego rozkładanego łóżka tak bardzo, jak tylko się da.

Przyciska swoją małą rękę do piersi i wskazuje na telewizor ręką, do której ma podłączony wenflon. Widać, że jest jej ciężko.

- Spójrz, mamusiu! — śmieje się. Głos jej się załamuje, bo ma sucho w gardle.

- Chciałabyś napić się wody?

Kręci małą główką.

- Nie. Brzuszek by mnie rozbolał.

Światło odbija się od jej głowy, brak jej czarnych loków sprawia, że oddech więźnie mi w gardle. Wydaje mi się, że brak włosów bardziej wpłynął na mnie niż na nią.

Niewiele o tym mówi. Widziałam parę razy, jak przeciąga ręką po włosach albo podnosi szczotkę, żeby za chwilę ją odłożyć, ale nie wydaje się z tego powodu smutna. Chciałam z nią o tym porozmawiać, ale ona po prostu zmieniała temat.

Może zważyło się na nią tyle rzeczy, że nie miała czasu tak naprawdę o tym pomyśleć. Wiem tylko, że za każdym razem, gdy dostrzegam brak czarnego kucyka na jej głowie, dobija mnie to coraz bardziej.

- Puk, puk. - Drzwi otwierają się, a po chwili w szparze pojawia się głowa Willa. Nie widziałam go od czasu, gdy zabrał mój samochód i wymienił opony; mam wrażenie, jakby to było rok temu. Uśmiecha się szeroko i wchodzi do środka, w prawej ręce trzyma reklamówkę. -Jak się macie, drogie panie?

Ever przygląda mu się uważnie. Nie zna go za dobrze, chociaż, gdy żył Gage, spędzał z nami dużo czasu. Z drugiej strony ja miałam przyjemność dorastać z nim i chłopcami Gentry. Will zawsze był ich skrzydłowym, dopełniał spokój Gage'a i żywiołowość Crew.

Will Gentry jest głupkiem, ale ma dobre serce. Nie wiem o nim za wiele, dlatego że po śmierci Gage'a nie utrzymywaliśmy kontaktów.

Odepchnęłam od siebie wszystkich.

To była świadoma decyzja, jednak gdy patrzę na to z perspektywy czasu, wydaje mi się, że może postąpiłam źle. Przypominam sobie, jak któregoś razu Will, dzień po pogrzebie Gage'a, przyniósł pizzę. Podziękowałam mu i powiedziałam, że sobie poradzę. Powiedziałam też, żeby żył swoim życiem i dał nam spokój. Potem przychodził jeszcze kilka razy, ale przestał, chyba że Crew przysyłał go do nas, żeby coś zrobił.

Tylko Crew nie odpuścił, nieważne, jak byłam okropna.

Mgła, która osiadła ciężko na części mojego życia, powoli znika. Odcięcie się od wszystkich było złe. Odpychanie ludzi, których wcześniej kochałam, strach przed skrzywdzeniem, to też było złe. Pozwolenie im, żeby przebywali blisko mnie i Ever, dawałoby im możliwość skrzywdzenia nas, ale jednocześnie mogliby nas wspierać. Nie finansowo, lecz swoją obecnością. Znaliśmy się od zawsze, a ja odmówiłam im prawa, by byli moimi przyjaciółmi i mogli oddać cześć

Gage'owi.

Jest mi wstyd. Za wszystko, co im powiedziałam, zrobiłam. Za to, jak przez ostatnie lata się przeze mnie czuli, choć znaliśmy się tyle czasu. Mimo to są tutaj. Przychodzą do szpitala.

Troszczą się o nas.

Czuję się niepoważna.

Podnoszę wzrok i widzę, że na twarzy Willa przez chwilę pojawia się totalna pustka, gdy patrzy na leżącą na łóżku Ever.

- Jak się czujesz, Ever?

Wzrusza ramionami.

- Dobrze, chyba. Chcę do domku.

- Nie wątpię - mówi. - Ale przynajmniej nie musisz słuchać tego swojego zrzędliwego wujka.

- Tęsknię za wujkiem Crew — mówi smutno.

- Cóż - odpowiada zaczepnie Will - przysłał mnie z przesyłką dla ciebie.

- Naprawdę? - Chce usiąść, ale te wszystkie kable jej na to nie pozwalają.

- Naprawdę. Powiedział, żebym ci przekazał, że chciał tu z tobą być, ale musi dzisiaj pracować. Przyjdzie, gdy tylko będzie mógł.

- Powiedz mu, że za nim tęsknię. I że go kocham.

Twarz Willa łagodnieje, a jego usta wyginają się w lekkim uśmiechu.

- Powiem. - Grzebie w reklamówce i wyjmuje pudełko Laffy Taffy. - Powiedział, że je lubisz.

- Nigdy ich nie dostawała - mówię.

Everleigh chichocze i wymienia spojrzenia z Willem. Podaje jej pudełko, a ona kładzie je obok siebie.

- Wujek Crew zawsze mi je przynosił - mówi.

To dla mnie nowość.

Will znowu grzebie w reklamówce i wyciąga parę czerwonych, błyszczących kapci.

- Powiedział, że powinnaś zamknąć oczy i udawać, że jesteś w parku. Powiedział też, że gdy stukniesz nimi cztery razy, on się tam pojawi. Będzie czekał przy huśtawkach.

Cztery razy...

Łzy napływają mi do oczu na myśl o przypadkowości — a może i nie przypadkowości - tej liczby. Nie jestem małą dziewczynką, którą trzeba ratować przed rodzicami, ale jednocześnie potrzebuję rycerza.

Will uśmiecha się do mnie. Wyciąga rękę, wręcza mi kopertę i pudełko kokosowych makaroników.

- To dla ciebie.

- Nie musiał mi niczego przysyłać - mówię, rumieniąc się. Jestem zawstydzona, a zarazem dotknięta gestem Crew. Czuję się przez to jeszcze bardziej winna za to, jak go traktowałam. - Jakim cudem pamiętał, że lubię te ciastka?

- Nie sędzę, żeby zapomniał o czymkolwiek, co ciebie dotyczy - uśmiecha się zawadiacko. Opiera ręce na brzegu łóżka i pochyla się w stronę Ever. - A więc, panno Everleigh. Jak się czujesz?

- Okropnie.

- Nie wątpię. Zanim się obejrzysz, wrócisz do domu.
- Wiesz, gdzie teraz mieszkam?
- Słyszałem, że dotrzymujecie teraz towarzystwa wujkowi.
- Tak! Mieszkamy w jego dodatkowym pokoju. Kiedy wraca do domu, mamusia robi kolację. I wiesz co? Nie muszę już nosić bluzy. W naszym starym mieszkaniu zawsze było zimno, ale u wujka Crew jest ciepło. Lubię tam być.

Ściskam kopertę w ręce i staram się nie rozplakać. Czasami zapominam, jak świadoma jest wielu rzeczy. Zastanawiam się, ile rozumie z tego, co się z nią dzieje. I ze mną. I z Crew.

Chociaż tego, co się dzieje między mną a Crew, nie wiem nawet ja. Wiem tylko tyle, że teraz, gdy na niego patrzę, już go nie nienawidzę. Bo jakbym mogła? Co nie zmienia faktu, że przeraża mnie to.

Nie chodzi o to, że teraz przestanę kochać Gage'a. Zawsze będę go kochać. Bardziej niż wszystkiego innego nie chcę, żeby Everleigh wyciągnęła złe wnioski z tego, że mieszkamy z Crew. Nie chcę, żeby zapomniała o Gage'u albo myślała, że nie był najważniejszym mężczyzną w naszym życiu. Bo przecież był. Będę kochać Gage'a Gentry'ego do śmierci. Ale rozdzieliła nas śmierć, nie podjęta przez nas decyzja.

- Nie mam wątpliwości, że Crew lubi to, że z nim mieszkacie. Dzwonił do mnie wczoraj i płakał jak dziecko.
- Naprawdę? - chichocze Ever.
- Naprawdę - wzdycha dramatycznie Will. - Boczył się jak mała dziewczyna.
- Wujek Crew nie jest małą dziewczynką!

- Nie, ale potrafi się tak zachowywać. - Puszczą jej oczko. Łapie ją za okrytą kołdrą nogę i potrząsa nią lekko, na co Ever wybuchą śmiechem. Potem odwraca się do mnie i siada obok na kanapie. - A co z tobą?

- Trzymam się.

- Na pewno?

- Tak.

Will przygląda mi się uważnie. Jest niesamowicie przystojny z tą mieszanką surowości i poczucia humoru, które tak ujmują kobiety. Przez większość czasu jest głupi, zarozumiały i prosty, ale niejednokrotnie widziałam go poważnego. Gdy nie uśmiechał się i nie rzucał żartami, czułam się zaskoczona.

Zastanawiam się, jak dobrze bym go znała, gdyby Gage nie zginął. Jak wiele razy robiłabym ciastka czekoladowe na mecz Red Soxów, a oni siedzieliby i dyskutowali o średniej ilości uderzeń.

- Dziękuję, że nam to wszystko przyniosłeś.

Wzrusza ramionami, jakby to nie było nic wielkiego.

- Co? Byłeś w okolicy? - śmieję się.

- Nie. Tak naprawdę byłem po drugiej stronie Bostonu. Więc nie powiem, było to jak wrzód na d... - Przenosi wzrok na Ever, która zapatrzona jest w telewizor.

- Słyszała to już.

- Nie wątpię. Zwłaszcza, że teraz mieszkacie z Crew. - Mówi to w taki sposób, że wiem, że ciągnie mnie za język, ale nie odpowiadam. Will przeciąga ręką po włosach. - Nie sądzę, żeby dzisiaj się pojawił.

Ramiona mi opadają. Nienawidzę tego przyznawać, ale miałam nadzieję, że go zobaczę. Tęsknię za nim.

- To nic.

- Jules, gdyby mógł, przyjechałby. Zabija go to, że nie może być z wami. Zaufaj mi. On po prostu... pracuje nad załatwieniem kwestii finansowych, wiesz? - mówi to, rzucając szybkie spojrzenie na Ever. - Daj mu trochę czasu. On robi to wszystko dla was dwóch.

- Jadłodajnia, w której dorabiam, organizuje dla nas w niedzielę zbiórkę. Powiedzieli, że zdobędą część pieniędzy. Dzwonię też w sprawie pożyczek, a lekarze apelują do ubezpieczalni. Nie wiem, co jeszcze można zrobić.

Kąciki jego ust unoszą się ku górze, gdy kładzie rękę na moim kolanie.

- Nie ma stuprocentowej pewności, ale wydaje mi się, że Crew coś wykombinował.

- Wiem, że wziął dodatkową pracę.

Will śmieje się i wstaje, dziwnie się uśmiecha.

- Owszem. To będą powalające trzy miesiące.

Opieram głowę na rękach.

- Nienawidzę tego, że to robi. Nienawidzę, że przez to wszystko zmienia swoje życie.

- Hej - mówi Will, klepiąc mnie po głowie, żebym na niego spojrzała. - Crew jest tam, gdzie chce być, okej? Nie współczuj temu skur... - Powstrzymuje się i kręci głową.

- Wiem, ale to nie sprawia, że łatwiej mi to zaakceptować. Zmienia się życie tak wielu osób... - Patrzę na swoją córkę, która je właśnie ciągutkę. Mam nadzieję, że nie zacznie wymiotować.

- Tak, zmienia się. Ale tak już jest, prawda? Wszystko nieustannie się

zmienia. - Patrzy mi prosto w oczy. - Kiedy się kogoś kocha, człowiek jest gotowy poświęcić samego siebie. A to, co teraz robi Crew... - Przez chwilę w jego oczach pojawia się mrok, ale szybko znika, a Will wzrusza ramionami i błyska szerokim uśmiechem.

Rzucam mu ostrzegawcze spojrzenie, niepewna, do czego zmierza.

- Powiedziałem coś złego? - śmieje się. Kiedy nie odpowiadam tym samym, dodaje: - Byłem tu od początku, Jules. Nie zapominaj o tym.

To prawda. Był z nami od czasu, gdy poznałam braci Gentry. I zna Crew dłużej niż ja, co wydaje mi się śmieszne, bo nie pamiętam czasu w moim życiu, gdy go nie było. Jeżeli jest ktoś, kto rozumie, jak skomplikowana jest sytuacja, to właśnie Will.

Drzwi otwierają się, a do środka wchodzi Macie, wpatrując się w kartę pacjenta.

- Cześć, dziewczyny — mówi radośnie, po czym podnosi wzrok. Gdy to robi, rzędzie jej mina. - Och. Przepraszam...

Will zrywa się z miejsca, patrząc na Macie.

- Co ty tu robisz?
- Pracuję - mówi beznamiętnie. - A ty?
- Odwiedzam przyjaciół.

Patrzę to na niego, to na nią, niepewna, co się dzieje.

- Znacie się?
- Tak - mówi Will w chwili, gdy Macie odpowiada:
- Coś w tym stylu.

Śmieję się.

- No dobra.

- Wrócę za jakiś czas - mówi Macie, rzucając Willowi nieznacznym, zalotnym uśmiechem, po czym wychodzi.

- To było ciekawe - mruczę, patrząc na niego.

- Zdecydowanie - mamroczę pod nosem. - Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Rzuca mi swój firmowy uśmiech, rozmawia jeszcze chwilę z Ever i wychodzi, zanim zdaję sobie z tego sprawę. Moja córka wraca do oglądania kreskówek, a ja otwieram kopertę.

Znajduje się w niej bon do pobliskiej jadłodajni i liścik.

Jules,

Wiem, że jej nie zostawisz, ale, musisz jeść. Zamów sobie coś i niech ci to dostarczą. Mówię poważnie. W tym tygodniu, nie będę miał zbyt wiele czasu, żeby do was zaglądać, ale nie mogę się doczekać, aż wrócicie do domu. Bez Was to miejsce nie jest takie samo. Powiedz Ever, żeby nie przestawała walczyć. Niech sprawi, że będę dumny.

Dzwoń, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała.

Crew

Patrzę na Everleigh. Usiłuje założyć nowe kaptcie, ale zaplątała się w kable i nie może ich wsunąć na nogi. Wstaję i pomagam jej je założyć.

- Uwielbiam je - mówi, zachwycając się błyszczącą nitką wplecioną w tkaninę. - Kojarzą mi się z Dorotką. - Patrzy, jak kaptcie łapią światło wpadające przez okno, po czym przenosi wzrok na mnie. - Skoro mieszkamy z wujkiem Crew i on nas kocha, to znaczy, że jesteśmy rodziną?

- Zawsze byliśmy rodziną, Ever. Pamiętasz? Wujek Crew i tatuś byli braćmi.
- Ale on teraz też jest moim tatusiem, prawda?
- Och, Ever. Nie. Nie jest. Masz tylko jednego tatusia.

Potrząsa głową i patrzy na mnie.

- Moja przyjaciółka Kenley ma dwóch tatusiów. Mieszkają w dwóch różnych domach. Na początku myślała, że to dziwne, ale jej drugi tatuś jest naprawdę dobry dla niej i dla jej mamy. Więc jest szczęśliwa, bo ma dwóch tatusiów, a większość dzieci ma jednego.

- To miło, że Kenley tak uważa - mówię, dochodząc do wniosku, że jej rodzice się rozwiedli. Łaskoczę ją pod pachami, przez co skręca się na boki. Mam nadzieję, że to koniec rozmowy.

- Cóż, to tak jak ja, mamusiu. Mój pierwszy tatuś żyje w niebie, a drugi mieszka z nami. Teraz wiesz, o co mi chodzi?

- Ale u Kenley jest inaczej - mówię szybko. Ręce mi drżą, gdy rozplątnę przewody z boku jej łóżka.

- Jak?

- Mama Kenley prawdopodobnie zakochała się i wzięła drugi ślub, więc teraz Kenley ma tatę i ojczyma. Ja nie wzięłam drugiego ślubu, dziecinko. Ty masz tatusia i wujka Crew.

- Jesteś głupiutka, mamusiu. Wujek Crew kocha mnie i ciebie. - Przewraca oczami w sposób, w jaki to robią sześćioletnie dzieci, i wraca do oglądania bajek. Sprawiała, że mnie zatkało.

Siadam z powrotem na kanapie i myślę o tym, co właśnie powiedziała.

Czy Crew mnie kocha?

Kręcę głową, bo nie wiem, co myśleć.

Jest dla mnie miły. Zmienia dla nas swoje życie. Ale czy zrobiłby to samo, gdyby chodziło o mnie, nie o Ever?

Liścik, który przyniósł Will, leży obok, więc podnoszę go. To takie słodkie i nie sędzę, żeby Crew zrobił coś takiego dla kogoś innego. Uśmiecham się do siebie, przypominając sobie wszystkie te miłe rzeczy, które robił.

To jest Crew, którego dawno temu kochałam. Crew, który zrobiłby dla mnie wszystko. Crew, który był dozgonnie lojalny wobec tych, których kochał.

Nie jestem pewna, co do mnie czuje. Cholera, nie wiem nawet, co ja do niego czuję.

Ale wiem, że tym razem nas nie opuści. Czuję to.

Crew

Szybciej! Szybciej! Spinaj się, Gentry!

Czuję eksplozję w piersi, gdy robię przysiad z piłką lekarską. Zaciskam zęby i warczę głośno. Przyspieszam, zgodnie z poleceniem Sala.

- Daj mi to, Crew! No dalej! Pięć. Cztery. Trzy. Dwa. Do roboty! Jeden. Koniec.

Słyszę kliknięcie stopera, więc rzucam piłkę lekarską na bok, nabierając powietrza do przepracowanych płuc. Moje codzienne biegi w żadnym stopniu nie równają się treningom z Salem D'Amato. Z rękami na kolanach i przemoczoną od potu koszulką łapię oddech, a trener obserwuje mnie.

Siłownia jest już zamknięta, światła, które zwykle padają na przód budynku, są wyłączone. Will siedzi na worku treningowym leżącym na podłodze i patrzy, jak się wykańczam. Przypomina mi to stare czasy, pomijając ten ogromny ciężar na moich ramionach, którym jest neuroblastoma u mojej pięknej małej dziewczynki.

Sal opiera się o ring rozstawiony na środku sali. Jego postawa wymusza traktowanie go z szacunkiem. Nawet gdybyś nie wiedział, że był zakwalifikowanym do olimpiady zapaśnikiem albo że otworzył jedną z pierwszych siłowni dla zawodników MMA w Bostonie, po samym spojrzeniu na niego stwierdziłbyś, że był *kimś ważnym*.

Mimo wieku wciąż dobrze wygląda. Na siłowni nosi dres, trenując jednych z najlepszych zawodników w kraju. Tak wiele razy zastanawiałem się, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie zobaczył, jak biję się na parkingu przed supermarketem. I jak inaczej potoczyłoby się moje życie, gdyby nie wziął mnie pod swoje skrzydła, nie oczekując zapłaty, a nawet w pewien sposób zaadoptował.

- Cóż, nie jest z tobą tak źle, jak myślałem - mówi, krzyżując ramiona na piersi. - Mimo to, biorąc pod uwagę czas, musimy okroić treningi.

Pochylam głowę i wstaję, kręcąc ramionami.

- Zrobię wszystko, co będzie konieczne.

- Jesteś tego pewien, Crew? Widziałem, jak walczy Davidson. On...

- Jestem pewien - przerywam mu. Decyzja została podjęta. Teraz trzeba wziąć się do roboty.

- Co możesz mi powiedzieć o kontuzji?

Wzruszam ramionami.

- Nic konkretnego.

- Myślisz, że jestem idiotą? - pyta. - Siedzę w tym dłużej, niż ty żyjesz, Gentry. Pomijając fakt, że znam cię jak własną kieszeń. Nie okłamuj mnie.

Rzucam mu lodowate spojrzenie. W pewien sposób zawdzięczam Salowi D'Amato życie, ale nie poświęcę istnienia kogoś innego, żeby ratować siebie.

- Co wiesz o tej kontuzji? - pyta, odwracając się do Willa. - Jak źle jest?

- Hej - mówi Will, wyciągając przed siebie rękę. - Nie mam zielonego pojęcia.

Sal śmieje się głośno.

- Gdyby to była prawda.

Will udaje szok, otwiera szeroko usta.

- Czuję się obrażony.

- I dobrze - parska Sal, po czym przenosi wzrok z powrotem na mnie. - Rozumiem, dlaczego chcesz to zrobić, Gentry. Ale czy przemyślałeś to dokładnie? Czy naprawdę przeanalizowałeś, co to może dla ciebie znaczyć? Byłem tam, gdy znosili cię z tej pieprzonej maty, chłopcze. Nie chcę znowu na to patrzeć.

- Nie będziesz.

- Jesteś pewien? Muszę mieć stuprocentową pewność, że przemyślałeś to, nie biorąc pod uwagę uczuć. Że był to świadomy wybór.

Śmieję się ze złością.

- Ja nie mam pieprzonego wyboru.

- Zawsze masz wybór.

- Nie w prawdziwym życiu. Tam - mówię, wskazując na drzwi za plecami. - Tam nie ma wyborów, Sal. Są jedynie rzeczy, które trzeba zrobić, i to jest właśnie jedna z nich.

Odchyła głowę do tyłu i wzdycha. Po kilku sekundach prostuje się. Oczy emanują determinacją.

- W porządku. Masz tu być codziennie, równo o osiemnastej. Mówię równo, Gentry

- Tak jest.

- Wciąż pamiętasz, jak wykorzystać swój tytuł, prawda? - pyta, nawiązując do mojego wykształcenia w kierunku nauki żywienia, z którego nigdy nie korzystałem. - Chcę, żebyś jadł czysto. Dużo protein. Nawadniaj się. Zero papierosów. Zero używek. Zero piwa.

- Ej! Moment - mówi Will, zrywając się na nogi. -Zero piwa?

- Zamknij się, Will - mówi Sal. - Twoim zadaniem jest niańczyć tego chłopaka i upewnić się, że robi to, o czym właśnie powiedziałem.

- Tak, proszę pana - odpowiada cicho Will.

Zaczynam się śmiać, ale milknę, słysząc powagę w głosie Sala.

- Musimy wykonać roczną pracę w ciągu kilku miesięcy. Jeżeli poczuję, że nie jesteś w to stuprocentowo zaangażowany, wypisuję się. Dotarło?

- Tak, proszę pana - odpowiadam.

- W porządku. Zjeżdżajcie mi stąd. Wyśpij się i wracaj jutro.

Ściskam jego rękę, zabieram torbę i wychodzę. Will łapie mnie za ramię, gdy znajdujemy się na pogrążonym w półmroku parkingu.

- Dobrze wyglądasz, stary - mówi.

Wszystko mnie boli. Wiem, że to tylko przedsmak tego, co mnie czeka, i że będzie jeszcze gorzej. Ale lubię to. Lubię ból. Lubię karę. Lubię mieć świadomość, że każde kolejne ukłucie bólu przybliży mnie do zapewnienia Everleigh odpowiedniego leczenia.

Bo choć nie mogę się doczekać zniszczenia Davidsona, przeżyłbym, nie oglądając już nigdy jego gęby. Ale nie mógłbym żyć bez Everleigh.

- Cóż, miałem cię zapytać, czy chcesz iść do Shenanigans, ale obstawiam, że odpowiedź brzmi „nie” - śmieje się.

- Zgadza się. Przez jakiś czas mnie tam nie będzie. -Otwieram ciężarówkę i rzucam torbę do środka.

- W takim razie muszę znaleźć Macie. - Uśmiecha się szeroko i porusza brwiami.

- Macie?

- Kurwa, Crew. Ona - gwizdże. - Ona jest inna niż wszystkie inne,

które poznałem.

- Jest miła? - pytam, wsiadając do samochodu.

- Nie pieprzę jej osobowości, stary. Co jest, kurwa?

Wydaje się być obrażony tym, że w ogóle zapytałem.

- Jak się dzisiaj miały moje dziewczyny? - W chwili, gdy te słowa padają z moich ust, zaczynam ich żałować.

- Twoje dziewczyny? - szydzi.

- Nie to miałem na myśli.

- Dokładnie to miałeś na myśli. Poza tym już rozmawialiśmy o tym, jak się mają. Ever spodobały się duperele, które jej dałeś. Julia prawie się popłakała, gdy dałem jej kopertę. - Wzrusza ramionami. - Nie wiem, co jeszcze chcesz, żebym ci powiedział. Że Jules pachniała kwiatami?

- Zbliź się do niej na tyle, żeby poczuć, jak pachnie, a zasadzę cię w asfalcie.

Cofa się ze śmiechem.

- Muszę iść. Widzimy się jutro w pracy.

- Cześć, stary.

Wyjeżdżam na ulicę, korków dawno już nie ma. Księżyc świeci jasno i wydaje się, jakbym za nim podążał, gdy kieruję się w stronę domu. Niebo jest czarne, pomijając wielką srebrną kulę. Wydaje się samotny, wisząc tak w pojedynkę.

Na ulicach jest pusto, gdy parkuję przed domem. Wyłączam silnik i po prostu siedzę, patrząc na swoje mieszkanie. Światła są pogaszone. Gdy wejdem, nie będzie czuć kolacji, nie będę słyszał chichotów dziewczyn oglądających bajki ze śpiewającymi zwierzętami. Nie będę musiał

omijać zabawek i nie zobaczę podejrzliwego spojrzenia pięknej, ciemnowłosej kobiety, zastanawiającej się, dlaczego się spóźniłem i co planuję.

Są to te rzeczy, co do których wmawiałem sobie, że nie będą mnie cieszyć.

Sam siebie okłamywałem.

Crew

Kuchnia jest zdemolowana. Naczynia i różne przybory walają się dookoła, posklejane syropem. Wyciągam rękę nad niebieską miską mojej mamy, z której ciasto do naleśników ścieka na blat kuchenny, i chwytam banana. Muszę coś przekąsić, zanim pojadę na siłownię.

Julia i Ever wylegują się w salonie. Wróciły wczoraj po południu. Denerwowałem się jak cholera, bo odkąd pojechały do szpitala, widziałem je tylko kilka razy. Nie wiedziałem, czego oczekiwać. Rozmawiałem z Jules przez telefon codziennie, ale spotkałem się z nimi tylko trzy razy. Dzwoniłem do nich pomiędzy pracą a treningiem, a Jules powtarzała, że spały. Nienawidzę tego. Chcę być tam dla nich.

Tęskniłem za nimi i kurewsko się martwiłem. Ale muszę zrobić to, co konieczne..., dlatego nie powiedziałem Julii, jakie mam plany.

Wiem, że wtedy zamartwiałyby się jeszcze bardziej, a jest to ostatnia rzecz, jakiej dla niej chcę. Wiem, że w końcu będę musiał jej powiedzieć, ale jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas.

- Hej - mówi Julia, wyglądając zza rogu. Włosy ma związane, w jej oczach widać lekki błysk. Everleigh zniosła pierwszą chemię lepiej, niż oczekiwano, a to tchnęło w Jules trochę życia. Wczoraj, kiedy wróciły do domu, zrobiła kolację. Zaproponowałem, że zamówię coś na wynos, ale chciała zjeść „coś prawdziwego”. Jedliśmy i oglądaliśmy film; Julia i Ever zasnęły na kanapie. Obie zaniósłem do łóżka.

- Hej - mówię, uśmiechając się do niej.

- Twoje naleśniki były dobre. - Mija mnie i nalewa sobie szklankę soku pomarańczowego. - Posprzątam.

Uwielbiam to, jak wygląda w mojej kuchni. Prawdopodobnie za bardzo.

- Zajmę się tym, jak wrócę. Ty odpocznij.
- Jak wrócisz? - wygląda na zaniepokojoną. - Gdzie idziesz? Myślałam, że będziesz z... - Spuszcza wzrok, na jej policzkach pojawiają się rumieńce.

Wyciągam rękę i dotykam jej twarzy. Gdy czuje mój dotyk, podrywa głowę. Chcę zabrać rękę, zaniepokojony, że przekroczyłem granicę, ale wtedy kurewsko mnie zaskakuje. Gdy odsuwam się, obejmuje drobną dłońią mój nadgarstek i kładzie moją dłoń na swoim policzku. Gdy wtula się w nią, oczy ma szeroko otwarte.

Postępując bardzo ostrożnie, dotykam jej twarzy drugą ręką. Bierze drżący oddech, jej serce bije szybciej.

- Hej... - szepczę. Przetykam z trudem ślinę, jej wzrok wędruje na moją szyję. Chcę, muszę ją pocałować, objąć i nigdy nie puszczać. Ale nie robię tego. - Muszę dzisiaj pracować.

- Ale jest niedziela.

- Wiem - mówię, gładząc jej skórę opuszkami kciuków. - I Przepraszam. Ale muszę to zrobić.

Mina jej rzędzie i odsuwa się. Odrywa ode mnie wzrok

- Wiem, przepraszam. Wiem, że robisz to dla Ever a ja...

- Nie - mówię cicho. - Robię to dla nas. Dla Ever Dla ciebie - uśmiecham się szeroko. -1 dla siebie, bo nie wyobrażam sobie bez was życia.

Otwiera szeroko oczy, a oddech więźnie jej w gardle. Wiem, że powiedzenie tego na głos w ten sposób to pewnie za dużo, ale nic nie mogę na to poradzić.

- Może nie powinienem był tego mówić - stwierdzam.

- Bardzo się cieszę, że to powiedziałaś.

Wszystko zaczyna się komplikować, dlatego dla dobra nas obojga muszę to ukrócić.

- Będę późno. - Biorę butelkę wody i kieruję się do wyjścia.
- Crew? - woła mnie drżącym głosem.

Odwracam się do niej.

- Tęskniłam za tobą.

Fala ciepła zalewa moje ciało.

- Ja też za tobą tęskniłem.

Julia

Wiążę spodnie dresowe w pasie. Przez ostatnie tygodnie zgubiłam parę kilogramów. Nie mam w ogóle apetytu. Zjadłam dopiero po powrocie do domu Crew - a właściwie naszego domu - ale nie nadrobiłam strat z czasu, kiedy nie jadłam nic.

Układam się na kanapie i staram się zasnąć, ale nie mogę. Jestem zbyt zmęczona, żeby spać, co wydaje się głupie, ale taka jest prawda. Po czasie spędzonym wśród szumu i pikania wszelkich szpitalnych urządzeń, dodając do tego wszystkiego stres, przekroczyłam tę granicę, gdzie potrzeba odpoczynku. Na tę chwilę potrzebuję rozwiązań.

Ever dobrze zniosła pierwszy tydzień chemii, a terapia nadal jest odraczana. W tym tygodniu odmówiły nam i zarząd, i ubezpieczalnia. Lekarze robią się bardzo ostrożni w tym, co mi przekazują...

Zaciskam powieki i nie pozwalam swoim myślom zapędzić się za daleko. Miałam spotkanie z psychologiem, który wyjaśnił mi kolejne etapy emocjonalne i co mogę wtedy czuć, a czego nie.

Zaakceptowałam fakt, że jest chora; to, że przez tydzień oglądałam ją leżącą w szpitalnym łóżku, pomogło mi przyswoić tę informację. Teraz jestem po prostu zła na wszystko inne.

Dlaczego moja córka? Czy niewystarczająco w życiu wycierpiałam?

Dla dobra Ever staram się zachować spokój, usiłuję nie stracić głowy. Ale jest ciężko. Nigdy nie byłam agresywna, ale pragnę poderżnąć gardła tym, którzy odmawiają mojej córce terapii. Nie mam wątpliwości co do tego, że gdyby ich dzieci zachorowały, mieliby pieniądze na leczenie.

Bydlaki.

Wiem, że lekarze robią wszystko, co mogą, a Ever znosi to wszystko naprawdę dobrze. Powiedziano mi, że to dobry znak i żebym nie panikowała. Będą szukali innych rozwiązań... A ja modłę się o cud i staram się zachować spokój przez kontrolowanie małych rzeczy. Daje mi to poczucie pewności, stabilności, dzięki czemu jestem w stanie myśleć o poważniejszych sprawach.

Wcześniej przygotowałam Crew kolację, tak jak przez cały miniony tydzień. Byłam zbyt zmęczona po powrocie ze szpitala, żeby robić to później, więc zostawiałam jedzenie w mikrofalach. Doszłam do wniosku, że mogę zrobić dla niego chociaż tyle. Ta dodatkowa praca, której się podjął, trzyma go poza domem do późna. Nie jestem pewna, czym się zajmuje, ale widzę, że go to męczy. Wysysa z niego siły. Nienawidzę tego. Nienawidzę patrzeć, jak się przepracowuje, ale jednocześnie jest to najpiękniejszy widok na świecie. Mężczyzna, który robi dosłownie wszystko, co może, żeby uratować dziecko, które kocha.

Cała ta sytuacja zmieniła mnie. Słyszałam, że rak zmienia ludzi, ale nigdy nie wyobrażałam sobie, do jakiego stopnia, dopóki sama tego nie doświadczyłam. Stare urazy i rany nie mają znaczenia. Myślenie o tym, co sądzą o tobie inni, wydaje się głupie, gdy walczysz ze śmiercią. Jedyne, co się liczy, to życie chwilą i bycie szczęśliwym tak bardzo, jak tylko się da. Czas płynie nawet, gdy walczy się z rakiem. Świat nie staje w miejscu. Uczucia, życie, relacje... żadna z tych rzeczy nie przestaje istnieć dlatego, że walczysz z chorobą.

Między innymi dlatego zadzwoniłam dzisiaj do swoich rodziców. Męczyło mnie to. Jestem ich córką, a Ever wnuczką. Może byli dla mnie okropni, ale nadal pozostają moimi rodzicami.

Nie powiedziałam o tym Crew, bo wiem, że by się wściekł. Poza tym nie była to długa rozmowa i nie jestem nawet pewna, czy byli wystarczająco trzeźwi, żeby cokolwiek zrozumieć. Ale ciężar zniknął z mojej piersi i mogłam wyrzucić myśl o nich ze swojej głowy.

Siadam na dźwięk otwieranych drzwi. Na ściany w kuchni pada światło

zapalone w korytarzu. Jego torba ląduje na ziemi i słyszę, jak zdejmuje buty, po czym staje w progu salonu.

Spałam, gdy wracał przez ostatni tydzień z pracy, więc zaskakuje mnie, że ma na sobie tylko spodenki do ćwiczeń. Zanim mam okazję zapytać go o to, dostrzega, że siedzę na kanapie.

- Hej. Co ty tu robisz? - pyta.
- Nie mogę spać.
- Z Ever wszystko w porządku? — Wygląda na zaniepokojonego i patrzy w głąb korytarza.
- Została u Olivii.

Unosi brwi, a ja wiem, co czuje. Mnie również nie zachwyca fakt, że u niej została.

- Odwiedziła nas, a Ever chciała z nią iść. - Wzruszam bezsilnie ramionami. - Czuła się dobrze i płakała, gdy wiedziałam jej, że nie może iść. Nie mogę zabraniać jej dobrze się bawić i korzystać z życia, prawda? Olivia jest dla niej jak babcia. - Nagle czuję się, jakbym podjęła złą decyzję. Zaczynam wstawać. - Może nie powinnam była jej puszczać.
- Nie, postąpiłaś dobrze - mówi, wchodząc do salonu. - Jest z nią bezpieczna.

Siada obok mnie, a ja dostrzegam wielkiego siniaka na jego udzie.

- Co się stało? - pytam, podciągając nogawkę jego szarych spodenek, żeby przyjrzeć mu się uważniej.
- Uderzyłem się w pracy. Nic mi nie jest. To tylko siniak.
- Wyglądasz, jakbyś właśnie wrócił z siłowni - wypominam, zaciekawiona.

Śmieje się.

- Cóż, byłem dzisiaj na siłowni. To pewne. - Z tonu jego głosu wnioskuję, że w tym miejscu zakończył dyskusję. Nie mogę mieć mu tego za złe, nie mam do tego prawa. Nawet jeśli poszedł po pracy na siłownię, nie ma w tym nic złego. Bóg wie, że poświęca nam całe swoje życie. - Nie idziesz spać?

Ziewam i wzruszam ramionami.

- Nie wiem, czy zdołam usnąć. Staralam się, gdy czekałam, aż wrócisz do domu...

- Czekałaś na mnie? - pyta bezczelnie.

Znowu wzruszam ramionami, na policzki wypływają mi rumieńce. *Może nie powinnam była tego mówić.*

- Daj mi wziąć szybki prysznic i coś przekąsić. Może później obejrzelibyśmy jakiś film? - Spojrzenie ma intensywne, głos opanowany. Ta kombinacja sprawia, że czuję motyle w brzuchu.

Jestem w stanie jedynie kiwnąć głową.

Uśmiecha się w odpowiedzi i idzie do łazienki. Znika na końcu korytarza, a ja biorę głęboki oddech. Zapach jego skóry i potu unoszą się w powietrzu. Jest to przytłaczające w najlepszy możliwy sposób, w przeciwieństwie do odoru antyseptyków i choroby unoszących się w szpitalu.

Crew bierze prysznic w mgnieniu oka. Słyszę dźwięk włączonej mikrofalówki i zanim zdaję sobie z tego sprawę, wraca do salonu. Ma na sobie czarny dres i niesie talerz z jedzeniem, które dla niego przygotowałam.

Nie założył koszulki, a widok jego ciała zapiera mi dech w piersiach. Jest szczupły i opalony. Mięśnie brzucha napinają się przy każdym ruchu,

ramiona ma wyprostowane i silne. Na rękach odznacza się każdy mięsień.

Dostrzegam tatuaże, o których istnieniu wiem. Na prawym ramieniu ma wytatuowaną literę „M” od Minnesoty, nad sercem zauważam „Mama”. Na prawym przedramieniu, drukowanymi literami, wytatuował sobie „Gage”, a jego plecy zdobi dumny napis „Gentry”. To był jego pierwszy tatuaż.

Stawia talerz na stoliku przed nami i siada na kanapie, krzywiąc się.

- Nic ci nie jest? - pytam, patrząc jak porusza prawym ramieniem.
- Nie. Jestem tylko trochę obolały.

Ręce mnie świerzbią, żeby dotknąć jego skóry, przez co czuję się winna. Jestem rozdarta pomiędzy poczuciem winy a pragnieniem, by znowu czuć się jak... człowiek.

Pragnę czegoś więcej niż smutku, odpowiedzialności bezradności. Chociaż przez chwile chcę być dwudziestokilkuletnią dziewczyna bez całego tego bagażu, który za sobą ciągnę. Przez to też mam wyrzuty sumienia.

Odwracam wzrok.

- Wszystko w porządku?

Śmieję się nerwowo, bo sama nie mam pojęcia. Nawet jeśli w tej chwili wszystko jest w porządku, biorąc pod uwagę obecną sytuację, za chwile może być inaczej. Moje życie to seria nieprzewidywalnych zdarzeń, które mają za zadanie powalić mnie na kolana.

- Jakie to ma znaczenie? - pytam bardziej siebie niż jego.

Dotyka lekko mojego podbródka, więc muszę na niego spojrzeć.

- Ma znaczenie. Dla mnie zawsze ma znaczenie.

- Kiedy zrobiłeś się taki miły? - Serce łomocze mi w piersi, rozprawiając rozgrzaną do czerwoności krew po całym ciele. Opuszkami palców gładzi moją skórę, a gdy zabiera rękę, znowu pragnę ją poczuć.

Intensywność jego spojrzenia unieruchamia mnie. Nie mogę odwrócić wzroku. Nie chcę tego zrobić, chociaż wiem, że powinnam.

- Gdy mi na to pozwoliłaś.

Zakładam kosmyk włosów za ucho.

- Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam - mówi wprost. - Bierzesz po prostu to wszystko na siebie i idziesz dalej.

Śmieję się, jego słowa są niedorzeczne.

- Tak. Jestem silna jak cholera.

- Jesteś, Jules. Najsilniejszymi są nie ci, którzy wszędzie się tym chwalą, lecz ci, którzy toczą walki tak, że nikt inny tego nie widzi. Zdumiewasz mnie.

- To, co robię, nazywa się przetrwaniem. Nie ma w tym nic zdumiewającego.

- Masz niskie mniemanie o sobie.

Siedzimy w komfortowej ciszy. Zamyślił się, jego głowę zaprzęta teraz coś innego.

- Pamiętasz dzień, w którym się poznaliśmy?

- Hmm... - Oczekiwałam wszystkiego, ale nie tego, że powie akurat to.

- Tak. Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Tamtego ranka zobaczyliśmy ciebie i twoje przyjaciółki podczas

spaceru. Wydaje mi się, że to Gage pierwszy cię dostrzegł. Chciał iść z tobą porozmawiać, ale tak jakby zdusiłem to w zarodku. Powiedziałem: *Widzisz tę w czarnym stroju kąpielowym? Jest moja.*

Otwieram usta, zszokowana. Nie wiedziałam.

- Zapragnąłem cię w chwili, gdy cię zobaczyłem. Potrzebowałem tego, żebyś została moją dziewczyną. I przez jakiś pieprzony cud zdobyłem cię.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, który wypływa na moje usta, gdy przypominam sobie te dobre chwile, które ze sobą przeżyliśmy. To, jaki był opiekuńczy. To, jak onieśmiał swoją osobowością wszystkich, ale przy mnie był czuły. Uprzejmy. Do czasu, aż wyjechał.

- Zastanawiałaś się, jak inaczej potoczyłoby się życie, gdyby to Gage pierwszy do ciebie podszedł? Gdybyśmy nigdy nie byli razem?

Sposób, w jaki to mówi, sprawia, że serce mi się zaciska i brakuje mi powietrza.

Myślałam o tym wiele razy. Ale z jakiegoś powodu teraz już nie chcę. Nie chciałabym nie przeżyć tych chwil z Crew. Przecież w pewien sposób to też mnie ukształtowało. Może sprawy nie potoczyły się dobrze, może nie było nam pisane być ze sobą na zawsze. Wiem tylko jedno. Nie oddałabym tych chwil za nic w świecie.

- Tak czy tak z nim skończyłaś, więc jakby nie patrzeć, nie ma to żadnego znaczenia - uśmiecha się czule. - Ale te lata, które razem spędziliśmy, Jules, są jedyną dobrą częścią mojego pieprzonego życia.

Szczerść na jego twarzy i to, jak na mnie patrzy, sprawia, że tracę oddech. Pokazał mi się z każdej możliwej strony, ale tej chyba nie widziałam nigdy.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. - Bawi się troczkami od spodni, nawijając je na palec. - Później zdarzały się dni, gdy budziłem się i nie wierzyłem, w jakim miejscu się znajduję. Całe moje życie zostało wywrócone do góry nogami tyle razy - najpierw coś dostawałem, potem brutalnie mi to odbierano. Szedłem po prostu przed siebie, czekając na kolejną walkę. - Ma najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. - Ever musiała zachorować, żebym zrozumiał to, co powiedziała moja mama. Walczyłem za takie gówno, Jules. Ale nigdy nie walczyłem o coś, czego naprawdę pragnąłem. Miałem to wszystko podstawione pod sam nos, ale nigdy tego nie widziałem.

- Spójrz na to, co teraz dla nas robisz. W tej chwili to ty masz niskie mniemanie o sobie.

- Nie, jestem po prostu szczery - śmieje się.

- Pamiętasz ten list, o którym ci mówiłam? Od Gage'a. -Kiwa powoli głową. - Napisał w nim, że gdyby coś mu się stało i miałby wybrać jedną osobę, która mogłaby pomóc, która by mi *pomogła*, to właśnie ty. Napisał, żebym ci zaufała, Crew. Napisał, że nigdy go nie zawiodłes gdy ciebie potrzebował, i że mnie także nie zawiedziesz.

- To dlatego pozwalasz mi sobie pomóc? Bo Gage napisał, że tak będzie dobrze?

- Co masz na myśli?

- Wiem, że nasze relacje są kurewsko skomplikowane. Rozumiem. Ale muszę coś wiedzieć, Jules. - Siada przodem do mnie. Twarz ma nieprzeniknioną i jestem przerażona tym, co za chwilę padnie z jego ust. - Kim dla ciebie jestem?

- To znaczy?

- Wiesz, co mam na myśli. Jestem bratem twojego męża, który powiedział, żebyś pozwoliła mi zająć się wami? A może jestem kimś innym?

- Crew...

- To nic nie zmieni - zapewnia mnie. - Bo moje uczucia się nie zmieniają. One *nigdy* się nie zmieniły. Ale muszę wiedzieć. Muszę to wiedzieć, Jules.

Wbijam wzrok w podłogę, ręce, które trzymam na kolanach, drżą.

- Będę szczery - mówi oschłym głosem. - Jesteś dla mnie kimś o wiele więcej niż żoną brata. Gdy patrzę na ciebie, muszę z całych sił walczyć z tym, co od zawsze do ciebie czułem. Nieustannie muszę przypominać sobie, że nie jesteśmy już dziećmi i nie jesteśmy razem. *Że dałem ci odejść*. Robię to wszystko dla ciebie - kontynuuje pewnym głosem - bo jesteśmy rodziną. Ale też dlatego, że *cię kocham*. I kocham Ever. I nie mówiłbym ci tego, gdyby Gage żył, bo należałaś do niego, przez co mam wyrzuty sumienia, że teraz ci to wyznaję. Ale to, nad czym pracuję, zaczyna się robić bardzo poważne. Muszę się skupić, żeby wszystko wypaliło, a wtedy -dzięki odrobinie pewności - może to wszystko...

Zrywa się z miejsca i kieruje w stronę wyjścia.

- Crew! - krzyczę drżącym głosem. Zatrzymuje się w pół kroku i odwraca w moją stronę. - Nie wiem, jak tu dotarliśmy. Minione lata są takie pogmatwane - mówię starając się znaleźć odpowiednie słowa, ale wiem, że muszę się streszczać. - Odepchnęłam cię. Byłam dla ciebie okropna. Nasze relacje zmieniały się tak wiele razy, a teraz jesteśmy tutaj...

Patrzy prosto na mnie, spojrzeniem błaga mnie, żebym kontynuowała.

- Wciąż zastanawiam się „co by było, gdyby”, ale to nie ma znaczenia. Przez ostatnie kilka lat nauczyłam się, że musimy żyć dniem dzisiejszym. I utwierdziłam się w tym przekonaniu w ciągu minionych tygodni. Chwila obecna jest jedynym pewnikiem, dlatego nie możemy żyć przeszłością...

Wystarczy kilka kroków, żeby pokonał dystans między nami. Klęka

przede mną tak, że znajdujemy się twarzą w twarz.

- Kim dla ciebie jestem? - pyta cicho.

- Ty...

- Kim dla ciebie jestem?

Wiem, kim dla mnie jest. Zakopałam to głęboko w sobie, ignorowałam, walczyłam z tym i udawałam, że nie istnieje. Może przez pewien czas tak było, ale to przeszłość.

A to... ten cudowny mężczyzna, który przede mną klęczy, którego prawdopodobnie - z frustracji czy strachu - tak długo źle oceniałam... teraz jest mój.

Nie rozumiem tego. Nie wiem, co z tego będzie, nie wiem, czy postępuję właściwie. Ale wiem, że go kocham. Nie mam pewności, ile to dla niego znaczy, o ile cokolwiek znaczy, ale będę szczerą. Zasługuje, żeby o tym wiedzieć.

Ja też na to zasługuję.

- Jesteś pierwszym chłopcem, którego pokochałam -szepczę. - I mężczyzną, którego kocham teraz...

Nie mam możliwości dokończyć zdania, bo jego usta lądują na moich. Ten pocałunek jest mieszanką czułości i dzikości. Sprawia, że tracę oddech.

Crew

Żałowałem wielu rzeczy, które zrobiłem, ale jestem stuprocentowo pewny, że nigdy nie pożałuję tego.

Jej usta są jedwabiście miękkie, słodsze, niż zapamiętałem. Nieruchomieje na ułamek sekundy, ale potem wtula się we mnie i zarzuca mi ręce na szyję. Nasze usta poruszają się razem i czuję się jak w pieprzonym niebie. Nie chcę przerywać pocałunku, ale muszę to zrobić. Po prostu muszę.

Dotykam czołem jej czoła, słuchając jej urywanego oddechu. Nie wątpię, że oddycham tak samo, ale nie słyszę tego, bo całkowicie koncentruję się na zapamiętaniu każdego najmniejszego szczegółu.

Wydawane przez nią dźwięki, jej zapach, to, jak pasuje do moich ramion. Drzę z podniecenia. Muszę odwrócić swoją uwagę od pomysłu, żeby dać się ponieść chwili.

Gdy odsuwam się, nie mam pojęcia, co powie. Wiem, że tego nie oczekiwała, ale wyznała mi miłość. Bez względu na to, czy uważa to za błąd, czy też nie, ten pocałunek błędem nie był.

Tak pełen obaw, jak jeszcze nigdy w życiu nie byłem, odsuwam się i patrzę na nią. Przyglądam się jej twarzy, szukając jakiegokolwiek znaku, że przekroczyłem granicę. Jeżeli tak się stało, przeproszę, chociaż w ogóle nie jest mi przykro. Jakim cudem mogłoby być?

Oczy ma szeroko otwarte, usta rozchylone. Przesuwam po nich kciukiem, muskając dolną wargę. Kąsa opuszek mojego palca, a ja zamieram na dłużej, niż powinienem.

Sprawia, że się uśmiecham, policzki ma zarumienione.

- Nawet jeśli jesteś przez to zła, było warto.

Rumieni się jeszcze bardziej, a potem chwyta moją twarz w dłonie. Jej dotyk rozbudza każdą komórkę w moim ciele, całe moje ciało zalewa fala ognia. Pochyla się i całuje mnie, jej usta poruszają się na moich tak, jakby znały je na pamięć. Jakby do mnie należały.

Jules odsuwa się i widzę odzwierciedlenie swoich uczuć w jej oczach. Po raz pierwszy od lat dostrzegam w ciemnych tęczówkach złote plamki.

- Crew - szepcze pełnym pragnienia głosem. - Ja...

- Daję ci wybór, Jules - mówię, a głos załamuje mi się, gdy usiłuję nad sobą zapanować. - Jeżeli posuniemy się dalej, wtedy to... wtedy będziesz moja.

- Dobrze - szepcze.

- Upewnij się. Będę myślał o tobie każdego dnia, w każdej chwili. Będę zazdrosny o wszystko, co robisz. Nie będzie powrotu.

- Nie będzie powrotu. - Zarzuca mi ramiona na szyję i wpija się w moje usta.

Nieruchomieję na ułamek sekundy, zszokowany. Ta kobieta jest wszystkim, czego pragnę. Zmorą mojego życia i powodem, dla którego istnieję, a wszystko to podane w pięknym opakowaniu. Gdy ją straciłem chciałem umrzeć, choć podjąłem tę decyzję właśnie dlatego, że tak bardzo ją kochałem. Czuć ją znowu w ramionach... nigdy nie sądziłem, że to się stanie, bo uważałem, że nie powinno do tego dojść. Jednak wiele się zmieniło i teraz znajdujemy się właśnie w tym miejscu.

Wstaję i podnoszę ją, a ona obejmuje mnie nogami w pasie. Nie przerywamy pocałunku. Z każdą chwilą stajemy się coraz bardziej spragnieni. Czuję, jak chwyta mnie za ramiona, jej usta pochłaniają żarłocznie moje wargi.

To się nie stanie w ten sposób. Nie ma, kurwa, mowy.

Idę korytarzem i kopnięciem otwieram drzwi. Kładę ją ostrożnie na łóżku, a ona opada na białą kołdrę. Czarne włosy rozsypują się wokół jej głowy, a biała koszulka podciąga, odsłaniając kawałek brzucha.

Nie mogę oderwać od niej wzroku.

- Crew? - pyta drżącym głosem.

- Chodź do mnie, ukochana. - Pomagam jej usiąść, a sam klękam na brzegu łóżka. Pochyla się, nie przerywamy kontaktu wzrokowego. Odnajduję jej usta, ręce drżą mi z niecierpliwości, gdy opieram je na jej bokach.

Pragnąłem tego całe życie. Jej, w moim łóżku, w moim domu.

Mojej.

Wyznaczam pocałunkami ścieżkę wzdłuż jej policzka i szyi. Skórę ma delikatną, a zapach tak oszłamiający, że tracę zmysły. Mam wrażenie, jakbym się naćpał.

Jej pierś unosi się nierównomiernie z każdym drżącym oddechem. Serce łomocze pod moimi palcami, gdy te wędrują po jej ciele, kierując się ku rąbkowi bluzki. Ściągam ją szybko i odrzucam na bok.

Mam problem z oddychaniem, gdy raczę się widokiem najpiękniejszej istoty na świecie, siedzącej na brzegu mojego łóżka. Kremowobiała skóra kontrastuje z czernią koronki otulającej jej piersi. Gdy jej dotykam, jest rozpalona. Przyciągam ją do siebie, obejmuję mocno i rozpinam stanik, który spotyka taki sam los, jak koszulkę.

Chwytam jej piersi, większe, krągłejsze, bardziej idealne, niż zapamiętałem. Wypuszcza oddech, a wraz z nim z jej obrzmiałych ust wyrывa się jęk. Ten dźwięk wędruje prosto do mojego kutasa.

Ściągam spodnie od dresu, w uszach słyszę szum krwi.

Kładzie się na plecach i zaczyna szamotać ze swoimi spodniami. Jej ręce drżą, gdy odpycham je na bok. Nie przerywając kontaktu wzrokowego, zsuwam jej spodnie z bioder, a potem wzdłuż nóg. W następnej chwili lądują na podłodze.

Czuję, że mógłbym dojść od samego patrzenia na nią. Drzę na widok jedynej dziewczyny, którą kochałem, a która leży teraz przede mną naga.

Powietrze jest gęste, czuć w nim seks, oddechy mamy ciężkie.

Klękam przed nią i rozchylam jej nogi. Układam się między nimi i przeciągam leniwie językiem po jej cipce. Gdy docieram do łechtaczki, do moich uszu dociera stłumiony jęk. Jest słodsza, niż zapamiętałem. Przeciągam po niej językiem raz jeszcze, bo nie mogę się nasycić.

Przesuwa ręką po mojej głowie, drapie mnie po karku, a jej nogi drżą pode mną. Zarzucam je sobie na ramiona i pieszczę ustami jej wejście. Jęczy i unosi biodra, żeby ułatwić mi dostęp.

Zasysam jej łechtaczkę i nie mam wątpliwości, że sprawiam jej przyjemność, gdy powietrze przeszywa jej głos.

- Crew! - jęczy, wbijając paznokcie w moje plecy.

Liżę ją mocniej, językiem zataczam koła wokół łechtaczki. Smakuje tak dobrze, że niewiele mi brakuje, żebym doszedł.

- Dojdę, jeżeli nie przestaniesz - wykrztusza między jękami, jej głos emanuje pożądaniem.

Nie chcąc, żeby to się za szybko skończyło, przesuwam językiem po jej brzuchu. Drży, a ja pieszczę całe jej ciało i zatrzymuję się przy piersiach. Zasysam sutki do ust, pieszcząc je językiem. Wygina plecy, powieki jej drżą, gdy wymawia moje imię.

Całuję ją za każdy stracony pocałunek. Całuję ją, żeby przypomnieć jej, że nigdzie się nie wybieram. Całuję ją, żeby wiedziała, że ją kocham i że należy do mnie.

Przykrywam ją swoim ciałem, mój kutas ociera się o jej wejście. Jest tak mokra, że z moich ust wyrywa się jęk. Chcę zagłębić się w niej i na nowo odnaleźć siebie.

- Kocham cię - szepczę w jej usta. Całuję ją raz jeszcze, a potem odsuwam się lekko i patrzę w jej piękne, brązowe oczy. - Nigdy nie przestałem cię kochać. Marzyłem o tym od bardzo dawna.

Opiera ręce na moim krzyżu i napiera na mnie lekko.

- Kocham cię, Crew.

- Och, Jules - szepczę, wpijając się w jej usta. Wsuwam pod nią rękę i unieruchamiam jej ciało. Mój kutas drży przy jej wejściu. Napieram na nią stanowczo, a jest tak mokra, że nie mam problemu, by wsunąć się w jej ciasne, drobne ciało. Rozciąga się, gdy ją wypełniam, w ustach czuję jej jęk. Otwiera szeroko oczy i zaciska mięśnie wokół mojego kutasa.

- Crew - chce krzyknąć, ale kradnę jej słowa językiem. Pragnę znaleźć się w niej każdą możliwą częścią ciała. Chcę całą ją zawłaszczyć, chcę, żeby cała była moja.

Pulsuje wokół mnie, a jest ciaśniejsza niż wszystko, co kiedykolwiek czułem. Mam wrażenie, jakby jej ciało zostało stworzone specjalnie dla mnie.

- Spójrz na mnie, Jules.

Wysuwam się prawie cały i wchodzę w nią jednym płynnym ruchem. Przymyka na chwilę oczy, ale potem otwiera je i nie odrywa ode mnie wzroku.

Wbijają paznokcie w moją skórę, a przez moje ciało przechodzą faje

pożądania. Jęczy z rozkoszy, obejmuje mnie nogami w pasie. Nie przestaje się poruszać, napawając się tą kurewską rozkoszą, gdy dochodzi. Uwielbiam sprawiać, że jest jej dobrze.

- Kocham cię - dyszy, jej rozedrgane ciało zaczyna się uspokajać.

- A ja kocham ciebie. - Przyspieszam, wciąż czując skurcze po jej orgazmie, i odnajduję rytm, przy którym szybko poczuje spełnienie. Zaciska się wokół mnie z całych sił. Nie jestem w stanie się kontrolować. Nie w chwili, kiedy znajduję się w ciele dziewczyny moich marzeń, jej idealne cycki ocierają się o moją klatkę piersiową, usta nie przestają poruszać się przy moich, a moje ręce zaciskają się na jej jedwabistych włosach.

Nie wytrzymam. Za długo na to czekałem.

Wbijam się w nią po raz ostatni. Dochodzę w niej i czuję, jak pulsuje wokół mnie. Jeżeli istnieje coś takiego jak niebo, właśnie się w nim znajduję.

Julia

Czuję padające na mnie światło. Rozgrzewa moją twarz, ale nie mogę otworzyć oczu.

Przewracam się na bok, moja ręka dotyka kołdry. Jest miłsza w dotyku, niż zapamiętałam. Coś jest nie tak.

Otwieram oczy w tej samej chwili, w której otwierają się drzwi. Crew wchodzi do środka, wycierając twarz zielonym ręcznikiem. Po jego wyrzeźbionym ciele spływają krople wody.

Okrywam szczelniej kołdrą swoje nagie ciało. Uśmiecha się złośliwie, bo wie doskonale, że jest mi niezręcznie.

- Jak się czujesz, Śpiąca Królewno? - pyta, stając w nogach łóżka z rękami wspartymi na biodrach. Nie golił się, a cień zarostu na jego twarzy sprawia, że wydaje się jeszcze bardziej seksowny.

Przeciągam się, na co moje mięśnie protestują. Jestem wykończona po wysiłku minionej nocy.

Zapomniałam, jak to jest być z Crew.

Ciało mam zeszywniałe, ale myśli są przejrzyste. Nie czuję niepokoju.

- Przespałaś całą noc — mówi, po czym odwraca się do mnie tyłem i grzebie w komodzie. Wyciąga czarne spodenki i szarą koszulkę, które następnie kładzie na łóżko. - Chyba cię wykończyłem.

Zaciskam ręce na kołdrze. Czekam na wyrzuty sumienia czy

obrzydzenie, ale te się nie pojawiają. Nie czuję się brudna, impulsywna czy beztroska, leżąc w łóżku Crew.

Czuje, że jestem we właściwym miejscu.

A to sprawia, że kwestionuję swoje zdrowie psychiczne.

- Która godzina? - pytam, dając sobie chwilę na zastanowienie się nad tym.

- Kilka minut po ósmej. Ja muszę, hm, iść na trochę do pracy.

- Ever powinna wrócić około dziesiątej. Lepiej pójde pod prysznic - mówię i patrzę, jak zakłada na siebie strój sportowy. Trudno się temu nie przyglądać. - To zakładasz do pracy? Spodenki i koszulkę?

- Tak. - Siada na brzegu łóżka, żeby założyć skarpetki i trampki.

- Co ty właściwie robisz?

Nie odpowiada. Wzdłuż mojego kręgosłupa przebiega dreszcz zaniepokojenia.

- Crew?

Wzrusza ramionami, a potem wstaje i odwraca się przodem do mnie.

- Walczę.

Mówi to tak, jakby omawiał najnormalniejszą rzecz na świecie. Jakby informował mnie, że jedzie na stację benzynową albo do sklepu.

- Co? - pytam z niedowierzaniem. - Crew? Co ty robisz?

- Walczę. Przecież ci powiedziałem.

Wszystko nabiera sensu. Gdy wcześniej o tym wspominał, myślałam, że żartuje. Jaki zdrowy na umyśle człowiek wróciłby do walk po doznaniu

poważnej kontuzji, której odnowienie może mieć bardzo poważne konsekwencje? Ale siniaki, strój do ćwiczeń, późne powroty... wszystko nabiera sensu.

- Crew, nie możesz.

- Muszę, Jules. Mam ustawioną walkę, a dzięki temu zdobędę pieniądze.

- Co ty wygadujesz?

Wzdycha.

- Trzynastego lipca walczę z Hunterem Davidsonem. Jeżeli wygram, dostanę sto tysięcy dolarów. Dla Ever.

Nie wierzę w to, co mówi. On nie żartuje.

Wszystko zaczyna się kręcić. Ściskam skronie i staram się poskładać myśli.

- Nie możesz - szepczę. - A jeśli coś pójdzie nie tak? Jeśli stanie ci się krzywda? A jeśli... - Nie powiem tego. Nie mogę wspomnieć o najgorszej możliwości. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, że go tracę.

- A co, jeśli nie?

- Wtedy sobie poradzimy! - krzyczę. Ręce mi drżą, dlatego kładę je na kolanach.

Zaczynam panować nad swoimi myślami, docieram do samego sedna i zdaję sobie sprawę, w czym tkwi problem. Czy jest to samolubne? Prawdopodobnie. Ale to nic nie zmienia.

- Nie mogę stracić także ciebie - szepczę, do moich oczu napływają łzy.

- Ej - mówi i podchodzi do mnie. Siada na skraju materaca i całuje

mnie czule. - Co ci wczoraj powiedziałem? - Nie jestem w stanie nic powiedzieć, więc sam sobie odpowiada. - Powiedziałem, że nigdy więcej cię nie opuszczę.

- Ale...

- Żadnego ale, Jules. Nic mi nie będzie. Po raz pierwszy w życiu walczę o coś prawdziwego, o coś, co ma znaczenie. Zrobię to.

- A jeśli coś ci się stanie?

- Nigdy cię nie opuszczę.

Nie ufam mu, ale nie dlatego, że to on wypowiada te słowa. Nie ufam mu, bo słyszałam te słowa niejednokrotnie, a i tak zostawałam sama. Czasami to nie do nas należy decyzja, czasami los ma wobec nas inne plany. A Crew swoim powrotem do walk zdaje się ten los kusić w najgorszy możliwy sposób.

Jak ja to zniosę? Jak zniesie to Ever?

Ever...

- Crew, co do minionej nocy... - Zaczynam czuć palenie w gardle. Nie wiem, jak podejść do tego, co jest między nami. Gdy powiedział, że nie odejdzie... nie jestem pewna, co miał na myśli. Nie mam też pewności, co jest teraz najlepsze dla Ever.

- Miniona noc była najlepszą w moim życiu — mówi wprost.

Jego odpowiedź sprawia, że uśmiecham się szeroko.

- Dlaczego mam przeczucie, że nie spodoba mi się to, gdzie zawędrowały twoje myśli?

Wzruszam ramionami, owijając się ciasniej kołdrą.

- Nie wiem co, o ile cokolwiek, to między nami zmienia.

- To zmienia wszystko - mówi poważnie.

- Jak?

- Jak to „jak”?

- Nie wiem, jak to robić, czymkolwiek to jest. Nie chcę, żeby Ever czuła się zagubiona, nie chcę, żeby miała na głowie więcej niż do tej pory.

- Wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy. To - mówi, wskazując na mnie i na siebie - my razem. My razem walczący z całym pieprzonym światem. To - mówi, pokazując na siebie - ja niemający ochoty słuchać, co o tym wszystkim sądzisz. Miałaś wczoraj możliwość wycofać się z tego, ale nie skorzystałaś. Teraz będziesz się ze mną użerać.

Jego usta wyginają się w uśmiechu, ale wiem, że nie żartuje. Jest mi nawet z tego powodu odrobinę lżej.

- Rozumiem, że chcesz, byśmy nie spieszyli się ze względu na Ever. Ja to naprawdę rozumiem. Na tę chwilę i tak za dużo przechodzi. Ale dla twojej wiadomości -mówi, całuje mnie, a potem wstaje. - To, co jest między nami, nie podlega negocjacjom. Lepiej postaraj się, żeby wypaliło. - Puszcza mi oczko, po czym kieruje się w stronę drzwi. - Wrócę po południu. Dasz sobie radę?

- Nie podoba mi się to, że walczysz, Crew. Naprawdę tego nie lubię. Chcę wiedzieć dokładnie, co się dzieje. Ze szczegółami. Chcę wiedzieć wszystko.

- Później - odpowiada, naciskając klawiskę. - Nie jest to coś, czym powinnaś się martwić.

- Jak możesz tak mówić?

Wzrusza ramionami.

- Właśnie powiedziałem.

Crew

Mój pot pływa po ringu. Mój przeciwnik, Victor, siedzi po drugiej stronie i łapie oddech. Trenowaliśmy od kilku godzin i dowiedziałem się jednej ważnej rzeczy: moje wieczorne biegi nie były tak dobre, jak myślałem. Zapomniałem już, jak mocno można odczuć pięć minut.

Victor jęczy, wstaje i przeciska się przez liny. Znika w szatni. Jest młody, po dwudziestce. Jego mocną stroną są ciosy. Nie mam wątpliwości, że myślał to samo, co każdy pięściarz na wieść, że będzie walczył z zapaśnikiem. Co nie zmienia faktu, że zszedł z ringu, przyjmując więcej ciosów niż ja.

Boli mnie całe ciało. Plan Sala na przygotowanie mnie do nadchodzącej walki jest szybki i intensywny - nie mamy czasu, żeby pieścić się z moim ciałem i pozwolić mu osiągnąć największą wydajność. Muszę być najlepszy, jak się da, a mam jedną czwartą czasu, którego potrzeba do przygotowania się do walki. To mało, ale muszę wykorzystać ten czas najlepiej, jak umiem.

Sal staje obok mnie i opiera ręce na górnej linie.

- Nie najgorzej, dzieciaku. Twoje ciało, dzięki Bogu wciąż ma pamięć mięśniową.
- Lepiej, żeby tak było, skoro trenowałem tyle lat.
- Musisz jutro przyjechać do obozu.

Pochylam głowę. Obóz znajduje się godzinę drogi od miasta i zajmuje hektar ziemi należącej do siłowni. Większość obozów treningowych odbywa się wyłącznie tam. Zadbano nawet o zbudowanie małego dormitorium, dzięki czemu nie trzeba dojeżdżać. Jest to idealne

miejsce, żeby zrobić formę. Żadnych telefonów, trasy do biegania, drewno do rąbania, bele siana, którymi można rzucać. Sal korzysta ze starych metod nauczania, ale są skuteczne.

- Bądź około południa. Zostaniemy do wieczora. -Kręci głową. -
Żałuję, że nie mamy więcej czasu.

- Uwierz, że ja też.

- Cóż, jesteś idiotą, że zgodziłeś się na tę walkę.

Podrywam głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Co ty powiedziałeś?

- Nie mam pojęcia, co sobie myślałeś, Gentry. Twoje ramię jest w beznadziejnym stanie. Ty to wiesz i ja to wiem. To misja samobójcza, dlatego zastanawiam się, gdzie się podziały moje pieprzone jaja, gdy godziłem się, żeby ci pomóc.

Wstaję niezdarnie.

- Posłuchaj, poszedłeś na ten układ, tak samo jak ja. -Patrzę na niego wyzywająco.

- I zaryzykujesz wszystko? Co, jeśli coś ci się tam stanie, Gentry? He? Co wtedy? Pomyślałeś o tym?

- Tak, pomyślałem.

- I zaryzykujesz?

- Poświęcę wszystko, czym jestem. Dla nich jestem gotów zrobić wszystko. - Trzęsę się ze złości. - A teraz możesz się zamknąć i albo mi pomóc, albo nie. Tylko daj znać, bo nie chcę spędzić najbliższych miesięcy, martwiąc się o to.

Kładzie mi rękę na ramieniu.

- W porządku, dzieciaku. Więcej nie będziemy o tym rozmawiać.
- To dobrze.
- Tylko obiecaj mi coś.
- Co?
- Pozostań skoncentrowany. Patrz na cel. Nie zaprzataj sobie niczym głowy.
- W porządku.
- Mówię poważnie, Crew. Żadnych rozrywek.

Zakładam koszulę przez głowę i patrzę na łóżko. Poduszki znajdują się na swoim miejscu, kołdra leży równo. Uśmiecham się ze świadomością, że kilka godzin temu byłem tam z Julią. Biorę głęboki wdech, chcąc wylapać jej zapach. Jest wyjątkowy, woń jej ciała zmieszana z waniliowym żelem do kąpiel, którego używa. Zalewa mnie fala pożądania, zmieszanego z czymś, co znam jako miłość. Muszę się stąd wynosić, w przeciwnym razie cały dzień spędzę, wracając myślami do minionej nocy.

Idę korytarzem w stronę kuchni, a tam zatrzymuję się w progu i patrzę na nią. Stoi na palcach, sięgając po coś na górnej półce szafki.

Jest taka słodka, kiedy stara się chwycić pudełko, które znajduje się poza jej zasięgiem.

- Pomóc ci z tym? - Staję za nią tak, że opiera się plecami o moją pierś. Prostuję się powoli, nasze ciała ocierają się o siebie. Pudełko jest bez znaczenia, bo mój mózg skupia się jedynie na tym, jak blisko jest Julia. Jak cudownie pachnie. Jak dobrze jest ją czuć.

- Crew - szepcze, patrząc na mnie przez ramię. - Nie tutaj. Ever jest w

łazience.

Śmieję się i odchodzę na bok.

- Nie tutaj? Ale co? Ja tylko sięgałem po pudełko. -Omijam ją i sięgam po nie. Wyrywa je z mojej ręki i kręci głową.

- Nie grasz fair.

- Ja? Nie, ja w ogóle nie gram. Ja walczę, żeby wygrać.

Mruży oczy.

- Skoro mowa o walce...

- Jules...

- Crew.

- Wolę walczyć z tobą, niż kochać kogokolwiek innego - uśmiecham się szeroko.

- Co się dzieje? Tak naprawdę?

Przyglądam się jej z nadzieją, że zobaczę jakiś wyłom w jej zbroi. Wiem, że prędzej czy później będę musiał z nią porozmawiać, ale później zawsze brzmi lepiej.

Wzdycham i opieram się o szafkę.

- Za kilka tygodni mam ustawioną walkę. Podpisałem na nią kontrakt z NFL. Dzięki temu zdobędziemy pieniądze na terapię.

Mina jej rzednie.

- Dostałam dzisiaj e-mail. Odrzucono mój wniosek o pożyczkę.

Chwytam ją i przyciągam do siebie.

- To nic. Już o to zadbałem. Tylko daj nam trochę czasu. Nie poddawaj się. Ever radzi sobie świetnie, musimy tylko wytrzymać jeszcze trochę.
- Nie chcę, żebyś walczył.

Śmieję się.

- Brzmi to znajomo.
- Nigdy nie lubiłam tego, że walczysz, Crew. Zwłaszcza teraz.
- Boisz się, że coś mi się stanie? Nic mi nie będzie. Miałem sporą przerwę, ale pracowałem w dokach. To nie jest łatwa praca.

Opiera głowę o moją pierś.

- Wiem. Po prostu nie chcę, żeby coś ci się stało.
- Przestań. Nic mi się nie stanie.
- A co, jeśli tak? Nie tylko ja cię stracę, Ever również. Uważam, że to zbyt ryzykowne. Wiem, dlaczego to robisz, i nie mogę się z tym kłócić, ale chcę. Egoistyczna część mnie, ta, która jest matką, nie może mieć nic przeciwko. Ale Crew...

Całuję ją w czubek głowy.

- Podjąłem dwie decyzje. Walczę i jesteś moja. Więc nie musisz zaprzętać sobie tej ślicznej główki żadną z tych dwóch kwestii.

Obejmuje mnie w pasie i przyciąga bliżej, ale równie szybko mnie odpycha.

- Co?
- Nie możemy tego zrobić - syczy.
- Och, Jules, my już to zrobiliśmy. Ostrzegałem cię.

- Nie, Crew. *Tego*. - Robi kilka kroków w tył.

Nienawidzę dystansu między nami. Chociaż jest to tylko kilka kroków, czuję, jakby dzieliły nas pieprzone kilometry, zwłaszcza że mam porównanie do tego, jak to jest mieć ją w ramionach.

-*To*- odpowiadam, wskazując na przestrzeń między nami - jest kurewsko głupie.

- Mówiłam ci, że nie chcę, żeby Everleigh zaczęła coś podejrzewać. Jak miałabym jej to wyjaśnić?

Bezwiednie przewracam oczami.

- Och, no nie wiem. Może tak, że kocham cię, odkąd tylko pamiętam?

- Crew...

- Co chcesz, żebym powiedział?

Staje tyłem do mnie, co irytuje mnie jeszcze bardziej. *Kurwa, ostrzegalem ją! Nie minęła nawet doba, a ona już ze mną skończyła? To się nie stanie.*

- Posłuchaj. Powiedziałem ci, że dam ci przestrzeń. Zrobię to. Ale w tej chwili mówię ci...

- Czy wy się kłócicie? - Jej głos jest cichy, co nie zmienia faktu, że oboje podskakujemy. Odwracamy się w stronę drzwi i widzimy, że Everleigh stoi w progu, owinięta fioletowym ręcznikiem, a jej łysa głowa błyszczy w świetle. Obserwuje nas.

Julia odchodzi ode mnie, zostawia mnie samego. Podchodzi do Ever i bierze ją na ręce.

- Nie, skarbie. Nie kłócimy się.

- To dobrze - odpowiada. Patrzy na mnie. - Rodziny się nie kłóca.

Śmieję się.

- Czasami się kłóczę, małpeczko. Ale my się nie kłóciliśmy.

Robi dziwną minę, jakby się zastanawiała, czy kłamię.

Przez to znowu parskam śmiechem.

- Co? Myślisz, że cię oszukuję?

- Cóż, ja i mamusia kłócimy się troszeczkę.

- Naprawdę? - Julia patrzy na Ever, skonsternowana. - Kiedy się kłóciłyśmy?

- Kiedy powiedziałaś, że Crew nie jest moim tatusiem.

Szczęka mi opada. Jestem całkowicie, kurwa, pewien, że się przesłyszałem. Musiałem się przesłyszeć.

Mała obserwuje mnie uważnie, a Julia patrzy na nią.

- Jesteś nim? - pyta. Oczy ma szeroko otwarte, pełne jakiejś emocji. Nie jestem w stanie określić, jakiej. Spojrzenie ma jasne, przejrzyste, przypomina mi spojrzenie jej taty. Którym ja nie jestem.

Zmuszam się do uśmiechu.

- Nie, małpeczko. Nie jestem twoim tatą.

Dolna warga jej drży, a mi pęka serce.

- Ale ja nie mam tatusia.

- Och, skarbie, masz - mówi Julia, oczy ma pełne łez. - Po prostu jest w niebie.

- Wiem. Wiem, że tatuś jest teraz w niebie. Ale nie mam tatusia tutaj.

- Znowu patrzy na mnie. — Tata chroni dzieci i mamusie. Pilnuje, żeby było jedzenie i żeby wszyscy byli szczęśliwi. Uczyłam się tego w szkole. Mówiliśmy o zwierzętach, ale to to samo.

- Cóż... - mówi Julia, ale Ever przerywa jej.

- Właśnie to robisz — mówi, ignorując mamę. - I kochasz mnie i mamusię. Więc dlaczego nie jesteś moim tatusiem? Nie chcesz nim być?

Julia bierze głęboki oddech i przenosi wzrok na mnie. Ale ja nie patrzę na nią. Patrzę na Ever.

Kocham tę dziewczynkę całym sobą. I dałbym jej wszystko... poświęciłbym wszystko, żeby upewnić się, że będzie miała lepsze życie niż ja.

Będę ją chronił, będę pilnował, żeby nigdy nie chodziła głodna i żeby była szczęśliwa.

Przenoszę wzrok na Julię. Dla niej też to wszystko zrobię.

Wyciągam ręce po Ever, a ta ufnie pozwala się wziąć. Trzymam ją tak, żebyśmy mogli na siebie patrzeć.

- Twój tatuś był moim bratem.

- Wiem.

- I kochał cię najbardziej na świecie. Wiesz to?

- Tak.

Julia opiera się o ścianę, rękę trzyma na wysokości serca. Wiem, że to jest dla niej najważniejsze. To, żeby Everleigh zawsze pamiętała o Gage'u. Cholera, ale dla mnie to też jest ważne.

- Nigdy nie będę chciał zająć jego miejsca, Ever. Bycie czyimś tatą jest

bardzo wyjątkową rzeczą. Ale coś ci powiem... - Zerkam na Julię, a ona otwiera szeroko oczy. - Coś ci powiem - powtarzam, patrząc Ever prosto w oczy. - Obiecuję ci, że zawsze będę to wszystko dla ciebie robił. Będę wykonywał wszystkie zadania należące do taty, których będziesz ode mnie wymagała, i zawsze będę cię bronił i upewniał się, że masz co jeść. - Układam ją sobie wygodnie na biodrze i dotykam jej nosa. - I zawsze będę cię kochał. Twoją mamę też.

Ever przechyla głowę na bok.

- Mówiłam ci - rzuca do Julii.

Julia śmieje się, w jej oczach wciąż widać łzy.

- Mówiłaś - odpowiada. Stara się, by jej głos nie zdradzał, że płakała, ale nie udaje jej się to.

- Czyli mogę mówić do ciebie tato? - Nadzieja w jej głosie rozrywa mnie na pół. To małość może mówić na mnie tak, jak tylko chce, choć nigdy nie zasłuży sobie na ten tytuł.

- Jeżeli to cię uszczęśliwi, małpeczko, będę bardziej niż zadowolony.

Obejmuje mnie za szyję i wtula głowę w moje ramię.

- Kocham cię - mówi niewyraźnie, a ja głaszczę ją po głowie. Spojrzenie wbijam w stojącą naprzeciwko mnie kobietę.

- Ja też cię kocham.

CREW

Nie kładź się na plecach! - krzyczy Sal. - Cholera, Crew! Nie kładź się na pieprzonych plecach.

Staram się zrzucić z siebie sparring - partnera, używając do tego nóg. Przenoszę ciężar ciała na górną część pleców i zrzucam go z siebie, a Victor przetacza się na drugą stronę ringu.

- I o to chodzi. Musisz pilnować pleców, do cholery. Jeżeli pozwolisz Davidsonowi powalić cię na matę, będziesz miał bardzo zajęte ręce.

Słyszę go, ale nie słucham. Moją uwagę przyciąga kurewski ból, który przetacza się niczym ogień przez górną część moich pleców. Czuję, jak pali. Jest intensywny. A boli jak skurwysyn.

- Gentry! Słuchasz mnie?

- Tak - mówię, starając się ukryć ból w głosie. - Po prostu potrzebuję chwili.

Wypuszcza głośno powietrze.

- W porządku. Dobrze się dzisiaj spisaliście, chłopcy. Widzimy się jutro o osiemnastej.

- Do jura, trenerze - mówi Victor. - Na razie, Crew. Ledwo unoszę rękę z maty i czuję wibracje, gdy obaj zeskakują z ringu.

Unoszę powieki, gwiazdy tańczą mi przed oczami, moje ciało trawia płomienie.

Kurwa mać.

Znowu czuję ruch, a obok pojawia się Will.

- Ej. Wszystko w porządku?

Jęczę.

- Tak.

- Kłamca. Co się stało?

Staram się usiąść, ból z każdym ruchem się nasila.

- Co się stało, stary? - Will cofa się, gdy wstaję chwiejnie.

- Nic. Nic mi nie jest.

- Przetoczyłeś się przez ramię...

- Nie pierdol.

Udaje mi się zejść z ringu, a Will zabiera moją torbę. Idziemy na parking, ciepłe powietrze otula moje ciało, wyciągając z niego ból.

- Crew, stary, jeżeli znowu uszkodzisz kręgosłup...

- Will - mówię ostrzegawczo, odwracając się twarzą do niego. - Zamknij mordę. Co boli, a co nie boli, to nie twoja sprawa. Nie chcę, żebyś w ogóle o tym wspominał. Dotarło?

Rzuca moją torbę do tyłu i patrzy, jak wsiadam do środka.

- Dobra. Twoja sprawa. Jestem w drużynie... Jak się nazywamy?

Myślę przez chwilę.

- Drużyna Uwierz. - Odpalam silnik. - Uwierz, że się, kurwa, nie zabiję.

- Nieśmieszne, stary.

I tak się śmieję.

- Jadę do domu. Chcesz wpaść i wypić browara, którego mam w lodówce? Może nie jest to piwo rzemieślnicze, które tak lubisz, ale zawsze darmowe.

- Darmowe piwo to darmowe piwo. Prowadź.

Zamykam drzwi i kieruję się w stronę domu, starając się ignorować ból pomiędzy łopatkami, który nieznacznie zelżał. Drużyna Uwierz. Chociaż wtedy żartowałem, podoba mi się ta nazwa. Lubię słowo „wiarą”. Właśnie to robię teraz - wierzę, że nie wywalą mnie z roboty za to, że jestem wiecznie zmęczony. Wierzę, że postępuję właściwie, pakując się w ten bajzel. Wierzę, że nie schrzanię tego, co już w pewien sposób schrzałem. Wierzę, że znajdę sposób na wygranie walki z Davidsonem.

Wjeżdżam na swoją ulicę, Will jedzie za mną. Przy krawężniku przed domem zaparkowany jest poobijany czerwony samochód, ale nie wiem, do kogo należy.

Wysiadam z ciężarówki i spotykam się z Willem na trawniku.

- Kto to? - pyta, wskazując kciukiem przez ramię.

- Nie mam pojęcia.

Wchodzimy na frontowe schody, między nami panuje dziwna cisza. Przekręcam klamkę i wchodzę do środka, widzę światło w salonie. Do moich uszu dobiegają głosy - więcej, niż się spodziewałem.

Obok mojego telewizora stoją rodzice Jules.

- Co oni tu, kurwa, robią? - krzywię się. - Masz dwie sekundy, żeby to wyjaśnić.

- Crew - mówi Julia, zrywając się z kanapy. Podbiega do mnie, a ja przyciągam ją do siebie. Wtula się w mój bok, jakby to była najbardziej naturalna czynność w jej życiu. Gdyby sytuacja była inna, napawałbym się tą chwilą. Ale akurat teraz mam przed sobą dwa ścierwa, którymi chcę się zająć.

- Crew, przyjacielu. - Jej ojciec wyciąga do mnie rękę. pozwalam zawisnąć jej w powietrzu. Cuchną papierosami, odór nie znika z powietrza wokół nich. Ledwo rozpoznaję Harry'ego i Gretę; ostatnie lata nie obeszły się z nimi za dobrze. Są zaniedbani, włosy mają nierozczesane. Wyglądają na przewlekłe chorych, jakby desperacko potrzebowali kolejnej dawki gówna, na którym teraz ciągną. Zastanawiam się, czy Julia zdaje sobie sprawę, że to już nie alkohol jest teraz ich problemem.

- Co tu robicie? - pytam.

Will staje u drugiego boku Jules.

- Gdzie Ever? - pyta szeptem.

- Śpi w sypialni - odszeptuje.

- Idź do niej - warczę.

- Crew, zaczekaj...

- Nie. Nie będzie żadnego „zaczekaj”, Jules. Chyba że przyjechali przeprosić za spierdolenie ci życia.

- Przyjechaliśmy odwiedzić naszą córkę. Podobno nasza wnuczka jest chora i ją też chcieliśmy zobaczyć.

- Poza tym chcieli też, żebym podpisała za nich pożyczkę na samochód - dodaje cicho Julia. Słyszę w jej głosie smutek spowodowany tym, że po raz, kurwa, kolejny ją zawiedli.

- Jesteście na tyle bezczelni, że przyjeżdżacie tu i prosicie o podpisanie pożyczki na samochód, chociaż wiecie, że wasza wnuczka ma raka? - Nie mogę w to uwierzyć, mimo że chodzi o nich.

Harry wypina pierś.

- Będę musiał dużo jeździć stąd do Baltimore i z powrotem. Potrzebuję samochodu, który nie wysiadzie. Co cię to, kurwa, obchodzi?

- Nie wątpię. Przewozisz teraz między miastami sporo towaru, co?

- Nie twój interes - mówi niewyraźnie.

Patrzę na Jules.

- Skąd wiedzieli, że tu jesteś?

- Bo do mnie zadzwoniła - odpowiada Greta. - Powiedziała mi, co się dzieje. Nie zdziwiło mnie, że nie chciałeś, żebyśmy wiedzieli. Nigdy nie chciałeś, żebyśmy byli blisko niej. Zabrałeś ją nam!

Odsuwam od siebie delikatnie Julię i kieruję ją w stronę korytarza.

- Idź do pokoju Ever i zostań z nią. Dobrze?

- Crew...

- Jules, mówię poważnie.

Patrzy po raz ostatni oczami pełnymi łez na ludzi, którzy sprowadzili ją na ten świat, po czym idzie w stronę korytarza. Czekam, aż zamknie za sobą drzwi, i dopiero wtedy się odzywam.

- Wy dwa nic niewarte ścierwa. Nie skontaktujecie się z nią nigdy więcej. Dociera to do was?

Harry robi krok w moją stronę i macha mi palcem przed twarzą.

- Nie będziesz mi mówił, czy i kiedy mogę odwiedzać moją córkę i wnuczkę. Jesteś dla niej nikim. Nie jesteś jej mężem, a nawet gdybyś był, ja jestem jej ojcem!

Śmieję się ze złością.

- Zabierz ten palec sprzed mojej twarzy, zanim cię go pozbawię.

Kompletnie naćpany, robi kolejny krok w moją stronę.

- Myślisz, że dałbyś radę, chłopczyku?

Greta chwyta go za rękę i ciągnie w stronę drzwi.

- Harry, chodźmy stąd - mówi, widząc wściekłość, jaka się we mnie kryje. - No chodź. - Prowadzi go na zewnątrz, na ganek.

Harry wyrywa się jej i staje przodem do mnie i Willa.

- Będę tu przyjeżdżał, kiedy będę miał na to ochotę.

Zmieniam pozycję, żeby przygotować się do wyprowadzenia ciosu, ale wtedy między nami staje Will.

- Harry, zaufaj mi. Lepiej będzie, jak zamkniesz mordę. - Will ogląda się na mnie przez ramię i mruga porozumiewawczo. - Teraz, jako obiektywny obserwator, Harry, powiem ci, że jesteś pieprzonym debilem, który potrzebuje staromodnego wpierdolu. Należało ci się już lata wcześniej, skurwysynu. Crew, choć z wielką chęcią zobaczyłbym twój wielki popis, z oczywistego powodu *nie możesz* trafić do pierdła. Ale ja mogę.

Will wymierza prawy sierpowy prosto w nos Harry'ego. Ten zatacza się do tyłu, a problemy z równowagą zawdzięcza między innymi syfowi, który brał rano.

Greta wrzeszczy i łapie Harry'ego, który wpada na filar na ganku. Will wyprowadza jeszcze trzy ciosy, prosto w jego twarz, ale ten jest za

wolny i za mało kontaktuje, żeby się w ogóle bronić.

- Jesteś zwierzęciem - mówi z niedowierzaniem Greta. Obejmuje ramieniem Harry'ego i ciągnie go do samochodu, gdy ten trzyma się za nos. - Dzwonię na policję!

- Nie mylisz się. Ale to dzwonienie na policję poważnie przemyśl — odpowiada Will.

Drogę z ganku do samochodu znaczą krople krwi. To i tak lepsze niż kawałki mięsa, które latałyby dookoła gdyby Will nie wszedł mi w drogę.

Patrzemy, jak odjeżdżają stąd najszybciej, jak mogą, rura wydechowa w ich samochodzie grzechocze nieustannie.

Will potrząsa ręką.

- Stary, to kurewsko napieprza.

- Przebolej to, pizdo - mówię i poruszam ramionami, żeby złagodzić własny ból. Will chce już coś na ten temat powiedzieć, ale zmienia zdanie.

- Mogę trochę lodu?

Śmieję się.

- Nie. Chcesz być wojownikiem, naucz się radzić sobie z bólem. - Krzywię się na ostatnie słowo, gdy ten przeszywa moje ciało.

- Nie chcę być wojownikiem. Chcę tylko trzymać cię z daleka od kłopotów. Gdybyś go tknął...

- Zabiłbym go.

- Dokładnie.

Drzwi za mną skrzypią, a Will zerka przez moje ramię. Uśmiecha się, po czym patrzy na mnie.

- Zbieram się. Starczy mi na dzisiaj rozrywki.
- Dzięki, Will.
- Żaden problem. Do zobaczenia, Jules.
- Cześć, Will.

Odwracam się, a ona patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Chcę wiedzieć?
- Nie - odpowiadam i przyciągam ją do siebie. Na krótką chwilę zapominam, że poza nami istnieje cokolwiek innego.

Julia

Co się dzieje? - pytam.

Crew wchodzi do kuchni po pracy, a za nim idzie Olivia. Uśmiecha się od ucha do ucha.

- Crew zadzwonił do mnie rano i zapytał, czy mogłabym spędzić wieczór z Everleigh.

- Dlaczego? - pytam, patrząc to na nią, to na niego. - Zapomniałam o czymś? Coś się stało?

Crew śmieje się.

- Chcę cię gdzieś zabrać. Spędzić czas tylko z tobą. Czuję motyle w brzuchu, przypominam sobie dawne czasy. Prawie kręci mi się w głowie na myśl, że chce mnie gdzieś zabrać. Wygląda na wykończonego. Włosy zaczęły mu odrastać, jego twarz pokrywa kilkudniowy zarost. Jest niesamowicie przystojny. Z chłopaka, w którym zakochałam się wiele lat temu, wyrósł wspaniały mężczyzna.

Co nie zmienia faktu, że nie chcę zostawiać Everleigh.

- Myślisz, że powinniśmy?

Kiwa głową i przygryza wargę.

- Tak.

- Ale co, jeśli... - zaczynam.

- Julio, jestem tutaj. Dobrze się dzisiaj czuła. Sama to mówiłaś, kiedy wcześniej dzwoniłam.

- Wystawiliście mnie! - patrzę na przemian to na nią, to na niego. - Crew!

- Opuść mu - śmieje się Olivia. - Chce zrobić dla ciebie coś miłego, a właśnie tego teraz potrzebujesz.

- Kiedy przeszłaś do Drużyny Crew?

Uśmiecha się do niego szeroko, a potem patrzy na mnie.

- Nigdy nie powiedziałam, że tam nie byłam. - Odwraca się na pięcie i idzie do salonu. Słyszę, jak moja córka piszczy na widok Olivii. Mam nadzieję, że to ją wzmocni. Zeszłej nocy było z nią bardzo źle. Wymiotowała i narzekała na ból brzucha i głowy. To była długa noc. Zadzwoiłam do doktora, a on powiedział, że to normalne, ale jeśli powstanie zagrożenie odwodnienia albo wzrośnie jej temperatura, mamy od razu jechać do szpitala.

Czuję, że Crew patrzy na mnie, i wiem, że nie mam z nim szans.

- Tylko na jakąś godzinę, dobrze? - pytam ostrożnie. Nie chcę go urazić, ale ledwo jestem w stanie ją zostawić.

Całuje mnie w czubek głowy, a ja czuję, jak cuchnie po pracy.

- Dobrze. Wezmę szybki prysznic i wtedy pójdziemy.

- Dokąd? - pytam.

- Na małą przejażdżkę.

- Nie masz treningu?

- Wolne. - Krzywi się nieznacznie, poruszając ramieniem. - Muszę dać odpocząć ciału.

- Powinnam się przebrać? - patrzę na swoje dżinsy, podarte na kolanie i koszulkę Red Soxów.

- Jeśli mają nas razem zobaczyć, ta koszulka musi zniknąć.

Przewracam oczami.

- Z koszulką albo wcale.

Warczy żartobliwie.

- Dobra. Masz szczęście, że jesteś ładna.

Znowu zerkam na telefon. Martwię się, że Olivia będzie dzwonić albo pisać, a ja nie usłyszę. Myślałam, że Crew będzie musiał siłą wynieść mnie z domu. Mam wrażenie, że jest to niesprawiedliwe i samolubne, że zostawiam chorą Ever, chociaż sama wyganiała mnie z domu, żeby móc pograć z Olivią w Candy Land.

Crew kładzie mi rękę na udzie i lekko nim potrząsa.

- Nic jej nie jest. Dobrze się bawi.
- Wiem - mówię przez zaciśnięte zęby. - Po prostu czuję się źle...
- Przez co? Przez to, że odpoczniesz przez godzinę? Przez to źle się czujesz?
- Tak. - Opieram głowę o fotel i pozwalam popołudniowemu słońcu ogrzewać moją twarz.

Ścisza radio.

- Jesteś głupia.

- Dzięki.

- Mówię poważnie - śmieję się. - Nie możesz czuć się źle dlatego, że zostawiłaś Ever z jedyną osobą poza nami, którą kocha. Będzie się

dobrze bawić, grając w Candy Land, a my w tym czasie zjemy lody.

Patrzę na niego, a on uśmiecha się szeroko.

- Jedziemy na lody?

Kiwa głową i wjeżdża na Castle Island.

- Uznałem, że będzie miło. Wziąć wafelek, usiąść nad wodą, spędzić trochę czasu we dwoje.

Serce mi się rozplywa. Właśnie tego potrzebowałam.

Parkuje ciężarówkę i wysiadamy. Schodzimy się przed maską samochodu, a on od razu bierze mnie za rękę. Lubię to. Wszystko. Podoba mi się cały ten wieczór.

Nasze ręce, splecione, huśtają się lekko między nami. Jego kciuk muska moje kłykcie i za każdym razem czuję przy tym ukłucie pożądania. Uwielbiam to, jak bezpieczna się przy nim czuję. Zachwyca mnie to, jak ważna dla niego jestem. Uwielbiam podnosić wzrok i widzieć, jak przygląda mi się kątem oka, a kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu.

- Co? - pytam, sama też zaczynam szeroko się uśmiechać.

- Po prostu zastanawiam się, jakim cudem upadłem tak nisko, żeby ludzie widzieli mnie z dziewczyną w koszulce Red Soxów.

Trącam go ramieniem, a on udaje, że go zabolalo. Zasłania się drugą ręką i robi zbolalą minę.

- Auć. Żartowałem.

Kręcę głową. Stoisko z lodami znajduje się przed nami, menu wisi z przodu tak, jak zapamiętałam.

- Jakie chcesz? - pyta. - Wciąż lubisz smak kokosowy?

- Nie jadłam lodów kokosowych stąd od tego lata, kiedy wyjechałeś.

Na jego twarzy pojawia się dziwny wyraz.

- Naprawdę?
- Przychodziliśmy tu, ale nigdy na lody.

Kiwa głową i odwraca wzrok.

- Więc jakie chcesz?
- Kokosowe.

Zamawia porcję lodów kokosowych dla mnie, a czekoladowych dla siebie. Ja w tym czasie szybko sprawdzam telefon. Czuję ulgę, że nie dostałam żadnej wiadomości. Wręcza mi loda i ruszamy przed siebie.

- Chcesz usiąść nad wodą?
- Tak. Chodźmy tam.

Bierze mnie za rękę, splatamy nasze palce. Idziemy wolnym krokiem w stronę plaży, siadamy blisko siebie na piasku. Jest cieplej niż wcześniej, ale bryza niesie ze sobą chłód. Fale napływają powoli, rozbijając się o brzeg.

- Myślę, że pierwszy raz zobaczyłem cię dokładnie tam - mówi, wskazując na wypustkę skalną. - Byłaś ze swoimi przyjaciółkami, śmiałyście się. Wyglądałaś tak pięknie, jakbyś nie miała w życiu żadnych trosk. Mijało was kilku chłopaków. Przyglądali ci się, ale ty zdawałaś się być tego nieświadoma.

- Bo byłam - mówię, wracając pamięcią do tamtego dnia.
- Wiesz, gdybym mógł cofnąć czas, wszystko zrobiłbym inaczej.

Trzyma rozek dwoma rękoma, łokcie opiera na kolanach.

- Gdybym mógł wrócić do tamtego dnia, od razu powiedziałbym ci, że cię kocham. Mogłoby cię to przerazić, ale wtedy wiedziałabyś, że traktuję cię poważnie. Znalazłbym pracę i kupiłbym nam dom zaraz po ukończeniu liceum. - Zdejmuje czapkę Golden Gophers i zakłada mi ją na głowę z szerokim uśmiechem. - Zamieszkałabyś ze mną z daleka od swoich rodziców, a ja troszczyłbym się o ciebie każdego dnia, aż do śmierci. Nie wyjechałbym do Minnesoty, nie przejmowałbym się sławą. Oddałbym to wszystko, żeby tylko móc być z tobą.

Policzki bolą mnie od uśmiechania się, jego słowa... nigdy nie sądziłam, że tak myśli. Wiele razy - więcej niż jestem w stanie zliczyć - żałowałam, że tak się nie stało, ale nawet w najśmielszych snach nie sądziłam, że i on tego żałuje.

Pochyliła się i całuje mnie słodko w usta.

- Chciałem cię tu dzisiaj zabrać, żeby ci to powiedzieć. Żeby powiedzieć ci, że gdybym mógł wrócić do dnia, gdy się poznaliśmy, zmieniłbym wszystko, co zrobiłem.

- Och, Crew - mówię, kładąc rękę na jego policzku.

- Nie oczekuję, że cokolwiek na to odpowiesz - kontynuuje. - Wiem, że dla ciebie sprawy są bardziej skomplikowane. Wiedz tylko, że kochałem cię wtedy i kocham teraz. Tak naprawdę to jesteś jedyną osobą, którą kiedykolwiek kochałem. I jedyną, którą będę kochał.

- Ja też cię kocham - szepczę i całuję go.

Opiera swoje czoło o moje.

- Cokolwiek się stanie, pamiętaj o tym. Wiedz, że cię kocham i że nigdy nie kochałem nikogo innego. To dla mnie ważne, żebyś wiedziała. Ta walka będzie naprawdę bardzo poważna i chcę mieć pewność, że wiesz. Dobrze?

- Co do walki...

- Nie. Nie ma o czym rozmawiać.

Patrzemy, jak fale uderzają o brzeg plaży, mewy skrzeczą dookoła.

- Dla ciebie i Everleigh jestem gotów zrobić wszystko - mówi jakby sam do siebie. - Cokolwiek stanie się w czasie walki, chcę, żebyś wiedziała, że decyzję podjąłem świadomie. Nie zgodziłem się na to z myślą, że to będzie droga usłana różami.

- Co chcesz mi przez to powiedzieć?

Wzrusza ramionami.

- Nic konkretnego. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że dokładnie to przemyślałem. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek myślała, że niewystarczająco sprzeciwiałaś się temu pomysłowi albo za mało wysiłku włożyłaś w szukanie sposobu na zdobycie pieniędzy. To nie była twoja decyzja. - Uśmiecha się nieznacznie. - To dało mi powód do życia. Mam okazję przywrócić swojemu życiu sens, który straciło, gdy straciłem ciebie.

- Crew...

- Nie, to prawda. Dostałem drugą szansę w tak wielu sprawach. Mogę naprawić swoje błędy, zrobić coś dobrego dla świata... kochać cię we właściwy sposób.

Całuje mnie czule, kradnąc mi oddech. Chce coś powiedzieć, kiedy dzwoni mój telefon. Podnoszę go z ziemi, serce łomocze mi w piersi.

- Tak?

- Przykro mi, że musiałam do ciebie zadzwonić, Julio - mówi Olivia. - Powinniście wrócić do domu. Z Ever nie jest dobrze.

JULIA

Czuję ciepło w piersi nie tylko dlatego, że Everleigh śpi na moich kolanach, wtulając się we mnie. Rytmiczny ruch jej klatki piersiowej, to, jak wydyma przez sen usta, drżenie jej powiek, wszystko to rozgrzewa moje serce. Gdy śpi, całe zło zdaje się nie istnieć. Ból na jej twarzy, strach w oczach. Rzadko czuję taką ulgę; a ona nie zaznaje jej nigdy. Mam nadzieję, że sny ma tak spokojne, jak się wydają.

W zeszłym tygodniu byliśmy w domu i, poza ostatnimi kilkoma dniami, miałam wrażenie, że jesteśmy w raju.

Ever zażądała specjalnego „czasu dla taty” z Crew. Pierwsze, co chciałam zrobić, to panikować i odmówić, ale gdy zobaczyłam ich twarze po tym, jak weszli do kuchni, żeby oznajmić mi, że idą do parku, przeszło mi.

Wyszli z domu, trzymając się za ręce, a moje serce zaczęło się rozpląwać. Nieważne, że nie miałam pewności, czy to dobrze, że nazywa go tatą. Dawało jej to radość. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, a dla mnie było to jak cud.

Po uronieniu w zaciszu łazienki kilku słodko-gorzkich łez po raz pierwszy poczułam, że mam chwilę tylko dla siebie. Czułam się tak, jakbym odzyskała trochę normalności, chociaż nic nie było normalne.

Poszłam do sklepu, czego wcześniej nienawidziłam, bo od dawna była to dla mnie walka w stylu „na co mogę sobie pozwolić?”. Crew wysłał mi kilka zdjęć Ever na huśtawce. Na jej twarzy widniał szeroki uśmiech i nie mogłam nic poradzić na to, że stałam na środku sklepu i szczyrzyłam się do telefonu. W drodze do domu zadzwoniłam do działu kadr, żeby dać im znać, jak ma się Ever.

A wtedy pojechałam z Crew na Castle Island i zaczęło się piekło.

Zawieźliśmy ją pędem na SOR, gdzie od razu ją przyjęli. Na szczęście było to coś, nad czym mogli zapanować dzięki kroplówkom i antybiotekom, co nie zmienia faktu, że jeszcze nigdy jej stan nie uległ tak szybkiej zmianie.

Po raz pierwszy naprawdę wyglądała na tak chorą, jak w rzeczywistości była.

Zdawała się wręcz... nie mieć w sobie życia. I nic - żadne broszury, telewizja, zdjęcia, słowa lekarzy czy pielęgniarek - kompletnie nic nie jest w stanie przygotować człowieka na coś takiego. Zobaczyć swoją córkę, która zawsze była taka żywotna, łysą, wymiotującą, która próbuje płakać, ale brakuje jej już łez, która chce coś powiedzieć, ale straciła głos, która chce się uśmiechnąć, ale nie ma siły, a z jej twarzy zniknęły wszystkie kolory... to tak bardzo niszczy. W piekle nie może być gorzej.

Siedzę w żółtym pokoju w szpitalu, Ever jest w trakcie kolejnej chemii. Tej części chemii, która niszczy moją dziecinę. Widać tak dużą różnicę w porównaniu z pierwszą chemią: twarz ma opuchniętą, brzuch boli ją do tego stopnia, że nie ma już siły płakać. To istne piekło na ziemi. Po prostu piekło.

Logicznie nie ma sensu to, że musi być tak dręczona, żeby jej się polepszyło. Jeszcze trudniej jest wyjaśnić to jej. Patrzeć na jej malutką buzię i mówić, że nie mogę zabrać jej do domu, że nie mogę tego zatrzymać. Nazywać to wyniszczającym to mało powiedziane. Nie życzyłabym tego najgorszemu wrogowi.

Ever wzdryga się i prostuje. Wstaję ostrożnie, żeby nie poplątać przewodów, i niosę ją do łóżka. Drży, a ja przykrywam ją i żałuję, że nie mogę zrobić więcej. To jest w tym wszystkim najtrudniejsze, nie móc tego naprawić, sprawić, żeby było lepiej. Tak trudno jest zaufać innym ludziom i truciznie.

Słyszę, że dzwoni mój telefon. Patrzę na zegarek i podnoszę komórkę ze stolika. Wiem, że to Crew, bo właśnie ma przerwę. Dzwoni codziennie.

- Cześć - szepczę, żeby nie obudzić Ever.
- Cześć, kochana. Co tam się u was dzieje?

Uśmiecham się na określenie, którego używa, zwracając się do mnie. Wzdycham, wstaję z łóżka i kulę się na kanapie pod oknem.

- Wciąż cierpi. Jakąś godzinę temu zwiększyli dawkę leku, teraz śpi.
- Chciałbym tam być - mówi, a ja wiem, że to prawda. Udało mu się zajrzeć do nas po wczorajszym treningu. Nie wiem, jakim cudem jeszcze się trzyma. Jestem pełna podziwu dla niego.
- Ja też. Tęsknię za tobą.

Wiem, że się uśmiecha. Wiem też, że kręci nieznacznie głową i pewnie przeciąga ręką po głowie.

- Tęsknię za wami obiema.

Zapada długa cisza. Wyobrażam sobie jego twarz, pełne usta, niesamowite oczy. Tak bardzo za nim tęsknię. Tak szybko stał się światłem w moim życiu, stałą w całym tym bajzlu.

- Potrzebujesz czegokolwiek? Will kończy wcześniej. Mogę go do was wysłać.
- Potrzebuję tylko ciebie. A skoro na to nie ma szans... - żartuję tylko, ale wiem, że źle to odebrał. -Crew, nie mówię poważnie.
- Wiem. Ja też cię potrzebuję. - Przekłada telefon, słyszę jakieś zakłócenia. - Mam dzisiaj trening, a Sal chce porozmawiać o tym całym medialnym gównie poprzedzającym walkę.
- Co to znaczy?

- Odbędzie się kilka wywiadów i innych takich, żeby nakręcić sprzedaż. Za obejrzenie tego w telewizji ludzie będą musieli płacić.

Dlatego musimy zrobić parę rzeczy, żeby zachęcić widzów do wykupienia abonamentu.

To wszystko jest dla mnie nowe. Niewiele wiem o walkach, nie wiem też za wiele o walce, na którą zgodził się Crew; nie miałam tak naprawdę czasu, żeby o tym pomyśleć.

Crew nie chce rozmawiać, kiedy zaczynam temat. W pewien sposób czuję się, jakbyśmy żyli w dwóch oddzielnych światach po to, żeby chociaż część życia spędzić razem. Strasznie mnie to frustruje.

- Rozumiem. Cóż, rób, co musisz.

- Tęsknię za tobą - mówi z czułością. - Gdyby to nie było jedyne wyjście z tej sytuacji, nigdy nie opuściłbym twojego boku. Wiesz o tym, prawda?

- Gdyby to nie było jedyne wyjście z tej sytuacji, nigdy nie pozwoliłabym ci opuścić mojego boku. Wiesz o tym, prawda?

- Mam nadzieję - odchrząkuje. - Kończy mi się przerwa. Odezwę się później, dobrze?

- Crew?

- Tak?

- Dziękuję.

- Za co, kochana?

Wzruszam ramionami.

- Za wszystko. Za to, że udowodniłeś mi, że myślę się co do ciebie. Za to, że nie zrezygnowałeś ze mnie to, że dla nas walczysz, w każdym znaczeniu tego słowa.

- Zawsze.

Crew

Zabierz stamtąd swoją głowę, chłopaku!

Wyrywam głowę z uścisku Victora, okrążam go, wyprowadzam cios i powalam go na matę. Szyja nadal sprawia mi problemy, ale już nie boli tak jak wcześniej. Robię zimne okłady na zmianę z ciepłymi, do tego łykam dużo ibuprofenu. Wystarczy, żeby to cholerstwo wytrzymało jeszcze trochę, a potem może się pieprzyć. Jestem gotów żyć z bólem do końca życia, bylebym tylko przetrwał walkę.

- Stop! - Sal wchodzi na ring. — Dobrze. Poprawiła się twoja praca stóp. Podoba mi się to.

Przetaczam się na plecy i łapię oddech. To była długa noc. Patrząc w bok i widząc, że Will obserwuje nas, ręce opierając o górną linę.

- Możesz iść, Victor. Dziękuję, że zostałeś dłużej — mówi Sal. Victor kiwa trenerowi głową, podaje mi rękę, a potem zeskakuje z ringu i idzie do szatni. Moja ręka uderza w matę z tąpnięciem.

- NAFL chce się z nami spotkać w przyszłym tygodniu na dzień prasowy. Nie mamy za dużo czasu do walki, a oni naprawdę chcą zacząć nakręcać sprzedaż.

- Nakręcać sprzedaż? Pieprzyć to - mówi Will i przeciska się między linami na ring. - Myślę, że powinniśmy...

- Will - przerywa mu Sal. - Nie ma żadnego *my*.

- Co to ma, do cholery, znaczyć? - Will wygląda na urażonego. - Dałeś mi pracę. Też jestem kimś w rodzaju trenera.

- Jak cholera.

- Dałeś mu pracę?
- Tak - mówi z dumą Will. - Jestem częścią Drużyny Uwierz. Moim zadaniem jest pilnować cię.
- Drużyna Uwierz? - pyta Sal. - Co to, kurwa, jest?
- My - jęczę, potrząsając ścierpniętą nogą.

Sal opiera rękę na biodrze.

- Chcę wiedzieć!

Wzruszam ramionami.

- Jak uważasz. Nieważne. Prasa?
- Ta. NAFL chce wzbudzić zainteresowanie.
- Zainteresowanie tą walką już jest kurewsko wielkie - mówi Will. - Powinieneś zobaczyć nagłówki w sieci. Tylko o tym mówią.
- Co piszą? - pytam i przetaczam się na brzuch, a potem siadam na kolanach. Po jednym z ciosów zadanych przez Victora boli mnie bok.
- Nieważne, co mówią - odpowiada Sal. - Nie martw się tym. Ciebie ma interesować tylko praca, którą masz do wykonania. Słyszysz, co mówię?
- Tak, słyszę. Ale chcę wiedzieć, co piszą.
- Powiedziałem, że to nie ma znaczenia. - Sal rzuca mi spojrzenie. - Nie rozprasza się, Gentry. To, co sobie myśli grupa półgłówków, którzy siedzą na kanapie i nie potrafią walczyć, nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z walką- Jedyne, na czym powinno nam zależeć, to ich chęci, żeby chcieli to obejrzeć.
- Szczerze - mówię i wstaję. - Nie obchodzi mnie nawet, czy chcą to

ogłądać. Ja tylko chcę dostać pieniądze. - Patrzy na mnie i wiem, że wie, co insynuuję. -Mówmy bez ogródek. Obaj wiemy, że nie zrobię w tej branży kariery. Jedna walka i po mnie.

Sal odwraca się do nas na chwilę tyłem. Kiedy znowu obraca ku nam twarz, jego oczy błyszczą.

- Więc lepiej zadbaj o to, żeby to było tego warte. -Przechodzi między linami i kieruje się do swojego biura.

- Chcę, żeby Brett z Boston 15 się w to zaangażował! - krzyczę.

- Widzimy się jutro o osiemnastej! - odpowiada, nawet na nas nie patrząc.

Stoimy z Willem na środku ringu, światła padają centralnie na nas.

- Co miałeś przez to na myśli? - pyta, wkładając ręce do kieszeni.

Chwytam się za ramię i krzywię, gdy ból zaczyna przebijać się przez adrenalinę.

- Cały czas zastanawiałem się, czy lekarze się mylili, czy jednak mógłbym wrócić do walk. Ale teraz wiem. Udźwignę tylko to jedno starcie, Will. Tylko tyle.

- Boli cię?

Śmieję się ze złością.

- A co to za różnica?

Zeskakuję z ringu i podnoszę torbę z podłogi. Will idzie za mną na zewnątrz, chłodne powietrze uderza nas w twarz.

- Co piszą? - pytam, gdy idziemy przez parking.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Gdybym nie chciał, nie pytałbym.

Cofa się, gdy otwieram drzwi do ciężarówki i wrzucam torbę do środka.

- Mówią, że jesteś tym, który zdetronizuje tego skurwysyna. Że jesteś dla niego jak kryptonit. Że pokonałbyś go nawet na łożu śmierci.

Uwielbiam to. Uwielbiam to słyszeć. Te słowa wypełniają pustkę we mnie, podbudowują mnie. Kluczem do walki jest pewność siebie. Wejście na ring z przekonaniem, że wygrasz. To pomaga.

- Vegas daje mu coraz mniejsze szanse na wygraną -mówi. - Stary, nie walczyłeś od lat! To istne szaleństwo. Nazywają tę walkę „Chłopak z Kalifornii kontra Chłopak, który Powrócił”.

Zamykam drzwi za sobą i opieram się o samochód.

- Mówisz poważnie?

- Jak cholera.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylą.

- Jadę na piwo. Nie zapominaj, że dzisiaj trzeba spłacić rachunki. Spłaciłeś swój?

- Zalegam od kilku tygodni, poza tym olewam telefony Jordyn. Podjadę i zapłacę. Dałbym ci po prostu pieniądze, ale nie wiem, ile jestem winien.

- Do zobaczenia na miejscu.

Nie byłem w Shenanigans od kilku tygodni, ale czuję się tutaj, jak w domu.

Wszystko jest takie samo: zielone światła za barem, ludzie siedzący

przy swoich stołach, słonawy zapach unoszący się w powietrzu.

Jordyn pracuje, rozmawiając z kilkoma studentami, którzy pojawiają się tu od czasu do czasu. Mają na sobie koszulki Tap Out, co od razu mówi mi, że nie walczą. Te koszulki noszą tylko lanserzy albo ignoranci. Patrząc na warstewkę tłuszczu wokół ich bioder, obstawiam to drugie. Will dotarł na miejsce wcześniej i już siedzi w kącie, sącząc piwo. Opieram się o bar i patrzę, jak Jordyn mnie ignoruje.

- Chcę spłacić rachunek, J - mówię. Nalewa shota starszemu facetowi, który wręcz mieszka na drugim końcu baru, po czym idzie do kasy. Przerzuca kilka kartek w notatniku i wyciąga tę z moim rachunkiem. Przynosi ją do mnie. - Zapomniałaś, jak się uśmiecha? Czy potrzebujesz do tego mojego kutasa?

- Pierdol się - mówi.

Śmieję się i wyciągam odpowiednią kwotę, żeby pokryć rachunek.

- Zatrzymaj resztę - mówię i stukam kłykciami o bar.

Idę przez pomieszczenie i zatrzymuję się po drodze, żeby zamienić kilka słów z miejscowymi. Gdy docieram do naszego stolika, Will ogląda telewizję.

- Hej - mówię, odsuwając sobie krzesło, po czym siadam.

- Cześć. Jak poszło z Jordyn?

- Świetnie. Jest wściekła, ale przejdzie jej.

- Co te baby mają ze wściekaniem się?

- O czym ty mówisz?

- Macie - odpowiada prawie z obrzydzeniem. - Myślę, że jej nienawidzę.

Śmieję się.

- Jeżeli myślisz, że jej nienawidzisz, to jest zupełnie na odwrót.
- Jakim cudem? Myślę, że jej nienawidzę. Nie, ja naprawdę jej nienawidzę.
- Nie. Jesteś na nią wściekły, bo nie gra w twoje gierki - śmieję się. - Niech zgadnę... Nie lubi, jak ktoś ją pieprzy, a potem odstawia na bok, a potem znowu dzwoni, jak mu się nudzi?
- Dokładnie! - mówi, stawiając z impetem butelkę na stole. - Co z nią jest nie tak?
- Brzmi, jakby miała klasę, co oznacza, że nigdy wam nie wyjdzie. Opuść, stary.

Chwyta piwo i dopija je.

- Tak. Pieprzyć ją. Kto potrzebuje laski z idealnymi cyckami, najlepszą dupą, jaką kiedykolwiek widziałem nago, i cipką, która ścisza mojego kutasa jak imadło? Nie ja. Nie. Kurwa. Ja.

Parskam śmiechem, wyciągam wykałaczkę z kieszeni i wkładam ją do ust.

Mam wielką ochotę na piwo, więc muszę czymś zająć swoje usta.

Na końcu korytarza prowadzącego do łazienek pojawiają się trzy laski. Są na najlepszej drodze do zalania się w trupa, chichoczą i ledwo trzymają równowagę na swoich wysokich butach. Dostrzegają nas i kierują się w naszą stronę.

- Pamiętaj, że masz teraz Jules. Musisz postąpić właściwie - mówi Will, a oczy aż mu się świecą na widok takiej okazji.

Przyglądam im się, gdy do nas podchodzą. Pierwszy na miejsce dociera zapach ich perfum.

- Cześć, chłopaki - mówi wyższa blondynka. Jej czerwona szminka ma kolor wiśni. - Potrzebujecie towarzystwa na tę noc?

- On nie - mówi Will, wskazując na mnie. - Ale ja jestem samotny.

Niższa z blondynek pochyła się, jej cycki lądują przed jego twarzą.

- Oj, możemy to załatwić, skarbie. - Siada mu na kolanach i obejmuje go za szyję.

Will patrzy na mnie z niedowierzaniem, ale nie zamierza protestować. Wyższa siada na krześle obok niego. Brunetka patrzy na mnie.

- Potrzebujesz towarzystwa, przystojniaku? - pyta.

- Nie, mam się dobrze.

- Dobra. - Staje za Willem i zaczyna masować mu ramiona.

Patrzy na mnie, jakby trafił w dziesiątkę. Może dla niego tak to wygląda.

A może nie.

Otwiera szeroko oczy i porusza się na krześle. Blednie i wygląda, jakby zobaczył ducha.

Podążam za jego spojrzeniem, które skupia na drzwiach wejściowych. Do środka weszły dwie dziewczyny, a jedna z nich patrzy centralnie na Willa. Zatrzymuje się w pół kroku i mija go spojrzeniem.

Will przetyka ślinę, ignorując otaczające go trzy dziewczyny.

To będzie interesujące.

Wskazuje głową na nasz stolik i mówi coś do swojej towarzyszki. Patrzy w naszą stronę i zbliża się do stolika. Im bliżej się znajduje, tym bardziej nerwowo robi się Will.

- Cześć, Will - mówi radosnym głosem rudowłosa Słyszę w nim odrobinę irytacji i już wiem, kto to jest.

- Cześć, Macie - odpowiada przez zaciśnięte zęby.

Nie wytrzymuję i zaczynam się śmiać. Will rzuca mi pełne nienawiści spojrzenie, na co ja śmieję się jeszcze bardziej.

- Kim są twoje przyjaciółki? - pyta, nadal radośnie.

-Ja... eee... ja...

- Jestem Wendy. A to Trista i Maggie. - Blondynka siedząca u jego boku odrzuca włosy na plecy.

Usadawiam się wygodnie na krześle i przyglądam się przedstawieniu.

- Miło mi was poznać - mówi Macie, patrząc na Willa. - Miałam do ciebie dzisiaj zadzwonić, ale widzę, że jesteś zajęty.

- Nie, nie jestem. Naprawdę. Ja tylko... - Rozgląda się na boki i zdaje sobie sprawę, jak źle to wygląda. Jest mi go niemal szkoda, bo nie uwiódł tych dziewczyn i do niczego nie doszło. Ale Macie w to nie uwierzy.

- Nie, wydaje mi się, że jednak jesteś. Baw się dobrze.

Odwraca się na pięcie, jej przyjaciółka trzyma się blisko jej boku. Will z trudem przetyka ślinę i patrzy, jak odchodzi. Przysiada się do chłopaków w koszulkach Tap Out. Ogląda się przez ramię na Willa i zaczyna z nimi rozmawiać. Jeden z nich dotyka jej ramienia, a Will aż się wzdryga.

Otoczające go trzy dziewczyny są zajęte swoją rozmową, na którą składa się mieszanka bełkotów i chichotów. Nie wiedzą nawet, co się dookoła nich dzieje.

- Świat mnie nienawidzi - mamrocze, wbijając spojrzenie w Macie. -

Jakim, kurwa, cudem ona tu jest?

- Sam zaproponowałeś im, żeby się przysiadły - wytykam mu. - To było kilka minut temu i wtedy nie myślałeś o niej. - Kiwam głową w stronę baru.

Krzywi się.

- Pójdiesz z nami do domu? Ty też możesz. - Wendy lustruje mnie wzrokiem i oblizuje usta.

- Nie - odpowiada Will, dopijając resztki pozostałe w butelce. - Podziękuję.

- Szykujcie się - mówi Wendy. - Chodźmy. Nasz kierowca już jest.

Wstają niezgrabnie i idą w stronę drzwi. Nie jestem pewien, czy Will jest tego w ogóle świadom.

- Właśnie pozwoliłeś trzem łatwym laskom wyjść bez ciebie. Jestem w szoku — mówię.

Nie odpowiada. Chyba mnie nawet nie słyszy.

Patrzę, jak mina totalnie mu rzednie. Macie patrzy przez ramię na Willa. Puszczą mu oczko i bierze za rękę jednego z nowo poznanych chłopaków. Razem wychodzą z baru.

- Pieprzyć ją. — Pochyla się nad barem, spojrzeniem ciska gromy. - Naprawdę lubiłem tę dziewczynę i zobacz, co zrobiła.

- Przyszła tu i zobaczyła cię z trzema laskami.

- Ciebie też pieprzyć.

- Sam się pieprz.

Śmieje się.

- Sporo tu dzisiaj pieprzenia, a zero przyjemności.
- Prawda. Skoro o tym mowa, wracam do domu.

Nie odpowiada, jego palce suną po ekranie telefonu.

- Chyba dostałeś dzisiaj dawkę swojego własnego specyfiku - śmieje się.
- Mam na niego pieprzoną alergię.

Julia

Dzień jest piękny. W parku roi się od ludzi, powietrze wypełnia zapach hamburgerów i hot dogów.

Drzewa kwitną, a śmiech unosi się z wiatrem. Licytator stoi przy stole w strefie jadalnej, podbijając stawkę podczas licytacji zorganizowanej na rzecz Everleigh.

- Niewiarygodne - szepczę do Crew. Przyglądamy się, jak ludzie zbierają pieniądze dla mojej córki. Ludzie, których w większości nie znam. Kilkoro z nich to stali klienci, ale reszty nie mogę nigdzie przypasować. Zapytałam panią Ficht, co mogę zrobić, żeby pomóc, ale przegoniła mnie. Powiedziała, że mamy odpocząć i cieszyć się dniem. Kocham jej dobroć, ale nie ma szans, żebym cieszyła się dniem, kiedy po drugiej stronie miasta moja córka leży chora w szpitalnym łóżku.

- Zastanawiam się, co z nią. - Podnoszę wzrok na Crew.

Jego oczy odzwierciedlają wszystko to, co wiem, że widać w moich. Bierze mnie za rękę i ściska mocno.

- Śpi. Właśnie rozmawiałem z Olivią. Powiedziała, że zadzwoni, jeżeli coś się stanie. Ale nic jej nie będzie, a tobie dobrze zrobi odrobina świeżego powietrza.

- Powinnam tam być - mówię, walcząc ze łzami. Czuję się winna, że patrzę na złote balony przywiązane do każdego stojącego obiektu, przez co park wygląda, jakby zorganizowano w nim jakiś festiwal. Dzieci śmieją się i biegają dookoła, a ja trzymam w ręku mrożoną herbatę, podczas gdy moja córka wymiotuje albo śpi. Tak czy tak, walczy o życie.

Puszczam rękę Crew i idę w stronę przystani. Potrzebuję przestrzeni. Potrzebuję powietrza. Muszę wziąć się w garść.

Woda jest spokojna, napływa łagodnymi falami w stronę brzegu. Jakaś para i dwójka ich dzieci bawią się niedaleko. Wyglądają jak idealna mała rodzina. Tata rzuca czerwoną piłkę synkowi, a mama i córka zanurzają gołe stopy w wodzie. Musiały odejść za daleko, co nie spodobało się mężowi, bo ten zatrzymuje się i mówi coś do nich. Obie śmieją się i idą w jego stronę.

Czuję potężną falę zazdrości.

Dlaczego ja nie mogę tego mieć? Co takiego zrobiłam w swoim cholernym życiu, że nie mogę zaznać tego choć w małym stopniu?

Crew obejmuje mnie w pasie, przylega torsem do moich pleców. Trzyma mnie i kołysze lekko w przód i w tył. Dzięki temu relaksuję się trochę, a łzy spływają po moich policzkach.

- Wszystko będzie dobrze - szepcze.

Kiwam głową, ale nie odpowiadam. Boję się cokolwiek powiedzieć. Gdy tylko zaczynam w coś wierzyć, szybko jestem ustawiana do pionu.

Telefon Crew dzwoni i oboje podskakujemy, a mnie zaciska się gardło. Wyciągam swój telefon z kieszeni z obawy, że nie usłyszałam, że ktoś dzwoni.

- To Sal. Pozwól, że odbiorę, dobrze?

Fala ulgi zalewa mnie jak fale brzeg. Odchodzi, a ja odwracam się i widzę, że rodzina z plaży idzie w moją stronę. Ocieram oczy, żeby nie wyglądać jak kupka nieszczęścia.

Chłopiec podbiega do mnie, chichocząc.

- Ben! Wracaj tutaj! - krzyczy jego mama. Tata dogania go i podrywa do góry, na co chłopiec śmieje się jeszcze bardziej.

- Dzień dobry - mówi kobieta, zbliżając się.

- Dzień dobry.
- Wszystko w porządku, proszę pani? - pyta dziewczynka z pełnym zmartwienia wzrokiem. Wygląda na niewiele starszą od Ever.
- Tak, wszystko w porządku. Dziękuję.
- Przepraszam. Annie jest w tym wieku, gdzie maniery nie mają dla niej znaczenia - śmieje się mężczyzna, podwijając rękawy. - Pracujemy nad tym.
- Nic się nie stało - odpowiadam, uśmiechając się do Annie. - Mam córkę mniej więcej w jej wieku.
- Naprawdę? - pyta Annie, a w jej oczach pojawia się błysk. - Jest tutaj? Mogę się z nią pobawić?

Uśmiecham się ze smutkiem.

- Nie ma jej. Leży w szpitalu. - Przenoszę wzrok na kobietę, która wygląda na zdeorientowaną. - Jestem tutaj, bo zorganizowano dla niej zbiórkę. - Wskazuję palcem za siebie. - Powinnam wracać.

Nie wiem, dlaczego im to mówię. Bełkoczę. Wiem to, ale nie mogę przestać.

- Co jej jest? - pyta Annie.

Nie chcę nic mówić, żeby nie przestraszyć małej. Nie mogę. Kobieta uśmiecha się ze zrozumieniem, po czyni bierze za ręce swoje dzieci.

- Mam nadzieję, że wydobrzeje. Pomodłę się za nią -mówi. Wymienia spojrzenia z mężem i zabiera dzieci ze sobą.
- Jeżeli nie ma pani nic przeciwko, że pytam... co dolega pani córce? - dopytuje mężczyzna, zaczepiając okulary o przód koszulki.

- Ma neuroblastomę.

Twarz mu tężeje, ściąga brwi.

- Przykro mi. Jest pani sama? Potrzebuje pani czegoś?

Kręcę głową, czuję się głupio.

- Nie, nie, radzę sobie. Mój... Crew jest tam. Niedługo wracamy do szpitala.

Przenosi wzrok na Crew.

- Dobrze. Będziemy myśleć o pani rodzinie. Miło było panią poznać.

Siadam na ziemi i patrzę na poruszające się fale. Mam wrażenie, jakbyśmy jeszcze wczoraj przychodzili tu, żeby bawić się na plaży. Jak szybko życie się zmienia.

- Gotowa? - pyta Crew. Bierze mnie za rękę i pomaga wstać.

- Tak. Wszystko w porządku?

- Musimy tylko załatwić kilka spraw związanych z promocją. Sal nie chce tego robić, bo uważa, że to tylko rozprasza. Ale NFL nalega, więc pozostawił decyzję mnie.

- Dobrze. Chodźmy stąd. Tylko najpierw pożegnaj się z panią Ficht.

Prowadzi mnie przez tłum ludzi, dopóki jej nie dostrzegamy. Robi różową watę cukrową, towarzyszy jej nieodłączny uśmiech. Widzi, że się zbliżam, więc wyciera rękę.

- Witaj, kochanie - mówi, po czym mnie przytula. -Dobrze się bawisz?

- Tak. Było wspaniale. Dziękuję bardzo. Będziemy wracać do szpitala. Strasznie się martwię i nienawidzę tego, że mnie przy niej nie ma.

- Nie tłumacz się. Ja też jestem matką. - Puszczą mnie i patrzy na Crew. - Miło było cię poznać.

- Wzajemnie - uśmiecha się szeroko.
- Cóż, uważajcie na siebie. Dzwońcie, jeżeli będziecie czegoś potrzebować.
- Dobrze.
- Zebraliśmy więcej wpłat, niż oczekiwałam - mówi z ciekawością w oczach. - Czy znasz kogoś o nazwisku Alexander?

Kręcę głową i patrzę na Crew, On wzrusza ramionami.

- Kilka minut temu zjawił się jakiś mężczyzna i dał mi czek na pięć tysięcy dolarów. Przedstawił się chyba jako Cane Alexander. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Tracę oddech.

- Czy powiedziałaś właśnie pięć tysięcy dolarów?

Śmieje się z niedowierzaniem.

- Nie wiem, czy czek ma pokrycie, ale wpłacimy tę kwotę na wasze koto. Warto spróbować, prawda?
- Mój Boże - szepczę, zastanawiając się, kto to. -Dziękuję ci za wszystko. - Przytulam ją raz jeszcze. -Bardzo to doceniam.
- Idź. Wracaj do swojej dziecinki.
- Jeszcze raz dziękuję - mówię łamiącym się głosem. - Bardzo dziękuję.

Crew

W pokoju za ścianą zapada cisza. Czuję ucisk w żołądku taki sam, jaki towarzyszył mi zawsze przed walką. Z tym że dzisiaj nie będzie walki. Nie w sensie fizycznym.

Za kilka minut będę musiał przejść przez grubą, czarną kurtynę i usiąść kilka metrów od Huntera. Przede mną postawią mikrofon, naprzeciwko zbierze się chmara reporterów, którzy będą czekać, aż padnie jakieś stwierdzenie, które potem uda się przekręcić. Jeszcze przed tym spotkaniem odezwało się do mnie kilku z nich, prosząc o prywatny wywiad, ale odmówiłem.

Nie chcę tu być.

Dla mnie ta walka nie jest drogą do sławy. Widziałem, jak reporterzy wchodzili do szatni Huntera i z niej wychodzili i wiem, że z jego strony jest to działanie celowe. Ma wokół siebie sztab ludzi odpowiedzialnych za pilnowanie jego rozgłosu. Rozglądam się po swojej szatni. Sal opiera się o ścianę i pije kawę z cienkiego papierowego kubka. Will przegląda coś w telefonie. Ta drużyna powstała po i żeby wygrać jedną walkę. Tylko tego potrzebuję.

Jeździ mi w brzuchu. Staram skupić się na tym, co robię, a nie na tym, co czuję. Bo czuję się jak dziwka. Nie dlatego, że walczę za pieniądze, ale dlatego, że uprzedzono mnie, że pojawi się temat powodu, dla którego walczę. Widocznie NFL uznało, że będzie to dobre zagranie marketingowe, a reporterzy będą zadawać pytania związane z Everleigh.

Nie chcę, żeby wyciągali szczegóły z mojego życia prywatnego. Nie chcę, żeby jej imię pojawiało się na ustach tych sępów. Nie chcę, żeby to, co dla mnie cenne, zostało skażone brudem nieodłącznym dla tej

branży. Nie chcę, żeby jakiś gnojek w garniturze, pochodzący z bogatej rodziny, zarabiał na chorobie mojej bratanicy.

Krew wrze w moich żyłach. Wstaję, bo potrzebuję coś zrobić.

Will podnosi wzrok znad telefonu.

- Nie denerwuj się.
- Jak mam to, kurwa, zrobić? - Kopię krzesło, posyłając je na drugi koniec pomieszczenia.
- W przeciwnym razie - mówi Will, wstając - ci skurwiele wygrają już *dzisiaj*.
- Oni już wygrali! - wrzeszczę. - Musiałem zadzwonić do Julii i słuchać jej płaczu! Musiałem powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze, kiedy zabierze swoje chore dziecko do domu, a mnie tam nie będzie, bo jestem, kurwa, tutaj, i wykorzystuję jej sytuację, dając pożywkę mediom!
- Sytuacja jest chujowa. Rozumiem. Naprawdę. Ale, stary, popatrz na to w ten sposób; może dzięki temu ludzie zaczną płacić. Może to *pomoże* dziewczynom.

Robię rundę po pokoju, wyciągając czarną koszulę zza paska spodni. Pieprzyć wygląd.

- Po prostu idź tam i powiedz, co chcesz. Nie mów nic wbrew sobie. Ale uspokój się. Hunter będzie próbował zaleźć ci za skórę. Wiesz to. Dlatego przygotuj się.

Śmieję się i patrzę, jak Sal wyrzuca kubeczek do kosza.

- Chcę zmasakrować mu gębę przy najbliższej nadarzającej się okazji. Jak mam być spokojny, kiedy będzie po drugiej stronie stołu, prowokując mnie?

Will śmieje się i wzdusza ramionami.

- Udawaj, że nie jesteś sobą.

Sal podchodzi do mnie ze stanowczą miną.

- Do walki zostało kilka tygodni, Gentry. Dobrze myślisz. Davidson będzie chciał cię przetestować. Dlatego tu jesteśmy, żeby mieć rozeznanie. Wiesz to. Baw się tą sytuacją, chociaż spróbuj. Wykorzystaj to.
- Co jeśli po prostu mu przyłożę?
- Wtedy dopadnę gościa rozdającego długopisy i zacznę rzucać. Kryję cię.
- Nie zachęcaj go, Will - warczy Sal.
- Szykuj się - mrugam do Willa.
- Jeśli nie przestaniecie, Davidson nie zdąży skopać was *obu*, bo ja zrobię to pierwszy - mówi Sal, po czym otwiera drzwi. - Czas na show.

Nie wiedziałem, że kamery nadal klikają.

Wchodzę po schodach na scenę. Wzdłuż brzegu postawiono długi stół, dwie jego połowy dzieli niewielkie podium. Reporterzy i pracownicy różnych telewizji siedzą na rozkładanych krzesłach naprzeciwko sceny.

Robię ostatni krok i łapię kontakt wzrokowy z Hunterem Davidsonem, który nadchodzi z naprzeciwka.

Nagle pomieszczenie wydaje się za małe dla nas dwóch.

Uśmiecha się ironicznie, jego blond włosy sterczą we wszystkie strony.

Chcę go rozerwać na strzępy tu i teraz. A jeszcze nie zdążył się odezwać.

Sal i Will siedzą na przodzie widowni, naprzeciwko mojego miejsca. Trener rzuca mi spojrzenie, bo wyczuł, że jestem gotów do ataku. Wskazuje na swoją głowę i mówi bezgłośnie „Użyj jej”.

Zajmuję swoje miejsce, a w tym czasie Kyle French stuka palcem w mikrofon. Jest twarzą NAFL. Wcześniej był wojownikiem, a teraz jest to facet z lekką nadwagą, który przerzucił się na zarabianie gadką. Facet, który - mówiąc szczerze - nigdy nie umiał nic zrobić tak, jak należy.

- W imieniu NAFL chcę podziękować wam wszystkim za przybycie. Jesteśmy bardzo podekscytowani wydarzeniem, które ma się odbyć trzynastego lipca.

Reporterzy uruchamiają kamery, padają na nas światła. Powietrze jest gęste, sala pęka w szwach.

- Będziecie mieli możliwość zobaczyć nie tylko walkę między Deaconem Love a Mario Brusim o tytuł mistrzowski, ale też pojedynki dawnych przeciwników, Huntera Davidsona i Crew Gentry'ego. To będzie niesamowita noc! - Kyle patrzy na Huntera, potem na mnie, a następnie odwraca się z powrotem do tłumu. - W porządku. Przejdźmy do interesów. To będzie niesamowita walka! W jednym narożniku mamy Huntera, który od chwili debiutu niszczy wszystkich na swojej drodze. Nikt nie przetrwał drugiej rundy w starciu z tą bestią.

W drugim narożniku stanie Crew Gentry, chłopak, który jako jedyny stoi na drodze do poprawienia przez Huntera wyników.

Bilety na tę walkę można kupić już dzisiaj, sugeruję więc, byście szybko ustawili się w kolejce. Walka będzie tego warta - mówi. - A teraz czas na wasze pytania! Podnoście ręce, a my podeślemy kogoś z mikrofonem.

Skupiam spojrzenie na ścianie i staram się nie dać rozproszyć panującemu dookoła chaosowi. Hunter błaznuje, a wiem to, bo widzę,

że ludzie odwracają głowy w jego stronę i śmieją się.

Skup się.

- Bob z The Gazette. Kyle, ta walka zastąpi starcie między Davidsonem a Reyesem. Co skłoniło NAFL, by zastąpić Reyesa Gentrym?

Patrzę na Kyle'a. Przesłupuje z nogi na nogę, jakby nasrał w gacie.

- Cóż, mówiąc szczerze, w tej kategorii wagowej nie ma żadnego przeciwnika, dzięki któremu walka byłaby interesująca. Davidson pozbył się wszystkich, a jego zespół nie chciał czekać dziesięć miesięcy na jego powrót do walk. Tak się złożyło, że wtedy pojawił się Gentry - uśmiecha się szeroko. - Cóż, widzę, że nie ma tu dzisiaj ani jednego wolnego miejsca.

Wszyscy zaczynają się śmiać.

- Lowell z Boston MMA. Davidson, pytanie do ciebie. Wiemy, że podczas waszego ostatniego starcia Gentry wytrzymał do ostatniej minuty. I pokonał cię. Nie jest tajemnicą, że obaj znajdujecie się teraz w dwóch zupełnie innych miejscach, ale czego spodziewasz się po tej walce?

Śmiech Davidsona wypełnia pomieszczenie.

- Zgadza się, znajdujemy się w dwóch różnych miejscach. Ja jestem zawodowym wojownikiem, nawet mistrzem, a on zarabia osiemnaście dolarów na godzinę w dokach. - Nie wiem, co robi, ale reporterzy reagują salwą śmiechu. - Poważnie, żaden z moich przeciwników nie dotrwał do drugiej rundy. Można rzec, że ta walka skończy się szybko i boleśnie.

- Oni z One Division. Gentry, walka z Davidsonem była zarazem tą, po której zakończyłeś karierę. Teraz wróciłeś. Co sprawia, że uważasz, że możesz znowu wejść na ring i być godnym przeciwnikiem?

Oni oddaje mikrofon i stoi ze swoim małym notesem, patrząc na mnie. Ma na sobie koszulkę z napisem MMA, do twarzy ma przyklejony mdły uśmiech. Śmieję się, bo nieważne, co powiem, ktoś taki jak on i tak tego nie zrozumie.

Pochyłam się w stronę mikrofonu, który stoi przede mną.

- Gdy raz zostaniesz wojownikiem, będziesz nim już zawsze.

Reporterzy zaczynają się przekrzykiwać, aparaty robią zdjęcie za zdjęciem, a ja odchylam się na krześle i obserwuję.

- Jerry z Meosho Tribune. Gentry, doszły nas plotki, że walczysz, żeby zapewnić swojej bratanicy leczenie. Czy to prawda? Jeżeli tak, czy jesteś gotowy na nadchodzącą walkę, czy idziesz tam tylko po to, żeby dostać czek?

- Pozwól, że się wtrączę - mówi Kyle, patrząc na mnie. - Kontrakt Crew zawiera klauzulę, która mówi jasno „wszystko albo nic”. Jeżeli przegra, nie dostanie pieniędzy. Wypłacimy mu je tylko wtedy, gdy wygra. Co oznacza, że chłopak z pewnością jest gotowy do walki-W przeciwnym razie byłoby to bez sensu.

- I tak jest to bez sensu - wtrąca ze śmiechem Davidson.

Zaczynam odsuwać krzesło, gdy Sal potrząsa głową i wskazuje na swoją skroń.

Oddychaj.

- Plotki w tym przypadku nie kłamią - mówię, czując na sobie setki par oczu. - Moja bratanica jest chora, a ja zapłacę za jej leczenie po wygraniu walki. Nie mogę się doczekać, żeby znokautować tego koleśia.

- A więc planujesz go znokautować? - pyta Jerry, przyciągając do siebie mikrofon. - Możemy to zacytować?

Wzruszam ramionami.

- Cytujcie, co chcecie. Ja po prostu mówię, że wygram tę walkę.
- Lisa ze Sports One. Gentry, co możesz nam powiedzieć o swojej bratanicy? Czy jej choroba jest poważna?
- Skupmy się na walce, na mnie i Davidsonie. Cokolwiek wydarzy się po walce i to, co zrobię z pieniędzmi, nie powinno nikogo interesować.
- Wydajesz się być bardzo pewny siebie - odpowiada.
- Jestem pewny tego, co wiem.
- Don z Qurom. Davidson, czy sprawa, dla której twój przeciwnik walczy, powoduje, że podchodzisz do tego inaczej?
- Wiesz - mówi Davidson - moja charytatywna część prawie to kupiła. Ale przemyślałem to i żyjący we mnie Wojownik nie przepuści okazji, żeby skopać mu dupę.
- Frank z The Tribe. Davidson, czego najbardziej nie możesz doczekać się w związku z tą walką? Mówiłeś już wcześniej, że uważasz, że będzie „zabawnie”. Czy to tego nie możesz się doczekać najbardziej? Czy tego, żeby Poprawić wyniki? A może tego, żeby dać fanom coś, czego domagali się od kilku miesięcy?
- Frank, jestem gotów na to wszystko. Wejście na ring jest dla mnie jak wejście do domu. Ludzie w organizacji fani, wszyscy są dla mnie wspaniali, a klatka jest jedynym miejscem, w którym chcę się znajdować. Upokorzenie tego faceta będzie niczym wisienka na torcie.
- Nie obawiasz się, że podjęcie walki z jedynym człowiekiem, który cię pokonał, może być złym pomysłem? - pyta go Jerry. - Czy rozważyłeś, co się stanie z twoją karierą, jeżeli znowu cię pokona?

Davidson śmieje się głośno.

- Eee, nie. Nie rozważałem tego. Bądźmy realistami.
- Podoba mi się to pytanie, Jerry - mówię, wywołując zamieszanie na sali.
- Czy uważasz, że jesteś w posiadaniu klucza do pokonania go? - ktoś krzyczy z tłumu.
- Uważam, że przeszłość mówi sama za siebie - odpowiadam. - Nie mam nic do udowodnienia. Po prostu wejdę na ring i zrobię to, co umiem: pokonam go.
- Czekałem na ten dzień od lat - mówi Davidson, odwracając się przodem do mnie. Kyle odsuwa się, przez co patrzymy na siebie. Nie umknęło mojej uwadze, że na scenie pojawiło się dyskretnie trzech wielkich mężczyzn, żeby w razie czego powstrzymać nas przed pozabijaniem siebie nawzajem. - Może wcześniej mnie pokonałeś, ale gwarantuję ci, że tym razem cię zniszczę. Będzie bolało, bracie, bardzo bolało. - Pochyliła się w moją stronę, z daleka od mikrofonu. W jego oczach pojawia się błysk, gdy mówi przyciszonym głosem: - Wylądujesz w piachu jeszcze przed swoją bratanicą.

Zrywam się z krzesła w ułamku sekundy, a te wpada z hukiem na stół. Rzucam się na Huntera, krew dudni mi w uszach tak głośno, że nie dociera do mnie, jakie zamieszanie wywołałem. Hunter wstaje, a ja przygotowuję się, żeby wyprowadzić cios, ale nagle zostaję odciągnięty do tyłu.

Szarpię się z ochroną, wyrywam ręce z ich uścisku. Rzucam się do przodu, nakręcany żądzą krwi, ale wtedy kolejna para ramion chwytamnie w pasie.

- Uspokój się, Gentry - szepcze mi jeden z nich do ucha.
- Pierdol się - wypluwam z siebie i szarpię się dalej. Davidson zostaje wprowadzony ze sceny. Ogląda się przez ramię i uśmiecha.

- Zabiję go, kurwa - mówię, wrywając się ochronie. Puszczają mnie, gdy Davidson znika za kulisami, i wtedy sprowadzają mnie ze sceny.

Słyszę, jak Kyle stuka palcem w mikrofon, opanowując zamieszanie.

- Cóż, jeżeli to nie wzburzyło waszej krwi, nie wiem, czy cokolwiek innego zdoła to zrobić.

CREW

Pielęgniarka przechodzi nad jednym z wielu pudeł z zaopatrzeniem medycznym, które walają się po całym domu. Gazy, rurki, żele antybakteryjne, plastry i Bóg wie co jeszcze.

Staje obok mnie i poprawia wiszącą na ramieniu torbę. Wręcza Julii jakąś kartkę.

- Pobrałam jej krew i inne próbki. Przekażę lekarzom, żeby skontaktowali się z tobą rano, gdy już przyjdą wyniki. - Uśmiecha się uprzejmie. - Jestem zaskoczona, że pozwolili jej wrócić do domu, skoro było z nią tak źle.

- Nie było. Wczoraj czuła się lepiej - mówi pokonanym głosem Julia. - Było źle, ale dzisiaj...

- Wczoraj miała na twarzy trochę kolorów - mówię, przyciągając Julię do siebie. - Trochę zjadła. Potem dało się zauważyć, że opada z sił.

Nie ma w życiu mężczyzny nic, co powaliłoby go na kolana szybciej niż widok chorej dziewczynki. Powinieneś być głową rodziny, obrońcą, tym, który sprawia, że wszyscy mają się dobrze. Nic nie sprawi, że poczujesz się tak bezwartościowy i bezsilny, jak patrzenie jej w oczy ze świadomością, że nie jesteś w stanie nic zrobić.

To załamuje. Sprawia, że człowiek odchodzi od zmysłów. Irytuje się.

- Zdarza się - mówi pielęgniarka, odwracając się do mnie. - Dajcie jej odpocząć. Kiedy się obudzi, spróbujcie podać jej coś do picia. Jeżeli w ciągu nocy coś się będzie działo, zawieźcie ją do szpitala albo zadzwońcie na nocny dyżur, a ktoś przyjedzie. Właściwie... - Grzebie w torbie i wyjmuje długopis. Bierze kartkę od Julii i pisze coś na niej. - To mój numer telefonu. Mieszkam kilka kilometrów stąd i mogę wpaść w

każdej chwili.

- Miło z twojej strony - odpowiada Julia głosem cichszym niż szept.
- Jestem pielęgniarką. To moja praca. Będę o niej myśleć całą noc. - Idzie w stronę drzwi i otwiera je. -Dobrej nocy.
- Wzajemnie - odpowiadam, po czym zamykam za nią drzwi. Biorę Julię za rękę i prowadzę na kanapę. Siadam i przyciągam ją do siebie. Kuli się i kładzie mi głowę na kolanach. Odgarniam włosy z jej twarzy.
- Co zrobimy? - pyta w końcu. Brzmi tak samo, jak wygląda. Jest załamana.

Zanim daję radę coś powiedzieć, przetykam gulę gardle.

- Będziemy żyć z dnia na dzień.
- A co się stanie, gdy te dni się skończą?
- Nawet tak nie mów.

Wpatruje się w przestrzeń. Zastanawiam się, o czym myśli, ale nie pytam. Niech ma trochę prywatności. Bez słowa przeczesuję jej włosy palcami i walczę z własnymi demonami.

- Jestem przerażona - szepcze. — Naprawdę, naprawdę przerażona.
- Wiem. - Pochylam się i całuję ją w głowę.
- Wiesz, że już nigdy nic nie będzie „normalne”? To znaczy, nawet jeśli ona...
- Kiedy - poprawiam ją.

Przetyka ślinę.

- Kiedy dojdzie do siebie, nic już nigdy nie będzie takie, jak było

wcześniej. - Przekręca się i patrzy na mnie. Jest taka piękna, piękniejsza od dziewczyny, którą kochałem wcześniej. Oddałbym wszystko, żeby cofnąć czas i wszystko zrobić inaczej, żeby wiedzieć wtedy to, co wiem teraz. Że ludzie są ważniejsi od rzeczy. Że czasami te nudne rzeczy są najlepsze. Że *nic, nic* nie jest lepsze od dzielenia się z kimś swoim życiem.

- Jeśli jeszcze ktoś powie mi, żebym o sobie zadbała - mówi - zacznę zabijać.

- Ludzie martwią się ó ciebie.

- Wolałabym, żeby martwili się o moją córkę, a nie o mnie! Kogo obchodzi, że schudłam albo że potrzebuję iść do fryzjera?

- Mnie obchodzi - szepczę. - To dzięki tobie wszystko jakoś się trzyma.

Uśmiecha się lekko, ale znowu ją tracę, a ona odpływa. Myślami jest w zupełnie innym miejscu i czasie. Przyglądam się jej twarzy; długie rzęsy trzepoczą, ciemne włosy łapią światło księżycy wpadające przez okna.

Znowu patrzy na mnie, minę ma poważną.

- Nie pozwoliłam sobie myśleć o najgorszym możliwym scenariuszu. Ale w takie dni jak dzisiejszy dochodzę do wniosku, że to głupie. Ale nie mogę...

- Nie ma powodu, żebyś to sobie wyobrażała.

- Skąd możesz to wiedzieć? Nie możesz mi tego obiecać.

- Mogę ci przysiąc, że Ever nie skończyła walczyć. Mogę ci przysiąc, że dostanie się na terapię, a to...

- Nie wiesz tego!

- Wiem. - Patrzę jej głęboko w oczy, szukając jej duszy. - Przysięgam

ci, że dostanie się na terapię. Zaufaj mi.

- Boję się komukolwiek ufać. - Ziewa i wtula głowę w moje kolana.
- Dlaczego nie odpoczniesz? Ja zostanę i przypilnuję Ever.

Kręci głową, włosy opadają jej na twarz.

- Nie mogę spać. Boję się, że wtedy coś przegapię. Za każdym razem, gdy się uśmiecha, gdy słyszę jej śmiech, staram się wyryć to sobie w mózgu. Potrafię nawet robić w ciągu dnia notatki, żeby pamiętać, co mówiła. Mam wrażenie, jakbym żyła w klepsydrze, w której ubywa piasku.

Przez moje plecy przebiega dreszcz, w głowie pojawiają się obrazy ze snu, który miałem miesiąc temu.

- *Weź się w garść, braciszku. Miałeś dość czasu, żeby szaleć i o nic nie dbać. Pora wydorosnąć. Nie proszę cię o to. Ja ci rozkazuję. Liczę na ciebie.*

- Każdego dnia - kontuuje - funkcjonuję jak zaprogramowany robot. Śledzę uważnie wszystko, co robi. Nie pamiętam, kim jestem, ani co się z tobą dzieje, ani czy rachunki są zapłacone...

Podnoszę ją i kładę sobie na kolanach. Wtula się we mnie jak dziecko.

- Mam wrażenie, że to wszystko tracę, Crew. Czuję, jak ulatuje ze mnie nadzieja. Jestem taka wściekła... wręcz zgorzkniała. I tak bardzo się boję.

Całuję ją w skroń.

- Poczuj, jak cię kocham. Poczuj, że jestem tu z tobą.
- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła - szepcze, obejmując rękami moją twarz. - Żałuję, że sprawy nie mają się inaczej. Chciałabym, żeby Ever była zdrowa i żebyśmy byli tu z innych powodów.

- Któregoś dnia - mówię, czując, jak jej kciuki muskają moje policzki. - Któregoś dnia z Ever będzie dobrze i zabierzemy ją na plażę. Nauczę ją surfować. Potem wrócimy do domu, ty zrobisz nam kolację, a ja obejrzę z nią mecz baseballu. Mam tylko nadzieję, że Gage nie zaszczerpił w niej uwielbienia do Red Soxów.

Oczy jej błyszczą, ale nic nie mówi. Wydaje się chłonać moje słowa, dlatego nie przestaję mówić.

- Zjemy, a potem pomogę ci sprzątać. Położymy Ever do łóżka, a ja przeczytam jej bajkę na dobranoc. Mam nadzieję, że wyjdzie z fazy na książkę. Później pójdziemy razem do łóżka, a ja będę trzymał cię całą noc w ramionach.

- Och, Crew...

Całuję ją czule w usta. Trzepocze rzęsami i czuję, że trochę się rozluźniła.

- Jesteśmy w tym razem. Póki żyję, każda twoja walka jest także moją. I zaręczam ci - mówię i pochylam się, jakbym zdradzał jej sekret - że cholernie dobry ze mnie wojownik.

Chichocze, a dla mnie ten dźwięk jest jak muzyka.

- Chodźmy do łóżka - mówię i zaczynam się podnosić.

Wzdycha, a ja siadam z powrotem, przewracając oczami.

- Mówi do mnie „tato”. Nie ma nic złego w tym, że będziemy spać razem.

Przerabiamy to każdej nocy, od chwili, gdy się ze sobą kochaliśmy. Ja nie rozumiem, o co chodzi jej; ona nie rozumie, o co chodzi mnie.

- Mówi do ciebie „tato”, bo wypełniasz zadania ojca, nie dlatego, że jesteśmy małżeństwem.

- Więc zmieńmy to.

- Crew...

Po jej minie widzę, że przegiąłem. Z jednej strony czuję się z tym źle. Z drugiej, ani trochę. Mówię poważnie. Dla mnie to zawsze powinno tak wyglądać. Dla mnie nie ma nic bardziej naturalnego.

- Jesteście moje, Jules. To się nigdy nie zmieni. Jeżeli chodzi o mnie, Ever jest moją córką. I ty także jesteś moja, czy ci się to podoba, czy nie.

Na jej twarzy pojawia się nieznaczny uśmiech. Obejmuje moją szyję.

- Jestem twoja. I uwielbiam to, że ją kochasz.

- Oczywiście, że ją kocham.

- Chcę po prostu dać jej czas, żeby przyzwyczała się do nas jako pary, zanim zobaczy nas razem w łóżku.

- Albo zobaczy, jak cię dotykam albo całuję...

- Dla mnie to też jest trudne, Crew. Myślisz, że cię nie pragnę? Myślisz, że nie chcę czuć na sobie twoich rąk, których dotyk zbiera mnie na nowo do kupy? Myślisz, że podoba mi się wykradanie chwil z tobą, gdy Ever nie patrzy? Nie jest tak. Nie lubię tego. Ale staram się być dobrą matką i nie mieszać jej w życiu bardziej, niż już jest namieszane.

Wydymam dolną wargę. Jules pochyla się i przygryza ją lekko. Obejmuje ją, rękę wsuwam pod jej pośladki.

- Chodź - szepczę. Biorę ją za rękę i wstaję, po czym prowadzę do swojej sypialni. Puszczam ją przodem i zamykam za nami drzwi.

Zmniejszam dystans między nami kilkoma krokami i staję za nią, zanim Jules zdaje sobie z tego sprawę. Odsuwam włosy z jej szyi, a ona bierze drżący oddech.

Wiem dokładnie, jak się czuje. Za każdym razem, gdy mnie dotyka, za każdym razem, gdy muskam jej skórę, czuję dokładnie to samo. Jakby to był pierwszy raz. Z nią zawsze tak jest.

Pochylam się, prawie dotykam twarzą jej szyi, i biorę głęboki oddech, napawając się jej znajomym zapachem. Jest uzależniający i sprawia, że mój kutas jest tak twardy, że ledwo wytrzymuję. Chcę ją polizać, posmakować, dotknąć, zawłaszczyć każdy skrawek jej ciała do tego stopnia, że kręci mi się w głowie.

Przechyliła głowę, dzięki czemu mam lepszy dostęp do jej szyi. Wyznaczam pocałunkami ścieżkę od jej ucha po kołnierzyk koszuli. W tym samym czasie chwytam materiał w ręce i zdejmuję ją z niej. Jej nagie piersi podskakują, a ja natychmiast chwytam je w ręce. Przyciągam Jules do siebie, ściskam palcami jej sutki, a językiem przesuwam po krzywiznie szczęki.

Wypuszcza powietrze i wtula się we mnie. Poruszam biodrami, żeby wiedziała, z jaką łatwością sprawia, że mi staje.

Całuję ją czule w policzek i odwracam twarzą do siebie.

Julia chwytając rąbek mojej koszulki i ściąga mi ją przez głowę, a potem odrzuca na bok. Przeciąga rękami po moim ciele, kierując się w stronę paska od spodni.

Nie jestem w stanie nie czuć jej. Przyciągam ją do siebie, nasze nagie klatki piersiowe zdarzają się ze sobą, a ja patrzę głęboko w jej brązowe oczy.

- Kocham cię - mówię z czcią.

Chce odpowiedzieć, ale wpijam się w jej usta. Nasze wargi poruszają się synchronicznie, tworząc iskry, które rozpalają moje ciało. Przesuwa rękami w dół moich pleców, ja swoimi chwytam jej włosy i prowadzę ją tyłem w stronę łóżka.

Siadam na jego brzegu, po czym chwytam ją za tył ud i przyciągam do siebie. Wdycham jej zapach, bo ciągle mi mało. Na jej skórze pojawiają się kropelki potu, a ja przeciągam językiem po jej brzuchu i czuję słony posmak. Ściągam jej spodnie, a ona wychodzi z nich, tuląc do swojego brzucha moją głowę. Oddycha gwałtownie, co podnieca mnie jeszcze bardziej.

Unoszę biodra i zdejmuję spodnie. Spadają na podłogę, a Jules odrzuca je na bok. W ułamku sekundy klęczy przede mną, a ręką chwytając mojego kutasa. Chcę ją zatrzymać, instynktownie chcę, żeby to ona była w centrum zainteresowania, ale odpycha moją rękę. Patrzy na mnie spod długich, grubych rzęs, a jej usta dotykają czubka mojego penisa.

Porusza ręką w górę i w dół, obejmując mnie ustami.

Przesuwa po kutasie językiem i zlizuje z niego dowód mojego pożądania.

Mam wrażenie, że zaraz eksploduję.

Bierze mnie do ust, pieszcząc po całej długości, i zasysa sam czubek. Wstrzymuję powietrze i odchyłam się, patrząc, jak swoimi ustami sprawia, że czuję się bardziej niż niewiarygodnie.

Przeciąga językiem wzdłuż mojego kutasa, unosząc się tak, że jej piersi dotykają moich ud, a ja nie jestem w stanie dłużej tego znieść. Zaraz dojdę w jej ustach, a nie chcę, żeby to się tak skończyło.

Wycofuję się. Zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, wpijam się w jej usta. Czuję swój smak na jej języku. Chwytam ją za biodra i podnoszę, po czym sadzam na swoich kolanach, przodem do mnie. Siada na mnie okrakiem, mój kutas opiera się o jej brzuch. Chwyta go i pociera nim o swoje ciało, odpowiadając namiętnie na mój pocałunek. Czuję, jaka jest mokra, gdy ociera się o mnie swoją cipką.

Wsuwam ręce pod jej pośladki i podnoszę ją. Pomaga mi i ustawia się nade mną, ale chwytam ją za biodra i unieruchamiam. Chcę

rozkoszować się naszą bliskością, a wiem, że jeżeli pozwolę jej prowadzić, dojdę zdecydowanie za szybko.

Trzymam ją za biodra i powoli nasuwam na siebie. Wręcz zaborczo kontroluję jej ruchy, dopóki nie znajduję się w niej całkowicie. Jęczy, ale uciskam ją pocałunkami. Poruszam jej biodrami i czuję, jak zaciska na mnie swoje mięśnie, wykonując okrężne ruchy. Odrzuca głowę do tyłu, a ja liżę jej sutki i czuję, jak twardnieją pod moim językiem.

Znowu wsuwam rękę pod nią i poruszam nią w górę i w dół, dzięki czemu przesuwam się po moim penisie. Pulsuje wokół mnie, zachęcając, bym w niej doszedł. Liżę ją po szyi i przygryzam skórę za uchem, co zawsze doprowadzało ją do szaleństwa. Cichy dźwięk, który wyrывa się z jej ust, jest najseksowniejszym, jaki kiedykolwiek słyszałem.

Zarzuca mi ręce na szyję i przejmuje kontrolę. Porusza się coraz mocniej i szybciej, sprawiając, że uderzam w tylną ścianę jej pochwy. Jęczy i słyszę, że jest to mieszanka przyjemności i bólu, bo z każdym ruchem docieram do samego końca.

Całuję ją, pieszczę każdy dostępny kawałek skóry. Liżę, całuję, gryzę ją wszędzie, zaczyna kręcić mi się w głowie. Trzymam ją za pośladki i czuję, jak trzęsą się z każdym jej ruchem.

Jest. Kurewsko. Idealnie.

Jej piersi podskakują przed moją twarzą, drażnią je zarostem. Chwyta jedną z nich i pociera nią o moją twarz. Zasysam do ust delikatną skórę.

Czuję, jak się wokół mnie zaciska i wiem, że jest blisko.

Ciężko oddycha, oczy Julii mają w sobie ten błysk, który towarzyszy jej chwilę przed orgazmem. To spojrzenie pojawiało się w moich snach tak często, że nie jestem w stanie tego zliczyć. Zamierzam sprawić, żeby patrzyła tak na mnie każdej nocy, do końca mojego życia.

Zaczyna jęczeć, a ja nie jestem w stanie dłużej wytrzymać. Moje zmysły

są przeciążone: widok, dźwięk, zapach, smak... wszystko to przepelnia mnie w najlepszy możliwy sposób.

Nogi zaczynają mi się trząść, gdy czuję zbliżający się orgazm. Jules porusza się energicznie, nabijając na mojego kutasa, jej piersi wciąż podskakują przed moją twarzą. Zaciska się na mnie, a ja patrzę, jak na jej twarzy pojawia się wyraz czystej rozkoszy. Włosy opadają jej do tyłu, a ona nieustannie ociera się o mnie.

W tym momencie odpuszczam.

Dochodzę w niej, wypełniając ją po brzegi. Przyciągam do siebie jej głowę i całuję ją, gdy razem przeżywamy orgazm.

W końcu opadam na łóżko i kładę ją na sobie. Całuję ją w czoło, a Jules wtula się w moją pierś. Patrzy mi w oczy, a ja wiem, że myśli o tym samym, co ja: naszym przeznaczeniem było znaleźć się właśnie tutaj.

Crew

Worek uderza o deski stoczni z hukiem. Od rana przerzuciłem setki tych jebańców. Są ciężkie, ale to dobry trening... dopóki w mojej szyi nie odzywa się przenikliwy ból. Cackałem się z nią, jak tylko mogłem, i bolało, ale do wytrzymania. Sal rzucił mi parę spojrzeń spod uniesionych brwi, ale nic poza tym.

Idę przez dok, podnoszę kolejny worek i rzucam go na stos pozostałych. Wycieram koszulką pot z czoła. Jest gorąco, słońce po raz pierwszy w tym roku naprawdę grzeje. Wilgoć sprawia, że wszystko zdaje się być duszące. Jakby tego było mało, muszę sobie radzić z plotkami i spekulacjami współpracowników. Większość z nich nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje, dopóki nie zobaczyli konferencji. Wszystko zmieniło się następnego dnia, gdy przyszedłem do pracy. Nienawidzę tego. Praca była jedynym miejscem, gdzie moje życie było normalne. Gówniane, ale normalne. Nic nie miało wpływu na to, co się tutaj dzieje. Walka spieprzyła mi nawet atmosferę w pracy.

Każdy ma coś do powiedzenia. Każdy chce się zakładać. Czy dotrwam do końca pierwszej rundy? Walka skończy się przewagą punktów czy poprzez nokaut? Zaczyna mnie to wkurwiać.

Podnoszę kolejny worek i rzucam go na stos, gdy słyszę, jak ktoś krzyczy moje imię.

- Tak? - odkrzykuję, mój głos ledwo przebija się przez hałas w doku.
- Telefon do ciebie!

Żołądek mi się zaciska. Nigdy nie dostaję telefonów w pracy. Idę do biura ze złym przeczuciem. W każdej innej sytuacji chłód w pomieszczeniu byłby przyjemny, ale teraz nie zwracam na to uwagi.

- Ktoś do mnie dzwoni - mówię do sekretarki, biorąc głęboki oddech.
- Tak. Odbierz tam - odpowiada, wskazując na pusty stolik koło ściany. - Przełączę rozmowę.

Podchodzę do telefonu. Podnoszę słuchawkę.

- Tak?
- Crew - szepcze, a moje serce zaczyna bić szybciej. A potem jeszcze bardziej.
- Jules? Co się dzieje?
- Zadzwoiłam po pogotowie, jakiś czas temu zabrali Ever. Jesteśmy w...
- Co? Dlaczego?
- Była taka blada i nie mogłam jej obudzić. W międzyczasie zadzwonili z biura doktora, więc kazali mi ją przywieźć. Kiedy powiedziałam, jak to wszystko wygląda, kazali zadzwonić na 911.
- Czy wszystko z nią dobrze?
- Nie wiem! - krzyczy. Słyszę, że zaczyna panikować.
- Jules. Uspokój się. Jadę tam.
- Przecież jesteś w pracy.
- Będę za jakieś pół godziny.
- Mam się spotkać z doktorem Perkinsem. Mogę tam być... - Głos jej się załamuje i wiem, że ją tracę. To kurestwo zaczyna ją przytłaczać.

Potrzebuję jeszcze tylko kilku tygodni...

- Już jadę, kochana.

Doktor Perkins siedzi w swoim fotelu, okulary kładzie na biurku. Patrzy na nas, czekając, aż zareagujemy na to, co powiedział.

- Co nam pan sugeruje? - pyta Julia. Łapie mnie za rękę. Ściskam ją.

- To zależy od was. Macie do wyboru to, co wam zaproponowałem. Możecie omówić sprawę w domu, ale musimy działać szybko. Nie sądzę, żeby chemioterapia przyniosła tak dobre skutki, jak sądziłem.

- Została zapisana na terapię, prawda? - pytam, patrząc na Jules, a potem na doktora.

- Panie Gentry, ubezpieczalnia odmówiła.

- Wiem - odpowiadam zdezorientowany. - Ale powiedział pan, że jeśli będziemy mieć pieniądze, to wtedy się uda.

Kiwa głową.

- Owszem, to prawda. Ale ta kwota musi zostać wpłacona z góry. Nie ma możliwości podpisania weksła.

Patrzę na Jules, a ona wbija wzrok w podłogę.

- Powiedziałaś im, że mamy pieniądze, prawda?

- Nie mamy - odpowiada.

- Oczywiście, że mamy. - Staram się być spokojny, gdy ponownie skupiam swoją uwagę na doktorze. Postawienie zarzutów za napaść przed samą walką nikomu nie pomoże. - Będę miał pełną kwotę, dokładnie trzynastego lipca. Proszę ją przygotować do terapii.

- Proszę wybaczyć, że pytam, ale jak chcecie tak szybko zdobyć taką

kwotę pieniędzy?

- Wybaczam. - Nie mam zamiaru odpowiadać na pytanie tego skurwiela. Znam ten typ: wszystkowiedzący, świętszy od papieża dupek, który myśli, że jest lepszy od nas. Jeżeli powiem mu, że walczę za pieniądze, od razu pomyśli o nielegalnych walkach. Podam mu siebie na tacy, a ten będzie ostrzył pazury.

- Pani Gentry, za kilka dni muszę dostać odpowiedź -mówi cicho.

Jules podnosi głowę, oczy ma szeroko otwarte. Wpatruje się we mnie i mija długa chwila, zanim odwraca się do doktora. Bierze głęboki oddech, jej twarz przybiera zdecydowany wyraz. Porusza ramionami.

- Trzynastego lipca będziemy mieli pieniądze. Proszę wszystko przygotować.

CREW

Więc Sal dał mi zadanie - mówi Will, sącząc piwo. Napój wygląda zbyt zachęcająco i muszę z całych sił walczyć, żeby się nie napić. - Mam dowiedzieć się, jaką muzykę puścić na wejście i w jakich barwach chcesz walczyć. Naj-kurwa-widoczniej zostałem twoją dziwką.

- Mówię to od dawna - odpowiadam, kładąc nogi na stoliku do kawy.

Will przewraca oczami i rozsiada się w fotelu pod oknem.

- Zabawne. Kurewsko zabawne.

Telewizor jest włączony, ale nie patrzę w ekran. Nic nie ma dla mnie znaczenia. Nic, co mówią, nic, co dzieje się na świecie, żadne śmieszne komentarze po prostu się dla mnie nie liczą.

Właśnie wróciłem ze szpitala, a z Ever jest źle. Chemia niszczy ją szybciej niż rak. Dzisiaj kończy kolejny cykl, więc jutro powinna wrócić do domu.

Dom. Zabawne, jak to miejsce stało się dla mnie prawdziwym domem, odkąd wprowadziły się dziewczyny. Uwielbiałem bycie kawalerem, życie w samotności, ale teraz po prostu chcę, żeby dookoła walały się ich rzeczy. Chcę znajdować pod prysznicem różowe piłeczki, którymi bawi się Ever. Chcę, żeby koło kanapy stały kapcie, w zlewku leżały talerze po kolacji, chcę znajdować w odpływie umywalki czarne włosy. Chcę tego wszystkiego. Dzięki temu zwykłe mieszkanie staje się domem.

- A więc?

- Czarne spodenki. Czarne buty. Złote taśmy. Załatw nam czarne koszulki z napisem... „Wiara” na przodzie. Z tyłu umieść, co chcesz,

żeby tylko nie było to coś debilnego. I żadnej piosenki na wejście. Chcę słyszeć tylko to, co będzie leciało w słuchawkach.

- Co? - pyta Will, siadając prosto. - No weź. To będzie najlepsza część tego wieczoru! Ja sam coś wybiorę. Może Eminem albo...

- Żadnej piosenki, Will.

- Poważnie, psujesz zabawę. Nudziarz.

- Skoro tak, zabaw nudziarza. Nie chcę rozmawiać o walce. Nie chcę rozmawiać o niczym, co przyprawi mnie o ból głowy. Zabaw mnie.

- Dobra - odpowiada i dopija piwo. Stawia pustą butelkę na stoliku do kawy. - Ale muszę podkreślić, że naprawdę stałeś się nudziarzem. Ja po prostu cię nie poznaję. Masz obowiązki. Zasady. Jesteś rozważny. - Drży, na co ja wybucham śmiechem.

- Kogo obecnie posuwasz? - pytam.

- I to jest Crew, którego znam. Aktualnie nadal pieprzę się z Macie.

- Macie?

- Tak, pieprzę się z nią od kilku tygodni. Była jakiś czas temu w barze, pamiętasz?

- Ach - mówię zaczepnie. - To ta, która wyszła z Królem Tap-Outów. Pamiętam.

- Nie chcę do tego wracać, złamasie.

Śmieję się.

- Czujesz się zrobiony w konia?

- Ja po prostu nie ogarniam. Ta, o której myślałem „O, mam ochotę ją zerznąć”, stała się tą „Och, przelecę cię, jak znajdę czas”. Co. Do. Chuja?

W tym momencie nie jestem już w stanie kontrolować swojego śmiechu.

- Ona po prostu daje ci lekcję ekonomii, Will. Podaż i popyt.
- To nie jest śmieszne - odpowiada, uśmiechając się. Wiem, że mówi mi to, żeby oderwać moje myśli od wszystkiego innego, i naprawdę to doceniam. - Co ty byś zrobił w tej sytuacji?

Wzruszam ramionami.

- Gdybym to ja wiedział. Jedyna dziewczyna, do której kiedykolwiek coś czułem, to Jules.
- Obaj wiemy, jak to wszystko było powalone, więc może powinienem szukać porady gdzieś indziej.
- Prawdopodobnie.
- A jak mają się sprawy między wami? - pyta niepewnie.
- W porządku. Dobrze. W sensie, biorąc pod uwagę okoliczności... Wiesz, od nowa budujemy nasz związek. Czasami czuję się, jakbyśmy znowu mieli siedemnaście lat i wszystko jest tak, jak być powinno, wiesz? Ale potem wracam do rzeczywistości, rozglądam się dookoła i wiem, że czuje się winna temu, że cieszy się jakąkolwiek częścią swojego życia, kiedy Ever jest chora. - Wypuszczam oddech. - Ja też czasami tak się czuję. Ale co mamy zrobić? Przestać żyć? Przestać czuć? Przestać kochać? Przestać potrzebować kogoś innego?

Przeciągam ręką po głowie, brak włosów dodatkowo podkreśla to, o czym mówię.

- Więc nie jesteście razem, w sensie *razem*?
- Oczywiście, że jesteśmy razem. Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego - ostrzegam. Jego insynuacje były zabawne, kiedy była żoną

Gage'a. Teraz? Niekoniecznie. - Mówię tylko, że gdyby nasze życie wyglądało inaczej, może posunęlibyśmy się w naszym związku dalej. Nic poza tym.

- Zanim Ever zachorowała, nawet cię nie lubiła.

Śmieję się.

- Zgadza się. Więc, kto wie...

- Kto wie. - Wstaje i wyciąga ręce nad głowę. - Wychodzę. Mam beznadziejnego przyjaciela, który chodzi wcześniej na treningi i chyba go odwiedzę i zobaczę, co da się zrobić z jego strojem. Skoro już jestem jego dziwką.

Wstaję i kładę mu rękę na ramieniu.

- Doceniam to, Will. Naprawdę, mówię poważnie.

Patrzy na mnie, jego twarz nie wyraża żadnych emocji.

- Zatłucz tego skurwiela, a może to rozważę. Umowa stoi?

Ściskamy sobie ręce.

- Umowa stoi.

JULIA

Włączam radio i szukam ulubionej stacji. Patrząc w lusterko wsteczne i widzę, że Ever sadowi się wygodnie w foteliku i patrzy na widoki za szybą.

- Jak się czujesz, skarbie?

Odwraca główkę w moją stronę i uśmiecha się.

- Dobrze.

- Boli cię?

- Zawsze trochę boli. Ale teraz nie jest tak źle.

Jej słowa to kolejna szpilka wbita w moje serce.

Zanim opuściliśmy szpital, pielęgniarki dały jej większą dawkę środków przeciwbólowych. Macie, moja ulubiona pielęgniarka, chyba postarała się o to, żeby wypisano nas szybciej niż zwykle. Wydaje mi się, że czuła, jak bardzo potrzebujemy się stamtąd wydostać.

Chyba Bóg nam ją zesłał. Zaprzyjaźniłyśmy się w ciągu ostatnich kilku tygodni. Jest zabawna, inteligentna i bardzo rozsądna. Nie jestem pewna, jak poznała się z Willem, ale z naszych rozmów i z tego, co o nim mówiła, wiem, że coś się między nimi dzieje. I cieszę się z tego.

Naprawdę myślałam, że zatrzymają ją jeszcze na jeden dzień, ale lekarz powiedział, że jej stan jest wystarczająco stabilny, żebym mogła zabrać ją dzisiaj do domu.

Od kiedy słowo „stabilny” stało się głównym słowem opisującym dziecko?

Na tę myśl robi mi się niedobrze. Biorę głęboki oddech, walcząc z

mdłościami i cisnącymi się do oczu łzami. Wszystko atakuje mnie jednocześnie i nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Chcę tylko iść spać. Chcę zamknąć oczy, nie mieć koszmarów, przez które zrywam się z łóżka w środku nocy, zrana potem tylko po to, żeby zobaczyć, że spałam tylko kilka minut. Te koszmary są tak okropne, że potem nie chcę ponownie zasypiać.

Chcę normalnie rozmawiać z córką. Tak, żeby nie chłonać maniakalnie każdego jej słowa, gestu. Chcę robić wszystkie te głupie rzeczy, których nienawidzę, ale cholernie za nimi tęsknię - chcę pozmywać gary, zrobić pranie i poodkurzać. Oddałabym wszystko, żeby spędzić cały dzień na sprzątaniu domu przy włączonym radiu, bo tylko to miałabym do zrobienia. Pamiętam, jak kiedyś martwiłam się o rachunki za wodę. Nadal się martwię, ale teraz jest to takie... mało znaczące.

Znowu patrzę na Ever i widzę, że przygląda mi się.

Żałuję, że wcześniej nie zrozumiałam tego, że liczymy się tylko my. Razem. Jak wiele dni minęło, a ja się nimi nie cieszyłam? Jak wiele dni minęło, a ja nie rozumiałam ich sensu? Jeżeli obudzę się jutro, a ona...

Nie! Nie idź tam.

Walczę z łzami, które napływają do moich oczu. Będę mogła płakać, kiedy zaśnie, a Crew będzie na treningu. Będę mogła płakać pod prysznicem i wytłumaczyć opuchnięte oczy gorącą wodą. Będę mogła popłakać w samotności i nie dodawać zmartwień tym dwóm osobom, które kocham, a które walczą z własnymi demonami.

Nie jestem w stanie myśleć o walce czekającej Crew. Nie mogę. Wiem, że ten dzień nadchodzi. Czuję, jak się zmienia. Niewiele o tym mówi. Powtarza tylko, że bym się nie martwiła, ale ja i tak się martwię. Nie wiem, jak będzie walczył. Nie wiem, dlaczego jest tak pewien tego, że wygra. Niewiele wiem o człowieku, z którym stanie do walki, ani z czym to się wiąże. Chroni mnie przed tym. W jakiś sposób jestem mu za to wdzięczna, ale czuję, że tego wszystkiego jest o wiele więcej.

- Jesteś szczęśliwa, mamusiu?
- Oczywiście. Jestem przecież z tobą, prawda?

Nie wygląda na przekonaną.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa, mamusiu. Chcę, żebyś uśmiechała się tak jak kiedyś. Jestem szczęśliwa, kiedy ty się uśmiechasz, a teraz rzadko to robisz.
- Och, kochanie - mówię i staram się nie załamać, będąc w połowie drogi do domu. - Jestem szczęśliwa. Po prostu dużo się teraz martwię.
- O mnie?
- Zawsze się o ciebie martwię. Jesteś moim dzieckiem.

Ever nie odpowiada. Rysuje coś na szybie samochodu.

- A ty jesteś szczęśliwa, dziecinko? - pytam.
- W pewnym sensie. - Słyszę, jak wzdycha. - Tęsknię za szkołą. Tęsknię za nocowaniami u pani Bennett. Tęsknię za dobrymi snami.
- Nie masz dobrych snów?
- Nie. Tylko te złe. Ale nie mów tatusiowi, że jego łapacz snów nie działa, dobrze? Byłby przez to smutny.
- To będzie nasza tajemnica - mówię z czułością w głosie.
- Wiesz, co sprawia, że jestem szczęśliwa?
- Co takiego?
- Powrót do domu. Lubię, jak jesteśmy razem. Lubię, jak tata przychodzi do mojego pokoju i myśli, że śpię. Wtedy całuje mnie w czoło. Zawsze modli się cicho, a potem każe mi walczyć. Dzięki temu

jestem szczęśliwa.

Moja siła woli jest niczym w porównaniu z jej słowami. Łzy zaczynają płynąć i jedyne, co mogę zrobić, to nie pozwolić, żebym kompletnie się rozsypała.

- Mówi, że pochodzę z rodziny Gentrych, a oni są wojownikami. Są w stanie pokonać wszystko i wszystkich. Sprawia, że czuję się silna. Lubię to, bo tak naprawdę nie jestem silna.

Skrećam w ulicę, przy której teraz mieszkamy, wdzięczna, że jesteśmy tak blisko domu. Widzę jak przez mgłę i pęka mi serce.

- Jestem bardzo chora, prawda? - pyta.

- Jesteś chora, ale polepszy ci się. Pamiętasz, jak lekarze powiedzieli nam, że musisz poczuć się źle, żeby potem było dobrze?

Wjeżdżam na podjazd i gaszę silnik. Biorę głęboki oddech, po czym odpinam pas i odwracam się w stronę Ever.

- Mam nadzieję - odpowiada. - Ale czasami myślę, że może po prostu pójde spotkać się z drugim tatusiem.

- Ever, nie... - wykrzywiam twarz i walczę o oddech. - Nie mów tak.

Jest taka spokojna. Jej różane usta unoszą się w kącikach.

- Jeżeli tak się stanie, to nie będzie to nic strasznego, Mamusiu. Myślę, że tatuś za mną tęskni.

- Everleigh Nicole, przestań. Skończ w tej chwili. - Wsiadam z samochodu i otwieram gwałtownie drzwi z jej strony. Zaczynam szarpać się z jej pasem, żeby wyciągnąć ją jak najszybciej z samochodu. Nie zniosę tego. Muszę ją przytulić. Muszę ją zapewnić, że będzie dobrze.

- Mamusiu - mówi. Jej ton zwraca moją uwagę. Patrzą jej prosto w

oczy. - Wszystko będzie dobrze. Wiem to.

Crew

Co on, kurwa, powiedział? - wrzeszczę, idąc przez siłownię do Willa. - Powtórz to.

- Crew...

- Przeczytaj jeszcze raz! - patrzę na niego. - W tej chwili.

- „Przez niego naprawdę mam problem, wiesz?”, mówi Davidson, przerzucając sobie ręcznik przez szyję. - Will czyta artykuł z telefonu. - „Nie zmienia to faktu, że ostatecznie obaj mamy w tym interes. Każdy wchodzi w to z własnych powodów. Jego są trochę smutniejsze od moich, tak sędzę. Ale tak, świadomość, że jego bratanica nie dostanie pieniędzy na leczenie... to smutne. Co nie zmienia faktu, że to nie moja sprawa i nie zmienię swoich planów. Pokonam go w mgnieniu oka i pójdę przed siebie. Mam nadzieję, że obmyślił plan B, bo jedyne, co po tej walce dostanie, to drugie łóżko w szpitalu”.

- Zabiję go.

- Skupisz się na pieprzonej walce i nie będziesz słuchał tego, co ma do powiedzenia ten gnojek - mówi stanowczo Sal. - Pieprzy głupoty, żeby namieszać ci w głowie, bo wie, że w ten sposób wyprowadzi cię z równowagi.

- Myślę, że to dobra motywacja - mówi Will.

- Niewiele brakuje, żebym wykopał cię z tej siłowni - odpowiada mu Sal.

- Udam, że tego nie powiedziałeś - krzywi się Will.

Sal wypuszcza głośny oddech i kieruje się w stronę swojego biura.

- Zostały dni! Za kilka dni odbędzie się walka! - krzyczy przez ramię. - Nie trać głowy, Gentry.

Otwieram drzwi i wychodzę na popołudniowe słońce. Wiem, że Sal mu rację, ale w tej chwili trudno mi kontrolować wszystko na raz. A Davidson kłapie gębą i myśli, że ma prawo wspominać o Everleigh.

Pieprzyć tego skurwyysyna.

- Uważam, że Sal się myli. Myślę, że powinieneś słuchać o tym głównie - mówi Will, zatrzymując samochód.

- A ja uważam, że musi zdechnąć.

- Popieram. - Opiera się o dach samochodu. - Wszystko w porządku?

- Zostało kilka dni. - Widzę swoje odbicie w przedniej szybie. Wyglądam na gotowego. Jestem szczupły. Silny. Czuję się dobrze, mniej więcej. - Muszę odciąć się od tego wszystkiego. Koniec pieprzenia o Davidsonie, okej?

- Jasne. Jak Ever?

- Jakoś się trzyma. Zmienił jej leki i trudno je przyswaja.

Nowotwór zaczyna się zmniejszać, ale nie tak szybko, jak oczekiwali. Nie rozumiem wszystkich tych wyliczeń i medycznego żargonu, ale z tego, co zrozumiałem, w tej chwili nie ma ani poprawy, ani jej się nie pogarsza.

Mina mu rzednie.

- Przykro mi.

- Mnie również. Wciąż nam mówią, że próbują nowych rzeczy. Że nie są w stanie przewidzieć, jak dany organizm zareaguje na coś nowego.

- Ale lek, który kupicie za pieniądze z wygranej walki - mówi i milknie

na chwilę, żeby dotarł do mnie sens jego słów. - To powinno pomóc.

Uśmiecham się, doceniając jego słowa.

- Tak twierdzą. Nie prowadzili nad tym żadnych długoterminowych badań, bo terapia jest stosunkowo nowa. Ale leczyli w ten sposób dzieci bardziej chore od Ever, a teraz są zdrowe.

- A jak trzyma się Julia? - pyta.

- Nieciekawie. Jest chora. Wiem, że siedzenie tam od rana do nocy jest okropne i nienawidzę tego, że nie mogę jej odciążyć. Ale muszę pracować i trenować - wzdycham. - Olivia i ta pani z restauracji starają się przychodzić, żeby mogła zjeść albo pospać, ale ona i tak nie odstępuje Everleigh na krok - wzdycham raz jeszcze. - Przerasta mnie to, Will. Jestem atakowany z każdej pieprzonej strony.

- Nie zazdroszczę ci. Ani trochę. Ale podziwiam cię. Nie wyobrażam sobie, jakby to wyglądało, gdyby nie miała ciebie.

- Cóż, do walki zostało kilka dni. Celowo nie mówiłem jej za wiele. Nie chcę, żeby miały z tym cokolwiek wspólnego. Mają tak wiele na głowie, a świat walk jest brutalny. Gdy wracam do domu, wszystko jest takie... czyste. Może nie jesteśmy szczęśliwi, gdy Ever jest chora, ale to mój mały dom. I chcę, żeby były... - Biorę głęboki oddech. - Postuchaj, Will. Nie wiem, jak to powiedzieć. Ale jeżeli coś pójdzie nie po naszej myśli i coś mi się stanie...

- Zamknij mordę.

- Daj mi skończyć.

- Nie. Wiem, co chcesz powiedzieć. - Jest wkurwiony. Jego głupkowaty uśmiech zniknął, rysy twarzy całkowicie mu się zmieniły. - I nie zamierzam stać tutaj i słuchać twojego pieprzenia. Znasz świat walk. Bardziej niż o umiejętność walki chodzi tam o siłę umysłu. Dlatego przestań myśleć o całym tym gównie, Crew.

- Wiem, ale chcę powiedzieć, że jeżeli coś pójdzie nie tak, chcę. żebyś...

- Ani słowa więcej - przerywa mi. - Po prostu zamknij mordę, jedź do domu i powiedz swoim dziewczynom, że mówię „cześć”.

Wsiada do auta i odjeżdża, zanim jestem w stanie powiedzieć chociaż słowo.

Kładę torbę na podłodze i wchodzę do salonu. Dziewczyny siedzą na kanapie i oglądają kreskówki. Ever jest nieco blada, ale nie tak bardzo, jak Jules.

Podchodzę do nich i całuję Ever w policzek. Odwracam się do Julii.

Pieprzyć to.

Ją też całuję.

Może być wściekła, ale nie obchodzi mnie to. Za kilka dni mam walczyć i nie będę marnował więcej czasu. Zastanawiałem się, co powiedziałbym mamie albo Gage'owi, gdybym miał jeszcze jeden dzień.

Przyznałbym mamie rację. Przeprosiłbym za to, bardzo się przeze mnie martwiła. Podziękowałbym jej za to, jak mnie wychowała i przeprosił za to, że tak bardzo komplikowałem jej życie. Podziękowałbym Gage'owi za wspieranie mnie, nawet gdy wszyscy odwrócili się do innej plecami. Podziękowałbym mu za pozbieranie mnie do kupy i pilnowanie mnie do czasu, aż sam do tego nie dorosłem. Powiedziałbym mu, że szanuję go bardziej niż kogokolwiek innego.

Nie będę marnował więcej czasu na krycie się z Jules. Może być wściekła. Może się wahać. Ale co może mi powiedzieć? Kocham ją i będę jej to pokazywał, będę to pokazywał Ever. Przez cały ten czas, jaki mi jeszcze został.

- Crew! - odsuwa się z szeroko otwartymi oczami.
- Co? - Nie jest mi przykro i nie będę przepraszał.

Toczymy milczącą rozmowę, dopóki nie przerywa nam cichy chichot. Oboje odwracamy się i patrzymy na Ever, która zasłania buzię ręką, a jej oczy lśnią.

- Co jest takie zabawne? - pytam z szerokim uśmiechem.
- Zastanawiałam się, dlaczego nigdy jej nie pocałowałeś - mówi, chichocząc jeszcze głośniejsze. - Jest taka ładna. Chłopcy zawsze całują ładne dziewczyny, a ty nigdy nie pocałowałeś mamusi.
- Posłuchaj mnie - mówię i podnoszę Ever. Siadani na jej miejscu i biorę ją na kolana. Obejmuję Jules i przyciągam ją do siebie. Patrzy na mnie, a na jej policzki wróciło trochę kolorów. - Chłopcy całują ładne dziewczyny. A ty i twoja mama jesteście najpiękniejszymi dziewczynami, jakie w życiu widziałem. Ale jest jeszcze jedna sprawa - lepiej, żeby żaden chłopiec ciebie nie całował. Słyszysz?
- Nie chcę całować chłopców! - śmieje się.
- I bardzo dobrze - odpowiadam, przytulając jej głowę do swojej piersi. - Jesteście moje. Nie możecie mieć innych chłopców ani się z nimi całować, w przeciwnym razie ich zabiję.

Siedzimy w ciszy. Jules bierze pilota i wyłącza telewizor. Jedna z moich dziewczyn siedzi mi na kolanach, druga przy moim boku. Po jakimś czasie ich oddechy pogłębiają się i wiem, że zasnęły.

Gdybym mógł zatrzymać czas, zrobiłbym to teraz.

Julia

Szpital jest niczym miecz obosieczny.

Z jednej strony jest to miejsce kojarzone z nadzieją, z odpoczynkiem od wypełnionego chorobą świata. Miejsce, gdzie ludzie pracują razem, niemal się przy tym wykańczając, żeby leczyć tych, których kochamy.

Z drugiej strony przypomina o tym, że choroba istnieje. Że z chorobą wiążą się ból, smutek, frustracja.

Ever została zabrana na badania, a ja jestem sama w pokoju. Jej małpka leży na sofie obok mnie. Podnoszę ją i przyciskam do piersi. Pachnie nią, czyli gumą truskawkową, i tym wyjątkowym czymś, co kojarzy mi się tylko z Ever. Przypomina mi o czasach, gdy była malutka, gdy Gage nosił ją na rękach, gdy w ciepłe dni - takie, jak dzisiejszy - chodziliśmy na lody w rożku.

Drzwi otwierają się, a do środka zagląda doktor Perkins. Czekałam na niego.

- Dzień dobry - mówię, sadzając małpkę na kolanach.

- Witam. - Obchodzi łóżko i siada przy łóżku Ever. — Jak się pani trzyma?

Śmieję się,

- Pomińmy to pytanie, dobrze?

Uśmiecha się.

- Cóż. przyszedłem poinformować panią o dalszych ustaleniach. Zajęliśmy się już kwestią transportu, żeby piętnastego lipca mogła rozpocząć terapię. Na miejscu opiekę nad nią przejmie doktor

Morrison. Mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że to najlepsze dla niej miejsce. Wszystko jest już przygotowane - milknie na chwilę - poza płatnością. I nienawidzę tego mówić, bo brzmi to bardzo nieprzyjemnie.

- Nic dziwnego, że tak brzmi, skoro właśnie takie jest.

- Pani Gentry, gdybym mógł uzgodnić wcześniejszy termin...

-Nie, rozumiem. Zrobił pan wszystko, co się da. Wierzę w to.

- Nie jest to moja ulubiona część medycznych formalności. Chcę leczyć ludzi, ale utrudnia mi to biurokracja.

- Rozumiem. Czternastego lipca będziemy mieli pieniądze.

Odchyła się na krzesło i przygląda mi się. Nie jestem pewna, o czym myśli i czy jest to coś dobrego, czy złego.

- Nie wiem, jak zdołaliście zdobyć te pieniądze i nie jest to moja sprawa. Ale chcę, żeby pani wiedziała, że prawdopodobnie uratowaliście jej życie. Jako profesjonaliści zachowujemy dla siebie wiele rzeczy. Mówimy pacjentom to, co muszą wiedzieć, ale niewiele wyjawiamy. Ta dziedzina w dużej mierze to spekulacje, próbowanie nowych rzeczy z nadzieją, że może zadziałają. Ale będę z panią szczera, pani Gentry. Martwiłem się o Ever. - Jego słowa są dla mnie jak cios prosto w serce, zaczyna mi się od nich kręcić w głowie. Podnoszę małąkę i przyciskam ją do piersi.

- Cokolwiek musieliście poświęcić, żeby dostała się na tę terapię, proszę mi wierzyć, że było warto. Nie mogę dać pani stuprocentowej gwarancji, ale zapewniam, że to najlepsze rozwiązanie. Gdyby to chodziło o moje dziecko, gdybym musiał, oddałbym duszę diabłu.

Choć już nieraz o tym myślałam, to po raz pierwszy naprawdę dociera do mnie, że może, tylko może, właśnie to musiał zrobić Crew.

Uczucie zmęczenia byłoby dla mnie teraz wybawieniem, bo przekroczyłam jego granice do tego stopnia, że nie pamiętam już, jak to jest czuć się wyczerpaną. Cały mój *byt* boli. Ciało odmawia odpoczynku na szpitalnej kanapie, a mój umysł wciąż działa na najwyższych obrotach. To samo działałoby się, gdybyśmy byli w domu, ale tam czułabym się lepiej.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Patrzę, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada, słucham jej cichych oddechów.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Burczy mi w brzuchu. Patrzę na zegarek, jest już późne popołudnie. Chyba jestem głodna. Staram się przypomnieć sobie, co ostatnio jadłam, ale nie jestem w stanie.

Banan na śniadanie? Nie, to było wczoraj.

Ever porusza się przez sen, a ja podrywam się i zaczynam rozplątywać otaczające ją przewody. Nie chcę, żeby przez sen coś uszkodziła.

Jutro powinniśmy wracać do domu. Czekamy tylko na wypis. Czasami wydaje mi się, że to trwa najdłużej. Teraz znamy wszystkie procedury na pamięć. Znamy zalecenia, wiemy, kiedy wrócić, wiemy, do kogo dzwonić, wiemy, co ma jeść, pić, co i kiedy brać. Stało się to dla nas rutyną.

Rozlega się głośne pukanie, przez które podrywam się z krzesła. Ever otwiera oczy.

- Proszę? - mówię, ale brzmi to jak pytanie. Nie jestem pewna, kto to ani dlaczego zachowuje się tak głośno.

Drzwi otwierają się powoli, a do środka wchodzi dwóch mężczyzn. Jeden z nich jest średniego wzrostu i ma ciemne włosy. Drugi to wysoki blondyn z włosami ułożonymi w irokeza. Uśmiechają się szeroko, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, ale nie mam pojęcia, kim, do cholery, są ani dlaczego tu przyszli.

- Jak mogę wam pomóc? Obudziliście moją córkę.

Ever próbuje usiąść. Chwytam ją pod rękę i pomagam ułożyć się wygodnie, obserwując jednocześnie dwóch nieznajomych.

- Proszę wybaczyć, pani Gentry - mówi ciemnowłosy. - Nazywam się Jason Drake. Jestem z NAFL.

To nie ma dla mnie żadnego sensu.

- Crew tu nie ma.

Wyższy śmieje się, a ten o ciemnych włosach kręci głową.

- Och, ale my to wiemy, pani Gentry.

- Więc dlaczego tu jesteście?

- Proszę się uspokoić. Jeżeli chce pani, żebyśmy wyszli, zrobimy to. Ale byłbym wdzięczny, gdyby wysłuchała pani, co mamy do powiedzenia.

Blondyn krzyżuje ręce na szerokiej piersi i uśmiecha się. Nie lubię go. Jest w nim coś, co każe mi zachować dystans.

- Proszę się streszczać - mówię.

- Jesteśmy tu, ponieważ pan Davidson z wielką hojnością zaoferował darowiznę z pieniędzy, które zarobi podczas odbywającej się w ten weekend walki, na rzecz pani córki.

Robię krok w tył.

Dlaczego nikt mi nic nie powiedział? Dlaczego Crew o niczym nie wspomniał?

- W imieniu zespołu Davidsona chcielibyśmy wręczyć pani czek opiewający na trzy tysiące dolarów.

- Och - mówię, zbita z tropu. - Ja... hmm... nie miałam pojęcia. Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Dlaczego Crew nic mi o tym nie powiedział? - pytam. Ever wyciąga do mnie rękę, a ja ją ściskam. Dla jej dobra staram się nie pokazywać, jak bardzo wytrącili mnie z równowagi, ale jest tak wyczulona - zupełnie jak Gage - że wiem, że widzi, jak jest naprawdę.

- Nie jestem pewien - odpowiada Jason. - Podpisaliśmy kontrakt z Davidsonem, nie Crew. Nie mam pewności, jak wiele informacji NAFL przekazuje pani... cóż, kimkolwiek on dla pani jest.

- To mój tatuś - mówi cicho Ever.

Uśmiech na twarzy blondyna staje się szerszy.

- To miłe - odpowiada Jason pobłażliwie. Wręcza mi czek na równe trzy tysiące dolarów.

Ręce mi się trzęsą, gdy go od niego biorę.

- Dziękuję - mówię, nie wiedząc, co innego mogłabym powiedzieć. Pod wpływem spojrzenia blondyna moje policzki zaczynają płonąć. Czuję się skrępowana. - Szkoda, że nie wiedziałam. Czuję się bardzo nieprzygotowana.

- Nie miała pani na co się przygotowywać. To po prostu uprzejmy gest mający na celu ułatwić wam życie. Akcja charytatywna, jeżeli woli pani tak to nazwać.

- Dziękuję. Proszę przekazać podziękowania drużynie Davidsona.

Jason śmieje się.

- To jest pan Davidson. Może mu pani podziękować osobiście.

Otwieram szeroko oczy, gdy zdaję sobie sprawę, kim jest ten potężny mężczyzna. Czuję się oszukana, zapędzona w kozi róg.

Czek wypala mi dziurę w ręku i chcę mu powiedzieć, żeby go zabrał i wynosił się stąd. Wiem, jak okropne rzeczy mówił Crew. Wiem, że to on jest winien kontuzji z Minnesoty. Chcę chronić Crew i powiedzieć temu gościowi, żeby wsadził sobie ten czek w dupę.

Ever znowu ściska mnie za rękę, a ja wracam do rzeczywistości. Muszę zachować spokój. Nie mogę zrobić nic głupiego, biorąc pod uwagę powody, dla których tu są. Przyszli pomóc Everleigh, a jeśli będę robić sceny, wytrącę tym Crew z równowagi albo wykluczą go z walki.

Uśmiecham się sztucznie.

- Dziękuję, panie Davidson. - Nienawidzę tego, że te słowa opuszczają moje usta.

- Nie ma za co. To dla mnie czysta *przyjemność*.

Ostatnie słowo wymawia bardzo sugestywnie. Przyprawia mnie o ciarki na plecach.

Ma w sobie coś z podstępного gada, coś, co przyprawia mnie o dreszcze. Chcę, żeby wyszli. *W tej chwili*.

Drzwi otwierają się, a do środka wchodzi Macie. Zaczyna się uśmiechać, ale na widok mężczyzn opartych o ścianę rzadnie jej mina. Jest naszą pielęgniarką i za każdym razem, gdy tu jesteśmy, jedynymi odwiedzającymi mężczyznami są Crew i Will. Wiem, że robi się podejrzliwa, ale nie może zacząć robić problemów.

- Wszystko w porządku? - pyta, krzyżując ręce przed sobą.

Widzę, że jest gotowa, żeby ich stąd wykopać. Uwielbiam ją za to, ale nie mogę zaryzykować, że się zezłoszcza.

- Wszystko w porządku - mruczę.

Marszczy brwi, zdecydowanie mi nie wierzy.

- W porządku. Muszę zabrać panienkę Ever na kolejne badanie.

- Dobrze.

Macie puszcza Everleigh oczko, podnosi oparcie łóżka i przygotowuje ją do wyjścia.

- Gotowa, droga pani?

- Tak - Ever mówi cicho, ale uśmiecha się do Macie tak szeroko, jak tylko pozwalają jej na to popękane usta. - Niedługo wrócę, mamusiu.

- Będę czekać, dziecinko. Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Macie wywozi ją z sali i rzuca mi ostatnie spojrzenie. Kręcę głową, a w następnej chwili już jej nie ma. Nagle mam wrażenie, jakby ściany zaczęły się do siebie zbliżać. Czuję się, jak mysz zamknięta w klatce z kilkoma wielkimi kotami, gotowymi cieszyć się swoją zdobyczą.

Wiem, że patrzę na nich jak przerażona sama, stojąca w świetle reflektorów. Wiem też, że ani trochę mi to nie pomoże.

Zanim zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje, Hunter staje naprzeciwko mnie. Obejmuje mnie w pasie. Ma wielkie ręce, palce rozpościera na moim biodrze, ich końce prawie dotykają moich piersi. Staram się odsunąć, ale wtedy przyciąga mnie jeszcze bliżej.

Sapię, tłukąc go pięściami.

- Odsuń się ode mnie - warczę, biorąc głęboki oddech i walcząc z mdłościami. Czuję się przytłoczona, chce mi się wymiotować, otacza mnie intensywny zapach jego wody kolońskiej i skurwysyństwa. Odpycham się od niego z całej siły, ale stoi solidnie niczym mur. Śmieje się cicho. Czuję, jak jego żebra poruszają się pod moimi rękami.

- Krępujesz się, gdy dotyka cię prawdziwy mężczyzna? -Zaczyna głaskać mnie po brzuchu, który grozi zwrotem napoju mlecznego, który wcześniej przyniosła mi Macie.

- Puszczaj mnie - mówię przez zaciśnięte zęby. -Puszczaj albo zacznę krzyczeć.

- Jeżeli będziesz grzeczna, może dostaniesz kolejne trzy tysiące. - Jego ręka zsuwa się powoli po moim boku i zatrzymuje na pośladkach.

Już mam mu odpowiedzieć, co może zrobić z tymi trzema tysiącami, gdy jego usta przywierają do boku mojej twarzy. Przyciska je mocno, bardzo blisko ust.

Unoszę rękę i odnajduję bok *jego* twarzy. Dźwięk uderzenia rozlega się głośno w pomieszczeniu. Wybuch śmiechem, a mi skacze ciśnienie.

Szarpię jego palce i próbuję oderwać jego rękę od swojego ciała. Czuję, że pozwala mi odsunąć środkowy palec, co wkurza mnie jeszcze bardziej. To, że nie mogę go powstrzymać, że jestem uzależniona od jego woli... czuję się jednocześnie przerażona i cholernie wściekła.

Z każdą sekundą zaczynam odczuwać coraz większą panikę. Patrzę na Jasona, ale on jest rozbawiony całą tą sytuacją.

Hunter ściska moje pośladki, dopiero wtedy odsuwa rękę.

- Och, jakie zwarte - mówi sugestywnym głosem.

- Wynoście się stąd! - krzyczę, moje ciało trzęsie się z furii. - Wynochna! W tej chwili!

- Chętnie przekonam się, co jeszcze tak rozkosznie zaciskasz, skarbie - uśmiecha się szeroko, jakby w ogóle mnie nie słyszał. Pochyla się, a ja robię krok w tył. Potem następny. Cofam się dotąd, aż wpadam na ścianę.

Staje nade mną, więżąc mnie między swoimi rękami. Czuję na twarzy jego oddech, agresja wręcz z niego emanuje.

Rozglądam się szybko dookoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym chwycić, jakiegoś przycisku alarmowego, ale w pobliżu nic nie ma. Jedynie stolik do kawy, na którym leżą kolorowanki i styropianowy kubek.

- Odsuń się ode mnie - warczę, przywierając do ściany, żeby znaleźć się jak najdalej od niego.

Nadal stoi w tym samym miejscu. Odsuwa prawą rękę od ściany. Wzdycham cicho z ulgą, ale robię to zdecydowanie za szybko.

W ułamku sekundy jego prawa ręka przypiera mnie do ściany, a lewa łąduje między moimi nogami. Szarpię się, ale więzi mnie jego szerokie łapsko.

- Ty dupku! - wrzeszczę, czuję, jak zaciska mi się gardło.

Pochyla się ku mnie.

- Twoje ciało rozpoznaje prawdziwego mężczyznę. Nie czuj się z tym źle. To zupełnie normalne.

Wykorzystuję to, że jest tak blisko, i uderzam go czołem w nos. Nie spodziewa się tego, ale nie wygląda, jakby go zabolalo. Widzę błysk w jego oczach i przygotowuję się do jak najgłośniejszego wrzasku.

Puszcza mnie i cofa się kilka kroków, wierzchem dłoni wycierając nos. Obserwuje mnie niemal z uznaniem. Chyba.

Jedyne, na czym mogę się skupić, to żeby dostać się jak najszybciej do drzwi.

- Chyba powinnaś wejść na ring zamiast Crew - śmieje się, stając u boku Jasona. - Walczysz lepiej niż on. Pozwoliłbym ci nawet stamtąd wyjść, żebyśmy później zakończyli to seksem na zgodę.

- Idź do diabła. I zabierz to ze sobą. - Rzucam w niego czekiem, ale nie zwraca na to uwagi. Ręce mi drżą, opuszczam je i patrzę, jak kawałek papieru ląduje na podłodze.

- Waleczna - śmieje się, patrząc na Jasona. - Lubię to. - Uśmiecha się złośliwie i pociera kciukiem o palec wskazujący. Unosi je do twarzy, zaciąga się głęboko, po czym oblizuje je. - Cholera, już wiem, dlaczego bracia tak ją sobie przekazywali z rąk do rąk.

- Jeżeli stąd nie wyjdziecie, w dupie mam, co zrobi NAFL, ale oskarżę cię o napaść. *Wypierdalajcie stąd!*

- O nic mnie nie oskarżysz - warczy Davidson. - Nie zaryzykujesz odwołania walki. Jedyne, co zrobisz, to wrócisz do tego swojego pizdowatego facecika, którego najpierw połamie, a potem powiem mu, co tu się wydarzyło.

Oczy mu błyszczą i wiem, że właśnie tego chce.

- Spodobałoby ci się to, co? Ale coś ci powiem, Davidson. Pierdol się.

Robi krok w moją stronę, a Jason ciągnie go za koszulę.

- Chodź, Hunter - mówi i odwraca się w stronę drzwi.

Hunter podąża za nim, ale nagle nieruchomieje.

- Powiedz Crew, żeby po walce się o ciebie nie martwił. Zaopiekuję się

tobą - puszcza mi oczko.

- Sam mu to powiedz. Zobaczymy, jak się to dla ciebie skończy.
Znowu - odpowiadam mu tym samym.

Wzrusza ramionami, jakby było mu to obojętne, ale widzę, że się wkurwił. Jest to niewielkie zwycięstwo, ale zawsze coś.

- Skończyłeś już swoje *prace charytatywne* na dziś, Hunter. Chodź - mówi Jason.

- Moje *charytatywne uczynki*... - Patrzy na Jasona i parska śmiechem, złość buzuje tuż pod powierzchnią. - Do moich charytatywnych uczynków zaliczają się prezenty w postaci orgazmów, pani Gentry. To coś pożądanego przez kobiety, zwłaszcza te porzucone. Jak ty. Zaproszenie będzie ważne jeszcze po walce. *Możesz zechcieć* zmienić zdanie po tym, jak zabiję twojego chłoptasia. - Jego oczy lśnią jak oczy tygrysa gotowego do ataku. - Naprawdę *zabiję*.

Ręce mi się trzęsą, adrenalina wciąż krąży w moich żyłach, gdy dzwonię do Willa. Choć Hunter zniknął, wciąż czuję jego zapach. Wciąż wyczuwam jego energię, która oblepia moją skórę. Drzę i czekam, aż Will odbierze.

- Tak? - pyta. Brzmi na zdezorientowanego.

- Cześć, Will. Tu Julia.

- Co się stało?

- Muszę z tobą porozmawiać. - Chodzę w tę i z powrotem, od okna do drzwi, starając się pozbyć energii, która we mnie buzuje.

- Czy z Ever wszystko dobrze?

- Tak, Ever nic nie jest.

- Okej. W takim razie o co chodzi?
- Will... Hunter Davidson był tu przed chwilą.
- Co? Gdzie?
- W szpitalu. Pojawił się z jakimś innym gościem, Jasonem jakimś tam.
- Co, do kurwy?
- Nie wiem. Przyszli i dali mi czek. To wszystko było takie dziwne.

Milknie, czuję, jaki jest spięty.

- Zrobił coś jeszcze? Powiedział coś?

Zatrzymuję się. Patrzę przez okno i jakaś część mnie chciałaby przez nie skoczyć. To zakończyłoby całą tę tragedię, ból, niepewność.

- Tak. I nie wiem, co powiedzieć Crew.
- Co powiedział?

Śmieję się nerwowo.

- Nie chodzi o to, co powiedział, Will...
- Dotknął cię, Jules? Zrobił coś Ever?
- Ever jest cała. Nie było jej tutaj przez większość czasu...
- Słuchaj. Musisz być ze mną szczerą. Musisz powiedzieć mi wszystko, co się stało, żebym mógł ci pomóc.
- Nie chcę, żeby Crew zrobił coś głupiego - szepczę, ręce zaczynają mi się trząść.

Will wypuszcza powietrze z płuc, przez co w słuchawce rozlega się szum.

- Jeśli Davidson cię tknął, Crew pójdzie siedzieć. To jest bardziej niż pewne.

Siadam na kanapie i podpieram głowę wolną ręką. Wiem, że Will ma rację. Nie mogłabym winić Crew, gdyby dorwał Davidsona. Ale nie mogę do tego dopuścić. Nie teraz.

- Przyparł mnie do ściany, Will - dukam. - Chwyć mnie... wiesz...

- Osobiście zajebię tego skurwysyna!

- Will! Uspokój się! Posłuchaj tego, co mówisz! - krzyczę. - Nie mogę powiedzieć Crew, skoro ty w ten sposób zareagowałeś. Nie chcę go okłamywać, ale co innego mogę zrobić?

Wypluwa z siebie stek przekleństw, a po tym rozlega się trzask, jakby czymś rzucił. W końcu mówi:

- Nie powiemy mu. *Nie możemy*. Odwali mu i pewnie zastrzeli tego kutasa.

- Mam kłamać?

- Nie - odpowiada. - Po prostu odwlec to. Powiesz mu po walce. Jeżeli dowie się teraz, możemy zapomnieć o tym, że skupi się na walce. A tu chodzi tak samo o siłę mięśni, jak i umysłu. Wiedząc to, przegra, *jeśli* wcześniej nie trafi do więzienia.

- Ale...

- Żadnego „ale”, Jules. Jeżeli później się wścieknie, zwał to na mnie. Pojadę teraz na siłownię i dowiem się, czy Sal przypadkiem już się o tym nie dowiedział. Jakoś przekażę Crew, że Davidson u ciebie był, żebyś ty nie musiała. Ale *nie mów* mu reszty.

- Jesteś pewien?
- Nie - śmieje się. Słyszę dźwięk zamykanych drzwi i ryk silnika. - Ale to nasze jedyne wyjście.
- Dziękuję, Will.
- Podziękujesz później. Módl się, żeby Crew nie zatłukł mnie za to, że robię za posłańca.

Crew

Kończę kolejną rundę z Victorem. Jest to nasz ostatni trening przed walką.

- Ej, stary - mówi, wyciągając rękawicę w moją stronę. Uderzam w nią swoją. - Powodzenia w weekend. Jesteś gotowy.

- Dzięki - mówię, przeskakując nad liną. Zdejmuję rękawice i rzucam je na podłogę. Rozglądam się za Salem, który, co do niego niepodobne, zniknął gdzieś. Skręcam do jego biura i widzę, że siedzi za biurkiem, a miejsce naprzeciwko zajmuje Will.

Opieram się o futrynę i obserwuję ich. Coś się dzieje. Widzę to po ich twarzach. Czuję to w środku.

Sal patrzy na Willa i kiwa głową. Odchyła się na krześle i masuje skroń.

- Co tu robisz? - pytam Willa.

- Jak trening?

- Zamknij się i mów, po co tu przyszedłeś.

Raz jeszcze patrzy na Sala, po czym wyciąga z kieszeni telefon.

- Sal zadzwonił, żebym przyjechał i omówił z nim parę spraw.

- O czym musieliście porozmawiać?

- Rozmawiałeś dzisiaj z Jules? - pyta Will, mrużąc oczy.

- Nie. Nie ruszałem telefonu, odkąd zacząłem trening z Victorem. Dlaczego? Z Everleigh wszystko dobrze?

- Tak, tak, tak. Nic jej nie jest. Wracają do domu.

Oddycha mi się lżej, dopóki nie zdaję sobie sprawy, że Will rozmawiał nie tylko z Salem, ale też z Julią.

Coś jest kurewsko nie tak.

- Dzwonili z NAFL - mówi Sal, jego krzesło obraca się, gdy wstaje. - Davidson wpłacił kilka tysięcy dolarów na leczenie twojej bratanicy i chcieli wiedzieć, czy zamierzasz to jakoś skomentować.

- Co zrobił?

Sal wzrusza ramionami.

- To zagranie pod publikę, chce zdobyć dodatkowe punkty u niektórych fanów. Jego zespół musiał poczuć się nieco zagrożony tym, jak dużo osób stawia na ciebie. Dzięki temu będzie wyglądał nieco lepiej w oczach innych.

- Pieprzyć go - mówię, ale nie do końca rozumiem, po co mi to mówią. Ciągle czuję pewien niepokój, który grozi eksplozją.

- Ma pojawić się artykuł o tym, jak jest hojnym człowiekiem, robią z niego współczesnego Robin Hooda czy coś takiego. Nakręcają całą tę akcję, żeby wyglądał na świętego. Obrzydlistwo. Nie wiem, jak zamierzasz na to odpowiedzieć - mówi spokojnie Sal, ale słyszę niepewność w jego głosie.

- Co jeszcze? - Patrzę na nich, czekając, aż któryś w końcu powie to, czego do tej pory nie powiedzieli.

-Jakie znowu: co jeszcze? - pyta Will, nie patrząc mi w oczy.

- Co jeszcze się dzieje? Nie jestem tępy. - Patrzę na Sala. - Niech któryś z was lepiej zacznie gadać.

Will grzebie rękami w kieszeniach. Robi to nieświadomie za każdym

razem, gdy jest zdenerwowany. Widziałem to setki razy.

- Słuchaj, Crew... - Will wypuszcza oddech, po czym patrzy na mnie. - Davidson pojawił się dzisiaj w szpitalu.

- *Co zrobił?* - Wyobrażam go sobie w jednym pomieszczeniu z moimi dziewczynami, oddychającego tym samym powietrzem, zatruwającego swoim jadem jedyną czystą sferę w moim życiu. Nie zniosę tego. *Zajebię go.*-Pojawił się w szpitalu? Rozmawiał z nimi? Czy on...

- Uspokój się - mówi Sal, przekrzykując mnie. - Will rozmawiał z Julią, nic im nie jest. Tak jak powiedział, jadą już do domu.

Odwracam głowę w stronę Willa.

- Przysięgasz, że nic im nie jest?

Kiwa głową.

- Tak. Zadzwoiłem do Jules, a ona powiedziała mi, że Davidson był u nich, ale nic im nie jest. Nie wiedziała, że przyjdą...

- Wiesz doskonale, że jego niezapowiedziana wizyta nie ma nic wspólnego z rozgłosem. Chodziło o coś więcej. Z tym bydlakiem zawsze chodzi o coś więcej - mówię, parząc na Salę. - Jeżeli chociażby na nią chuchnął, wyrwę mu serce i go nim nafaszeruję. Nie będzie żadnej walki w klatce, bo zabiję tego skurwysyna teraz.

- Będziesz trzymał się planu, właśnie to teraz zrobisz - mówi Sal, idąc przez gabinet. — Zachowasz spokój i przypomnisz sobie, dlaczego trenujemy. Próbuje namieszać ci w głowie, a ty robisz dokładnie to, czego on chce.

- On...

- Chcesz wygrać czy nie? - wybucha. - Chcesz wygrać i ocalić życie swojej bratanicy, czy chcesz bawić się z tym kretynem w konkurs na

obsikiwanie drzew? Co? Odpowiedz mi, do cholery, bo ja jestem całkiem pewny tego, czego chce on!

Patrzę na niego, a on staje centymetry przede mną.

- Odpowiedz!

- Wygram tę walkę! - krzyczę, a Sal ani drgnie. -Wygram - mówię, tym razem ciszej. - Ale niech mi Bóg dopomoże...

- Bóg nie pomoże ci wygrać, Crew. To zależy tylko i wyłącznie od ciebie.

Za mocno dociskam gaz. Mam wrażenie, jakby samochód prawie się nie ruszał, ale prawdopodobnie jadę zdecydowanie za szybko... gdyby mnie to tylko obchodziło. A nie obchodzi.

Przejeżdżam kolejne mile, ale nie jestem ani trochę spokojniejszy. Na samą myśl, że ten dupek był z Jules i Ever...

Uderzam dłonią w kierownicę.

Kurwa!

Ta zagrywka nie dotyczyła tylko jego i mnie; chodziło o to, że *on* był blisko *nich*.

W swoim życiu widziałem wielu skurwieli, ale Hunter bije ich wszystkich na głowę.

Był reprezentantem stanu Iowa w zapasach, ale żadnej walki nie wygrał, walcząc fair play. Pieprzy głupoty, pakuje się w żałosne sytuacje i wykorzystuje pieniądze rodziców oraz pozycję ojca na Wall Street, żeby ratować swój tyłek, gdy ma kłopoty. Jest kompletnie popapwany, do tego stopnia, że nie powinien mieć prawa znaleźć się w pobliżu moich dziewczyn.

Poprosiłem Sala, żeby zadzwonił w parę miejsc i dowiedział się, kto ich wpuścił, żeby zapobiec powtórce z rozrywki. Lepiej niech ktoś o to zadba, w przeciwnym razie ja się tym zajmę.

- Kurwa! - krzyczę, a mój głos unosi się nad słowami piosenki zespołu Nine Inch Nails. Wyłączam radio i skręcam w ulicę prowadzącą do mojego domu. Skręca mnie w środku, gdy widzę na podjeździe samochód Jules. Wygląda to zupełnie normalnie, przez co jestem jeszcze bardziej wściekły. Moja oaza spokoju została zatruta przez pieprzone zło wcielone, mimo to z zewnątrz wszystko wygląda idealnie.

Parkuję obok jej samochodu i wysiadam. Zanim docieram do drzwi, Jules wychodzi na zewnątrz. Oczy ma szeroko otwarte i wiem, że płakała. Biegnie do mnie i rzuca mi się w ramiona, zarzucając ręce na moją szyję.

Wtula twarz w moją pierś, a mnie zbija to totalnie z tropu. Obejmuję ją mocno i opieram się o swój samochód. Czuję, jak drży, więc przesuwam rękami po jej ciele, chwytam, szukam. Sam nie wiem czego, ale dzięki temu jestem nieco spokojniejszy.

- Nic wam nie jest? - pytam, całując ją w czubek głowy.

- Tak. Nic nam nie jest.

- Co się dzisiaj, kurwa, stało? - słyszę gniew w swoim głosie, choć nie chciałem zabrzmieć tak nieprzyjemnie.

Nie wiem, co dokładnie się tam stało, ale nie chcę też snuć domysłów. Wiem tylko, że on tam był, a ona do mnie nie zadzwoniła.

Pociąga nosem i wyciera twarz w moją koszulę. Przyglądam się jej i staram się nie odzywać i nie tracić opanowania.

Wbija spojrzenie w ziemię i widzę, że się waha. Nie jest pewna, co powiedzieć. Przygryza wargę, a ja uwalniam ją palcami spomiędzy jej

zębów.

- Jules...

- Siedziałyśmy w sali, a oni po prostu weszli.

- Oni po prostu weszli? Jacy oni? I kto ich wpuścił?

- Hunter i jakiś Jason Drake - mówi cichym głosem. -Nie wiedziałam, kim są, Crew. Byłam tak zajęta Ever, że nawet nie sprawdziłam, kim jest Hunter ani jak wygląda.

Do jej oczu znowu napływają łzy, a ja ją przytulam. Patrzę w niebo i przyglądam się płynącym po nim chmurom. Myślę, że może to jakoś mnie uspokoi, sam staram się nad sobą zapanować.

- Powiedz mi, co się stało.

- Powiedzieli, że są z NAFL i że mają czek. Dali mi go, a potem... a potem wyszli.

Odchylam się i patrzę na nią. Wiem, że kłamie.

- To nie wszystko.

- Co masz na myśli?

- Myślę, że nie wyszli po wręczeniu ci czeku. Hunter tak nie działa, Jules.

- Cóż - mówi, zakładając kosmyk włosów za ucho. -Czuję się dobrze. Ever też.

- Czujecie się dobrze - mówię, unosząc jej brodę, żeby na mnie popatrzyła. - Ale czy nic wam nie jest? Dwie różne sprawy.

- W porządku - szepcze, tuląc policzek do mojej piersi. - Nic nam nie jest.

Trzymam ją mocno. Waham się między tym a zadawaniem kolejnych pytań i wejściem do środka, żeby zobaczyć Everleigh i upewnić się, że nic jej nie jest.

- Muszę wiedzieć, co dokładnie tam się stało. Co mówił? Co robił?
- Cóż - odpowiada, a potem milczy przez chwilę wystarczająco długą, żeby mnie zaniepokoić. - Po prostu był dupkiem.
- Bo...? - czekam na kontynuację, ale nic nie mówi. - Jules, nie jestem cierpliwym facetem. Naprawdę staram się być spokojny i robić wszystko tak, jak należy, ale nie przeciągaj struny.
- Przepraszam. On tylko... zasugerował, że jestem kimś w rodzaju dziwki.
- Co zrobił? - wrzeszczę i odsuwam ją tak, żeby spojrzeć na jej twarz. - Co, kurwa, powiedział?

Czuję się dokładnie tak, jak przed walką. Wszystkie zmysły mam wyczulone, przemoc płynie w moich żyłach z pełną prędkością.

- Powiedział coś o tym, że ty i Gage przekazywaliście mnie sobie z rąk do rąk.

Odsuwam ją od siebie i otwieram drzwi do samochodu.

- Crew, stój! - Chwyta mnie za ramię i ciągnie za nie. - Przestań!

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć. Jej poznaczona łzami twarz jest blada, oczy szeroko otwarte, widać w nich panikę. I choć jest tak piękna, choć chcę zabrać ją do środka i trzymać ją u swojego boku razem z Ever, nie mogę. Nie teraz. Jeszcze nie.

- Myślisz, że będzie mówił ci takie rzeczy, że będzie nachodził ciebie i Ever w szpitalu, a ja zostawię to bez słowa? Zastanów się, Jules.
- Ale on właśnie tego chce! Chce, żebyś stracił rozum i do niego

pojechał. Wywołał bójkę. Może spowodował odwołanie walki, bo jesteś nie zrównoważony. W ten sposób poprawi wyniki, zdobędzie fanów, a ty przegrasz... w każdy możliwy sposób.

Puszczam drzwi.

W każdy możliwy sposób.

- Kurwa! - krzyczę, przyciągając uwagę sąsiadki, która wyjmuje pocztę. Wiem, że Julia ma rację i nienawidzę tego. Postawił mnie w sytuacji, gdzie nie mogę nic zrobić, bo jeśli zareaguję, przegram, stracę pieniądze... i wszystko, co się dla mnie liczy.

Patrzę, jak cicho błaga mnie, żebym się uspokoił, żebym walczył o to, co naprawdę jest tego warte... a nie jest to bójka z Hunterem o to, że jest skurwielem. To walka dla Ever. Dla niej. *Dla naszej rodziny.*

Obejmuję ją i przyciągam do siebie. Czuję, że jej ulżyło.

- Skrzywdził cię? Wystraszył Ever? - mamroczę z twarzą wtuloną w jej włosy. Pozwalam, by jej zapach mnie uspokoił.

- Nie, nic z tych rzeczy. Ever spała, a potem została zabrana na badania. Po prostu próbował mnie onieśmielić, wiesz? Wiem, że chciał, żebym spanikowała i pobiegła do ciebie, ale nie dałam mu tej satysfakcji.

Uśmiecha się smutno, a mnie powoli opuszcza gniew.

- Powinnaś była zadzwonić - jęczę. - Następnym razem zadzwoń. Musisz mi obiecać, że jeżeli kiedyś znajdziesz się w takiej sytuacji, zadzwonisz.

Całuje mnie w sam środek klatki piersiowej.

- Obiecuję. Kocham cię, Crew.

Nigdy nie przywyknę do tych słów, padających z jej ust. Nigdy nie

znudzi mi się słuchanie tego.

- Nie pozwól mu namieszać ci w głowie. On właśnie tego chce. Łatwej wygranej.
- Jesteś lepszą wojowniczką ode mnie - śmieję się.
- Nie chcę o tym myśleć. Nie chcę, żeby ten dupek zatruwał nasze wspólne chwile.
- Jutro będę musiał wstać wcześniej i ustalić wszystko z Salem. Potem będę miał do załatwienia kilka spraw. -Zaciskam powieki. - Ale dzisiaj chcę wejść do środka i pooglądać kreskówki czy co tam innego zażyczy sobie Ever. Chcę leżeć koło ciebie w łóżku i zapomnieć o całym świecie.

Patrzy na mnie oczami pełnymi tej samej miłości, którą wiem, że widzi w moim spojrzeniu.

- Zróbmy to.

JULIA

Zaglądam do Ever, która śpi spokojnie. Miała ciężki dzień, ale teraz leży w łóżku, a na jej buzi nie widać śladu bólu. Nie ma w ogóle pojęcia, jak w ciągu kilku najbliższych dni zmieni się nasz świat.

Tak jak powiedział Crew, oglądaliśmy kreskówki. Leżeliśmy na kanapie i odpoczywaliśmy. Ever leżała na jego piersi, a widok ich dwojga łamał mi serce.

Jeżeli Crew wygra walkę, która odbędzie się pojutrze, Ever zacznie terapię w najbliższy poniedziałek. To najlepszy scenariusz.

Jeżeli Crew przegra albo coś pójdzie nie tak, prawdopodobnie stracę ich oboje.

Wypieram tę myśl z głowy. Po raz pierwszy w życiu zabraniam sobie planować, wybiegać myślami w przyszłość. Ale nie daję rady. Nie będę w stanie pogodzić się z utratą jednego z nich, a co dopiero obojga. Zwłaszcza że straciłam już Gage'a.

Tak wiele spraw walczy w mojej głowie o pierwszeństwo.

Co się stanie, jeżeli Ever dostanie się na terapię? Co, jeżeli się nie dostanie? Co, jeśli Crew wygra? Co, jeśli nie?

Co, jeśli coś mu się stanie? Czy dobrze robię, pozwalając mu walczyć? Czy postępuję dobrze, dając mu podjąć tę decyzję samemu?

Czy popełniam błąd, nie mówiąc mu, że jestem w ciąży?

Kładę rękę na brzuchu. Wiem to dopiero od kilku dni. Jest za wcześnie, to dopiero kilka tygodni, a poroniłam już dwukrotnie - przed i po Ever. Nie ma gwarancji, że i tym razem nie poronię. Oczywiście nigdy nie ma

takiej pewności, ale nie chcę ogłaszać tego, a potem tłumaczyć, że coś się stało.

Wiem też, że Crew martwi się o Everleigh, walkę, ale też o mnie. Nie chcę dodawać mu więcej zmartwień. Jakaś część mnie myśli, że może powinnam mu powiedzieć. Zasluguje, żeby dowiedzieć się przed walką. Z drugiej strony, nie powinnam mu mówić, bo to go tylko rozproszy. I tak stanie do walki, ale ciągle będzie myślał o ciąży, a przez to nie skupi się na pojedynku.

Jestem rozdarta. Na mojej liście zmartwień pojawiła się kolejna pozycja. Co nie zmienia faktu, że w całym tym morzu nieszczęść mam się z czego cieszyć. Czasami zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak się bawimy, całą rodziną, na plaży. Włosy Ever rozwiewa wiatr, jej śmiech niesie się ponad szumem fal. Maleństwo biega za nią, jego małe stopki zostawiają ślady na piasku, a ja z Crew siedzimy na piasku i się im przyglądamy.

Wykradam się z pokoju i idę korytarzem. Otwieram drzwi do sypialni Crew. Jeszcze ani razu w niej nie spałam. Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko, po prostu tak rzadko jesteśmy w domu. A w te dni, kiedy tu byliśmy, Crew wracał do domu i kładł się spać, natomiast ja czuwałam nad Ever i albo nie chciałam go budzić, albo Ever prosiła, żebym spała z nią, bo ma koszmary.

Leży na kołdrze, oczy ma zamknięte. Jego klatkę piersiową opina biała koszulka, podkreślając mięśnie brzucha. Ma na sobie ciemnoniebieskie bokserki i jest to taki sam kolor, jaki przybierają jego oczy, gdy jest zmęczony. Mogłabym tak stać przez wieczność i na niego patrzeć. Wydaje się taki spokojny, beztroski, gdzie na co dzień bardzo rzadko to u niego widać. Żałuję, że nie może być taki każdego dnia.

Może, gdy to wszystko będzie już za nami, uda mi się dać mu szczęście.

Zamykam za sobą drzwi i przekręcam klucz. Idę w stronę łóżka i wspinam się na nie. Crew odwraca się twarzą do mnie i otwiera swoje niebieskie oczy, przewiercając mnie ich spojrzeniem na wskroś.

Przyglądamy się swoim wykończonym, znajomym twarzom i napawamy spokojem, który czuć w powietrzu.

Uśmiecha się leniwie.

- Czekałem na ciebie. - Unosi się nade mną, rozsuwając moje nogi kolanem. Pochyla się i prawie mnie całuje, ale zatrzymuje się. Jego wargi wiszą nad moimi, wpatruje się we mnie intensywnie.

- Kocham cię - szepczę, moje serce jest przepełnione tym uczuciem. Kocham go tak bardzo, zupełnie inaczej niż kogokolwiek innego. Crew zawsze był ying dla mojego yang, czernią idealnie pasującą do mojej bieli. Jego słabości są moimi mocnymi stronami, jest też silny wtedy, gdy ja nie potrafię.

Dopełniamy się.

Porusza się i widzę, że skóra na jego lewym przedramieniu jest wściekle zaczerwieniona. Odwracam jego rękę i widzę łapacz snów wytatuowany pomiędzy łokciem a nadgarstkiem. W samym środku znajduje się duże „J”, a nad nim wytatuowano słowa „FOR EVER”.

- Crew...

Nic nie mówi, posyła mi tylko nieśmiały uśmiech który mnie urzeka.

- Kochaj się ze mną, Crew - szepczę.

Podciąga moją koszulkę i zostawia ją zwiniętą pod brodą. Patrzy na mnie z czułością, czcią. Całuje mnie lekko, muskając wargami moje wargi. Jedną ręką zdejmuje mi majtki, potem swoje bokserki. Układa się między moimi nogami i czuję, jak jego męskość napiera na moje wejście.

- Kocham cię - mówię, patrząc na falę emocji przetaczającą się przez jego oczy na dźwięk moich słów. - Naprawdę, Crew. Kocham cię. Każdy twój kawałek.

Jego szeroki uśmiech zmienia się nieznacznie, gdy rumieni się, słysząc ten komplement. Unoszę się i całuję go, żeby nie czuł się zobowiązany odpowiadać.

- Kocham cię - szepcze, gdy się odsuwam. Odgarnia mi włosy z twarzy. - Zawsze kochałem.

- Muszę ci się do czegoś przyznać - szepczę.

- Zaczynam się denerwować.

Śmieję się.

- Pamiętasz, jak zapytałeś mnie, kim dla mnie jesteś?

- Tak.

- Jesteś dla mnie wszystkim - odpowiadam bez tchu.

Czuję ciepło w sercu i mam wrażenie, jakbym została owinięta kocem z polaru. W jego oczach widzę akceptację moich słów. Widzę, że wybaczył mi to, jak go traktowałam przez ostatnie lata, i widzę zapowiedź wspólnej przyszłości. Co najważniejsze, widzę odwzajemnioną miłość.

Wsuwa się we mnie, wypełniając moje wnętrze. Jestem dla niego mokra, gotowa. Wiem, że to go uspokaja. Wiem, że tego potrzebuje, a ja bardziej niż chętnie chcę mu to dać.

Ja też tego potrzebuję.

- Czekałem na to cały dzień - mówi, poruszając się we mnie. Obejmuje go nogami, pragnąc wszelkiej możliwej bliskości. - Czekałem na to od lat.

Uśmiecham się, gdy widzę wyraz jego twarzy. Nie jestem głupia i wiem, że miał wcześniej inne kobiety. Ale wierzę, że tylko mnie kochał naprawdę.

Całuje mnie, zmysłowość tej pieśczoły sprawia, że przestaję myśleć i czuję tylko jego usta i ciało. Mam pustkę w głowie, absorbują mnie doznania, których doznaję dzięki mężczyźnie, którego kocham. Nasze języki splatają się ze sobą, jego męskość porusza się we mnie, wzbudzając coraz większe podniecenie. Jego ręce wędrują po całym moim ciele, ostrożnie, powoli, czcząc każdy skrawek skóry.

Zaciskam się wokół niego, ściskając jego kutasa. Jęczy w moje usta, intensywność tego dźwięku przybliża mnie jeszcze bardziej do orgazmu. Zwiększa tępo i wysuwa się ze mnie tak, że przesuwa kutasem po mojej łechtaczce. Jest to najbardziej przytłaczające, niesamowite uczucie, dlatego zamykam oczy i rozkoszuję się tym, że jestem w jego ramionach, z daleka od całego świata.

Prowadzi mnie coraz dalej, powtarzając mi piękne słowa. Każde spływa po moim ciele, a ja staram się na nich skupić. „Piękna”, „kochana”, „moja”, wszystkie zlewają się ze sobą, pozostając w mojej głowie. Czuję się kochana, doceniona i nie chcę, żeby to się skończyło.

Wiem, że się nie skończy. Nie z Crew. Nie tym razem.

Gdy dochodzę, drżą mi nogi. Zsuwają się na łóżko a Crew przyspiesza. Wbija się we mnie głębiej, szybciej, a ja unoszę biodra, wychodząc jego ruchom na spotkanie.

- Crew... - chcę go ostrzec, ale powstrzymuje mnie pocałunkiem. Zaciskam zęby i czuję, jak uśmiecha się z ustami przy moich ustach, gdy rozpadam się pod nim.

Wbija się we mnie jeszcze kilka razy, docierając do samego końca, aż kończy we mnie.

Kładzie się na boku i przyciąga mnie do piersi. Nie chcę zasnąć, zastanawiam się, czy powiedzieć mu, że będziemy mieli dziecko, ale słodkie słowa, które szepcze mi do ucha, ciepło jego ciała i uczucie bycia tuloną w jego ramionach to za dużo.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zapadam w spokojny sen.

Crew

Nie byłem tu od lat.

Woda napływa leniwie. Mewy skrzeczą w powietrzu. Słońce chyli się ku zachodowi.

Czuję ją tutaj.

Siadam na trawie, tuż przy plaży, a ostatnie promienie słońca padają na moją twarz.

To był spokojny dzień. Zaczął się od naleśników na śniadanie i spotkania z Salem. Podczas lunchu widziałem się w Willem, a całe popołudnie spędziłem na oglądaniu kreskówek.

Zaskakujące, że oglądanie Nick Jr. jest moją definicją idealnego dnia.

Patrzę, jak ptaki krążą spokojnie nad wodą. Mamie by się podobało. Uwielbiała proste rzeczy: zachód słońca, dobry mecz Red Soxów, smaczne naleśniki.

Uśmiecham się. Na plaży nie ma nikogo poza naszą dwójką.

- Cześć, mamó - mówię cicho. - Dawno się nie widzieliśmy, prawda?

Nabieram garść piachu i przesypuję go między palcami.

- Nie wiem, czy znowu dążę do tego, żeby coś spieprzyć, czy po raz pierwszy postępuję właściwie.

Ptaki znowu skrzeczą, a ja się śmieję.

- Czuję się jak idiota, mówiąc to wszystko na głos. Lepiej mnie słuchaj, bo nie obiecuję, że to się powtórzy. - Kolejna garść piachu przesypuje

się przez moje palce. - Trochę czasu zajęło mi zrozumienie, co miałaś na myśli podczas naszej ostatniej rozmowy. Nie wiem, czy nie rozumiałem tego, czy nie chciałem rozumieć. Ale teraz chyba rozumiem.

Otrzepuję rękę, odchylam się i podpieram na łokciach.

- Przepraszam, że przysporzyłem ci tyle zmartwień. Kurwa, gdy myślę o przeszłości, nie jestem w stanie pojąć, dlaczego mnie po prostu nie wydziedziczyłaś. - Milczę przez chwilę. - Chociaż nie, to nieprawda. Wiem, że nie zrobiłaś tego z identycznego powodu, dla którego ja nie zrobiłbym tego Everleigh - uśmiecham się. - Pokochałabyś ją. Jest taka śliczna i inteligentna. Jest bardzo podobna do Gage'a i Jules, ale podoba mi się myśl, że może ma też coś ze mnie.

Odkąd ty i mój cholerny brat zostawiliście mnie tu samego, staram się robić wszystko, co najlepsze. Zabawne, że zrzuciliście całą odpowiedzialność na *mnie*... tego, który nie ma zielonego pojęcia, jak zająć się sobą, a co dopiero kimś innym. Ale staram się.

Wypuszczam oddech i czuję, że z mojej piersi znika część ciężaru.

- Wiesz, teraz już chyba rozumiem. To, co mówiłaś. Walczyłem i poświęcałem wszystko ze złych powodów. Nie rozumiałem, co tak naprawdę się liczy. Miałaś rację.

W życiu liczą się proste rzeczy. Teraz wiem to chyba lepiej niż ktokolwiek inny. Chodzi o dobrą kobietę, o to uczucie, gdy wchodzisz do domu i nie umiesz wyjaśnić, dlaczego jesteś szczęśliwy. Chodzi o zdrowie, naleśniki i robienie wszystkiego, co pozwoli zatroszczyć się o tych, których kochasz.

Jutro będę walczył. Zachowuję się tak, jakbym miał to wszystko pod kontrolą, ale - tak między nami i tą plażą - nie jestem tego taki pewien. Szyja i plecy bolą mnie każdego dnia. Davidson nakręca się zemstą, którą na mnie planuje. A przede mną ciężka bitwa i braki w amunicji. Mam ogromną nadzieję, że postępuję właściwie, ale nie wiem, czy nie

było innego wyjścia.

Kiedy pojawiła się okazja, nie zastanawiałem się ani chwili. Załatwiłem parę spraw i miałem nadzieję, że to zadziała. Nawet jeśli nie zejść z tej maty w jednym kawałku, poświęcenie będzie tego warte tak długo, jak Ever będzie miała szansę, by przeżyć. Nie mówiąc nic Jules, zadzwoniłem do lekarza, żeby szczerze z nim porozmawiać. Tylko ta terapia może dać nam nadzieję. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym nie spróbował zrobić czegokolwiek, żeby dać jej szansę. Zasługuje na nią, a tylko ja mogę zadbać o wystarczającą ilość pieniędzy. Jeżeli komuś z naszej dwójki coś się stanie, to właśnie mnie. Spieprzyłem w życiu tyle razy, że prawdopodobnie zasługuję na wszelkie możliwe konsekwencje tej walki. Ale Ever jest niewinna. Idealna. I niech mnie szlag trafi, jeśli nie dostanie możliwości, by zawalczyć.

Otrzepuję spodnie z kurzu.

- Dziękuję za to, że poświęciłaś swoje życie mnie i Gage'owi. Zabijałaś się każdego dnia, żeby upewnić się, że nie chodzimy głodni. Może wtedy tego nie rozumiałem, ale rozumiem teraz.

Powiedz mojemu braciszкови, że stoję za nim murem. I choć naprawdę bardzo go kocham, to wolałbym go jeszcze długo nie zobaczyć.

Po raz ostatni patrzę na znikające za horyzontem słońce, a następnie kieruję się do samochodu.

Julia

Leżę w jego łóżku od godziny. Ever odpoczywa. Nowe leki, które przysłali nam do domu, sprawiają, że dużo śpi. Mnie też by się takie przydały, ale kto wtedy zająłby się wszystkim?

Położyłam się na jego stronie, otacza mnie jego zapach. Wdycham go i wstrzymuję powietrze, pozwalam, żeby mnie otulił. Moje nerwy rozplývają się. Znikają.

Jutro nadejdzie dzień rozliczenia, dzień, w którym moje życie albo ruszy do przodu, albo się zakończy. Czuję tyle obaw i strachu, że nie jadłam od trzech dni. Jeżeli pozwolę sobie myśleć o tym za dużo, wykończę się. Nie zdecydowałam też, czy powiedzieć mu przed walką o dziecku. Jestem bardzo rozdarta.

Moje ciało zaczyna się rozluźniać. Wtulam się w jego poduszkę i pozwalam swoim myślom ucichnąć.

Musiałam zasnąć, bo gdy otwieram oczy, Crew siedzi u mojego boku. Patrzył, jak śpię. Światło z ulicy wpada przez żaluzje i rzuca poświatę na jego przystojną twarz.

- Hej - szepcze.

- Cześć - uśmiecham się, a on ten uśmiech odwzajemnia. -Jak długo tu jesteś?

- Wystarczająco długo.

- Gdzie byłeś?

- Musiałem załatwić kilka spraw. - Unosi się nade mną, po czym kładzie obok. Przyciąga mnie do swojej piersi tak, że leżymy na

łyżeczkę.

Skórę ma nadal wilgotną i pachnie żelam do mycia. Kładę głowę na jego bicepsie.

- To już jutro - mówi cicho. Jakbym nie wiedziała, jakby nie zżerało mnie to od środka. - Nie będzie mnie, gdy wstaniesz.
- Nie zobaczę cię przed wyjściem?

Kręci głową.

- Muszę stąd wyjść jak najwcześniej. Muszę zachować trzeźwość umysłu. I wiem, że to okropne, ale proszę, nie dzwoń do mnie jutro, dobrze? Przez to nie zdołam się na niczym skupić, bo będę zastanawiał się nad tym, czy tobie i Everleigh nic nie jest.

Zamieram i zdaję sobie sprawę, że nie mogę mu powiedzieć o dziecku. Wiem, że byłby szczęśliwy, wręcz wniebowzięty, ale nie zmieniłoby to jego decyzji. Przez to martwiłby się jeszcze bardziej... i tylko by się rozpraszał.

Mogę pozwolić mu wyjść, nic nie mówiąc? Co jeśli...

Nie mogę myśleć w ten sposób. Muszę być dla niego silna.

- Rozumiem. Nie podoba mi się to, że cię nie zobaczę i nie będę mogła z tobą porozmawiać, ale rozumiem.
- Dobra dziewczynka.

Leżymy w ciszy. Czuję, że coś chodzi mu po głowie, dlatego daję mu czas na przemyślenie. Wcześniej wyznał mi, że jestem jego oazą, i chcę, żeby czuł się bezpiecznie, tak bezpiecznie jak ja i Ever czujemy się przy nim.

- Cokolwiek jutro się stanie, chcę, żebyś wiedziała parę rzeczy.

Odwracam się i patrzę na niego. Twarz ma poznaczoną bruzdami, oczy pełne szczerości. Zapiera mi dech w piersi.

- W moim życiu nie było ani chwili, gdy cię nie kochałem. Od momentu, w którym cię zobaczyłem, byłaś tą jedyną.

- Crew...

- Nie, pozwól mi dokończyć. Muszę to powiedzieć. -Muska kciukiem mój policzek. - Znalazłem list, który napisał do ciebie Gage. Szukałem jakichś dokumentów, przejrzałem go. Pewnie nie powinienem, ale zrobiłem to. Wiesz, Gage miał rację. W tak wielu kwestiach.

Uśmiecham się.

- Gage zawsze miał rację.

- Zgadza się. Ale miał rację w kwestii tego, co ci napisał. Po pierwsze, że nigdy bym cię nie zostawił. Dopóki oddycham, będę walczył dla ciebie i Everleigh. Nie ze względu na Gage'a, lecz na was. Wiesz to, prawda?

Wiem. Łzy napływają mi do oczu.

- Zrobiłbym wszystko, żebyście były bezpieczne. I cokolwiek stanie się jutro, chcę, żebyś wiedziała, że gdy podpisywałem kontrakt, byłem świadom prawdopodobnych konsekwencji.

- Nie mów tak! - z moich ust wyrywa się szloch.

- Cii - szepcze, w jego oczach również pojawiają się łzy. - Gdyby w tej klatce coś mi się stało...

- Nie - płaczę i wtulam twarz w jego pierś. Nie mogę tego słuchać.

- Jules, proszę - błaga i unosi moją głowę, żebym na niego popatrzyła. Łzy spływają po moich policzkach, mocząc koszulkę. - Musisz mnie wysłuchać. Gdy stąd jutro wyjdę, muszę mieć świadomość, że mnie

wysłuchałaś.

Kiwam głową. Chociaż nie chcę słuchać, robię to skoro ma mu to jakoś pomóc.

- Jeżeli jutro nie skończy się dla mnie dobrze, chcę, żebyś przeczytała list Gage'a. Bo zgadzam się z nim. Zaslugujesz na szczęście. Zaslugujesz na dobre życie. Zaopiekuj się Ever i sobą. Rób wszystko, co konieczne, żeby przetrwać.

- Nie mogę żyć bez ciebie - szepczę. - Nie mogę cię stracić, Crew. Nie jestem w stanie nawet o tym myśleć.

Przyciąga mnie do siebie, a ja wdycham jego zapach. Serce łomocze mu w piersi. Moje rozpada się na kawałki.

- Kocham cię, Julio.

Odsuwam się i patrzę mu w oczy.

- Kocham cię. Całą sobą. Gdy wyjdiesz jutro z tej klatki, a Ever poczuje się lepiej - uśmiecham się, gdy widzę jego szeroki uśmiech - weźmiemy ślub na plaży. Ever będzie rozrzucać płatki kwiatów, a my założymy naszą własną rodzinę.

- Uwielbiam to. Chcę tego bardziej niż czegokolwiek innego.

- Kocham cię - szepczę. Pochylam się i całuję go. - Tak bardzo cię kocham. Byłeś moją pierwszą i ostatnią miłością. Nie było nikogo przed tobą i nie będzie nikogo po tobie.

W jego oczach pojawia się błysk.

- Jesteś moją *jedyną* miłością. Nigdy nie kochałem nikogo innego.

- Mamusiu? - Odwracam się i widzę, że Ever stoi w progu ze swoją małpką. Odsuwam się od Crew, bo nie chcę, żeby zobaczyła nas razem.
- Mogę spać z tobą i tatusiem?

- Och, Ever! Nie śpię tu, dziecinko. My tylko rozmawialiśmy.

Idzie w naszą stronę i wspina się na łóżko. Crew odsuwa się na bok, a Ever wsuwa się pod kołdrę między nami.

- Powinnaś tu spać - mówi, ziewając. - Mamusie i tatusiowie powinni spać razem.

Patrzę nad nią na Crew. Szepcze „Mówiłem”. Nie mogę się nie uśmiechnąć. Ever tuli się do Crew, przyciskając do siebie małą. Wyciąga rękę i kładzie ją na moim policzku.

- Kocham was oboje.
- Nie tak, jak my ciebie - odpowiada Crew. - A teraz idźmy spać. Jutro czeka nas wielki dzień.
- Opowiesz mi bajkę, tatusiu?

Crew pęcznieje z dumy, jak za każdym razem, gdy go tak nazywa.

- Wiesz, że bajki nie są moją mocną stroną.

Znowu ziewa.

- Opowiedz mi tę o dwóch księżętach.

Posyłam mu pytające spojrzenie, a on odpowiada zmieszonym uśmiechem.

- Zostawmy ją na później. Może mamusia ci jakąś opowie?
- Chyba chciałabym usłyszeć tę historię - odpowiadam z przebiegłym uśmiechem. Nie jestem pewna, dlaczego, ale wydaje mi się, że spodobałaby mi się.
- Jest dobra - mówi śpiącym głosem Ever. - Mówi o dwóch księżętach,

którzy kochają piękną księżniczkę. Kochają ją tak samo, ale inaczej... -
mówi dalej, ale nie słyszę jej. Jestem tylko w stanie patrzeć w oczy
mężczyzny leżącego naprzeciwko mnie.

Crew

Stoję w salonie i rozglądam się dookoła. Nie chcę wychodzić, bo wiem, że gdy to zrobię, nic już nie będzie takie samo.

Podnoszę torbę z podłogi i patrzę po raz ostatni na miejsce, które stało się dla mnie domem. Idę w stronę drzwi, ale słyszę coś za sobą.

- Tatusiu?

Odwracam się. Ever stoi w progu w swojej piżamie z Dzwoneczkiem i patrzy na mnie.

- Dokąd idziesz?

Właśnie tego chciałem uniknąć. Klękam na jedno kolano i pokazuję jej, żeby do mnie podeszła. Drepcze przez pokój i przytula się do mnie.

- Muszę iść do pracy.

- Wrócisz na kolację?

- Nie, małpeczko. Nie dzisiaj.

- Jeżeli jutro poczuję się lepiej, pójdziemy do parku? Mamusia powiedziała, że w poniedziałek muszę wrócić do szpitala. - Marszczy brwi. - Brakuje mi naszych wyjść do parku.

Duszę w sobie łzy. Tak wiele chcę jej powiedzieć, tak wiele chcę, żeby wiedziała. Wiem, że jest za malutka i krucha, żeby to wszystko usłyszeć.

- Tak, jeżeli będziesz czuła się dobrze, pójdziemy jutro do parku.

Całuje mnie w policzek i staje prosto.

- Małpeczko, chcę, żebyś coś mi obiecała, dobrze?

Kiwa głową

- Nigdy nie zapominaj, że cię kocham.
- Wiem to - mówi z urazą.
- Ciesz się tym. Ale czasami dzieją się różne rzeczy i gdy dorośniesz, zapomnisz. Zapomnisz, co zrobili dla ciebie ludzie, gdy byłaś mała, i że zrobili to, bo cię kochali. I wiedzieli, co jest dla ciebie najlepsze, kiedy ty tego nie wiedziałaś.
- Dobrze - uśmiecha się. - Zapamiętam.

Wiem, że nie zapamięta. Jest za mała.

- Ale pewnie będziesz musiał mi przypominać, bo tam było strasznie dużo słów, a mnie od leków boli głowa.

Całuję jej łysą główkę.

- Jesteś moją małą wojowniczką, panienko Everleigh.
- A ty jesteś moim dużym wojownikiem, panie Tatusiu - chichocze.

Miejmy nadzieję, Ever. Miejmy pieprzoną nadzieję.

JULIA

Budzi mnie szczekanie psa na zewnątrz. Wyciągam rękę, ale trafiam na pustkę.

Siadam szybko i rozglądam się dookoła. Światło wpada do środka przez okno, a moje serce łomocze w piersi. Zaczynam panikować.

Gdzie oni są?

Chwytam podomkę i pędzę do drzwi. Idę korytarzem, skręcam do salonu. Ever leży na kanapie i ogląda cicho kreskówki.

- Cześć, dziecinko. Gdzie jest Crew? - pytam, usiłując zawiązać pasek od szlafroka.

- Tatuś wyszedł.

Chwytam się jedną ręką za gardło i walczę z łzami. *Odszedł. O, Boże. Co jeśli...*

- Jak dawno? - pytam. - Przed czy po bajce? - Patrzę na zegarek.

- Obejrzałam część jednego odcinka i cały ten.

Jakieś czterdzieści pięć minut temu.

Uśmiecham się najcieplej, jak potrafię.

- Dobrze. Jak się dzisiaj czujesz?

- Dobrze. Tatuś powiedział mi kilka sekretów. Jeden mogę ci zdradzić - uśmiecha się tajemniczo. - Na szafce w kuchni leży koperta. Tatuś powiedział, żebym upewniła się, że ją znajdziesz i nie rozlejesz na nią kawy.

Serce łomocze mi w piersi, tłukąc się o żebra. Wpadam do kuchni i dostrzegam opartą o toster kopertę. Widnieje na niej moje imię, napisane niechlujnym charakterem pisma Crew. Patrę się na nią i niemal boję się jej dotknąć. Ostatecznie wygrywa ciekawość.

Podnoszę ją, jest cięższa, niż oczekiwałam. Otwieram ją i wyjmuję ze środka plik dokumentów. Odkładam je na bok i już mam wyrzucić kopertę, gdy wyczuwam coś na jej dnie. Przekręcam ją do góry nogami, a ze środka coś wypada i toczy się po blacie, aż zatrzymuje się na ekspresie do kawy.

Wyciągam rękę i zamieram. Kolana mi miękną, z ust wyrywa się szloch. Drżącą ręką podnoszę swoją obrączkę. Unoszę ją i patrzę na nią, jest w idealnym stanie. Zaciskam ją w dłoni i zamykam oczy. Jeszcze to do mnie nie dociera.

Wsuwam ją na palec, żeby się nie zgubiła. Czuję ulgę, gdy mam ją z powrotem. Nie wierzę, że ją odzyskałam.

Podnoszę plik papierów. Na samej górze znajduje się wiadomość od Crew. Przeglądam pozostałe kartki i upuszczam je na podłogę.

Mój Boże.

Przyklekam i zbieram je, a jednocześnie staram się, żeby nie zamoczyć ich łzami. Są to jednocześnie najpiękniejsze i najbardziej przerażające dokumenty, jakie widziałam.

Polisa na życie, nr 110302070202, Pan Crew Michael Gentry.

Po śmierci wypłacić Pani Julii Nicole Gentry.

Boję się ich dotknąć. Wkładam je z powrotem do koperty, jakby parzyły mnie w ręce. Nie chcę ich nigdy więcej widzieć.

Ze spływającymi po twarzy łzami i sercem bijącym tak mocno, że boję

się, że pięknie, podnoszę wiadomość od Crew.

Jules,

Zacznę od tego, że tak, ściągnąłem ten pomysł od Gage'a.

Cokolwiek się jutro stanie, pamiętaj, że to była tylko i wyłącznie moja decyzja. Planuję wrócić w środku nocy. Powinnaś czekać na mnie w naszym łóżku. Nigdy więcej nie będziesz spała gdzie indziej. Po tym, jak ten ciężar spadnie z moich pleców, trochę się zmieni. Częściej będę w pobliżu. Będę mógł pomagać Ci przy Ever. Postaram się być dla Ciebie wszystkim, czego potrzebujesz.

Jeżeli to wszystko skończy się nie po mojej myśli, w kopercie są dokumenty. Gdzieś tam, znajduje się wizytówka. Zadzwoń do tego faceta, a on się o was zatroszczy. Poznałem go w college'u, jest naprawdę w porządku. Jeżeli nie wrócę do domu, on zajmie się wszystkim. Wie, że ma zapłacić za terapię, a pozostałe, pieniądze wyptać Tobie. W sprawie innych rzeczy kontaktuj się z Willem.

Wiem, że płaczesz, ale powinnaś przestać. Wiem, że się boisz, ale nie powinnaś. Bo nawet jeśli przegram, dostaniesz pieniądze z polisy. I o to chodzi..., w obu przypadkach jesteśmy wygrani. Obiecałem ci, że zdobędę pieniądze. I zdobyłem.

Kocham, cię. Będę cię kochał do ostatniego tchu.

Crew.

PS: W kopercie jest też Twoja obrączka. Zachowaj ją Należy do Ciebie.

Kulę się na podłodze i nie jestem w stanie zapanować nad wyrywającym się z ust szlochem.

Płaczę za Crew, Ever, siebie i Gage'a.

Płaczę za dziecko, które noszę pod sercem, a o którym nie miałam szansy mu powiedzieć.

Płaczę za to wszystko, co się między nami wydarzyło i za to wszystko, co się wydarzy.

To będzie najdłuższy dzień mojego życia.

CREW

Maty chłodzą moją skórę, gdy się rozgrzewam. Siadam i rozciągam nogi, plecy, ręce. Jestem spokojny, koncentruję się na swoim zadaniu, choć jednocześnie nie mogę skupić się ani trochę. Nie mogę wyłączyć się tak szybko. Przede mną wciąż kilka godzin czekania, zanim to wszystko się zacznie.

Patrzę, jak Will i Victor zanoszą sprzęt do samochodu. Kiedy zjawiłem się tu rano, zastałem na miejscu Victora. Zapytał, czy może coś zrobić. Sal pozostawił decyzję mnie, bo każdy zawodnik ma inne preferencje co do tego, kto ma znajdować się w pobliżu, gdy będzie przygotowywał się do walki.

Lubię Victora. Nasze osobowości się uzupełniają. Zna swoje miejsce i wie, co robić. Ustępuje mi, siedzi cicho i wykonuje swoją pracę. Teraz pomaga przy załadowaniu i pakowaniu sprzętu, a potem pomoże mi zakończyć przygotowania do walki.

Poprosiłem go, żeby dostarczył bilety Adamowi i Dave'owi. Will zadzwonił do nich kilka dni temu. W końcu ta walka odbędzie się dzięki ich nagraniu.

W moich słuchawkach rozbrzmiewa „Not Afraid” Eminema. Zdaje się, że na tę chwilę jest to mój hymn. Jednak w drodze do klatki będę słuchał „Lose Yourself”.

Sal wchodzi na matę w szarym dresie i koszulce z napisem „Wiara”. Zdejmuję słuchawki.

- Gotowy? - pyta, stając przede mną.
- Sal? Czy ja kiedykolwiek nie byłem gotowy do walki?

- Masz ostatnią szansę, żeby się wycofać - mówi z uśmiechem.

Nie reaguję.

- Dobrze. Za trzy godziny masz ważenie, więc chodźmy do green roomu, żebyś mógł się przygotować. Kiedy dotrzemy na miejsce, sprawy nabiorą tempa. Nienawidzę ważenia w dniu walki.

- Cóż, to ma sens - mówię. - Powstrzymuje chłopaków od chorobliwego schodzenia z wagi, żeby potem szybko nabrać masy.

- To tylko wprowadza zamęt - mówi z niesmakiem. -W każdym razie, to moje zmartwienie. Chodźmy tam, niech cię zważą i załatwmy wszystkie te omówienia zasad i inne gówna.

Już ma odejść, ale odwraca się nagle.

- Chciałem tylko powiedzieć... - głos mu się załamuje. Odwraca głowę, a przez jego twarz przebiega wyraz zdenerwowania.

Przełykam gulę w gardle. Odkąd znam Sala D'Amato, nigdy nie widziałem go zdenerwowanego.

- Porozmawiamy później. Chodźmy.

Julia

Głos mi drży.

- Zaczyna się o dwudziestej drugiej - mówię Olivii.

- Chcesz, żebym do ciebie przyjechała? A może wezmę Everleigh do siebie?

Wzdycham, w głowie mam mętlik, z sercem jest jeszcze gorzej.

- Czy wie, co się dzieje? - pyta Olivia.

- Nie, nie ma o niczym pojęcia. Myśli, że pojechał do pracy i wróci późno. Nie chciałam jej nic mówić.
- Przyjadę i ją zabiorę. Tak będzie łatwiej, Julio.
- Nie wiem, co będzie lepsze. Nie chcę, żeby widziała walkę. Nie chcę, żeby widziała mnie w takim stanie, a i tak już jest ze mną bardzo źle. Jednocześnie na myśl, że będę tu sama, patrząc na to wszystko... - Wszystko się we mnie skręca. - A jeśli to nie skończy się tak, jak planował?
- Nie myśl tak. Pozwól mu robić swoje. Wie, co robi, skarbie. Przyjadę niedługo po Ever. Będzie u mnie Rory, więc one się pobawią, a ty będziesz miała czas dla siebie.
- Co ja bym bez ciebie zrobiła?
- Niedługo przyjadę.

Crew

Zasypuję łapy bokerskie kolejnymi ciosami. Victor porusza się, a ja znowu trafiam.

Czuję się dobrze. Czuję się silny. Czuję się szybki.

Cios! Cios! Cios!

Uderzam lekko w łapy, przygotowując swoje ciało.

- Wystarczy - mówi Sal, wchodząc do pomieszczenia. - Chcę, żebyś trochę odpoczął przed rozciąganiem. Mamy - patrzy na zegarek - jakieś dwie godziny.

Victor zdejmuję łapy i kładzie je na krzesło. Patrzy na Sala i czeka na instrukcje.

- Chcesz wody? - pyta z kąta Will. Siedzi na krześle, zajmując się nadchodzącymi połączeniami i wiadomościami. Od czasu do czasu przekazuje mi, co mówią kontaktujące się z nim osoby. Dobrze się czuję, wiedząc, że chłopaki z doków, ludzie z Shenanigans, a nawet osoby, których nie widziałem od lat, wspierają mnie.

- Tak - odpowiadam. Nie chce mi się pić, ale muszę się nawadniać. Poranne ważenie przeszedłem z łatwością - niecałe osiemdziesiąt cztery kilogramy, ale wcześniej w razie czego nie piłem za wiele.

W pokoju jest za ciepło, znajduje się tu za dużo ludzi. Czuję się rozchwiany, nie mogę się uspokoić, dookoła panuje za duże zamieszanie. Potrzebuję trochę czasu dla siebie, kilka minut z dala od ludzi, którzy patrzą na mnie jak na gladiatora idącego do Koloseum.

Jestem wdzięczny za to, że mam tu tych chłopaków. Dali mi swój czas,

wsparcie i lojalność. Bez nich nigdy bym się nie przygotował. Nigdy nie dotarłbym do tego miejsca. Z ich pomocą przygotowałem się do największej walki swojego życia, ale w tej chwili poświęcają mi za dużo uwagi. Muszę zebrać myśli. Skoncentrować cię. Przypomnieć sobie, co robię. Co mnie czeka.

- Czy moglibyście wyświadczyć mi przysługę i wyjść stąd na chwilę? Potrzebuję odetchnąć - mówię.

Wymieniają między sobą spojrzenia. Will wstaje.

- Jasne.

Sal otwiera drzwi i wychodzą. W końcu drzwi zamykają się za nimi. Patrzę na nie przez dłuższy czas, żeby się upewnić, że żaden z nich nie wróci. Gdy mam pewność, że będę sam, kładę się na podłodze.

Kafelki są zimne i twarde. Uspokajają moje ciało i umysł. Ziemia to miejsce, gdzie czuję się najbardziej komfortowo. Rozkładam ramiona na boki i zamykam oczy.

Cały dzień zabraniałem sobie myśleć... właściwie to robiłem to już od kilku dni. Chciałem być skupiony, nie komplikować swoich myśli. Ale wiem, że nie mogę tam wyjść, nie rozliczając się z nimi.

Wstaję i podchodzę do leżącej w kącie torby treningowej. Otwieram przednią kieszeń i wydaję zdjęcie, które włożyłem tam zeszłej nocy. Jestem na nim ja, Julia i Olivia. Kilka tygodni temu Olivia je nam zrobiła. Ever i ja, ze świeżo ogolonymi głowami, pokazujemy języki. Jules nie spodobało się, że powiedziałem, żeby zrobiła to samo; uznała, że to nie przystoi kobiecie. Śmieję się na wspomnienie jej pięknej twarzy, gdy patrzyła na mnie surowo.

Przesuwam kciukiem po zdjęciu, żałując, że to nie skóry Jules dotykam. Ona mnie uspokoja, daje równowagę, sprawia, że wszystko jest dobrze tak długo, jak mam ją u boku.

Ale to nieprawda.

Wszystko będzie dobrze, jeżeli dzisiejszy wieczór skończy się po mojej myśli.

Siadam i patrzę na moją córkę.

Moja córka.

Na tę myśl uśmiecham się, a do moich oczu napływają łzy. Może nie jest moją biologiczną córką, ale nie mam żadnych wątpliwości, że bardziej moja być nie może. Pokochałem tę małą dziewczynkę w chwili, gdy ją zobaczyłem. Wszedłem do sali szpitalnej, w której leżała Julia, a Gage dał mi ją na ręce. Pamiętam jego minę, tę dumę, gdy dotykał jej policzka. Otworzyła wtedy oczy i objęła swoimi malutkimi paluszkami mój kciuk.

- *Zdajesz sobie sprawę, jak popieprzeni jesteśmy?- zapytałem go, patrząc na tę małą idealną istotę.*

- *Nie klnij przy niej - mówi, na co parskam śmiechem. - Ale tak, zdaję sobie sprawę, jakie kłopoty nas czekają. - Kładzie mi rękę na ramieniu. - Będziesz musiał pomóc mi jej chronić, Crew. Obaj będziemy musieli się poświęcić.*

- *Jestem z tobą, bracie. Nie martw się o to.*

Zwieszam głowę, ręka, w której trzymam zdjęcie, opada na bok.

- *Słuchaj - mówię głośno. - Nie wiem, czy mnie słyszysz, czy muszę wykonać jakąś specjalną czynność, żeby z tobą porozmawiać. Nie jestem nawet pewien, czy w ciebie wierzę. Skoro jesteś tym dobrym, kochającym Bogiem, to dlaczego pozwoliłeś, żeby doszło do tak wielu tragedii? Dlaczego odebrałeś Julii i Ever mojego brata? Dlaczego pozwoliłeś tej dziecinie tak ciężko zachorować? Bardzo to wszystko popieprzone. Jeśli mnie słuchasz, chcę ci w tej chwili powiedzieć, żebyś się pieprzył. Bo nie rozumiem tego i nie wątpię, że nie byłbyś w stanie*

mi tego wyjaśnić.

Ale powiedzmy, że istniejesz, i uznajmy, że cię to wszystko interesuje. Chcę zawrzeć z tobą umowę. Wiem, że nie stoję na dobrej pozycji, żeby pertraktować, bo to, ile razy byłem w kościele, można zliczyć na palcach rąk, a modliłem się jeszcze mniej. Ale doceniam, że teraz mnie słuchasz.

Nic nie zyskasz, zabierając Everleigh. Zniszczysz Julię, która już ledwo się trzyma. I tak zabrałeś jej zbyt wiele. Dlatego w zamian weź mnie. Ukarz mnie, zamiast nich... a ja to wezmę na siebie. Odbierz mi zdrowie. Odbierz mi życie, do cholery. Nie dbam o to. Jakąkolwiek cenę miałbym ponieść, zrobię to. Tylko daj moim dziewczynom spokój. - Wstaję i zaczynam chodzić po pokoju. - Mam nadzieję, że mnie w tej chwili słuchasz. Niedługo wyjdę stąd i stanę twarzą w twarz z jednym z twoich tworów, Hunterem Davidsonem. Nie modlę się o zwycięstwo, nie proszę o jego przegraną. Proszę cię tylko, żebyś zrobił ze mną, cokolwiek zechcesz, ale w zamian chroń moje dziewczyny przed wszelkim złem.

Uderzam pięścią w wiszący w kącie worek treningowy.

- Słyszysz mnie?! Słyszysz? Weź mnie! Będę twoją ofiarą! Rozkładam ręce na boki, wszystkie mięśnie napinają się, gdy emocje stają się nie do zniesienia. Odchylam głowę i zamykam oczy.

-Jestem tu. Oddaję się tobie. Tylko daj im spokój. Biorę głęboki oddech i wypuszczam go, a moją duszę zalewa fala ciepła.

- Proszę, Boże, proszę, niech nic im się nie stanie.

Julia

Proszę, Boże, proszę, niech nic mu się nie stanie.

Klęczę przed łóżkiem, ręce trzymam złożone przed sobą. Przypomina mi to czas, gdy byłam małą dziewczynką, a babcia uczyła mnie, jak się

modlić. Nie robiłam tego często, ale modlitwa pozwala mi się wyciszyć.

- O wiele cię już prosiłam — mówię, mój głos niesie się echem po pokoju. - Chyba wydaje ci się, że jestem silniejsza, niż może się wydawać. Ale *nie jestem*. - Pochylam głowę i opieram ją na przedramionach. - Nie jestem silna, nie na tyle, żeby radzić sobie z *tym!*

Moje słowa przerywa szloch. Łzy płyną strumieniami i z podbródka spadają na koszulkę z uniwersytetu w Minnesocie, którą znalazłam i założyłam.

- Proszę, nie opuszczaj nas dzisiaj. Proszę, chroń go, Boże. Zapewnij mu bezpieczeństwo. Musisz to dla mnie zrobić. Oddałam ci już Gage'a, a teraz walczę, żeby zatrzymać Everleigh. Dlaczego chcesz odebrać mi wszystkich, których kocham?

Cała drzę, łzy płyną z taką siłą, że szlochy niemal rozrywają mnie na strzępy.

- Nie możesz go zabrać! Nie oddam go. Nie! - zawodzę. - Jeżeli chcesz mnie ukarać za coś, co zrobiłam, ukarż mnie! Spraw, żebym zachorowała na raka. Spraw, żebym zginęła w wypadku. Jeśli musisz, odbierz mi ręce i nogi! Ale nie zabieraj mi serca i duszy. Proszę!

Upadam na podłogę i leżę z rękami na sercu. Moja pierś drży od siły płaczu. Jestem sama, przerażona, a wiem, że najgorsze przede mną.

Crew

Gdy drzwi znowu się otwierają, słyszę ryk tłumu. Sal i Will wchodzą do środka i zamykają je szczelnie za sobą.

- Gotowy? - pyta stanowczym głosem Sal.

Rozgrzewam szyję i wyciągam ręce nad głowę.

- Tak.

Will kiwa głową, bo nie musi tak naprawdę nic mówić. Jego spojrzenie mówi wszystko.

Odpowiadam kiwnięciem, a na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

- Do roboty - mówi Sal i otwiera drzwi. Do środka wlewają się wrzaski widzów, muzyka dudni w powietrzu. Ich ekscytacja jest namacalna, nawet tutaj. To oczywiste, że nie chodzi o kolejną walkę Huntera Davidsona; ta walka jest czymś wielkim... dla nas wszystkich.

Robię krok do przodu, ale Sal zatrzymuje się nagle. Znowu zamyka drzwi i odwraca się do mnie.

- Zanim ruszymy tym korytarzem, chcę tylko coś powiedzieć. - Obserwuj mnie uważnie, jakby szukał słów, które chce mi powiedzieć.

- Kilka lat temu przejeżdżałem obok Shaw's i zobaczyłam grupę bijących się dzieciaków. Wśród nich dostrzegłem jednego, który przykuł moją uwagę. Zatrzymałem się i podszedłem do niego. Był zarozumiały i niewzruszony. Teraz patrzę na tego samego chłopaka. Jest najsilniejszym sukinsynem, jakiego kiedykolwiek poznałem. - Przerzywa i bierze głęboki oddech. - Cokolwiek się stanie, gdy przejdziemy tym korytarzem, nie zapominaj, kim jesteś.

Gdy otworzę te drzwi, zobaczysz rzeczy, których nigdy nie widziałeś. Będzie tam więcej ludzi niż na wszystkich zawodach zapaśniczym w NCAA, w których brałeś udział. Gwiazdy filmowe, politycy, modelki, prezesi, wszyscy będą mieli coś do powiedzenia. Ale ciebie ma obchodzić tylko to, kim jest Crew Gentry. Pamiętaj, o co walczysz.

Z niewyszlifowanego dzieciaka, który nie miał perspektyw na przyszłość, wyrósł mężczyzna, którym jesteś dzisiaj. Mężczyzna z tak wielkim sercem, rozumem i lojalnością, że większość ludzi nie dorasta mu do pięt. Łatwo być mężczyzną, gdy życie jest łatwe i usłane kwiatami. Ale prawdziwym sprawdzianem na męskość jest to, jak poradzi sobie w gównianej sytuacji. Gdy życie rzuca w ciebie takim syfem, że nie nadążasz się przed nim bronić. Powiem ci, dzieciaku, że ty już zdałeś ten test. A teraz chodźmy tam i zakończmy to.

Stoimy twarzą w twarz. Czuję jego energię, wsparcie. Absorbuję to wszystko i zachowuję, pozwalam jego słowom zamieszkać w mojej głowie.

- Jesteś najbardziej utalentowanym dzieciakiem, jakiego trenowałem. Chcę, żebyś wyszedł dziś na matę i pokazał, co potrafisz. Pamiętaj, co ci mówiłem: masz jedną szansę. Nie zmarnuj jej. Jeżeli się tam nie wykażesz - milknie, a ja wiem dokładnie, o co mu chodzi - nigdy sobie nie wybaczysz.

Biorę głęboki oddech i po chwili go wypuszczam. Will zarzuca mi słuchawki na szyję i podnosi biały ręcznik z ławki.

- Will - zaczynam, odwracając się.

- Ach, Crew. Wiem, że mnie kochasz. Masz ochotę na zbiorowy uścisk?

- Pierdol się, Will.

Will uśmiecha się.

- Później. Teraz chodźmy tam i załatwmy tego kutafona.

Kiwam na Sala, który otwiera drzwi. Tłum szaleje, w tle rozbrzmiewa muzyka na wejście Davidsona. Aloe Blacc's „The Man”.

- Załóż słuchawki i odetnij się - mówi Will, wsuwając mi je na uszy.

Kręcę głową i potrząsam rękami, żeby ciało było rozgrzane i rozluźnione. Victor czeka na nas na korytarzu i dołącza do naszej grupy, gdy kierujemy się w stronę wejścia. Reporterzy i kamerzysta NFL widzą, że się zbliżamy, więc ustawiają się w gotowości. Pochyliam głowę, a Will zarzuca mi na nią ręcznik.

Tunel rozciąga się przed nami, tłum milknie, gdy przygasają światła.

Czeka na mnie czarna dziura, a ja idę w jej stronę krok za krokiem.

- Jesteście gotowi? Pokażę wam coś, co warto zapamiętać - mówię, klepiąc się kilka razy po twarzy.

Will kładzie mi ręce na ramionach i rozgrzewa je.

Zapomniałem, jakie to uczucie. To poruszenie i podekscytowanie towarzyszące walce nie mają sobie równych.

Tęskniłem za tym. Właśnie po to się urodziłem. Adrenalina płynie w moich żyłach, nakręca mnie. Czuję się niezwyciężony.

Moje usta unoszą się w uśmiechu, dlatego pochylam głowę, żeby kamery go nie uchwyciły. Przekręcam głowę na bok i nawiązuję kontakt wzrokowy z Salem. Widzi moje spojrzenie i śmieje się.

- Zabójcą nie można się stać. Oni się po prostu rodzą - mówi tak, żebym tylko ja usłyszał. - Właśnie po to się urodziłeś, dzieciaku. Gdy tam wejdiesz, zniszcz go, Crew. Miejsce, z którego pochodzisz, nie zna litości. Jemu też jej nie okazuj.

Naciskam przycisk na słuchawkach, pierwsze dźwięki „Lose Yourself”

rozbrzmiewają, gdy docieramy do końca tunelu. Robię jeszcze jeden krok i pada na mnie snop światła. Unoszę wzrok, a na każdym ekranie widać moją twarz. Z każdej strony rozbłyskują flesze.

Wszyscy patrzą na mnie.

JULIA

Gdy Hunter wchodzi do klatki, zaczynają się reklamy. Wygląda na większego i groźniejszego, niż zapamiętałam. W czerwonych błyszczących spodenkach i włosach ułożonych w idealnego irokeza wygląda na takiego dupka, jakim wiem, że jest.

Mam właśnie usiąść na kanapie, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Nie mam pojęcia, kto to, a nie chcę odchodzić od telewizora. Czuję się rozdarta, dlatego krzyczę:

- Kto tam?
- Julia! To ja, Macie.
- Macie?
- Tak! Ze szpitala!
- Wejdz! Drzwi są otwarte!

Patrzę na końcówkę reklamy napoju, gdy w progu salonu pojawia się Macie. Kładzie torebkę na szafce i uśmiecha się do mnie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, kochanieńka, ale uznałam, że to nie jest dobry pomysł, żebyś była sama. Will uznał, że dobrze będzie, jeśli przyjadę...

Uśmiecham się z wdzięcznością.

- Dziękuję. Może twoja obecność pomoże mi nie zwariować.

Odwzajemnia uśmiech i siada obok.

- Byłabym wcześniej, ale przedłużyła mi się zmiana. Odczytałam wiadomość Willa, gdy tylko wyszłam. Od razu przyjechałam.

Uciszam ją, gdy wracają do studia, i wskazuję na ekran.

- Nigdy nie widziałem, żeby walka niezwiązana z zawodami przyciągała taką uwagę, Nate - mówi komentator. - Crew Gentry pojawia się w zasięgu kamer, a tłum szaleje. To niesamowite!

Patrzę, jak wszystkie kamery kierują się w jedną stronę. Crew idzie w stronę klatki, na głowę ma zarzucony ręcznik. Towarzyszy mu jakiś mężczyzna, Will trzyma się parę kroków za nim. Światała padają prosto na niego, tłum wrzeszczy, jakby był gwiazdą rocka.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepczę do Macie.

- Ludzie zrywają się na nogi i zachowują, jakby to była walka wieczoru! Nie zapominajmy, że czeka nas jeszcze starcie Love'a z Briscim - śmieje się komentator.

- Marv, nikogo to nie obchodzi - śmieje się Nate. -To jest główna walka, choć nie jest nią nazwana.

- Gdy na to patrzę, muszę się z tobą zgodzić, Nate. Reakcja na Gentry'ego jest porównywalna do tej na Davidsona.

Ręcznik zsuwa się odrobinę i widzę jego oczy. Patrzy przed siebie, nie w stronę kamer, zdaje się nie dostrzegać szaleństwa, które omawiają komentatorzy.

- Siedzę w tym od lat, a nigdy nie widziałem, żeby wojownik wchodził do klatki bez muzyki - zauważa Marv. - Ma na sobie czarne spodenki i żadnego intro. Jego zespół ma na sobie czarne koszulki z napisem „Wiara” na przedzie, a z tyłu widnieje „Crew Gentry”. Porównując to do jaskrawoczerwonych spodenek i podkreślającej samouwielbienie

muzyki Davidsona, nasi zawodnicy nie mogą być większymi przeciwieństwami!

- I właśnie dlatego walka zapowiada się tak interesująco, Marv.

Crew dociera do wejścia do klatki. Przed nim staje mężczyzna w czerni. Crew pokazuje mu ochraniacz na zęby i rękawiczki. Kiwa głową na słowa mężczyzny i przekracza próg klatki.

Żołądek mi się skręca. Gdy komentatorzy zaczynają omawiać statystyki, biegnę do łazienki i wyrzucam z żołądka całą jego zawartość.

Crew

Drzwi do klatki zamykają się za mną. Patrzę na drugi koniec maty i widzę tego skurwysyna, którego tak bardzo chcę dopaść.

Podskakuje jak kretyn, próbując mnie zastraszyć. Uderza się po twarzy i wrzeszczy. Chce mi się śmiać, ale jeszcze bardziej chcę mu dokopać. Nie wiem, czy robi to ze względu na mnie, czy pod publikę.

Potrząsam rękoma i pochylam się kilka razy, żeby rozciągnąć nogi, cały czas utrzymuję z nim kontakt wzrokowy. Nie muszę wyginać się jak gimnastyk, żeby go zastraszyć. Muszę tylko się upewnić, że spojrzy mi w oczy. Tylko to wystarczy, bo w przeciwieństwie do niego nie jestem błaznem. Jestem wojownikiem.

Sędzia staje na środku klatki i nakazuje nam ruchem ręki, żebyśmy podeszli. Hunter szczerzy się debilnie, idąc w moją stronę, a ja odpowiadam śmiertelnie poważnym spojrzeniem. Takim samym, jakim obdarzam go od chwili wejścia do klatki. Dla mnie to nie jest zabawa. Dla mnie jest to zbieg okoliczności, przychyłność gwiazd, szansa na naprawienie czegoś.

Sędzia wyciąga między nami ręce, a z góry zsuwa się mikrofon. Ryk tłumu jest ogłuszający, pełen ekscytacji. Patrzę na Huntera, a wszystkie dźwięki zanikają. Jesteśmy tylko ja i on.

- Panowie - mówi sędzia. - Chcę czystej walki. Słuchajcie moich poleceń i pilnujcie się. Dotknijcie się rękawicami i wracajcie do swoich narożników.

Davidson wyciąga rękawice, a ja w nie uderzam. Naciera na mnie, zachowując się, jakby miał przekroczyć niewidzialną granicę i zacząć walkę już teraz.

Słyszę jego śmiech.

- Kurwa, człowieku, twoja dziewczyna smakuje wyśmienicie. Nie mogę się doczekać, kiedy przyszę się do tej jej małej cipki.

Zalewa mnie fala czystej nienawiści. Natychmiast wyciągam po niego ręce i celuję w jego twarz. Hunter się tego spodziewał, dlatego zdążył cofnąć się parę kroków. Rzucam się do przodu, gotów wykończyć go właśnie w tej chwili. Sędzia staje między nami i chwyta mnie w pasie.

- Gentry! Wystarczy! Do narożników! - mówi, stojąc ze mną twarzą w twarz.

- Tak, zrobię to! - krzyczy z drugiego końca maty Davidson. - Zaraz po tym, jak pochowam cię obok brata.

Znowu rzucam się w jego stronę, ale sędzia mnie odpycha.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę, Gentry!

Sędzia, zadowolony, że znajduję się wystarczająco daleko, żeby nie dopaść przeciwnika przed gongiem, odwraca się do Davidsona.

- Graj czysto, Davidson!

Dopiero wtedy docierają do mnie głosy Sala i Willa, prawie zagłuszone krzykami publiczności. Jest cholernie gorąco, a unosząca się w powietrzu energia niemal elektryzuje. Tłum czeka niecierpliwie, gotowy na to, by zobaczyć, jak dopełnia się nasza zemsta planowana od lat.

- Gentry. Do kurwy nędzy, słuchaj mnie! - krzyczy Sal. Oglądam się przez ramię, ręce wsuwa między kraty. - Nie trać głowy! Niech jego słowa cię nakręcają, ale nie pozbawiają rozumu! Mamy plan i musimy się go trzymać, dzieciaku!

Sędzia wraca na środek, ręce wyciąga przed siebie. Rozbrzmiewa gong rozpoczynający pierwszą rundę.

JULIA

Gdy rozbrzmiewa gong, zrywam się na nogi. Nie wiem, czy mam krzyczeć, czy płakać. Myśli mam tak niespokojne, że ledwo funkcjonuję. Splatam palce przed twarzą.

- Dawaj, Crew. No dalej, kochanie - mruczę, gdy zbliża się do Huntera.

- No to zaczynamy - mówi komentator. - Hunter Davidson walczy w czerwonych spodenkach, Crew Gentry w czarnych.

Macie staję u mojego boku, rękę kładzie mi na ramieniu. Nie mogę oderwać wzroku od ekranu, gdy Crew i Hunter krążą po macie.

- Wyczuwają się - komentuje jeden z mężczyzn. - Żaden z nich nie chce jeszcze zejść do parteru. Musicie wiedzieć, że obaj byli czołowymi zapaśnikami Dywizjonu

Pierwszego w NCAA. Wszystko zależy od tego, który okaże się lepszy w ataku.

- Dalej, Crew. - Nie wiem, co innego mogę powiedzieć. Nie znam się na walkach. Wiem tylko, że patrzenie, jak krążą po macie, doprowadza mnie do szaleństwa.

- Obaj starają się ustalić plan gry. Obserwują swoje pozycje... Wow! Widziałeś to kopnięcie? - głos komentatora przeszywa powietrze.

Moje wnętrzości zaciskają się, gdy ciało Crew przyjmuje impet uderzenia. Wyprowadza cios, ale Hunter go blokuje. Hunter znowu kopie, a Crew odskakuje na bok. Wymieniają się ciosami i przysięgam, że czuję każdy z nich.

- Davidson próbuje przebić się przez... nieźle oberwał!

Crew wyprowadza silny cios, prosto w twarz Huntera, a za nim

następuje kilka szybkich uderzeń. Hunter zatacza się lekko, ale szybko odzyskuje równowagę.

- Dawaj, Crew! - mówię, chodząc w tę i z powrotem przed telewizorem.
- Daje radę, Jules. Daje radę! - zapewnia mnie Macie, ale nie czuję się przez to lepiej.

Crew podąża za Hunterem, aż lądują na kratkach.

Hunter został zapędzony w kąt, a Crew atakuje go, zalewając jego ciało serią ciosów.

- Świetny hak Gentry'ego. Nie zmienia to faktu, że Davidson wyprowadził jeden szybki cios. Gentry wydaje się być agresorem, za to Davidson jest bardziej opanowany, niczym zawodowiec, Nate. Mamy tutaj clinch, Gentry szuka możliwości zejścia do parteru.
- Jestem pod ogromnym wrażeniem, Marv, że Davidson jest tak spokojny. Nie bawi się w urazówkę, czego chyba wszyscy się spodziewali.

Gdy komentator milknie, słysząc ryk tłumu. To jest niesamowite i nie mam pojęcia, czy którykolwiek z nich jest w stanie się skoncentrować, ale wydają się być skupieni. Są ze sobą splątani i nie mam pojęcia, kto wygrywa, co robią, mały zastój w akcji daje mi chwilę wytchnienia, ale mam wrażenie, że prowadzi nas to do nieuniknionego... czymkolwiek to nieuniknione jest.

- Davidson ucieka - mówi komentator, gdy Hunter odpycha od siebie Crew i wraca na środek maty. - Mądre posunięcie ze strony Davidsona.

Sekundy na zegarze mijają. Hunter wyprowadza potężny cios, którego Crew z ledwością unika, a wtedy rozlega się gong.

Oddycham z ulgą.

Jedna runda za nami.

Crew

Wracam do swojego narożnika i usiłuję złapać oddech. Jestem spokojny i czuję ulgę, że tak szybko i naturalnie wdrożyłem się w walkę.

Will i Sal wpadają do klatki. Will rzuca mi butelkę wody. Uśmiecha się, oczy ma pełne życia.

- Świetna robota, stary!
- Crew, dobrze ci idzie. Jedna runda za tobą. Davidson się wstrzymuje i jeszcze nie pokazał, na co go stać. Szukaj okazji do nokautu i uważaj na prawą nogę. Zrobi się agresywny.
- Wiem - odpowiadam, wycierając twarz ręcznikiem, który podał mi Will.
- Jak się czujesz, dzieciaku?
- Dobrze. Silnie. Po to się urodziłem - mówię, uśmiechając się pewnie.
- W porządku. Idź i zrób to, co umiesz najlepiej. Oddaję mu butelkę i ręcznik.
- Poradzę sobie.

Klepie mnie po ramieniu, a potem we dwóch opuszczają klatkę przed rundą drugą. Słyszę, że brama zamyka się za nimi, tłum zaczyna wrzeszczeć, gdy sędzia wychodzi na środek i wyciąga przed siebie rękę.

Hunter zaczyna agresywnie, tak jak powiedział Sal. Wyprowadza naprzemiennie ciosy prawą i lewą ręką, ale blokuję je bez trudu łokciami.

Odpowiadam z całej siły i choć trafiam, to za wysoko. Davidson

odwraca się, gdy czuje impet uderzenia, a ja nie widzę nogi, którą wprowadził cios. Ale ją czuję.

Jego stopa trafia dokładnie w tył mojej głowy, tuż pod czaszką. Pochylam się, a on znowu kopie. Tracę oddech, przez mój kręgosłup przebiega spazm bólu. Funkcjonuję na tak wysokiej dawce adrenaliny, że nie czuję go w całości.

Znowu chce kopnąć, ale robię unik i zasypuję go kilkoma szybkimi ciosami, choć nie są tak mocne, jak wcześniej.

Coś jest nie tak.

Naciera na mnie, uśmiechając się. Wymieniamy ciosy, część jest trafiona, część nie, ale musi to wyglądać dobrze, bo widownia szaleje. Zaczynamy się od siebie odsuwać, gdy nagle ciągnie mnie za głowę w dół i uderza łokciem w mój kręgosłup.

Skurwysyn.

- Wynoś się stamtąd! - wrzeszczy na mnie Sal, jego głos przebija się przez ryk tłumu. - To był nielegalny cios, sędzio!

No weź! To nie bójka w ciemnej alejce tylko legalna walka!

Julia

Trochę go to ogłuszyło - mówi komentator, gdy Crew zatacza się, odsuwając się od Huntera. - Wygląda to tak, jakby Davidson celował w szyję Gentry'ego.

- Nie wiem, czy pamiętasz, Nate, ale dokładnie w tym miejscu Gentry doznał kontuzji podczas ich pierwszej walki.

- Wow, nie mogę uwierzyć, że Davidson zniżyłby się do takiego poziomu!

- Widocznie Davidson nie sądził, że Gentry dotrwa do drugiej rundy, Nate.

- Macie - szepczę, gdy Crew zbiera się do kupy. Siedzi u mojego boku i trzyma mnie. Patrzymy, jak atakuje Huntera, ale coś jest nie tak. Crew zatacza się, a jego ramiona nie są uniesione tak wysoko, jak wcześniej. Komentatorzy też to zauważają.

- Gentry w tej rundzie jest chyba wolniejszy. Nie wiem, czy przez ostrożność, czy to wina kopnięcia w kark. Trzeba pamiętać, że Gentry nie był w takiej sytuacji od lat.

- Może nigdy - odpowiada drugi komentator. - W tej chwili daje pesymistom powód, by mówili, że nie powinien znaleźć się w klatce z profesjonalistą pokroju Huntera Davidsona.

- Pierdol się! - mówię do komentatora, do oczu napływają mi łzy. Oglądanie tego jest istną torturą. Chcę zamknąć oczy i nie patrzeć, ale jednocześnie nie mogę nie zobaczyć, co się stanie.

Macie stoi ze mną, razem patrzymy na rozgrywającą się tam scenę. Crew wyprowadza kilka ciosów, ale chybia. Hunter cofa się z uśmiechem i drażni go, rozkładając ramiona na boki i kołysząc biodrami. Mówi coś do Crew, ale nie mam pojęcia co. Tłum szaleje, gdy Hunter kontynuuje swoje małe show, niczym aktor na scenie.

Patrzę z zapartym tchem, jak Crew przygotowuje się, by powalić go na matę. Tysiące razy widziałam, jak to robi. Patrzę, jak noga Huntera w spowolnionym tempie trafia w twarz Crew.

Upada. Moje wnętrzności razem z nim.

Crew

Już kiedyś czułem ten ból. Nie wiem, czy to ironia, ale wtedy też działało się to podczas walki z Davidsonem. Kark pali mnie żywym ogniem, ból rozchodzi się aż po ramiona. Nie pomaga nawet adrenalina, która w czasie walki znieczula ciało.

Hunter dopada mnie w ułamku sekundy. Celuje w moją twarz, ale jestem w stanie bronić się dzięki godzinom spędzonym na ringu z Victorem. Siedzi na mnie, wrzeszcząc, a ja wiem, że muszę się stąd wynosić. Nie powinno mnie tu być.

Staram się zrzucić go z siebie, ale ból skutecznie przyszpila mnie do maty. Zbliżam ręce do siebie, osłaniając nimi twarz, i kołyszę się na boki, żeby zablokować każdy możliwy cios.

Czuję kolejne uderzenie adrenaliny, które wręcz mnie oszalałmia. Zalewa mnie fala ulgi. Wiem, że muszę to wykorzystać. Mam mało czasu; chodzi o być albo nie być. Hunter przedostaje się bokiem, zasypuje moją twarz gradem potężnych ciosów.

Czuję każdy z nich, każde starcie ze skórą rękawic szarpie moją szyję.

Twarz Huntera przybiera zwierzęcy wyraz, oczy mu błyszczą, wyczuł śmierć w powietrzu. Zdaję sobie sprawę, że właśnie to się dzieje.

Ten koleś chce mnie zabić.

Nie wiem, czym to jest spowodowane, ale moją głowę zalewa fala wspomnień. Widzę uśmiech Jules, oczy Ever, słyszę śmiech Gage'a.

Miałem wszystko zaplanowane właśnie do chwili, gdy niezależnie od tego, jak skończy się walka, dziewczyny będą bezpieczne.

Wiem, co muszę zrobić.

Ból jest oszalamiający. Wszystko zaczyna zlewać się ze sobą w jedną wielką, pierdoloną plamę. Staram się na czymś skupić, usiłuję odzyskać świadomość. Słyszę wrzeszczącego Willa i skupiam się właśnie na jego głosie...

Julia

Nie mogę w to uwierzyć, Marv! W ciągu kilku sekund drapieżnik stał się ofiarą!

- Właśnie za to ludzie kochają MMA, Nate! Wszystko może się zmienić w ułamku sekundy!
- Tak, ale jak szybko dokonał tego Davidson? Crew leży na macie i wygląda jak przegrany.
- No dalej, kochanie! - wrzeszczę do telewizora. -Zrób coś, Crew!
- Nie wiem, co się dzieje z Gentrym, Nate. Nie sądzę, żeby wytrzymał!

Łzy spływają po moich policzkach. Zerkam szybko na Macie, ona też płacze. Łapie mnie za rękę.

Kamera robi zbliżenie na nich dwóch, widzę oczy Crew.

Ich spojrzenie jest dzikie, nieskupione, pełne emocji, które boję się nazwać.

Crew

Obrywam w tył głowy nielegalnymi ciosami za każdym razem, gdy przekręcam głowę.

Ostatnia szansa.

Skurwysyn chce nielegalnej walki, to ją dostanie. Rozluźniam się na tyle, żeby Davidson wyczuł okazję. Znając jego porywczą naturę, wiem, że skorzysta.

Zbieram ostatki sił, jakie mi zostały. Mam tylko kilka sekund i zakończę tę walkę w najlepiej znany mi sposób. Może nie zdobędę dzięki temu przychylności, ale w przeszłości niejednokrotnie uratowało mi to życie. Sal powiedział, że bym pamiętał, skąd pochodzę - wychowałem się na ulicy. Zakończę to jak uliczny wojownik.

Davidson siada na mnie okrakiem, a ja wybucham. Zrywam się i uderzam głową w twarz Davidsona, co go zaskakuje. Obejmuję go nogami. Ręce owijam wokół jego szyi, przedramię wciskam pod jego podbródek.

Gdy odchylam się do tyłu, co wygląda, jakbym chciał oderwać mu głowę, czuję, że kręci mi się w głowie. Wrzeszczę, ból jest tak intensywny, że ledwo wytrzymuję.

Czuję, że Davidson zaczyna panikować. Wie, że mam go w garści i że zostało mu niewiele czasu. Ręce ma wolne, dlatego okłada mnie po bokach, każdy cios intensyfikuje mój ból. Moja szyja wciśnięta jest między matę a kąt klatki, a ponad osiemdziesięciokilogramowe ciało Huntera napiera dokładnie na ten jeden punkt w karku.

Ból jest nie do zniesienia. Oślepiający. Prawie nic nie widzę.

Każdy cios odczuwam jak wybuchającą we mnie bombę. Znowu mnie uderza, ale tak słabo, że nie powinienem tego poczuć. Mimo to czuję. Napinam ramiona, zaciskam je jeszcze bardziej, żeby go unieruchomić, a w moich plecach coś trzaska. Słyszę to ponad dudniącą w uszach krwią, krzykami tłumu, Sala, ponad jękami Huntera.

Ból jest oszalamiający. Moje ciało zaczyna się rozluźniać, zaczynam odpływać, a Hunter usiłuje się wyrwać. Szybko zaciskam ręce z całych sił. Gdy to robię, przed oczami pojawiają mi się czarne plamy.

Julia

Kolana mi drżą. Mam problemy z oddychaniem, gdy patrzę na to, co tam się dzieje. Komentatorzy krzyczą, mówią tak szybko, że nawet gdybym chciała, nie zrozumiałabym ich. A nie chcę, nie mogę. Jestem jedynie w stanie patrzeć, jak mężczyzna, którego kocham, walczy prawdopodobnie nie tylko o życie mojej córki, ale o swoje własne.

Hunter usiłuje się wyrwać, ciągnie Crew za ramiona, ale on wytrzymuje.

- Wytrzymaj, kochanie! Wytrzymaj - krzyczę, krztusząc się łzami. - Proszę. Wytrzymaj...

Crew

Zaciskam ręce z całych sił, gdy wszystko zaczyna się rozmazywać. Ciemność napływa z większą intensywnością, dźwięki docierają do mnie tak, jakbym znajdował się pod wodą. Staram się nasłuchiwać głosów Willa i Sala, ale nie jestem w stanie ich odnaleźć. Nie mogę znaleźć nic, czego mógłbym się chwycić. Całe moje ciało płonie. Chcę odpuścić. Potrzebuję przerwy od bólu.

Czuję, że Hunter panikuje i wiem, że dla jednego z nas to będzie koniec. Albo przyduszę go i odetnę mu dopływ powietrza, albo puszczę, a wtedy on powali mnie na matę. Ale wtedy nie zdołam się już obronić.

Kręci mi się w głowie, mam wrażenie, jakbym dostał w szyję kulą armatnią. Sam zaczynam panikować, bo chęć zaśnięcia zaczyna przeważać nad wszystkim innym.

- *Wydoroślej, braciszku.*

- *Obaj będziemy musieli się poświęcić.*

Głosy robią się wyraźne. Czuję na sobie ciężar ciała Huntera. Czuję, jak jego pot splywa po moim ciele, czuję gładkość rękawic, które przesuwają się po moim torsie.

Słyszę, jak Will krzyczy, żebym walczył. Słyszę, jak Sal mówi, żebym pamiętał, co muszę zrobić.

Zaciskam zęby i ciągnę go za szyję z całych sił, jednocześnie odciągam jego nogi od ciała. Charczy i czuję, że próbuje się zamachnąć. Napinam ręce z całych sił.

Ból emanuje z każdej komórki mojego ciała, co sprawia, że krzyczę głośno. Słyszę trzask, który przetacza się przez moje uszy. Agonia nie ma sobie równych, ale po niej nadchodzi mile widziana ciemność.

Obejmuje mnie, obiecując odpoczynek, przerwę od bólu. Wiem, że muszę jeszcze wytrzymać. Zacieśniam uścisk, ale czuję, że słabnę.

Zaciskam zęby i szarpię.

Raz.

Jeszcze.

Ostatnie, co pamiętam, to klepnięcie w ramię. Później jest już tylko ciemność.

Koniec

Epilog

Julia

Dwa lata później

Trawa jest miękka i wciąż wilgotna po wczorajszym deszczu. Powietrze niesie ze sobą ciepło, ale powiewający wiatr muska chłodem. Uśmiecham się, gdy Ever idzie przez cmentarz, kierując się w stronę nagrobka na jego końcu. Zna drogę tutaj jak własną kieszeń.

Michael gaworzy, wsparty na moim biodrze, i śmieje się, gdy czerwony ptak ląduje na gałęzi jednego z drzew.

Staję przed nagrobkiem i uśmiecham się. Już nie płaczę, gdy tu przychodzę. Wcześniej siadałam i pytałam z płaczem, dlaczego nas opuścił. Ale już tego nie robię. Nie dlatego, że sobie ze wszystkim poradziłam; chodzi o to, że nauczyłam się mieć wiarę.

Patrzę na Everleigh, która ściąga butem błoto z nagrobka, a jednocześnie opowiada swojemu tacie historie, które jej się przydarzyły. Opowiada, jak pojechałyśmy na onkologię dziecięcą, żeby zawieźć tam gry, które zebrałyśmy. To był jej pomysł, sposób na umilenie dnia dzieciom, które są w takim samym położeniu, w jakim jeszcze niedawno była ona.

Minął prawie rok od remisji. Minął prawie rok, odkąd życie wróciło na właściwy tor, a ja mogę oddychać. Wiem, że nie jest idealnie i istnieje prawdopodobieństwo nawrotu choroby. Ale czegoś się nauczyłam. Nauczyłam się cieszyć każdym dniem tak, jakby był ostatnim. Nauczyłam się, że życie daje ci w kość, że od niego zależy, kto przy tobie zostaje, a kto odchodzi. Tobie pozostaje nauczyć się radzić sobie z tym i znaleźć wyjście.

Tym wyjściem jest zrozumienie, że nie można pozwolić

doświadczeniom zatruć ci życia. Musisz to wszystko wykorzystać, przekazać tę wiedzę innym. Musisz wykorzystać wszystkie te próby, naciski i tragedie i z ich pomocą uczynić czyjeś życie lepszym.

- Uczyłam się pływać, tatusiu! - mówi Everleigh, bawiąc się kwiatami.
- Jestem w stanie wstrzymać oddech prawie przez wieczność! Nie mogę się doczekać surfowania. Mam w pokoju twoją deskę, stoi oparta o ścianę. Mamusia mówi, że jest za duża, ale ja i tak będę na niej pływać. Mówi też, że muszę używać kamizelki, nieważne, jak dobrze pływam. Jeżeli mnie bez niej zobaczy, nie puści mnie więcej na plażę.

- Nie żartowałam - przypominam jej.

- Wiem - wydyma wargi. - Bardzo za tobą tęsknię. Nie uwierzyłbyś, jaka jestem wysoka! A gdybyś zobaczył Michaela! Umie powiedzieć Everleigh. No, znaczy się wychodzi mu coś w stylu „Ewerwee”, ale jest blisko!

- Ewerwee! - mówi Michael, na co obie się śmiejemy.

- Widzisz? - mówi Ever i pochyla się nad nagrobkiem. - Nie możemy za długo zostać, bo mamy jechać na jakieś zebranie fundacji. Naprawdę nie wiem, o co chodzi, ale mamusia jest strasznie podekscytowana i mówi o tym od tygodnia.

Ever okrąży nagrobek po raz ostatni i całuje jego górną część.

- Kocham cię, tatusiu.

- Cham cię, tatusiu - powtarza Michael.

Duszę w sobie szloch.

- Ever, może weź Michaela i zabierz go do samochodu. Zaraz do was dołączę.

- Dobrze! - Bierze Michaela na rękę. Mały całuje ją w policzek, a ona

chichocze. Patrzą, jak kierują się w stronę bramy, a potem odwracam się w stronę nagrobka.

- Tęsknię za tobą - szepczę. Przesuwam ręką po kamieniu. - Bardzo za tobą tęsknię.

Ptaki ćwierkają w koronach drzew, przerywając ciszę.

- Szkoda, że nie możesz tu dziś z nami być. Byłbyś dumny z tego, co stworzyliśmy. Zebraliśmy dzieciaki z biednych dzielnic i daliśmy im miejsce, do którego mogą przyjść. Spodobałoby ci się - pociągam nosem. -Mamy ogromne wsparcie wśród wielu ludzi, a Sal spędza tam kilka godzin w tygodniu jako mentor. Nie uwierzyłybyś, jak wiele osób chce pomóc.

Otulam się szczerze swetrem i całuję górną część nagrobka tak samo jak Ever.

- Zawsze będę cię kochać.

Czuję dotyk na ramieniu i uśmiecham się. Wiem, że nienawidzi tu przychodzić, a ja rozumiem, dlaczego. Dla niego też jest to trudne.

- Gotowa? - pyta.

Odwracam się i widzę jego uśmiechniętą twarz.

- Tak. Chodźmy, Will.

Epilog 2

JULIA

Wchodzimy do budynku. Will niesie Michaela, a Ever trzyma mnie za rękę.

W środku zebrał się tłum ludzi, którzy usiedli na składanych krzesłach stojących przodem do rozkładanej sceny ustawionej pod tylną ścianą. Odwracają się, gdy wchodzimy. Niektórzy uśmiechają się, inni podchodzą i podają nam ręce, przedstawiając się.

Zajmujemy swoje miejsca w pierwszym rzędzie u boku Olivii, Macie, pani Ficht, Victora, Breta, Adama i Dane'a. Zaprosiłam ich osobiście. Wszyscy przyłożyli się do tego, że znaleźliśmy się właśnie tutaj.

Patrzę na moją uśmiechniętą córkę.

Wygląda ślicznie w żółtej sukience i sięgających do podbródka włosach. W jej niebieskich oczach na nowo zamieszkał błysk identyczny do tego w oczach jej taty. A jej szelmowski uśmieszek tak bardzo przypomina mi jej drugiego tatę, że zaciska mi się serce.

Jej życie to połączenie dwóch najwspanialszych mężczyzn, jakich poznałam.

Otwiera swoją małą torebkę i wyciąga z niej kawałek Laffy Taffy. Nie mam wątpliwości, że jest od nich uzależniona. Żuje cukierek, machając nogami.

Czuję, że siedzący obok Will porusza się. Patrzę na niego, ale on wpatruje się w Macie. Posyła mu nieznaczny uśmiech, na co on szczerzy się szeroko. Macie kręci głową i splata ręce na piersi, po czym odwraca się przodem do sceny. Nie mam pojęcia, co się między nimi dzieje, ale to nic niezwykłego. Wydaje mi się, że Will znalazł wybrankę swojego

serca.

Rozlegają się oklaski, gdy na scenę wchodzi Sal. Stuka w mikrofon i czeka, aż wszyscy usiądą. Gdy zaczyna mówić, Michael gramoli się z kolan Willa i próbuje wspiąć się na scenę. Idę w jego stronę, a Sal wybucha śmiechem. Macha ręką i podnosi mojego syna. Michael trajkocze, a Sal wraca na scenę.

- Panie i panowie, chciałbym podziękować wam za przybycie. Jestem dumny z tego, że stałem się częścią tej organizacji. - Poprawia mikrofon i odchrząkuje. - Kilka lat temu jechałem do Providence. Trafiłem wtedy na grupę bijących się pod sklepem chłopców. Moją uwagę przykuło dwóch z nich. Byli twardzi, inteligentni i mieli w sobie iskrę, którą trudno znaleźć. Zaprosiłem ich na siłownię Blackrock, a oni przyszedli regularnie. Stali się uczniami. Stali się przyjaciółmi.

Bracia Gentry pochodzą z biednej dzielnicy. Wychowali się bez ojca, tylko z ciężko pracującą matką. Nie mieli, mówiąc wprost, przyszłości. Ale mieli potencjał.

Michael wierci się na rękach Sala, a ten stawia go na deskach sceny. Mały biegnie do swojego ulubieńca.

- Will! - krzyczy. Will podchodzi do sceny i bierze na rękę mojego syna. Siadają obok, Michael bawi się kluczykami Willa.

- Gage i Crew Gentry dostali szansę, by zrobić coś ze swoim życiem. Przychodząc na siłownię, trzymali się z dala od wielu kłopotów. Trzymali się z dala od ulicy, narkotyków. Dostali szansę, by coś w sobie zmienić... i zrobili to. Obaj wyrosli na godnych podziwu mężczyzn.

Gdy Julia Gentry przyszła do mnie kilka miesięcy temu i rzuciła pomysł, czułem, że muszę się w to zaangażować. Ten program da niezliczonej ilości dzieci znajdującym się w takiej samej sytuacji, jak bracia Gentry, szansę na lepsze życie i nie tylko. Będą miały miejsce, do którego drzwi zawsze będą otwarte, miejsce tak różne od zła na ulicy. Nauczą się dyscypliny, szacunku, i to samo dostaną od innych. Jestem dumny, że

mogę podpisać się pod tym projektem.

A teraz - mówi z uśmiechem na twarzy. - Bez dalszych wstępów, przed państwem człowiek, który przez cały ten proces przeszedł. Oto Crew Gentry!

Ludzie zrywają się na nogi i nagradzają go oklaskami. Patrzymy, jak pokonuje drogę przez scenę. Jedzie na wózku inwalidzkim tak, jakby to był samochód wyścigowy. Patrzy w moją stronę i puszcza mi oczko.

Z każdym dniem staję się coraz silniejszy. Przez wiele tygodni leżał w szpitalnym łóżku, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Mówili, że nie będzie chodził. Mówili mi, żebym przygotowała się na to, że Crew zostanie inwalidą. A gdy wychodzili, Crew mówił mi, że pieprzą głupoty. Obiecał mi, że stanie na nogi.

A Crew nie łamie obietnic. Już nie.

Dociera do podium i wstaje. Opiera się o drewno, odciążając plecy. Jest bardziej aktywny niż do tej pory, bo stara się nadzorować wszystko i pomagać przy Michaelu. Nadal stara się robić wszystko to, co robił wcześniej, ale czasami jest tego zbyt wiele. Nauczył się pozwalać Willowi przejmować część spraw, takich jak zabranie nas na cmentarz. Kiedy znowu zacznie chodzić - a wiem, że zacznie - nadrobi stracony czas.

Jest taki przystojny. Uśmiecha się do zebranych na sali ludzi, a mi zapiera dech w piersi. Gdybyście mogli go zobaczyć, nigdy nie pomyślelibyście, że był całkowicie sparaliżowany. Nigdy nie pomyślelibyście, że spędził tygodnie w szpitalu. Nigdy nie uwierzylibyście, jak walczył o to, żeby jego nogi znowu były sprawne. Nigdy nie uwierzylibyście w to, jak wciąż walczy każdego ranka, gdy budzi się ze zdrętwiałym ciałem. Mimo to wstaje z łóżka. I nigdy nie narzeka. Powtarza tylko, że zrobiłby to raz jeszcze, bo dzięki temu ocalał Everleigh. Pieniądze za walkę, w której pokonał Huntera Davidsona, pozwoliły nam opłacić terapię naszej córki, która zniszczyła raka niszczącego jej małe ciało.

- Chciałbym podziękować wam wszystkim za przybycie. - Rozgląda się dookoła, patrząc na osoby, które nam pomagały, reporterów, mentorów i gości. Potem jego spojrzenie spoczywa na mnie. - Dzisiejszego dnia mija kolejna rocznica śmierci mojego brata, Gage'a. Uważam, że jest to idealny dzień na otwarcie fundacji For-EVER en-GAGE. Pomysłodawczynią nazwy jest moja żona, Julia. W ten sposób chcemy uczcić pamięć mojego brata i wyróżnić naszą córkę, Everleigh.

Przenosi ciężar ciała i wiem, że czuje ból. Ale wiem też, że nie usiądzie, dopóki nie powie wszystkiego; nie pozwoli, by ból go powstrzymał.

- Naszym celem jest zaangażować ciała i umysły dzieciaków z Bostonu, dzieciaków jak ja i mój brat. Damy im szansę, by zobaczyły, co mogą osiągnąć, by mogły realizować swoje pasje i rozwijać talenty, damy im miejsce, które zastąpi im ulicę.

Chcemy skupić się na ludności z najbiedniejszej części miasta. Naszym celem jest pokazać młodzieży, że jesteśmy częścią większej społeczności, że mogą i powinni zmienić swoje życie, dzięki czemu dadzą też przykład tym, którzy mieli mniej szczęścia.

Patrzy na Ever i milknie.

- Będziemy zbierać fundusze z inicjatywy Czerwonego Pantofelka, by wspierać rodziny, w których są ludzie z problemami zdrowotnymi. Zebrane pieniądze będziemy przeznaczać na różne cele, ale naszym głównym założeniem jest walka z neuroblastomą, która dotknęła kogoś bliskiego naszemu sercu. - Głos zaczyna mu się łamać. - Nieważne, przez co przeszły dzieciaki, które tu przyjdą, nieważne, co zrobiły, dostaną drugą szansę. Bardzo mocno wierzę w drugie szanse. Stworzenie tej fundacji i prowadzenie jej nie będzie łatwe. Ale powiem wam coś, co wiem z własnego doświadczenia. Kiedy wydaje wam się, że nie pokonacie stojącej na waszej drodze przeszkody, idźcie przed siebie. Bo nieważne, jak źle to wygląda, zawsze możecie wygrać. Zawsze starczy wam sił. Musicie tylko w to uwierzyć.

Crew patrzy na Ever. Uśmiecha się z zachwytem do swojego taty, okazując aprobatę, że nawiązał do ich ulubionego filmu. Crew szczerzy się, a ja nigdy nie byłam szczęśliwsza.

- To, co w życiu najlepsze nie przychodzi łatwo, ale właśnie te rzeczy warte są poświęcenia. Mogę wam to obiecać. A ta fundacja warta jest naszego czasu i energii.

Biorę swoją córkę za rękę i ściskam ją, serce łomocze mi z radości. Patrzę, jak mój mąż uśmiecha się, a w jego niebieskich oczach widzę błysk.

- Kocham cię - szepczę. Wiem, że zrozumiał, bo rozpromienia się jeszcze bardziej.

Puszczą mi oczko i puka cztery razy w podium.

W końcu Crew Gentry jest moim rycerzem.

o autorce

Adriana Locke żyje i oddycha książkami. Po wielu latach nieco obsesyjnych związków z niegrzecznymi chłopcami stworzonymi przez innych autorów Adriana stworzyła własnych.

Adriana mieszka ze swoją rodziną w środkowo--zachodniej części USA. Dużo czasu spędza na zabawie z dziećmi, picciu kawy i gotowaniu. Kocha słońce i zawsze ma przy sobie coś słodkiego.

Poza żelkami cynamonowymi i przypadkowymi cytatami jej kolejną ulubioną rzeczą są rozmowy z Czytelnikami.

Zapiskane w bliznach

ADRIANA LOCKE

Na jesień przygotuj solidną partię chusteczek na otarcie łez.

Siniaki znikają. Blizny pozostają jako świadectwo tego, że się żyło. Walczyło. Kochało.

Łatwo jest się zakochać. Z kolei odkochanie to najtrudniejsza rzecz na świecie. Elin i Ty Whitt są w tym beznadziejni...

Gdy lokalna gwiazda koszykówki uśmiechnęła się do Elin, było po niej. Tak łatwo przyszło jej zakochać się w ciemnowłosym bohaterze z czarującym uśmiechem i silnym, atletycznym ciałem. Aż uderza rzeczywistość. I robi to naprawdę mocno. Zakochanie się było zdecydowanie tą łatwą częścią. Patrzenie, jak to wszystko ulega rozpadowi, okazało się nie do zniesienia.

Gdy Ty wraca z nowo odnalezioną determinacją, by odzyskać rodzinę, Elin czuje się rozdarta przez walkę między przeszłością a możliwością nowego startu. To mężczyzna, do którego należy jej serce. A zarazem jedyna osoba, która może sprawić jej niewyobrażalny ból.

Życie nie zawsze jest łatwe. Miłość nie jest dla wrażliwych. Ale życie wciąż czegoś uczy, a Ty i Elin, oboje poznaczeni bliznami, są tego najlepszym dowodem. Jednak w tych bliznach zapisana jest ich miłość, która albo zwiąże ich ze sobą... albo rozdzieli na zawsze.